

Literacki kryminał oparty na prawdziwej
historii seryjnego mordercy

1. miejsce w Amazonie
przez 4 tygodnie

150 000 sprzedanych
egzemplarzy przez
6 miesięcy



NEIL WHITE



**ZAGŁUSZYĆ
KRZYK**


APIBIS

Neil White

Zagłuszyć krzyk

Rozbiera je, wiąże, zapycha usta ziemią.

A potem pisze wiersz. I wysyła go do gazety... Taki morderca istniał naprawdę. Dennis Rader z Wichita w stanie Kansas w ciągu kilkunastu lat zamordował dziesięć osób. Jego ofiarami były głównie kobiety. Szukając rozgłosu, wysyłał listy do gazet i kontaktował się z policją. Chciał, by nadano mu pseudonim, pragnął być zapamiętany jako „Morderca BTK” – skrót od określenia sposobu, w jaki zadawał śmierć: „Bind them (zwiąż je), Torture them (torturuj je), Kill them (zabij je)”.

Dennis Rader, jeden z najsłynniejszych amerykańskich seryjnych morderców, był szanowanym obywatelem, filarem swojej społeczności, wiernym lokalnej kongregacji i... przewodniczącym rady kościelnej. Do swoich listów do prasy dołączał wiersze zapowiadające kolejne morderstwa. Właśnie te wiersze doprowadziły do jego aresztowania w 2005 roku.

Wiersze Dennisa Radera zainspirowały Neila White'a – prawnika i nową gwiazdę brytyjskiego kryminału - do stworzenia fabuły powieści **Zagłuszyć krzyk**.

W prowincjonalnym miasteczku w Lancashire zostaje w bestialski sposób zamordowana córka miejscowego gangstera. Dziennikarz Jack Garrett, specjalista od reportażu sądowego współpracujący z lokalnym tabloidem, otrzymuje od naczelnego zlecenie na artykuł na temat tej zbrodni. I odkrywa, że kilka tygodni wcześniej taki sam los spotkał córkę miejscowego policjanta.

Rozpoczyna dziennikarskie śledztwo – niezależne, a często wbrew policyjnemu, które prowadzi Laura McGanity, sierżant z wydziału zabójstw, a prywatnie narzeczona Jacka.

Rozdział 1

Wieczór był jasny i ciepły, słońce zachodziło za mały zagajnik między domami, światło przesączało się między drzewami, a świetliste pasemka chwyciły zapętlony taniec muszek śmigających między liśćmi.

Spojrzał na zegarek. Już prawie czas. Znał jej zwyczaje. Sobotni wieczór. Pieszko na przystanek przy głównej ulicy, potem autobusem do miasta. Zawsze po drodze mijała zagajnik. Szła ze spuszczoną głową, spieszyła się, żeby już zacząć wieczór.

Chodził w tę i z powrotem, poza zasięgiem czyjegokolwiek wzroku – szybki oddech, pierś ściśnięta z podniecenia. Myśli o niej napływały jak szepty, tak ciche, że ledwo je słyszał, ale z każdym wieczorem stawały się coraz bardziej intensywne, więc i szepty słyszał coraz głośniej, jak biały szum, nacierającą na niego falę.

Czasem zwalczał niecierpliwe podszepty, kiedy nie był aż tak mocno nabuzowany, ale te chwile zdarzały się rzadko, to jej widok go nakręcał. Jej włosy, blond, za ramiona, błyszczące na tle bladej skóry. Jej mały zadarty nosek. Zęby lśniące i proste. Uśmiechnął się do siebie, kiedy pomyślał o jej skórze. Delikatnej skórze. Jędrnej. Teraz, gdy nadszedł czas, hałaśliwe dźwięki wdarły się z powrotem, jakby obserwowały z boku, czekały ze wstrzymanym tchem.

Wiedział, że ten raz będzie inny. Najbardziej podniecający ze wszystkich razów. Bez zakopywania ciała. Bez palenia samochodu. Bez wypraw nad jezioro, ze związaną łańcuchami. To będzie najlepsze, bo wiedział, że zawsze o to chodziło.

Prawie ją słyszał. Trzepot jej włosów na wietrze, szelest jej ubrania, kiedy idzie. Potem zdał sobie sprawę, że stuk-stuk, które słyszy, to nie szybki werbel jego serca albo łomotanie tętna. To stukot jej obcasów, szybkie kroki – jakby odbijały się echem na cichej podmiejskiej ulicy. Oddychał przez nos, coraz głębiej, jego pierś unosiła się i opadała, poczuł, że robi się twardszy. Sprawdził rękawiczki.

Żadnych rozpruć. Żadnych rozdarć. Nie wyśliznie się nawet ślad dowodu. Pomyślał, jak to było ostatnim razem. Przez cały tydzień nie myślał prawie o niczym innym.

Już czas.

Zaczął iść, kiedy stukot zrobił się głośniejszy, tak żeby być po tej samej stronie ulicy co ona, kiedy nadejdzie. Pojawiła się, spojrzała na niego nerwowo, ale wtedy zauważyła koszulkę polo, policyjny emblemat na jego piersi i czarno-białą wstążkę wokół czapki, czarnej, z miękkim wierzchem.

Uśmiechnął się, krótkie błysnięcie zębów, zszedł na drogę, ona została na chodniku, zagajnik był z boku.

– Dobry wieczór – powiedział, kiedy się zbliżyła. Słowa omal nie uwięzły mu w gardle, kiedy doleciał go zapach jej perfum. Aromat kwiatów, lekko unoszący się z wiatrem. Musiał się powstrzymać, żeby nie wyciągnąć ręki i nie przejechać palcem wzdłuż jej szyi. Nie wyrwyj się za wcześnie.

Rzuciła mu uśmiech, ale potem znów spojrzała w dół. Podążył za jej wzrokiem. Krótka czarna spódniczka. Gładko wydepilowane nogi, smukające ku srebrnym butom na obcasach. Musiał przełknąć, serce mu łomotało, w ustach zaschło.

Dłonie trzymał na pasie i odhaczał palcami kajdanki. Ćwiczył ten ruch, aż doszedł do perfekcji. Najważniejsza jest szybkość. Musi uciszyć ten hałas.

Teraz przechodziła obok niego. Rozejrzał się szybko po ulicy. Nikogo. Nieopodal stały domy, ale dlaczego ktoś miałby wyglądać? Jeśli będzie szybki, nikt niczego nie zauważy.

Rzucił się na nią, rąbnął ramieniem w jej ramię, straciła równowagę. Dłonią zacisnął jej usta, nie zatrzymał się, pchał ją po ścieżce zagajnika, pedałowala nogami w powietrzu. Wyciągnął kajdanki, zatrzasnął jedno ogniwo na jej lewym przegubie, rozkoszował się trzaskiem, kiedy zacisnęło się wokół kości. Teraz zaczęła walczyć, napierała głową na jego rękawiczkę. Nie mógł odsunąć ręki, zaczęłaby krzyczeć, więc tylko biegł dalej, niósł ją z sobą, czekał aż ścieżka zniknie w cieniu, gdzie drzewa rosną gęściej.

Spadł jej but. Potem trzeba go zabrać.

Byli teraz głębiej między drzewami. U dołu zbocza płynął strumyk; był pewny, że tutaj, w dole, jest dobrze schowany.

Znajdował się blisko ścieżki, ale wiedział, że będzie szybki.

Dudnienie jego buciorów na ścieżce zmieniło się w ciche szuranie nogami, gdy przedzierał się przez poszycie. Kiedy zaszedł wystarczająco daleko od ścieżki, rzucił dziewczynę na ziemię, rękę w rękawicze nadal trzymał na jej ustach.

Walczyła, młóciła kajdankami, wolne ogniwo prawie rąbnęło go w twarz. Popchnął ją twarzą w dół i chwycił za kajdanki, wykręcił jej ramiona za plecy. Błyskawiczny ruch i znowu usłyszał trzask, kiedy metal się zamykał.

Pchnął ją na plecy, z rękami skutymi z tyłu, wolną dłonią zaczął po omacku zgarniać ściółkę. Zacisnęła zęby, ale siłą rozwarł jej usta i wepchnął do środka trochę ziemi i liści, zanim sięgnął po więcej; wbił to najgłębiej jak się dało. Szeroko otworzyła oczy, szarpnęła się, kaszląc i krztusząc się.

To samo robił między jej nogami, wpychał ziemię, kamienie, ściółkę.

Potem rozpiął sobie pasek; drugą rękę nadal trzymał na jej ustach. Zajęczał, kiedy chwycił swój członek.

Przesunął drugą dłoń z jej ust na szyję i zaczął ścisnąć. Kiedy łyzy spływały jej po policzkach, kiedy kopała nogami, kiedy naciskał mocniej, jego jęki stawały się coraz głośniejsze.

Rozdział 2

Kilka dni później Jack Garrett dostał telefon.

Był w osiedlu Whitcroft, na zleceniu od najnowszego naczelnego lokalnej gazety, Dolby'ego Wilkinsa, którego sprowadzono, żeby obciął koszty i zwiększył nakład. Dolby, przystojniak z bogatej rodziny, pewny siebie, zawsze w dzinsach i wymiętej lnianej marynarce, powtarzał jak mantrę, że gazety sprzedają się na dwa tematy: seks i uprzedzenia. Lokalna gazeta zostawiła seks największym, ogólnokrajowym popołudniówkom, więc Dolby'emu pozostawały uprzedzenia. Wszedł więc w podziały społeczne, prowizoryczne rozwiązania, wstrząsające historie według wypróbowanego schematu. Imigranci łamiący prawo albo ludzie od zasiłków, którzy fundują sobie na tym dostatnie życie. Pierwsze co zrobił, to kazał sobie wydrukować

wizytówki. To powiedziało Jackowi wszystko, co chciał wiedzieć.

Jack gapił się przez przednią szybę, zlecenie mu się nie podobało. Zdawał sobie sprawę, że obnażenie nędzy jako skutku próżniactwa nabije kasę, ale Dolby był nowy w Blackley i nie rozumiał tego miejsca. Nie widział, jak prężne stare włókiennicze miasteczko pozbawiano przemysłu, nie dając nic w zamian. I tylko ślady przeszłości były rozproszone po okolicy, poćwiartowane jak części ciała.

Niektóre wielkie ceglane budynki fabryczne zamieniono w sklepy detaliczne, prowadzące w letnie weekendy targi rękodzieła, inne pozostawiono samym sobie, żeby popadły w ruinę, ogołoczone z instalacji. Druty i kable wyrwane ze ścian, wymienione za paczkę fajek, światło wlewające się przez tu i tam zawalone dachy. Historie wiązały się raczej z brakiem perspektyw w czasach kryzysu, ale współczucie dla pechowców nie napędzało sprzedaży.

Jack rozumiał, że „Blackley Telegraph” to biznes, ale on jest dziennikarzem, wolnym strzelcem, a nie biznesmenem, jego działka to reportaż sądowy, czasem podbarwiony historią przestępstwa. Gazeta jednak kupowała jego teksty, pozbyła się etatowców, korzystała z wolnych strzelców, żeby nadrobić straty; niektórzy byli dzieciakami świeżo po college’u albo niepublikowanymi pisarzami, co to chcieli zbudować sobie zawodowe CV. Więc Jack zgodził się napisać reportaż o osiedlu, bębnił na starym laptopie w swoim domku w Turners Fold – małej, zapomnianej wiosce osadzonej na wzgórzach Lancashire, kilkanaście kilometrów od Blackley.

Osiedle Whitcroft leżało na obrzeżach Blackley, pierwsza dzielnica biedoty zaraz jak się wjechało. Zbudowane na siedmiu wzgórzach, kiedyś zielonych i pofalowanych, Blackley wyglądało jak brzydki wielki brat Turners Fold. Ale w wiktoriańskim centrum dzielnicy nadal widniały ślady dawnego bogactwa; dwupiętrowe pokryte czarną sadzą budynki pełne małych miejskich sklepów jubilerskich i odzieżowych konkurowały ze szkłem i stalowymi ramami głównej ulicy. Szerokie kamienne schody i rzymskie portyki ratusza wychodziły na główną ulicę handlową, chlubiąc

się, że pamiętają czasy świetności, kiedy mężczyźni w długich kamizelkach, z ekstrawaganckimi bokobrodami, błyskali z kieszonek złotymi zegarkami.

Osiedle Whitcroft, zbudowane w dobrych czasach, było ucieczką od ustawionych w kratkę pasm zabudowy szeregowej, zajmujących inne części miasta. Tutaj było mnóstwo ślepych uliczek, półkoli, żywoplotów z ligustru, domowych toalet, ale to rozwarstwiało miasto, stanowiło drogę ucieczki dla białych przed napływem Azjatów w latach sześćdziesiątych. Meczety i minarety były teraz rozrzucone między magazynami i zabudowaniami nabrzeży, wezwania do modlitwy mieszały się z biciem nowych dzwonów kościelnych. I tak Whitcroft stało się azylem białych, którzy nie mogli sobie pozwolić na zamieszkanie na wsi.

Jack myślał o tym wszystkim, kiedy siedział w jasnoczerwonym triumfie stagu z 1973 roku. Młode matki spacerowały z wózkami po drodze okalającej osiedle. Poranne słońce dodawało temu miejscu blasku, rozświetlało ciemną zieleń żywoplotów, roziskrzało ceglane ściany, wydobywało z kwietników żywe fiolety, róże i czerwienie. Dobiegały go śmiechy i krzyki z miejscowej szkoły, którą widział przez niebieskie ogrodzenie przy zakręcie drogi.

Ale to był tylko powierzchniowy błysk.

Wejście do osiedla znaczyły dwa rzędy sklepów. Stały naprzeciwko siebie, po obu stronach upstrzonego gumą bruku, tworząc lej dla zimnych wiatrów wiejących od wrzosowisk, na które wychodziło osiedle. Chińczyk z jedzeniem na wynos i sklep spożywczy zajmowały trzy partery wraz z bukmacherem i pocztą. Po drugiej stronie pralnia i drogeria. W oknach kraty, drzwi stare i brudne.

Za sklepami część mieszkalna – po cztery domy w rzędzie, z wyłożonym kamykami parterem i naklejkami „Anglia” na oknach.

Niektóre miały pomalowane ściany albo drewniane okiennice. Tworzyły ślepe zaułki połączone wysadzanymi ligustrem wąskimi alejkami, tak że szybka jazda była bardzo

niebezpieczna. W żywoplotach tkwiły torebki po chipsach i stare puszki po piwie.

Widziało się też jednak skromne oznaki dobrobytu. Ulice pełne robotników w kombinezonach i młodych urzędniczek idących do pracy. Wpadali do spożywczego po gazety albo papierosy. Były przedłużone ganki, lśniące podwójne szyby, nowe ściany z cegieł główka-wozówka. Osiedle nie było tylko dla nieudaczników. Furgonetka prywatnej firmy ochroniarskiej przejeżdżała co pół godziny, ogoleni na łyso faceci w czarnych kurtkach za każdym razem przyglądali się Jackowi. Być może Dolby nie dostanie artykułu, jakiego chciał.

Jack wygramolił się z samochodu i poszedł w stronę sklepu, wypatrując jakichś lokalnych obrazków. Przed sklepem stała z wózkiem młoda matka z papierosem w dłoni, tanie złoto połyskiwało jej na każdym palcu, włosy miała mocno ściągnięte do tyłu.

Jack popchnął drzwi sklepu. Zabrzęczały, kiedy wchodził. Udawał, że przegląda magazyny, aż w sklepie zrobiło się pusto. Podszedł do lady.

Sprzedawca ledwie raczył podnieść wzrok. W średnim wieku, wąsy zabarwione tytoniem; przeglądał gazetę. Oderwał się od niej dopiero, kiedy Jack zakaszłał.

– Jack Garret. – Jack spróbował się uśmiechnąć. – Jestem reporterem, piszę o tym osiedlu. – Wskazał palcem okna. – Jakie ono jest pańskim zdaniem, z tymi kratami i prętami?

Facet popatrzył na Jacka, zastanawiał się, czy odpowiedzieć.

– Rada zniszczyła to osiedle – mruknął wreszcie.

– Jak to?

– Bo zmienili je w wysypisko. Niech wszyscy będą na jednym miejscu, tak powiedzieli.

– Od dawna pan tu jest?

– Ponad dwadzieścia lat. Ojciec zostawił mi ten sklep, jeszcze w czasach kiedy można tu było przyzwoicie mieszkać.

– Co poszło nie tak?

Sprzedawca wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale wygląda na to, że ludziom już się nie chce pracować. Młode dziewczyny dostają dom, kiedy zachodzą w ciążę, ale ojciec się do nich nie wprowadza. A przynajmniej tak wszystkim mówią, ale ja widzę, jak rano od nich wychodzą.

– Niektórzy idą do pracy – zauważył Jack. – To chyba nie jest tak źle.

– Zostało jeszcze trochę ludzi, dzięki którym chce się tu mieszkać, ale z dnia na dzień robi się coraz gorzej.

– Dlaczego?

– Dzieciaki – rzucił mężczyzna. – Obijają się tutaj przez cały wieczór, jeżdżą wokół klientów na rowerach, proszą ludzi, żeby kupili im flaszki i fajki, bo większość z nich to małolaty. Jak próbuję ich przepędzić, wyzywają mnie. Moi klienci chcą tylko wejść i kupić jakieś mleko czy coś, może parę puszek na później, ale te gnojki ich odstraszą.

– Rozmawiał pan z ich rodzicami?

Ironiczny uśmiech.

– Prawie cały czas są pijani.

Jack odpowiedział uśmiechem, domyślił się, że facet jest w kłopotliwej sytuacji.

– Pan im sprzedaje alkohol.

– Przecież poszliby po to gdzie indziej. Najczęściej zaopatrują się, kiedy jest promocja, trzy za dwie. Przychodzą, jak im się skończy albo jak zamierzają wcześniej zacząć i nie chcą jechać do supermarketu.

– A policja często się tu kręci?

Sprzedawca roześmiał się szyderczo.

– Tyle o ile, a kiedy już są, dla tych gówniarzy to rozrywka, bawią się w berka. Obrzucają ich mięsem i spieszają, jak otworzą się drzwi furgonetki. Czasem któreś się potknie i gliniarze łapią ich, ale co z tego, nigdy nic im nie robią.

– To dlatego w osiedlu jest prywatna ochrona? – zapytał Jack.

– No, tak ludzie czują się bezpiecznie.

– Kto za to płaci?

– Ci, którzy tego chcą.

– A narkotyki? Czy policja mogłaby zrobić więcej w tej sprawie?

– Nie, tu narkotyków nie ma. Może trochę trawki, ale głównie to woda. Zawsze tak było. Nie mówię, że nikt nie ćpa, ale te bachory, co tu jeżdżą na rowerach i rozrabiają, nie są naćpane. Są schlane.

– Nie maluje pan ładnego obrazka.

Mężczyzna skinął głową w stronę magnetofonu, który Jack trzymał w ręku.

– I założę się, że pan też go nie namaluje przed puszczaniem do druku.

Kiedy Jack zaczął protestować, facet dźgnął palcem w gazetę.

– Nie tylko je sprzedaję, ale też czytam i widzę, co zaczęli pisać w „Telegraph”. – Potem znów zaczął przeglądać gazetę.

Jack odwrócił się sfrustrowany i wyszedł ze sklepu. Przyglądał się samochodom jeżdżącym po osiedlu. Głównie stare vauxhalle i fordys. Za kierownicą najczęściej młodzi ludzie, nie wyglądali na takich, których stać na opłacenie ubezpieczenia. W kieszeni zabrzęczała mu komórka. Spojrzył na wyświetlacz, Dolby. Pomyślał, żeby nie odbierać, ale wiedział, że musi być z nim w dobrych stosunkach.

Nacisnął guzik.

– Cześć, czym mogę ci służyć?

– Było kolejne morderstwo – odparł Dolby trochę zadyszany. – Młoda kobieta.

Jack zastanowił się, próbował zrozumieć, o co Dolby'emu chodzi, potem przypomniał sobie, że kilka tygodni wcześniej znaleziono młodą kobietę w rurze przy zbiorniku na skraju miasta. Makabrycznego odkrycia dokonali ojciec i syn, którzy poszli wędkować.

– Gdzie?

Dolby podał namiar i Jack zdał sobie sprawę, że to

zaledwie o kilometr dalej.

– Chcesz, żebym o tym napisał? – zapytał.

– Nie dzwonię, żeby poplotkować – rzucił Dolby trochę zirytowanym tonem.

– Jadę. – Jack nacisnął przycisk, żeby się rozłączyć.

Uśmiechnął się do sklepikarza, ale reakcji nie było.

Rozdział 3

Było trochę po wpół do dziesiątej, Laura McGanity rozglądała się po miejscu zbrodni, próbując opanować nerwy. Ktoś zginął i teraz ona musi udowodnić, że zasługuje na sierżanckie winkle. Dziewięć miesięcy w mundurze, praca na ulicach, ale znów znalazła się tam, gdzie chciała, w wydziale do spraw zabójstw. I chociaż doszło do tragedii, poczuła znajome podekscytowanie, patrząc na niebiesko-białą taśmę policyjną rozciągniętą między drzewami i grupkę trzymających kije policjantów w kombinezonach, gotowych powoli przedzierać się przez poszycie w poszukiwaniu strzępów dowodów – odcisku stopy, rzuconego kawałka papieru, może włókien materiału rozdartego na kolecach i gałęziach. To było to, początek dochodzenia, ludzki dramat jeszcze niezgłębiony.

Już włożyła papierowy kombinezon, papierowe ochraniacze na buty i teraz czuła gorąco swojego oddechu na policzkach pod maską.

Ale wiedziała, że to podekscytowanie długo się nie utrzyma, bo za chwilę zobaczy martwe ciało leżące w zagajniku za nowymi ceglanyymi murami osiedla, ledwie widocznego, jak maźnięcie różu w zieleni. Wtedy tragedia uderzy w nią z całą siłą, ale teraz najważniejsze to koncentracja, żeby nie przeoczyć czegoś istotnego.

Za nią stanął Joe Kinsella, opanowany, cichy, z zakrytą twarzą, z kapturem naciągniętym na włosy. W jego jasnobrażowych oczach widać było uśmiech.

– No, dalej, detektywie sierżancie – odezwał się stłumionym głosem. – Zobaczmy, co tam mamy.

Laura odwzajemniła uśmiech, niewidoczny pod maską. Ta

ranga nadal była dla niej nowością, ale kiedy Joe to powiedział, dotarło do niej, że na jakiś czas trzeba powstrzymać się z przyjmowaniem gratulacji i jeszcze nie pora na poklepywanie po plecach.

Teren opadał ku wąskiej wstążce brudnej brązowej wody wpływającej do podziemnych rur, które prowadziły ją pod domami. Jawory i kasztanowce wypełniały teren cieniami. Bluszcz wił się po ziemi jak płatanina kabli wyzwalających minę, ale Joe szybko się przez niego przedzierał, depcząc go z chrzęstem; ten odgłos kontrastował z łagodnym szelestem kombinezonu Laury, która starała się dotrzymać Joemu kroku. Cieszyła się, że jest sucho, bo wyobrażała sobie, że w przeciwnym razie pośliznęłyby się i poleciała w stronę małej plamki różu na skraju strumienia.

Ciała znalazły nastolatki, szukające miejsca, gdzie zrobiłyby to, co zwykły robić w lesie, i od tamtej chwili okolica zarośla się od policji i kryminalistów, i od tych koszmarnych ciekawskich gapiów beczynnie płaczących się po ulicy. Jeden z detektywów, udając dziennikarza, wmieszał się między ludzi, którzy wyciągali szyje, żeby coś zobaczyć. Robił zdjęcia gapiom w nadziei, że wśród nich może będzie zabójca, który wrócił, żeby podziwiać swoje dzieło. To pomysł Joego.

Kiedy Laura dotarła do zwłok, był tam już jej inspektor Karl Carson. Wielki, nadęty facet, z lśniącą łysiną, bez brwi. Jego niebieskie oczy patrzyły z wściekłością spod kaptura ochronnego.

– No to najwyraźniej mamy kolejną – powiedział do McGanity. Wpatrywał się w nią, czekał na reakcję.

Laura westchnęła. To słowo „kolejna”. Przez nie wszystko stawało się trudniejsze, bo znaczyło, że zabójstwo nie było po prostu wynikiem rodzinnej kłótni albo że brutalny chłopak upozorował je jako napaść ze strony obcego.

Laura patrzyła, jak Joe podchodzi bliżej do zwłok i klęka. Wiedziała, że on nie szuka dowodów kryminalistycznych, ale tych małych znaków, ukrytych wskazówek, ujawniających motyw. To specjalność Joego: nie co, ale dlaczego. Laura nadal była nowa w zespole, ale już wcześniej pracowała z Joem i dlatego dopuścił ją

do ekipy od zabójstw. Dobrze było znów zająć się poważną robotą. Kilka lat temu przeprowadziła się na północ, zrezygnowała z roli detektywa w londyńskiej policji metropolitalnej, chodziła w mundurze na rutynowe akcje porządkowe i krótkie patrole, żeby ułatwić sobie awans, ale dopiero tutaj poczuła się jak ryba w wodzie.

Uklęknęła obok Joego, spojrzała na zwłoki i stwierdziła, że Carson się nie myli, że potwierdzają się ich najgorsze obawy: zabójstwo sprzed trzech tygodni nie jest sprawą odosobnioną. Teraz są dwa.

Ofiarą była młoda kobieta, miała niewiele ponad dwadzieścia lat, jak domyślała się Laura. Wyglądała na więcej niż wskazywałyby chude biodra i pierś nastolatki, ale ciało jędrne, nie jak u kogoś w starszym wieku. Na lewym nadgarstku miała tatuaż. Różowego motyla.

Zwłoki leżały przykryte korą zerwaną z pobliskiego drzewa i kiedy je poruszono, rój much rzucił się na nastolatki, które je odkryły. Laura zacisnęła zęby, czując ten smród – mieszaninę zapachu wymiotów i zepsutego mięsa. Nawet na świeżym powietrzu odór przebijał się przez maskę chroniącą nos. Zerknęła na ściółkę, zobaczyła poruszającą się pokrywą stonóg i robaków – spadały na liście bluszczu, kiedy przerwano im przerabianie trupa w papkę i kości. Żołądek w ciele był rozdęty od kłębiących się w nim gazów i Laura wiedziała, że nie chce znaleźć się w pobliżu, kiedy zwłoki zostaną przetoczone na foliową płachtę, żeby zabrać je z miejsca zbrodni, bo to, co jest w żołądku, wyleje się z ust.

Nachyliła się, próbowała zobaczyć raczej żywą osobę, nie martwą, ale twarz była brudna i zdeformowana. Później dowiedzą się więcej, kiedy zostanie umyta do sekcji. Laura usiłowała zachować zawodowy dystans, ale widok trupa zdrowej młodej kobiety na pewno i tak wróci do niej w spokojniejszej chwili.

Odetchnęła głęboko, w masce zrobiło się goręcej, starała się zaobserwować i zapamiętać jak najwięcej szczegółów.

Kobieta była naga, ubranie zabrano, ani śladu tego, żeby je zdarto i porzucono obok. Tak samo jak przy poprzedniej. Na ciele

sińce, obtarcia i zadrapania, może spowodowane walką, oraz małe nacięcia na brzuchu i nogach. Ale to co szczególnie przyciągnęło jej wzrok, to usta. Rozciągnięte, ziemia i liście wepchnięte do środka. Wyglądało na to, że ofiara zadławiła się, leżąc na ziemi. Policzki miała wydęte. Wokół szyi sińce; Laura domyślała się, że to kolejny przypadek uduszenia. Przeniosła wzrok na biodra kobiety, nie musiała przyglądać się dokładnie, żeby zobaczyć ziemiste ślady i zadrapania, tam gdzie ziemię i liście wepchnięto między uda.

Ale to łyzy wzbudziły w niej gniew. Twarz kobiety była brudna, ale smugi zostały tam, gdzie spłynęły łyzy, kiedy dławiła się liśćmi, patrząc na mężczyznę odbierającego jej życie.

– To kolejna z naszych? – zapytała.

Carson tylko wzruszył ramionami.

Pierwszą ofiarą była córka policjanta z Blackley. Zemsta gangów została wykluczona, bo jej ojciec był zwykłym mundurowym, który całą służbę spędził na patrolowaniu i dawaniu rad młodym policjantom, wkrótce swoim przyszłym następcom. Opowieści o prywatnym życiu kobiety sprawiły, że wszyscy uważali, że zabójcą jest były kochanek albo wystraszony mąż, który boi się, że jego romans wyjdzie na jaw.

– Co sądzisz? – zapytał Carson.

Laura zauważyła, że wpatruje się w nią; to taka próba. Sprawdzał, czy Joe miał rację, prosząc, żeby dołączyła do ekipy.

Westchnęła głęboko i znowu długo przyglądała się ciału.

– Żył, kiedy to wszystko jej tam wpychano. – Wskazała na genitalia kobiety.

– Dlaczego tak uważasz?

– Z tych obtarć i zadrapań wzdłuż nóg wypływała krew. – Pokazała ślady poranionej skóry, które zdążyły już zbrązowieć. – Powstały, kiedy wpychał w nią liście i ziemię. Musiała jeszcze żyć. Martwi nie krwawią.

Skinął głową.

– Dlaczego to takie ważne?

– Prawdopodobnie została zabita tutaj, a nie po prostu

porzucona – odparła Laura. – I możemy zebrać trochę DNA z jej ud i twarzy.

– Zakładając, że nie miał rękawiczek.

Uniosła brwi.

– Oczywiście.

Carson znów skinął głową.

– A co z ubraniem? Przecież nie spacerowała tutaj nago.

– Zabójca znał się na robocie; wiedział, że jego DNA byłoby na niej całej – powiedziała Laura. – Zabrał ubranie, żeby nie można było go zidentyfikować; a więc raczej włożył rękawiczki, żeby nie zostawić śladów. I jest opanowany.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Rozejrzyj się. – Pokazała domy nieopodal miejsca zbrodni. – Wystarczyło, żeby ktoś wyjrzał przez okno albo nawet usłyszał odgłosy walki i już byśmy się tu zjawili. Naoczny świadek to najlepsze, na co możemy teraz mieć nadzieję, chyba że zabójca popełnił jakiś błąd.

– Coś jeszcze?

Popatrzyła na ciało i czując jak Carson pali ją wzrokiem, myślała, co takiego pominęła. A może po prostu chce, żeby wygłaszała jakieś zwariowane teorie, a potem tego użyje przeciwko niej. Nie była jedyną kobietą w zespole, ale ciągle odnosiła wrażenie, że musi się sprawdzić, bo psuje zabawę dla prawdziwych mężczyzn, i już słyszała docinki, że jest nową faworytką Joego.

Wtedy ją olśniło.

– Jeśli żyła, kiedy wpychał w nią ziemię, to znaczy że nie była gwałcona, kiedy umierała. Nie mógł tego zrobić, więc miało ją poniżyć to, co działo się potem.

Inspektor przechylił głowę i Laura zobaczyła, jak pogłębiają mu się zmarszczki wokół oczu. Wyglądało to tak, jakby się uśmiechał.

Próba wypadła pomyślnie.

Zerknęła na Joego, nadal z napięciem przyglądał się zwłokom.

– Co takiego, Joe? – zapytał Carson.

Joe z początku nie reagował. Taki był, spokojny, zamyślony. Potem wstał, kolana mu zatrzeszczały, i popatrzył w dół.

– Na tym się nie skończy – oznajmił cicho.

– Tak? Dlaczego? – zdziwiła się Laura.

– Bo już wcześniej zaatakował, a tacy jak już zaczną, to się nie powstrzymają.

– Wiemy, że to zrobił – przyznał Carson ze zmarszczonym czołem. – Trzy tygodnie temu.

– Nie, wcześniej też. – Joe wskazał ręką ciało, kiwając głową. – Znaki szczególne są takie same. Ściółka i ziemia w pochwie, ustach, odbycie. Dużo, jak ostatnim razem. Ale dlaczego to robi? To nie przypadek. To perfekcyjne działanie. A tutaj? To powtórka z pierwszego razu.

Carson westchnął pod maską.

– Czeka nas chyba długa droga – mruknął jakby do siebie.

Joe rzucił zaniepokojone spojrzenie Laurze i Carsonowi.

– Nie mamy czasu – powiedział. – Musimy go szybko złapać, bo odstępów będą coraz krótsze.

– Jesteś tego pewien?

Joe skinął głową.

– Między tymi dwoma zabójstwami jest trzytygodniowa przerwa, ale użyto identycznej metody. Znalazł swój styl i polubił go.

– Dlaczego wpychał tę ziemię? – zapytała Laura.

Joe popatrzył na ciało, potem na Carsona, potem na Laurę.

– Nie wiem – odparł powoli. – I musimy to rozpracować, jeśli mamy złapać tego, kto to zrobił, ale wiem jedno: będzie chciał to zrobić znowu.

Rozdział 4

Jack odłożył aparat, obserwował to, co się dzieje na miejscu zbrodni.

Udało mu się pstryknąć kilka zdjęć białych kombinezonów pochylonych nad zwłokami. Na pewno spodobają się Dolby'emu.

Kiedy zrobił zbliżenie, rozpoznał wśród ekipy Laure McGanity, swoją partnerkę.

Uśmiechnął się do siebie. Nie, nie partnerkę. Narzeczoną. Zareczyli się już parę miesięcy temu, ale wszystko się zmieniło, odkąd się oświadczył. Laura znów rzuciła się w wir pracy i spotykali się tylko krótko w domu, w przerwach między jej kolejnymi zadaniami.

Narzekła, że on się nie angażuje, że zwleka ze ślubem, ale rzecz była raczej w tym, że nie mieli czasu o tym porozmawiać. Laura chciała pobrać się dyskretnie, bo już raz była zamężna. Z tamtego małżeństwa był syn, Bobby, największa radość w ich życiu, miał teraz osiem lat. Rodzice Jacka nie żyli, więc nikt by się nie obraził, że ślub jest skromny. Wyglądało na to, że i dla niej to nie jest takie ważne, bo raz już miała wielkie białe wesele ze wszystkimi szukanami.

Patrzył na Laurę i myślał, że to ze względu na nią Dolby poprosił go o napisanie artykułu. Liczył na poufne informacje, może jakąś luźną uwagę przy kolacji. Ale Jack się nie łudził: Laura nie zdradzi niczego istotnego. Fakt, że jej kochaniem jest reporter, już wcześniej był przyczyną kłopotów, aluzji i kpin, że wyszeptuje tajemnice w łóżku. Wystarczyłby jakiś jeden artykuł, w którym zapomnieliby, co jest oficjalne, a co poufne, i Laura mogłaby stracić pracę.

Tłum wokół policyjnej taśmy zgęstniał; byli zwyczajnie zaintrygowani przechodnie, niektórzy z psami rwącymi się na smyczach, bo policja zablokowała dojście do ścieżki spacerowej; bezrobotni, którzy chcieli jakoś sobie wypełnić dzień. Nastolatki jeździły na rowerach; jedni tylko patrzyli, inni kręcili się w ciasnych kółkach, wszyscy na czarno, z kapturami naciągniętymi głęboko na głowy mimo gorąca, śmiali się, gadali za głośno. Młode matki paliły i plotkowały, a dwaj mężczyźni na obrzeżu pili browara i przekazywali sobie puszkę, przyglądając się pracy policji. Policyjny radiowóz przejechał przez skrzyżowanie u szczytu ulicy.

Wszelkie działania prowadzono w małej kępie drzew

między paroma domami; gliniarze stali w cieniu, rozmawiali w grupkach. Już przywieziono trochę kwiatów, złożono je pod latarnią, chociaż jeszcze nie ujawniono tożsamości ofiary.

Jack podszedł do taśmy policyjnej z nadzieją, że podsłucha, o czym dyskutują policjanci, ale kiedy się zbliżył, jakaś funkcjonariuszka podniosła rękę.

– Musi się pan odsunąć – oznajmiła lekko drżącym głosem, najwyraźniej nowa.

– Jestem reporterem. – Wskazał miejsce, gdzie znaleziono ciało. – Mamy nazwisko?

Pokręciła głową i powtórzyła: – Musi się pan odsunąć.

– Nie chcę tam podchodzić. Chcę się tylko dowiedzieć, kim ona jest. Wiecie?

Już miała pokręcić głową, ale powstrzymała się i znów podniosła rękę.

– Proszę się odsunąć.

– Może mi pani coś powiedzieć? – naciskał. – Jak zginęła? Kiedy?

– Nie, przepraszam, nie mogę panu nic powiedzieć – odparła funkcjonariuszka, teraz pewniejszym głosem. Jack domyślił się, że ją zdenerwował.

Uśmiechnął się przepraszająco i zrobił w tył zwrot, zrozumiał, że niczego więcej się tu nie dowie. Spojrzał na zegarek. Informacja nie zostanie podana jeszcze przez parę godzin, więc czas pójść do sądu, to wyjście awaryjne dla reportera sądowego: opowieści o żenujących szumowinach z podejrzanych zaufków Blackley. Tak Jack zarabiał na życie, pisząc reportaże sądowe. O artykule na temat osiedla Whitcroft będzie musiał porozmawiać z Dolbym później, bo wyczuł, że zbyt dużo materiału to tam nie zbierze, mimo słów właściciela sklepu. Może wróci później, po zachodzie słońca.

Jeszcze przez parę sekund przyglądał się tłumowi. Ludzie czekali, żeby zobaczyć coś, czego w istocie nie chcieli widzieć, jak tkacze przy gilotynie, ale miał poczucie hańby, jakby tak naprawdę niewiele się od nich różnił. Po prostu znalazł sposób, żeby zarabiać

na emocjach, to wszystko.

Odwrócił się i poszedł do samochodu. Nikt nie zwrócił uwagi, że odchodzi; zaczął myśleć, co może na niego czekać w sądzie.

Furgonetka policyjna powoli przejechała obok miejsca zbrodni. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie spojrzeć, ale kiedy popatrzył, usłyszał tykanie. Niezbyt głośne. Jakby skrobanie wewnątrz czaszki. To za mało, żeby go rozproszyć albo zmusić do zamknięcia oczu.

Pozwolił sobie na uśmiech. Nadeszła pora. Ciało znaleziono po czasie dłuższym, niż przypuszczał, jeśli wziąć pod uwagę, że po ścieżce obok biegali joggersi i spacerowali ludzie z psami. Musiał dobrze ukryć zwłoki.

Odwrócił się, kiedy zauważył, że ludzie się oglądają. Hałaśliwa gromada. Ktoś robi zdjęcia. Jak pieprzone owce idące do zagrody.

Zobaczą taśmę policyjną i lecą przed siebie. Mogliby doznawać tych wszystkich rozkosznych emocji, ale nie mają kręgosłupa, jak pijawki, poszukiwacze przygód z drugiej ręki.

I wtedy obrazy wróciły do niego w rozbłyskach, jej ubranie w jasnym fleszu, jej chód, materiał muskający miękką skórę, młoda i nieskazitelna. Niczego się nie spodziewa. Po prostu kolejny wieczór. Potem ten wyraz jej oczu. Błysk strachu zastąpiony gniewem, a potem znów strach, bo wie, że nadszedł jej czas.

Wreszcie, jak zawsze, pojawiło się ostre widzenie, kiedy wszystko dostrzega się wyraźniej niż poprzednio, więcej szczegółów, niż można dostrzec gołym okiem. Jej źrenice, czarne małe dyski, ale wyłapywał w nich także inne kolory, kłęby ciemnej zieleni i głębokiego błękitu, wyraźny obraz, zakłócony tylko plamkami śliny, która wyprysnęła, kiedy dziewczyna uderzyła o ziemię. I kaszlała błotem. Widział, jak ziemia obraca się przed nim w powietrzu, kiedy ofiara charczała, szamotała się w świetle gasnącego słońca. Zaledwie maleńkie punkciki, ale widział ich kształty, nierówne i brudne. Pamiętał białka jej oczu. Widział na

nich żyłki – pękają od małych eksplozji czerwieni, zaledwie kropki, jak chlapnięcia, kiedy krew podchodziła pod powierzchnię.

Uśmiechnął się, poczuł znajome dreszcze w łydźwiach, kiedy wspominał, jak się szarpała, jak walczyła. Wiedział, że to nadejdzie.

Czekał na to. Lubił to czuć, mieć nad tym kontrolę. Potrafił to zrobić, panować nad tym, to taki podarunek na później, coś czego musiał dotknąć, poczuć w ręce, kiedy myślał, jak się szarpała, a potem powoli zaprzestawała walki, a jej ciało wiotczało.

Zasalutował tłumowi, ale nikt nie patrzył, kiedy się wymykał.

Rozdział 5

Laura oparła się o samochód i ściągnęła kombinezon. Kaptur potargał jej ciemne długie włosy, więc przed lusterkiem wstecznym rozczesała je; przywróciła im formę i blask. Ciało przetoczono na foliową płachtę, potem zapakowano do worka i zabrano.

Teraz było w drodze do prosektorium. Nadszedł czas na ręczne przeszukiwanie ściółki. Widziała linię policjantów w niebieskich kombinezonach – czekali, żeby w żółwym tempie przejść przez lasek. Joe patrzył na miejsce, gdzie znaleziono zwłoki, kaptur miał ściągnięty z głowy. Carson siedział w samochodzie, rozmawiał przez telefon.

– O co chodzi, Joe? – zapytała Laura, sięgając do samochodu po marynarkę od kostiumu.

Z początku nie odpowiedział, wzrok miał utkwiony w punkt, w którym strumień dopływał do osiedla. Potem odwrócił się, przygryzał wargi.

– Coś tu jest nie tak – stwierdził.

– A konkretnie?

– To miejsce. Nie rozumiem. Dlaczego tutaj?

– Też mi to przyszło do głowy. – Spojrzała na okoliczne domy, na drewniane sztachety płotów tworzących z obu stron granicę.

– To w ogóle nie jest ustronne miejsce – ciągnął Joe. – Jeden jej krzyk i zapalają się wszystkie światła. I jak stąd uciec? Jest tylko jedna droga do ulicy, bo druga prowadzi wzdłuż ścieżki, w las, ale tam nie mógł zostawić samochodu. Więc jeśli przyjechał tu samochodem, musiał zaparkować na ulicy. Ale wtedy łatwo byłoby go złapać.

– Może po prostu przechodziła obok? Wiesz, w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie, a on tu się czał, czekał, żeby kogoś wciągnąć.

– Ale znów... za dużo domów. A gdyby walczyła? A gdyby uciekała i krzyczała? Można obudzić całe osiedle. I widziałas, jak zamaskował ciało. Po prostu przykrył liśćmi i korą. W każdej chwili można było ją znaleźć. – Westchnął. – Coś tu nie gra.

– Za wysoko oceniasz zabójcę – powiedziała Laura. – Ile to ludzi łapiemy, bo robią głupstwa?

Znowu sprawdziła włosy w lusterku i odwróciła się, kiedy słońce oświetliło kilka siwych pasemek. – Więc co myślisz?

Joe po raz kolejny się rozejrzył.

– To musiała być dziewczyna, na którą polował, nie ktoś przypadkowy. Nie wybrałby tego miejsca, gdyby mógł ją złapać gdzie indziej. Tu chodziło właśnie o nią. Trzeba się czegoś o niej dowiedzieć.

Oboje odwrócili się, słysząc za sobą hałas. To Carson, stękając, wysiadał z wozu.

– Chyba mamy jej dane – oznajmił. – Jane Roberts.

– Nie znam – powiedziała Laura.

– Ja też nie – odparł Carson. – Ale znam jej ojca. Dona Robertsa.

Laura wzruszyła ramionami, to nazwisko nic jej nie mówiło, ale zauważyła wyraz zdziwienia na twarzy Joego.

– Ten Don Roberts? – zapytał.

Inspektor skinął głową.

– Zgłoszono to wczoraj, kiedy nie wróciła do domu w weekend.

– To pewne?

– Opis pasuje, a ona mieszka niedaleko.

– Dziś jest wtorek. Dlaczego Don czekał tak długo?

Joe odwrócił się do Laury.

– Bo to znaczyło, że musi nas wezwać. Don Roberts nie chce, żebyśmy wchodzili w jego życie. To stary bandzior. Najbrutalniejszy bramkarz w Blackley. Potem zaczął szefować własnemu gangowi wykidajłów, wynajmował ich klubom. Zajął się też zakładaniem blokad na koła i wierz mi, byłoby mądrzej z twojej strony płacić, niż się sprzeciwiać.

– Ale dlaczego miałby się trzymać od nas z daleka?

– Facet zgarnia mnóstwo forsy i to na pewno nie tylko z zakładania metalowych blokad na koła. Jakkolwiek by tę kasę robił, nie ucieszyłby się na nasz widok. I powiem ci jedno: teraz mamy kłopot.

– To znaczy?

– Bo to jest jedno z dwojga: została namierzona albo nie miała szczęścia. Musimy znowu przyjrzeć się poprzedniemu zabójstwu, sprawdzić, czy są tam jakieś powiązania z Donem Robertsem, a jeśli są, możemy się spodziewać serii zabójstw z zemsty.

– A jeśli to przypadek? – zapytała Laura.

Carson omal się nie uśmiechnął na te słowa.

– Zabójca może mieć tylko nadzieję, że my dopadniemy go pierwsi, bo jak Roberts się do niego dorwie, to go zatłucze. I to nie będzie szybka i przyjemna śmierć.

Rozdział 6

Jack uśmiechał się, dojeżdżając do sądu, mimo że cień gmachu odbierał ciepło słońca.

Jazda po Blackley zrobiła swoje: wiatr we włosach, rozłożony dach samochodu. Upiorność miejsca zbrodni stawała się nieco bardziej odległa. Jechał szybko, tak szybko, jak tylko odwaga mu na to pozwalała, bocznymi ulicami zabudowanymi segmentami mieszkalnymi.

Unikał świateł ulicznych, napawał się pomrukiem silnika, pędząc między rzędami wozów, zaparkowanych wzdłuż solidnych

ceglanych murów usianych oknami i drzwiami. Samochód dostał w spadku po ojcu. Lubił mocno docisnąć gaz, kiedy mógł sobie na to pozwolić.

Kiedy trzymał kierownicę w dłoniach, przypominały mu się sobotnie poranki, które spędzał z ojcem.

Popatrzył w górę, na cztery poziomy ciężkiego kamienia z wysokimi oknami i głębokimi parapetami, na ozdobne filary wbudowane w ściany wyższych pięter. Komenda była kiedyś po sąsiedzku, więźniowie szli do sądu przez ciężkie metalowe drzwi na końcu korytarza między celami, a potem parę stopni do góry. Mrużąc oczy od światła w sali sądowej, docierali do ławy oskarżonych. Komenda przeniosła się do kompleksu biurowego przy autostradzie, ale sąd przetrwał przebudowę – pełne przeciągów sale i zła akustyka pozostały. Teraz więźniowie przyjeżdżali do sądu furgonetkami. Podziemna podróż przez wykładany kafelkami kompleks cel została zastąpiona krótkim spacerem po chodniku centrum miasta z kajdankami na rękach.

Jack nie miał wielkich nadziei, kiedy zbliżał się do wejścia. Zawsze wypatrywał niezwykłych spraw, słuchał gadaniny prawników, szczególnie prokuratorów, bo ci zawsze delectowali się szansą na opowiedzenie dobrej historii. Coś zabawnego albo z lekka wstrząsającego zazwyczaj dobrze działało, ale najciekawsze przypadki rzadko były rozstrzygane na pierwszej rozprawie, więc prowadził dziennik, dla pewności, że nie opuścił sesji. Najlepsze sprawy przyciągały jednak szpiegów internetowych, którzy zaglądali do jego reportaży i potem pojawiali się na ogłoszeniu wyroku, więc wołał te niespodziewane.

Wszedł po schodach. W sądzie panował spokój. Przywykł do chodzenia w zatęchłych oparach tytoniu zmieszanych z zapachem nerwowego potu i alkoholu z poprzedniego wieczoru, ale dzisiaj tego nie było. Jego kroki odbijały się echem w długim, wykładanym płytkami korytarzu z pokojami przesłuchań po jednej stronie. Pusto, nie licząc trzech petentów gapiących się w przestrzeń. Spojrzał na zegarek. Tuż po jedenastej. Chyba za wcześnie, żeby załatwiono poranną wokandę.

Powinien być większy ruch. Rozlew krwi, podekscytowanie – to go przyciągało, z tego powstawały jego teksty, pisał o złych ludziach dokonujących nikczemnych czynów. Zbrodnia interesowała go od zawsze; w dzieciństwie oglądał thrillery, słuchał koncertów więziennych Johnny’ego Casha, które bez przerwy puszczał jego ojciec. Ojciec był policjantem i Jack pamiętał dumę, jaką odczuwał, kiedy tata wychodził co rano w ciemnych zaprasowanych spodniach, lśniących wysokich butach, gotów do walki ze złem. Z wiekiem Jack odsuwał się od ojca, ale zbliżyli się do siebie po śmierci matki. Jednak kiedy był mały, uważał ojca za własnego, prywatnego superbohatera.

Obejrzał się na ochroniarzy przy wejściu, starych mężczyzn w świeżo wyprasowanych białych koszulach, z wykrywaczami metalu w dłoniach. Już liczyli minuty do lunchu. Więc to tak? Jack Garrett, gwiazda reportażu. Westchnął. Spokój w sądzie oznaczał, że nie będzie o czym pisać.

W pokoju adwokatów – małej kwadratowej salce zaprojektowanej na rozmowy z klientami, zazwyczaj pełnej znużonych adwokatów biadolących, jak to już nie zbiją majątku – było trochę więcej ruchu.

Zajrzał, żeby zapytać, czy ktoś ma sprawę, o której warto napisać. Ogólne kręcenie głowami, potem znowu spokój. Rozmawiali z nim, kiedy potrzebowali rozgłosu albo słuchacza swoich dowcipów, ale Jack nigdy nie stał się członkiem prawniczej klikki. Wiedział o tym. Jego stare dzinsy i długa niebieska koszula nie pasowały do ciemnych garniturów w prążki. Niektórzy rozwiązywali krzyżówki, fotokopie z ogólnokrajowych gazet krążyły po sądzie. Był tam Sam Nixon, jeden z głównych graczy, który prowadził praktykę w małej kancelarii nad punktem ksero. W jego poczekalni stały sfatygowane kanapy i sztuczne kwiaty.

– U ciebie nic, Sam?

Adwokat pokręcił głową.

– Chude czasy, Jack.

– Właśnie wracam z miejsca zbrodni. Znaleźli kolejną dziewczynę. – Na te słowa wszyscy podnieśli wzrok. – Może wam

skapnie trochę roboty, jak znajdują zabójcę?

– Zrozum, my, adwokaci, nie jesteśmy tacy źli. – Sam wskazał ręką na innych w pokoju. – Chcemy, żeby zabójcę złapano, żeby nie był na wolności.

– Aż tak?

Sam się uśmiechnął.

– To mogłoby dać mi zajęcie na kolejne parę miesięcy.

– Jesteś taki wielkoduszny. – Jack skinął głową w stronę prokuratora, który bawił się komórką z ekranem dotykowym. – A z niego to mogłoby wydobyć trochę entuzjazmu.

– Wątpię. Musiałbym najpierw zdmuchnąć z niego kurz.

Prokurator podniósł wzrok i unióś brwi, z lekka siwiejące na końcach, które pasowały do srebrnych pasm na skroniach.

– Moje działania są poważne – powiedział z uśmiechem. – Na tym polega problem z adwokatami: u nich wszystko jest na pokaz, brakuje im głębi. – Wskazał drzwi, kiedy śmiałe kroki, rytmicznie stukające o kafelki robiły się coraz głośniejsze. – Oto dowód mojego twierdzenia.

Jack wychylił się za drzwi, wiedział, kto to, zanim go zobaczył: David Hoyle.

Był inny niż reszta obrońców. Większość adwokatów z Blackley wywodziła się ze starych prawniczych rodzin, kancelarie przechodziły z pokolenia na pokolenie, czasem poprzez małżeństwo właścicieli łączyły się z innymi kancelariami. Hoyle był outsiderem.

Wysłano go do Blackley, żeby stanął na czele nowego oddziału Freshwaters, firmy z Manchesteru próbującej założyć przyczółek z dala od wielkiego miasta. Nikt się nie spodziewał, że Hoyle po prostu pewnego dnia zjawi się w sądzie w garniturze w szerokie paski, z butą, na którą, według innych, nie zapracował.

Koledzy po fachu nie lubili go, bo składał bezczelne obietnice, przez co klienci przestawali być lojalni wobec dotychczasowych obrońców. Drobni oszuści zazwyczaj chcieli tylko jednego, żeby ktoś nakrzyczał w ich imieniu, i David Hoyle to robił. I nie pracował w kancelarii. Freshwaters dysponowało

własną nieruchomością, ale Hoyle traktował to miejsce jako parking dla swojego mercedesa.

Akta trzymał w domu, sam pisał na maszynie i odwiedzał klientów na ich własnym terenie.

Za nim dreptał klient, facet z czerwoną twarzą, w szarym garniturze, z brzuchem wypychającym guziki, w wypastowanych butach pod zaprasowanymi mankietami spodni. Nie wyglądał na stałego bywalca sądów. Nagle Hoyle uśmiechnął się i podał klientowi rękę, ale z pełnego żalu spojrzenia adwokata Jack wywnioskował, że sprawy nie poszły dobrze.

Wyczuł materiał. Skompromitowany profesjonalista zawsze znajdzie miejsce na łamach. Sięgnął do kieszeni po aparat; najpierw zrobi zdjęcie, tekst napisze później, bo hańba lepiej się sprzedaje, jeśli ma twarz, którą sąsiad może rozpoznać. Tego najbardziej nie znosił w swojej pracy. Czuł się z tym bardzo nieswojo, ale już dawno nauczył się, że musi pisać reportaże, które ludzie chcą czytać, a wyrzuty sumienia nie podbijają sprzedaży gazety.

Patrzył, jak przechodzą obok, potem podążył za nimi, kiedy zeszli ze schodów i wyszli na dwór.

Hoyle zatrzymał się w holu na dole, żeby poprawić krawat i przygładzić włosy, używając szklanego panelu w drzwiach jako lustro, potem zapalił papierosa.

– Jestem za dobry na to miejsce – powiedział do swojego odbicia w szybie, odwrócił się i dmuchnął dymem na Jacka, który stanął mu za plecami. – Panie Żurnalista, coś pan taki nabuzowany?

– Gdzie twój klient? – zapytał Jack.

Hoyle jeszcze raz głęboko się zaciągnął.

– No dobrze, czego chcesz od tego biedaczyny? – Pogroził palcem.

– Kiedy mało się dzieje, muszę łowić co się da.

– Nie miałeś większych ambicji, kiedy zaczynałeś?

Marzenia o podróżach, wywiadach z prezydentami, demaskowaniu spisków?

– O co ci chodzi?

Hoyle uśmiechnął się, dym sączył mu się spomiędzy zębów.

– To? – Wskazał w górę schodów. – Czy taki był twój plan, kiedy ukończyłeś szkołę reportażu, czy co wy tam kończycie? Robić ludziom wstyd, bo czasem przekroczą granice prawa?

– To nie tak. – Jack się najeżył.

– No to jak?

– To wolność prasy – odparował Jack. – Społeczeństwo powinno wiedzieć, co się dzieje, gdzie są zagrożenia. Z upływem lat powstaje z tego historia miasta.

Hoyle uniósł brwi.

– Skoro dzięki temu się lepiej czujesz... – O co ci chodzi?

– Pochlebiasz sobie, zasłaniasz się szlachetnymi słówkami.

To całe gadanie o wolności prasy to bzdura.

– A ty? Jaki miałeś plan na życie? – odwzajemnił się Jack.

– Zawsze marzyłeś o wygłaszaniu mów do ławy znudzonych badylarzy z zapadłej dziury w Lancashire? Po co tu jesteś? W wielkim mieście nie oplaca się?

– Obaj jesteśmy pasożytami – szepnął Hoyle, podchodząc bliżej do Jacka. – Zło konieczne, to wszystko. Sprawny wymiar sprawiedliwości jest istotny dla naszych wolności. Prawda, panie Żurnalista? Tak jak wolna prasa – dodał drwiąco. – Ale nie dlatego to robię. Lubię tę grę, a jeśli to oznacza, że pomagam winnym, żeby złe rzeczy uchodziły im na sucho, to niech tak będzie, bo to wszystko gra, i ty o tym wiesz. A jeśli szanse są małe, muszę się postarać, żeby ominęła ich zasłużona kara, żeby mogli wyjść z sądu i wyśmiać wymiar sprawiedliwości. Tobie też to się podoba, bo możesz to opisać jako coś oburzającego. Ale ja lubię to, co robię, bo podnieca mnie walka, wyzwanie. A ciebie, panie Żurnalisto?

Jack przewrócił oczami.

– Czy wszyscy adwokaci myślą tak jak ty?

Hoyle się roześmiał.

– W głębi duszy tak, ale niektórzy są tacy jak ty i otaczają

to płaszczem bzdur. Całe to gadanie o obronie naszych wolności? Gówno warte, bo to brudna gra i nie ty wybierasz walkę, twój klient wybiera ją dla ciebie. Czas, żebyś zaczął być uczciwy wobec siebie, przestań udawać, że twoje opowiadanka z sali sądowej to kwestia wolności. To tylko plotki, gadanina przy płocie, radość z cudzego upadku. Boże pomóż nam, gdyby świat był taki zły, jak to pokazują gazety.

– Nie wierzę, że dyskutuję o moralności z adwokatem – prychnął Jack.

Hoyle spojrział na zegarek i zmrużył oczy, zanim rzucił niedopałek na chodnik.

– Nie dyskutujesz – odparł z uśmiechem. – Opóźniłem twoją pogoń. Mój klient jest już pewnie w swoim samochodzie, daleko od twojego obiektu.

Jack westchnął. Czy Hoyle skończy wreszcie z tymi gierkami?

– Nie marnuj tutaj czasu. – Hoyle wskazał schody w gmachu sądu. – Poszukaj dobrego materiału.

– Daj mi jakiś, żebym miał o czym myśleć.

Adwokat się uśmiechnął.

– Nie ma dobrego materiału beze mnie. – Poklepał Jacka po plecach. – Następnym razem pytaj mojego klienta, nie mnie, bo ja zawsze chronię swoich podopiecznych. – Odszedł, z brązową skórzaną torbą zarzuconą na ramię.

Jack oparty o framugę drzwi patrzył za nim. To takie typy jak Hoyle sprawiały, że sala sądowa ożywiała się, a dzień był mniej nużący. Wiedział, że Hoyle, mimo całej swojej arogancji, ma rację. Rzeczywiście trzeba dać swojemu życiu nowy początek, zamiast egzystować dzięki dziennikarstwu śledczemu i reportażom sądowym.

Dolby wykorzystał recesję jako pretekst do obcięcia kosztów i odchudzenia zespołu, ale Jack orientował się, jak jest naprawdę.

Gazety się zmieniały, ludzie sięgali po informacje do Internetu i dlatego skończył się luksus kadry etatowych reporterów.

Dolby zostawił tylko dwóch stałych dziennikarzy. Resztę załatwiał za pomocą wolnych strzelców, a że zawsze znalazł się jakiś gorliwy pismak gotów dostarczać teksty, Jack pisał wszystko, czego chciał Dolby. Z własnego wyboru nie napisał niczego od prawie roku. Nie dlatego został wolnym strzelcem, ale zdawał sobie sprawę, że jego kariera się skończy, jak tylko Dolby zwróci się gdzie indziej po materiał. Myślał o napisaniu książki, jednak w dni, kiedy się do tego zabierał, tylko siedział z palcami zawieszonymi nad klawiaturą i na tym się kończyło.

Wiedział, że problem jest głębszy, że nie chodzi wyłącznie o Dolby'ego. Sądowa rutyna była po prostu wygodna, bo polowanie na duży temat stało się zbyt niebezpieczne. Przestępcy to źli ludzie, taka cecha w tym fachu, a reporterzy nie mają ochrony, tak jak gliniarze i prawnicy, ponieważ nie uczestniczą w tej grze. Są na liniach bocznych – obserwują, irytują, wtrącają się. Miał dość ryzyka i oberwał już – mocno – parę razy.

Uśmiechnął się smutno, kiedy Hoyle zniknął z pola widzenia, a potem wrócił myślami do miejsca zabójstwa. Myślał o ofierze sprzed kilku tygodni. Oficjalnie jeszcze nie łączono obu tych śmierci, ale w reportażu powinien je powiązać, tak że kiedy zostanie to potwierdzone, tekst będzie gotowy do druku. Najlepiej zacząć od zaktualizowanych informacji od rodziny pierwszej ofiary.

Spojrzał na schody sądu. Nic tam się nie działo, więc wrócił do samochodu zaparkowanego dalej przy ulicy. Czas skupić się na historii o morderstwach.

Rozdział 7

Laura przygryzła wargę, kiedy Carson dojechał do domu Dona Roberta, odpicowanej willi z czerwonej cegły z lśnącymi podwójnymi szybami i małym gankiem z kolumnkami. Okno wykuszowe wystawało nad trawnikiem. Nie było tak, jak myślała, że będzie. Joe przedstawił Dona Roberta jako miejscowego bandziora, więc spodziewała się czegoś mniej sielskiego, chociaż zauważyła kamienne lwy po obu stronach drzwi frontowych, *de rigueur* stylu kryminalisty. Przed domem stał audi RS8, czarny i

smukły. Chociaż dom wyglądał najszykowniej na całej ulicy, Laura domyślała się, że sąsiedzi i tak patrzą na Dona z góry.

Przyjechali prosto z miejsca zbrodni, więc nie mieli dużo czasu, żeby przemyśleć, co powiedzą. Carson popatrzył na Laurę, skinęła głową. Była gotowa.

Metalowa brama blokująca podjazd głośno zazgrzytała, kiedy Laura ją otworzyła. Tego najbardziej nie znosiła w swojej pracy, przynoszenia złych wieści. Jeśli w tym domu jest jakaś odrobina normalności, wkrótce zniknie na zawsze.

Carson poszedł pierwszy, głośno zastukał w drzwi. Laura zauważyła w cieniu ganku obiektywy kamer monitoringu. Drzwi otworzyła kobieta, włosy blond z pasemkami, ściągnięte mocno w kucyk. Odrosty, wokół twarzy widoczna linia podkładu. W górnej wardze miała ćwiek, a ściągnięte zmarszczki wokół ust zdradzały nałogowego palacza.

– Helen Roberts? – zaczął Carson.

Skinęła głową, złapała za framugę. Patrzyła twardym wzrokiem, jakby była przyzwyczajona do rozmów z policją w progu własnego domu. Laura nie miała wątpliwości, że kobieta z miejsca ich rozpoznała. Ale wyczuwała też jej niepewność. Złe wiadomości czy kolejny bezsensowny nakaz?

Carson obdarzył ją współczującym uśmiechem.

– Możemy wejść?

– Po co? – zapytała, krew odpłynęła jej z twarzy.

– Naprawdę będzie lepiej, jeśli wejdziemy.

– Chodzi o Jane?

Nie odpowiadał wystarczająco długo, żeby prawda wyszła na jaw. Zszokowana kobieta szeroko otworzyła oczy.

Szybko się opanowała. To była jej standardowa reakcja na wizyty policji, ale mimo to nie mogła się powstrzymać i głośno, z trudem przełknęła ślinę.

– Znaleźliście ją?

Inspektor zrobił krok w jej stronę i wydał długie ciężkie westchnienie.

– Czy Jane miała na nadgarstku tatuaż przedstawiający

motyla?

Pani Roberts puściła framugę, oczy się jej zaszklily i osunęła się na podłogę.

Carson spojrział na Laureę, potem pomógł kobiecie wstać i wejść do domu.

Jack szperał w gazetach trzymanyh w samochodzie, żeby znaleźć nazwisko pierwszej ofiary – Deborah Corley. Pamiętał jej dom, przejeżdżał obok niego w dniu, w którym ją znaleziono, ale wyprzedził go jeden z etatowych dziennikarzy. Gazety leżały teraz porozkładane na fotelu pasażera. Były w nich zdjęcia Deborah i jej rodziców – siedzieli zapłakani; matka trzymała na kolanie oprawioną w ramki fotografię córki.

Duży wiktoriański bliźniak z małym kwadratowym klombikiem za niskim kamiennym murkiem, stał na skraju Blackley. Poczerniałe czerwone cegły miejscami porastał mech. Przy drzwiach wejściowych wisiał kosz z kwiatami, a zasłony w otwierających się pionowo oknach były starannie zaciągnięte.

Jack podszedł do drzwi. Z sąsiedniego domu przyglądała mu się jakaś kobieta, a jej niechętnie spojrzenie mówiło, że wie, co Jack robi: nachodzi Corleyów. Przygotował się i odwrócił. Jasne, nie powinno się zakłócać spokoju rodzicom dziewczyny. Miał jednak tę przewagę nad innymi przedstawicielami mediów, że był na miejscu. Blackley to małe miasto i niezbyt często są tu mordowane młode kobiety. Kiedy prasa spoza miasta powiąże sprawy, ten spokojny zaulek z podjazdami na dwa samochody zaroi się od reporterów.

Nacisnął przycisk przy drzwiach.

Dzwonek rozbrzmiewał w domu przez jakiś czas, ale potem dało się słyszeć szelest rozsuwanych kotar i kilka sekund później drzwi się otworzyły. Wyrzała kobieta z bladą twarzą, z worami pod oczami. Jack rozpoznał ją z gazet, chociaż straciła na wadze.

– Pani Corley, przepraszam, że przeszkadzam – zaczął. – Nazywam się Jack Garrett, jestem reporterem. Przyszedłem, żeby zobaczyć, jak pani daje sobie radę, czy ma pani jakieś nowe informacje.

Przez chwilę patrzyła na niego tak, jakby zamierzała zatrzaskać mu drzwi przed nosem.

– Jeśli zabójca Deborah ma zostać złapany, musimy o niej pisać – dodał.

To ją przekonało, odwróciła się w milczeniu i weszła do środka. Jack poszedł za nią.

Wnętrze wyglądało tak, jakby minione trzy tygodnie poświęciła na sprzątanie domu, pewnie chciała się czymś zająć. W powietrzu unosił się mocny zapach odświeżacza, a poręcze przy schodach na piętro były wypolerowane na błysk.

Jack kroczył za nią wyłożonym kafelkami korytarzem, przeszedł do frontowego pokoju, mijając wędkę i pudełko z przynętą.

W następnym pomieszczeniu stał stół jadalny. Okno od tyłu wychodziło na starannie utrzymany trawnik otoczony kwiatami. Pokój był nieskazitelny. Na dywanie widniały ślady po odkurzaczu, kominek lśnił, glazura w kwiaty odbijała światło wpadające przez okno. Zdjęcia w ramach stały w rzędzie na półce nad kominkiem. Kiedyś to był szczęśliwy dom.

Jack spojrział przez okno i z zaskoczeniem zobaczył w dali zbiornik wodny, nad którym znaleziono Deborah. Jak to musi być – widzieć to przez cały dzień?

– Wiem, że to bardzo nieodpowiednia pora – powiedział, kiedy usiadł na krześle, żeby mieć pewność, że tu zostanie. – Ale mówiłem poważnie. Trzeba ciągle pisać o sprawie Deborah.

Przez chwilę patrzyła w telewizor. Był włączony, ale ze ściszym dźwiękiem, tak jakby stał tutaj, żeby rozpraszać uwagę, a nie dla rozrywki.

– Policja też tak mówiła, ale przez to nie jest mi łatwiej. Przeżywać to na nowo.

– Jak pani sobie radzi?

W oczach zebrały się jej łzy, odetchnęła głęboko.

– Ot, żyję z dnia na dzień.

– A pani mąż? Jak on to znosi?

Spuściła wzrok.

– Źle. Chce wrócić do pracy, ale nie wyobraża sobie, jak tam wytrzyma, bo wie, że wszyscy będą mówili o Deborah.

Jack poprawił się na krześle – teraz przyjdzie najtrudniejsze.

– Słyszała pani, że była kolejna ofiara?

Przez kilka sekund siedziała ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, potem spojrzała w dół.

– Tak. Wcześniej dzwonił z policji i powiedzieli, że bym spodziewała się wizyt dziennikarzy. Mike powinien niedługo przyjść.

– Dokąd poszedł?

– Na spacer. Teraz dużo spaceruje.

Jack nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

– Czy zastanawiała się pani nad tym, dlaczego pani córka została zaatakowana? – zapytał.

Kobieta skrzywiła się, uniosła rękę, żeby otrzeć łzy.

– W ogóle się nad tym nie zastanawiałam – odparła łamiącym się głosem. – Wiem, że to zabrzmiało banalnie, ale była kochaną dziewczyną, wszystko zrobiłaby dla innych, a potem jakiś bydlak przychodzi i po prostu ją zabiera. – Otarła oczy. – Przepraszam za język – powiedziała już spokojniej – ale właśnie tym jest ten człowiek. Wyobraża pan sobie, jak to jest, kiedy się widzi, jak córka wychodzi z domu, a potem już nigdy nie wraca? Wydawało się, że to zwyczajny dzień. Gdybym wiedziała... – Wzruszyła ramionami. – Cóż, wszystko byłoby inaczej.

– Zatrzymałaby ją pani w domu, gdyby pani wiedziała. Byłaby bezpieczna – podsunął łagodnym tonem Jack. – Ale nie mogła pani tego przewidzieć i dlatego to takie przytłaczające.

Pokiwała głową, słaby uśmiech przedzierał się przez łzy. Ktoś trzasnął drzwiami wejściowymi, a potem rozległy się kroki.

– To na pewno Mike. – Jej spojrzenie nagle zrobiło się nieufne.

Mały czarno-biały kundelek wpadł do pokoju i obwąchał rękę Jacka, sprawdzał obcego w domu.

– Jest niegroźny – powiedziała kobieta ochryplym głosem i

podniosła wzrok, kiedy wszedł Mike Corley.

Był ubrany w dżinsy i sweter, trzymał smycz. Mógł być trochę po pięćdziesiątce. Miał lekko zaczerwienione od alkoholu policzki i wystający brzuch – najwyraźniej zmagał się ze stratą w zupełnie inny sposób niż jego żona.

Kiedy zobaczył Jacka, nachmurzył się.

– Dzień dobry, jestem reporterem – odezwał się Jack.

– Tyle to się domyśliłem – odparł ostro Mike. – Nie marnujecie czasu.

– Wiem, że policja powiedziała państwu o zabójstwie kolejnej dziewczyny.

– Więc potrzebny panu kolejny wywiad? – zapytał. – Hm, dam go panu: zjeżdżaj pan, do cholery, z mojego domu i zostaw pan nas w spokoju.

– Michael! – krzyknęła pani Corley.

– Przepraszam pana – powiedział Jack – ale im bardziej będzie się wami interesować prasa, tym więcej szans, że policja znajdzie tego, kto zabił Deborah.

– Ja jestem gliniarzem. Myślisz pan, że nie wiem, jak pracuje policja? – Łzy zbierały się Mike’owi na rzęsach. – Zrozum pan, tu nie chodzi o Deborah, chodzi o sugestię, że miała romans z żonatym facetem, to była jakaś chora sensacyjka. Wymówka dla was, żebyście mogli rozszarpać jej życie na kawałki i sprzedać gazetę. Nie obchodzi was, kogo skrzywdzicie, żeby było tylko te parę słów na stronie.

Więc na tym koniec. Nic nie usłyszycie. Nie ode mnie.

– Nie mówię, że prasa jest doskonała, ale to wasza szansa, żeby opowiedzieć historię Deborah.

Mike przez chwilę rozważał to, potem pokręcił głową.

– I nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Jack zebrał się do wyjścia, wyciągnął wizytówkę i wręczył ją pani Corley.

– Proszę zadzwonić, gdybyście państwo zmienili zdanie.

Ojciec zamordowanej dziewczyny stał nieruchomo, kiedy Jack wychodził z domu.

Rozdział 8

Laura stuknęła długopisem o dłoń, siedząc naprzeciwko Dona Roberta.

Osilek w spodniach od dresu i czarnym T-shircie, na szyi dwa złote łańcuchy. Siwe włosy przycięte tuż przy skórze, na przedramionach wielkie tatuaże: buldog w rękawicach bokserskich i czarna pantera z pazurami drapiącymi o nabrzmiące pod skórą żyły.

Wiek już odcisnął na nim swoje piętno i chociaż Don był dobrze zbudowany i muskularny, pod koszulką widać było wypukły brzuch.

Nie odezwał się od ich przybycia. Wpatrywał się w Carsona, potem w Laurę, potem znów w Carsona. Ale widziała ból w jego oczach, rozpaczliwą potrzebę, żeby ktoś powiedział mu, że to wszystko pomyłka, że jego córka wróci do domu i będzie jak dawniej, normalnie. Ręce mu się trzęsły, ale nadal wpatrywał się w Carsona, nie zwracał uwagi na zawrodożenie żony dochodzące z kuchni.

– Panie Roberts – zaczął Carson, ale zamilkł, kiedy Don uniósł rękę.

– Dlaczego jej nie znaleźliście? – zapytał drżącym, pełnym emocji głosem.

– Nie wiemy, jak długo tam leżała – odparł Carson. – Kiedy przeprowadzimy pełne badania... – Bzdura – warknął Roberts. – Jane zaginęła, a wy jej nie znaleźliście, bo nie szukaliście porządnie, bo ja się wam nie podobam.

Carson głęboko nabrał powietrza, żeby się opanować, bo właśnie chciał powiedzieć, że gdyby zgłoszenie nadeszło wcześniej, to może mieliby większe szanse, że ją odnajdą. Ale tylko pokręcił głową.

– Potraktowaliśmy to tak, jak każdą inną sprawę. Proszę nam tylko powiedzieć wszystko, co się zdarzyło, kiedy widział pan ją po raz ostatni.

Roberts zacisnął zęby.

– To jej nie przywróci życia – wycedził.

– Ale pomoże nam złapać zabójcę, powstrzymać go, żeby tego znowu nie zrobił.

– Gdzie szukacie?

– Jeszcze nie zaczęliśmy. Liczymy na to, że pan nam pomoże, da jakieś wskazówki. Kim byli przyjaciele Jane? Miała chłopaka?

Na te słowa Roberts zeszywniał, potem głęboko odetchnął i pochylił się powoli, z rozmysłem, skórzany fotel zaskrzypiał pod jego ciężarem.

– Nie chcę, żebyście grzebali w życiu Jane. Chodzi wam o mnie, nie o nią, bo to mnie nienawidzą w tym mieście.

– Kto pana nienawidzi?

Pokręcił głową.

– Już ja wiem kto i sam będę szukał. A skoro wy nie potrafiliście znaleźć Jane żywej, to ja dopadnę mordercę.

– Panie Roberts, proszę nam pozwolić wykonywać naszą pracę.

Don trzasnął rękami o poręcz fotela i zerwał się na równe nogi.

– Niby dlaczego? – ryknął; wściekłość wykrzywiła mu twarz, w oczach miał łzy. – A pan zrobiłby tak, gdyby był na moim miejscu?

Nawet jeśli dorwiecie drania, w co, kurwa, wątpię, wszystko pójdzie na nic. Bo ile on dostanie? Dziesięć lat? Piętnaście? A potem wyjdzie. I to jeśli w ogóle wsadzicie go za kratki. I pan chce, żebym przez te lata czekał, aż wróci na ulicę, z powrotem na mój teren? – Stał nad Carsonem, z dłońmi zaciśniętymi w pięści. – Znajdę tego sukinsyna i zrobię wszystko, żeby to się nie powtórzyło, może mi pan wierzyć. – Dźgnął palcem w kierunku drzwi. – Idźcie już.

– Panie Roberts – wtrąciła się Laura, żeby odwrócić uwagę Dona od Carsona. – Musimy jak najwięcej dowiedzieć się o Jane.

– Ja też – warknął Don.

Laura wymieniła szybkie spojrzenia z Carsonem, ale nagle Roberts chwycił ją za ramię i pociągnął, żeby wstała.

– Powiedziałem: wyjść! – Popchnął ją do drzwi.

Spojrzała na Carsona niepewna, co robić, ale ten przepchnął się obok niej i zatrzymał tylko po to, żeby położyć wizytówkę na półce nad kominkiem.

– Panie Roberts, jeśli zechce pan nam coś powiedzieć, niech pan do mnie zadzwoni – odezwał się stonowanym głosem. – Prowadzę śledztwa w sprawie morderstw. Interesuje mnie Jane, nie to, jak pan zarabia na życie.

Jak wychodzili, Don Roberts milczał, a kiedy znaleźli się na ścieżce, drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Przez parę sekund panowała cisza, potem przerwał ją szloch pani Roberts. Słysząc go było nawet na zewnątrz.

Laura westchnęła. Zabójstwo to w równym stopniu dramat żywych i zmarłych. Spojrzała na Carsona. Pokręcił głową i poszedł do samochodu. Nie musiał nic mówić, Laura wiedziała o czym inspektor myśli. Dona Robertaśa zaślepia nienawiść do policji i jeśli znajdzie mordercę, zanim oni to zrobią, będą musieli zająć się kolejną śmiercią.

Rozdział 9

Laura szła za Carsonem, który pędził do komendy. Przy wejściu przedarł się przez ekipy telewizyjne nadal rozpakowujące sprzęt. Mocno rąbnął wielkimi drewnianymi drzwiami o ścianę. Jeszcze jedna dziura do naprawy dla ekipy remontowej.

W komendzie panował duży ruch, tak jak Laura się spodziewała. Dzień był pełen bieganiny, dochodziła już pierwsza, wydawało się, jakby kolejne dni zostały odwołane. Dzisiaj w Blackley miało być mnóstwo policji, żeby uspokoić mieszkańców. Wszyscy w zawieszeniu czekali na dyspozycje, rozmawiali w grupkach w kantine pośrodku komendy, w jasnym przewiewnym atrium, oświetlonym promieniami słońca padającymi przez wysoki szklany sufit. Dwaj policyjni kierowcy przebijali się przez tłum, pchając przed sobą wózki. Na jednym leżały pudła z teczkami, które miały być zabrane do prokuratury, na drugim wielkie brązowe torby z dowodami rzeczowymi – te należało odesłać do laboratorium kryminalistycznego kilkanaście kilometrów dalej.

Carson zajął dla siebie pokój na parterze, wielką oszkloną salę z widokiem na parking. Wydział mieścił się w jednej z komend policji po drugiej stronie hrabstwa, więc musieli zorganizować bazy w innych komisariatach, jeśli morderstwo wyciągnęło ich dalej w teren.

Pomieszczenie było zastawione biurkami. Wykorzystywano je głównie do ćwiczeń, nowej rozkwitającej gałęzi – terminale komputerowe w rogach, biała tablica na przodzie z rozrysowanym schematem śledztwa w sprawie morderstwa Deborah Corley. Joe siedział przed ekranem komputera. Kiedy weszła, podniósł wzrok i zmęczony pomachał jej ręką.

– Czego szukasz? – zapytała.

Wyprostował się na krześle i przejechał rękami po włosach. Zauważyła kilka siwych pasm.

– Próbuję znaleźć podobieństwa. Musiał robić takie rzeczy już wcześniej.

Laura usłyszała za sobą chrząknięcie Carsona.

– I robił – zahuczał szef, pokazując fotografie na ścianie. – Trzy tygodnie temu.

Joe nie odpowiedział, rzucił tylko Laurze półuśmiech. Domyśliła się, że nauczył się przeczekiwać humory inspektora. Carson był wybuchowy i agresywny; trochę mu brakowało właściwego stosunku do ludzi, ale gdyby Laura chciała mieć gliniarza po swojej stronie, to byłby to on.

Carson usiadł i westchnął.

– No, mów, mądralo – zwrócił się do Joego. – Co wyszperałeś?

Joe zakręcił długopisem w palcach.

– Jak dotąd nic. Przynajmniej w Lancashire.

– Co, myślisz, że facet jest spoza hrabstwa?

– Może. – Joe pokiwał głową. – Ale z niedalekiej okolicy. Na pewno dobrze znał te miejsca. I po prostu nie wierzę, żeby fantazje tak bardzo się rozwinęły, jeśli już wcześniej czegoś podobnego nie robił.

– Fantazje? – Carson uniósł brwi.

– Duszenie. Liście. Ziemia. – Joe wstał i podszedł do ściany pokrytej zdjęciami i mapami. Postukał w pierwszą fotografię: nagie nogi, bezwładne i blade, wystające z wielkiej rury przelewowej, którą przetaczała się woda ze zbiornika do pobliskiej rzeki. – Deborah Corley.

Dokładnie to samo. Liście, ziemia i żwir wepchnięte do ust, pochwy i odbytu. Porzucona tak, żeby łatwo było ją znaleźć. Z początku myślałem, że ziemi użył po to, żeby utrudnić nam pobranie próbek do zbadania DNA, ale teraz nie jestem pewien.

– Tylko dlatego, że to się powtórzyło, nie znaczy, że nie było innego powodu – stwierdził Carson.

Joe pokręcił głową.

– W takich przypadkach chodzi o coś więcej. To fantazje, część aktu. Przypomnij sobie, co wywnioskowaliśmy z miejsca zbrodni, że żyła, kiedy to tam wpychał. Obie zostały uduszone, więc jeśli weźmiemy pod uwagę badania kryminalistyczne, to musiał najpierw ją obezwładnić, dopiero potem napchać mnóstwo śmiecia, a to nie pasuje do gwałciciela. Gwałcicieli podnieca przemoc, więc coś jest nie tak, jeśli przemoc nastąpiła po stosunku. Wtedy zazwyczaj próbują uciec. Niektórzy nawet zostają, żeby przeprosić, pocieszają ofiarę.

– Może nie mógł dokończyć roboty i odegrał się ze złości? – zasugerowała Laura.

– Co, dwa razy? – Joe uniósł brwi. – Złość sugerowałaby brak kontroli, bo nie ma jej w planie, ale kiedy traci się kontrolę, nie postępuje się dwa razy tak samo.

– Więc co myślisz? – zapytał Carson.

Joe przez kilka sekund przygryzał wargi, wreszcie się odezwał.

– Najlepsze, co mi przychodzi do głowy to, że zabrał ubranie ofiary, żeby nie zostawić śladów. Wpychanie śmieci i duszenie to część samego aktu, a motywy będą pewnie seksualne. Jeśli nie uprawiał z nią seksu, musiał się podniecić w jakiś inny sposób. Moim zdaniem masturbował się na miejscu zbrodni, może nawet spuścił się na nią, kiedy jeszcze leżała ubrana. Może właśnie

dlatego ją rozebrał i gwizdnął ubrania, bo razem z ciuchami zniknęło DNA.

– Może to trofea? – podsunął Carson.

– Może – odparł Joe. – Pamiętacie te płytkie nacięcia na jej tułowiu i nogach?

Laura i Carson popatrzyli na siebie, a potem kiwnęli głowami.

– Powstały prawdopodobnie wtedy, kiedy rozciął jej ubranie – ciągnął Joe.

– Więc jaki mamy scenariusz?

Joe znowu popatrzył na zdjęcia i wrócił do krzesła.

– Atakuje ofiarę i wypełnia jej usta ziemią i liśćmi, żeby ją uciszyć. Wpycha ziemię wszędzie gdzie może, z jakichś seksualnych motywów, i dusi dziewczynę. Kiedy ona umiera, on masturbuje się nad nią, a potem zaciera ślady.

– Więc atakuje z czysto seksualnych pobudek?

– Taka byłaby moja hipoteza.

– A co z odwróceniem uwagi? – wtrąciła się Laura.

– To znaczy? – zapytał Joe.

Teraz Laura podeszła do fotografii, ale tym razem do upozowanego zdjęcia Deborah Corley, lekko zamglonego ujęcia z jednego ze studiów fotograficznych przy głównej ulicy. Dziewczyna miała twarz przesłoniętą włosami, top opuszczony z ramion.

– Z tego co powiedziałaś, Jane Roberts pochodzi z rodziny z marginesu, takiej, która robi sobie wrogów. Inaczej niż Deborah. Jej ojciec jest glina, na litość boską, to inny świat niż świat Dona Roberta. Trochę się buntowała, może sypiała to z tym, to z tamtym, ale tak jest z mnóstwem młodych dziewczyn.

– Więc co sugerujesz? – zapytał Carson.

– Pamiętacie plotki o ojcu Deborah? Dobry gliniarz na ulicy, zły człowiek w domu; że tyran, że zbyt wiele czasu po służbie spędzał z butelką w ręku. Jego żona dwa razy dzwoniła na policję, kiedy przychodził do domu pijany i brał się do rękoczynów. Może tak samo zachowywał się wobec córki, robił

awantury o jej prywatne życie i w końcu ją zabił? Czy Jane Roberts nie była tylko przykrywką, żeby odciągnąć nas od pierwszej ofiary, żeby to wyglądało na seryjnego zabójcę, a nie na kogoś z rodziny?

– Po co narażać się po raz drugi tylko dlatego, żeby zrobić zasłonę dymną? – Carson pokręcił głową. – To zbyt ryzykowne. Jeśli nie namierzono go za pierwszym razem, a nie ma żadnych mikrośladów, żeby go powiązać, bardzo by ryzykował, atakując po raz drugi. Nie, jeśli zabójcą byłby ojciec Deborah, siedziałby cicho i czekał, aż sprawa się przetoczy.

– I nie byłoby w tym tyle seksu – dodał Joe. – Ale to może być próba odciągnięcia naszej uwagi z innych powodów.

– A konkretnie? – Carson pochylił się do przodu.

– Jakaś wojna gangów – odparł Joe. – Może ktoś dowiedział się, jak zginęła Deborah, i powtórzył to, żeby zemścić się na Donie i zmylić nas.

Carson pokręcił głową, nieprzekonany.

– Roberts to bandzior ze starej szkoły. Tak samo jego wrogowie. Po prostu grube ryby w małym mieście. Będą sobie nawzajem wrywali paznokcie, ale według zasad. Nie wchodzi się do cudzego domu. Rodzinę trzyma się od tego z daleka. Te zasady to jedyna rzecz, której przestrzegają, bo nie chcą przyciągać uwagi. To właśnie dlatego namierza się wszystkich nowych dilerów narkotyków, bo im się wydaje, że chodzi wyłącznie o władzę i Bentleye, o kije baseballowe i spluwy. A to nie tak. Chodzi o tajemnicę.

– Ale czy ziemia w pochwie mogła oznaczać zniewagę, a nie akt seksualny? – zapytał Joe. – My tylko się domyślamy, że się masturbował.

Carson jęknął i odchylił głowę do tyłu.

– Ilu jeszcze cholernych punktów widzenia nam potrzeba?

– Ale to ona była celem, na pewno – stwierdził Joe.

– Dlaczego?

– Miejsce. Za duże ryzyko, że ktoś zobaczy, bo obok są domy. Porządne domy, których mieszkańcy prawdopodobnie

chcieliby sprawdzić, co to za krzyk czy bójka. Jeśli zabójcy nie chodzą o tę konkretną dziewczynę, przypuszczam, że wybrałyby bardziej odosobnione miejsce, jeździłyby po okolicy, szukając ofiary.

– Może jeździł?

– Ale jeśli dysponuje się środkiem transportu, po co akurat w takim miejscu pozbywać się zwłok? – Joe zrobił powątpiewającą minę. – Myślę, że chciał zabić właśnie Jane Roberts. Tylko dlaczego?

– Ale jedno przecież wiemy – odezwała się Laura. – Prasie powiedzieliśmy jedynie, że pierwsza ofiara została uduszona, no i dziewczyna, którą dzisiaj znaleźliśmy, została zabita albo przez tego samego człowieka, albo przez kogoś, kto wiedział o pierwszej.

– Znowu zataimy to przed prasą? – zapytał Carson.

Joe westchnął – Jeśli tak zrobimy, ktoś przestanie to kopiować, ale też nikt nie rozpozna metody. Nie ma łatwego rozwiązania.

Carson pokiwał głową, pociągnął się za wargę.

– Na razie nic nie powiemy. Możemy to ujawnić później, jeśli przez parę kolejnych dni nie dowiemy się niczego z telefonów ani z miejsca zbrodni. – Popatrzył na zegarek, potem na Laurę. – Dziennikarze zaraz się tutaj zlecą. Jack też?

Laura poczuła, że się czerwieni.

– Pewnie tak. Wcześniej był na miejscu zbrodni.

– Wiem, widziałem.

Laurę uratował detektyw, który pojawił się w drzwiach, niósł podniesiony wysoko aparat fotograficzny.

– Kto chce obejrzeć gapiów? – Żeby niepostrzeżenie wmieścić się w tłum, ubrał się niechłujnie, w dżinsy i T-shirt, ale krótkie włosy i mięśnie zdradzały policjanta. Podszedł do komputera i podłączył aparat. Kliknął na pierwsze zdjęcie, żeby wyświetliło się w trybie pełnoekranowym i zrobił miejsce Carsonowi.

– McGanity, powinnaś to obejrzeć. Mieszkasz w Blackley.

– Szukaj takich, co stoją z dala od tłumu – doradził Joe. – Człowieka, który z nikim nie rozmawia.

Laura skinęła głową, Carson zaczął przesuwac zdjęcia. Wyglądało na to, że to ludzie z pobliskiego osiedla, nastolatki na rowerach i młode matki. Nic ciekawego. Wtedy Laura coś wychwyciła.

– Zatrzymaj! Wróć.

Carson obejrzał się przez ramię.

– Które?

– Poprzednie.

Kliknął przycisk cofania i przysunął nos do ekranu, szukając kogoś interesującego. I wtedy go zobaczył – facet pętał się z tyłu, z rękami w kieszeniach, z dala od wszystkich.

– Rozpoznajesz go? – zapytała Laura i po ściągniętym czole Carsona poznała, że on też zna gościa.

– Ojciec Deborah Corley – odparł cicho i popatrzył na Joego. – Najwyraźniej będziemy musieli skupić się nie tylko na wątku seksualnym.

Rozdział 10

Jack wszedł do redakcji „Blackley Telegraph”, betonowo-szklanego reliktu z lat siedemdziesiątych obok przystanku autobusowego, okopconego spalinami przejeżdżających wozów. Recepcja była typowa dla wydawnictw prasowych, z wysokimi kontuarami i niskimi fotelami, z ostatnim wydaniem rozłożonym na stołach, ścianami obwieszonymi najnowszymi zdjęciami i starymi wydaniem w ramkach. Ale w recepcji nikogo nie było, więc tylko przez nią przeszedł do mieszczącej się za nią części biurowej.

Tęsknił za gwarem newsroomu. Krzykami, żarcikami, pośpiechem, żeby zdążyć z wydaniem. Ale teraz sprawy wyglądały inaczej.

Większość materiałów do reportażu zbierało się przez telefon, a hałas robili handlowcy, sprzedając przestrzeń ogłoszeniową. Minęła już druga po południu i ludzie byli zajęci wykańczaniem roboty do numeru na następny dzień. Dolby

Wilkins pracował na końcu pomieszczenia w gabinecie z oszkloną przednią ścianą. Siedział rozparty w fotelu, gadał przez telefon.

Jack przeszedł między biurkami, od czasu do czasu rzucając z uśmiechem pozdrowienie. Zatrzymał się, żeby zapukać do drzwi Dolby'ego, który niecierpliwym machnięciem kazał mu wejść. Usiadł w skórzanym fotelu naprzeciwko i kiedy Dolby kończył rozmowę, czytał wycinki przypięte do ściany. Same tytuły z okresu, kiedy nastał Dolby, w nowym stylu, który chciał narzucić gazecie: dosadne i rozwrzeszczane. Lubił atakować policję przy każdej nadarzającej się okazji, a kiedy to spowszedniało, przeszedł do innych łatwych tematów, często puszczał materiały o ludziach ubiegających się o azyl.

Dolby odłożył telefon i w uśmiechu błysnął białymi zębami. Jak zwykle zgarnął w tył włosy, chociaż zawsze opadały do przodu. Był młodszy od Jacka, tuż po trzydziestce, ale miał pewność siebie, którą daje dobre wykształcenie.

– Jak było na miejscu zbrodni? – zapytał.

– Właściwie to tak samo jak zawsze. Mnóstwo gliniarzy, nikogo nie dopuszczali bliżej.

– Mamy już nazwisko ofiary?

Jack pokręcił głową.

– Nie powiedzieli mi.

– Za pół godziny jest konferencja prasowa. Będzie tyle bicia piany, że wystarczy na pierwszą stronę.

Dolby mógł wysłać jednego z etatowych dziennikarzy, ale tu chodziło o władzę. Przydzielał pracę tak, jakby wydawał rozkaz, a nie prosił, i wolny strzelec różnił się od zatrudnionego na stałe reportera tylko tym, że nie miał płatnych urlopów.

– To opóźni tekst o Whitcroft – zauważył Jack. – Chciałeś go na dzisiaj, ale nie zdążę, jeśli mam biegać wokół tamtej sprawy.

– Jak wygląda materiał?

Jack się nachmurzył.

– To nie jest piekielko, tak jak byś chciał. Zwyczajni ludzie. Starają się jakoś żyć. Tyle że jednym to wychodzi lepiej, innym gorzej.

– Popukaj do drzwi. Możemy zamiast tego napisać: „dobre życie na zasiłku”.

Jack westchnął. Rozmawiasz z ludźmi o tym, jak wiązać koniec z końcem, a potem robisz im zdjęcie, jak uśmiechnięci siedzą przed telewizorem.

– Kogo ci dać? Kogoś z mnóstwem dzieci czy brązową twarzą i cudzoziemskim akcentem?

– Przestań, Jack – obruszył się Dolby. – To robi nakład, wiesz o tym. Ludzie gadają o tym w pubach.

– A niewinni obrywają.

– Okej, okej, poruszyłeś moje sumienie – prychnął ironicznie. – A co z przestępczą dzieciarnią? Wywołują draki, a rodzice siedzą i popijają?

Jack się uśmiechnął.

– Znowu pudło. Mają tam teraz prywatną ochronę i nawet te dzieciaki są pewnie grzeczniejsze niż były.

– Prywatną ochronę?

– Po osiedlu jeździ patrol. Po prostu paru łysych w czarnych satynowych kurtkach, znasz ten typ. Zdaje się, że mieszkańcy ich oplacają.

Dolby się zamyślił.

– Dowiedz się o tym wszystkiego, co można. Dlaczego ludzie z najniższego szczebla płacą komuś, żeby odwalał robotę za policję? – Nachylił się do przodu. – Kto wie? Może ta historia uraduje twoje serce komucha. Szlachetna klasa robotnicza troszczy się sama o siebie.

– Ale z ciebie dupek, Dolby – Jack pokręcił głową.

– Wiem, ale podpisuję twoje czek, więc bądź dla mnie miły. – Postukał w zegarek. – Zaraz jest konferencja prasowa. Nie chcę, żebyś przepuścił przedstawienie.

Jack wstał i wydusił z siebie uśmiezek, idąc w stronę blasku słońca.

Był plamką opanowania otoczoną hałasem. Kombinezony i bucior. Detektywi zatopieni w konsultacjach. Nikt go nie widział.

Nikt z nim nie rozmawiał. Ale on ich widział. Obserwował,

patrzył, jak zbierają się w grupki. Rozmawiają, śmieją się, zawsze przechodzą obok, jakby go nie było.

Tolerował mundury, bo znały swoje miejsce, ośmiogodzinna zmiana, potem do domu, to wszystko. To detektywów cholernie nienawdził. Poszukiwacze sławy, nadęte typy w pastelowych koszulach.

Uśmiechnął się lekko i szybko podniósł kubek do ust, żeby ukryć ten uśmiech. Strzeżcie się spokojnego człowieka.

Rozdział 11

Jack musiał zaparkować w pewnej odległości od komendy, bo teren przed wejściem okupowały ekipy telewizyjne spoza miasta, które rozkładały swój ekwipunek. Dziennikarze prasowi stali w rozrastającej się gromadce i ćmili papierosy w oczekiwaniu na rozpoczęcie widowiska.

Lśniącą nowością komenda znajdowała się na skraju miasta i była widoczna z autostrady. Jej czerwone cegły i wysokie okna górowały nad niskim kompleksem okolicznych urzędów, stalowe parkany strzegły parkingu. Jack zobaczył przed sobą Karla Carsona.

Szef Laury, ogolony na łyso byk gawędził z reporterami. Spotykali się już wcześniej, pokłócili się, później pogodzili, więc kiedy Jack podszedł bliżej, Carson tylko się uśmiechnął i z całej siły przyklepał plakietkę „Gość” do jego koszuli.

Inspektor odwrócił się i wrócił do komendy, przytrzymał drzwi przed wchodzącymi rzędem dziennikarzami.

– Żadnych problemów, panie Garrett – wymruczał przy Jacku.

– Żadnych, jeśli się pan właściwie zachowa, inspektorze – odparł Jack i puścił oko.

Wprowadzono ich do pokoju na parterze, który wychodził na policyjną kantinę. Jack poszedł do tyłu, kiedy wszyscy inni ustawiali mikrofony na stołach z przodu, a dziennikarze telewizyjni walczyli o dobre miejsce, żeby byli widoczni i żeby ich pytania stały się częścią wyemitowanego przeglądu wydarzeń. Miłość własna przed informacją. Kamery stały z tyłu

pomieszczenia. Zabójstwo Deborah Corley sprzed trzech tygodni dostarczyło pożywki dla prasy. Kolumny wypełniono opowieściami o jej życiu towarzyskim – że była stałą bywalczynią pubów i lubiła towarzystwo żonatych mężczyzn. Ludzie od telewizji chcieli tylko wypełnić przydział czasu w wieczornych wiadomościach, ale ci od gazet zastanawiali się, co może im dać to nowe morderstwo, musieli napisać teksty przed zamknięciem numeru, więc w powietrzu aż trzeszczało od napięcia. Kiedy wszedł Carson, z Joem Kinsellą i Laurą tuż za nim, zrobiło się cicho. Wszyscy zajęli miejsca, Jack stanął za kamerą telewizyjną, pole widzenia miał ograniczone, spoglądał sponad ramienia kamerzysty.

Carson i Joe usiedli za długim białym stołem i popatrzyli na skupisko mikrofonów przed sobą. Na tablicy za ich plecami wisiało logo Policji Lancashire, emblemat na niebieskiej wstędze. Carson sięgnął po karafkę i nalał sobie wody. Jack przyglądał się, jak Laura idzie na tył sali, wysoka, smukła, w szarym kostiumie. W policzkach pojawiały się jej dołeczki, kiedy uśmiechała się, dziękując reporterom, którzy przesuwali się, żeby ją przepuścić. Jack zrobił jej miejsce, stanęła przy nim pod ścianą. Wyprostował się. Chociaż miał prawie metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, jego niedbała postawa sprawiała, że Laura wydawała się wyższa od niego.

Nachylił się do niej.

– Rozumiem, że nie zdradzisz mi nic, czego nie powie Carson? – wyszeptał.

Uniosła brwi.

– Żadnych przywilejów, wiesz przecież.

Uśmiechnął się.

– Tęskniłem za tobą dziś rano. To była wczesna pobudka.

Laura zaczerwieniła się, potem spojrzała przed siebie, kiedy Carson chrząknął do mikrofonów.

Jack usłyszał westchnienie Laury.

– Przepraszam – powiedziała. – Później ci to wynagrodzę.

– W jej oczach błysnęły figlarne ogniki, przynajmniej tak zdawało

się Jackowi.

Jeden z kamerzystów popatrzył na Laure, lekko się uśmiechając, i wtedy Jack zauważył mikrofon na tyczce i słuchawki na jego uszach. Facet musiał usłyszeć ich rozmowę, ale tylko przepraszająco wzruszył ramionami i znów skoncentrował się na Carsonie, który był gotów zabrać głos.

– Dziękuję państwu – zaczął; głos lekko mu drżał. – Złożę krótkie oświadczenie, a potem odpowiem na parę pytań. – Omiótł wzrokiem zgromadzonych dziennikarzy i zaczął czytać z kartki. – Dziś rano w lasku Blackley znaleziono ciało młodej kobiety. Zginęła kilka dni temu. Uważamy, że to może mieć związek ze śmiercią kobiety w Blackley przed trzema tygodniami, Deborah Corley, córki miejscowego policjanta. Staramy się potwierdzić tożsamość drugiej ofiary, ale kiedy to się stanie, będziemy państwa prosić o uszanowanie prywatności jej rodziny. – Odetchnął i znowu rozejrzał się po sali. Na jego łysej głowie odbijał się blask świateł kamer, kiedy próbował spojrzeć w oczy po kolei wszystkim dziennikarzom. Potem popatrzył prosto w obiektywy kamer z tyłu sali, chcąc zwrócić się do widzów. – Nie możemy jeszcze ujawnić szczegółów zabójstwa, ale oświadczam, że ten, kto dokonał tej okrutnej zbrodni, musi zostać schwytany. Jeśli coś wiecie, nie zachowujcie tego dla siebie. Nie chrońcie tego człowieka. Jeśli macie jakiegokolwiek informacje, które pomogłyby złapać tę osobę, przekażecie je policji. – Przerwał, żeby dać widzom czas na wchłonięcie jego słów, po czym dodał: – Nie mogę wyjawić wszystkiego, ale jeśli państwo macie jakieś pytania, proszę je zadawać.

Wstał ktoś z przodu sali.

– Martin Ashton, Sky News. Czy myśli pan, że to robota seryjnego zabójcy?

Inspektor ściągnął wargi.

– Ten termin zbyt mocno rozbudza emocje – odparł po chwili. – Sekcja zwłok nie została jeszcze przeprowadzona, ale owszem, bierzemy pod uwagę możliwość, że ta sama osoba zabiła obie kobiety, jeśli o to pan pytał.

Zgłosił się ktoś inny.

– Ian Bramley, BBC. Obie ofiary były młode. Czy jest między nimi jakiś związek?

– To próbujemy ustalić, ale dopóki nie poznamy odpowiedzi, musimy założyć, że są zagrożone wszystkie kobiety.

Jack naskrobał trochę notatek; pytania dobiegały końca, każda stacja telewizyjna wydawała się zadowolona, że zaistniała podczas konferencji. Carson zebrał się do wyjścia, a dziennikarze zaczęli pakować mikrofony i laptopy; wszyscy spieszyli się, żeby opracować ten kawałek do wieczornych wiadomości.

– Muszę lecieć – powiedziała Laura.

Jack chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

– Nie możesz mi podać nazwiska ofiary? – zapytał cicho.

Ucisnęła mu dłoń i się uśmiechnęła.

– Nie odpuszczasz, co? – rzuciła i pospieszyła za szefem, przepychając się przez tłum.

Jack próbował pójść za nią, nadal miał nadzieję na jakąś poufną informację, ale przed nim stanął policjant i jasno dał do zrozumienia, że dziennikarze mają opuścić salę. Więc patrzył, jak Laura odchodzi zatopiona w rozmowie z Joem i Carsonem, trzy garnitury idące między stołami policyjnej kantyny.

Westchnął. Stwierdził, że jednym z minusów życia z policjantką jest to, że jej praca bywa ważniejsza niż wszystko inne. Przypominał sobie, jaka potrafi być Laura z dala od komendy, zabawna i beztroska, ale też jaka robi się niedostępna i wyłączona z życia, kiedy pojawia się duża sprawa. Jednak kiedy tak patrzył, jak ona odchodzi i myślał o dwóch zamordowanych dziewczynach, o ich mordercy, nadal na wolności, wiedział, że inaczej być nie może.

Rozdział 12

Carson poczekał, aż wyjdą dziennikarze.

– No i co, jak poszło? – zapytał.

To zaskoczyło Laurę. Carson był brutalem, bezpośrednim i silnym, ale teraz w jego głosie brzmiała odrobina niepewności.

– Tak jak trzeba – powiedziała. – Może pytanie o seryjnego

zabójcę coś da, bo wzbudzi strach. I wbiło się ludziom do głowy, mimo że sami nie musieliśmy używać tych słów.

– Może jednak powinniśmy powiedzieć więcej? – dopytywał Carson.

– Nie – odparł Joe. – Powiesz za dużo i ryzykujesz, że sprawy pójdą źle. Sprawdźmy, co dzisiaj przyszło i czy jest coś od kryminalistów, żeby nad tym popracować.

Inspektor skinął głową i przeszli z atrium do centrum operacyjnego. Wszyscy stali już w szeregu i czekali na nich, więc Carson podszedł na przód, a Laura do tyłu. Pierwsze dwa rzędy biurek zajmowali ci, którzy bardzo chcieli być zauważeni – w nieskazitelnych koszulach, pastelach, krzykliwych krawatach, jeden mundur zastąpiony innym. Joe usiadł za Carsonem, w rogu, i jak zwykle obserwował.

Sala była pełna, detektywi, którzy zbierali informacje od drzwi do drzwi, wrócili, żeby usłyszeć sprawozdanie z konferencji prasowej, byli uważni i cisi. Na tak wczesnym etapie śledztwa nikt jeszcze nie chciał wyrywać się przed szereg i zabierać głosu. Laura domyślała się, że to pełne szacunku milczenie nie przetrwa do końca następnego dnia.

– Dwa zabójstwa w niecały miesiąc. – Carson trzasnął dłonią w wiszącą za nim białą tablicę. – Będą nas obwiniać za drugie, bo nie złapaliśmy drania za pierwszym razem. Pamiętajcie o tym. – Powiódł ręką po sali, wskazując palcem każdego gliniarza z osobna. – Jeśli coś przeoczycie, będziecie to wyjaśniać przed sądem, bo Kinsella – dźgnął kciukiem w stronę Joego – uważa, że tutaj to się nie skończy. – Powoli rozejrzał się po sali. Detektywi usiedli w grupkach: ci od wywiadu środowiskowego oddzielnie od tych, którzy byli u krewnych i znajomych. Kręcili się nerwowo, kiedy Carson patrzył im po kolei w oczy. – No, ktoś coś znalazł? – krzyknął do obecnych.

Szybko chodził w tę i z powrotem przed biurkami, a od jego podmuchów trzepotały zdjęcia przyklejone taśmą do białej tablicy.

Z początku nikt się nie odzywał, ludzie wymieniali

spojrzenia, ale potem ktoś siedzący tuż przed Laurą, mały facet z fryzurą na jeża i wąsami, zakaszłał i wyciągnął szyję, żeby go widziano.

– Obskakiwaliśmy domy za miejscem zbrodni – powiedział. – Tam jest duży ruch. Miejscowe maolaty jeżdżą po ścieżce motorynkami, hałasują tam prawie co wieczór. A jak nie oni, to nastolatki, co popijają w grupach. Niektórym mieszkańcom dostaje się, kiedy wyglądają przez okna. Gnojki wyzywają ich od pedziów i takich tam, więc mogli nie usłyszeć krzyków.

– Ale jeśli w tej okolicy ciągle się ktoś kręci, to ciało nie mogło leżeć tam tak długo, jak nam się wydaje – zauważył Carson. – Możemy to sprawdzić w wynikach sekcji.

– No właśnie, dostaliśmy informację w tej sprawie – wtrącił ktoś inny i do przodu została przekazana notatka. – Jutro rano. Doktor nie chciał się z tym spieszyć. Zajął się naszą ofiarą poza kolejnością i będzie robił badania tak długo, jak potrzeba.

– Kogo tam mamy? – zapytał Carson.

– Doktora Pratta – odparł ten sam głos.

Inspektor pokiwał głową z uznaniem, potem wskazał detektywa, który odezwał się jako pierwszy.

– Czy ktoś wydał ci się podejrzany?

– Ktoś z tych domów? – Detektyw pokręcił głową, odpowiadając na własne pytanie. – Nie. Po prostu normalne młode rodziny.

– Wiesz jak nienormalnie wygląda zabójca albo z kim mieszka? – Carson szeroko otworzył oczy.

Laura zobaczyła, jak detektyw dostaje na szyi gęsiej skórki z zakłopotania. Rumieniec pasował kolorystycznie do jego liliowej koszuli.

– Nie, nie wiem.

– Więc przepuść te wszystkie nazwiska przez komputer i zobaczymy, czy coś wyskoczy – polecił Carson. Kiedy detektyw spojrział na koleżkę, który nagle z zainteresowaniem zaczął przyglądać się podłodze, Carson dodał: – Bo masz ich nazwiska, prawda?

Detektyw spuścił wzrok.

– Cholera jasna! – zaklął Carson i znów rąbnął dłonią o białą tablicę. Jedna z fotografii się zsunęła. – To twoje następne zadanie – warknął. – Wróć i zbierz o nich najdrobniejsze szczegóły. Skazania, mandaty, wypadki. I szukaj wszelkich związków z obiema ofiarami i ich rodzinami! – Carson wskazał dwóch młodych detektywów stojących obok Laury. – Wy dwaj macie się zająć spisem przestępców seksualnych. Odwiedźcie każdego, kto dobierał się do kobiet. Opuśćcie pornografię dziecięcą i tych, co się zabawiali z dziećmiakami.

Chcę ekshibicjonistów, obmacywaczy, klozetowych kamerzystów. Jeśli nie mają alibi na czas, kiedy prawdopodobnie dokonano zabójstw, to są podejrzani.

– I szukajcie czynów z użyciem przemocy – dodał Joe. – A ekshibicjoniści powinni być pierwszymi podejrzanymi na liście. Pytajcie wszędzie, rozmawiajcie z gliniarzami z patroli i z dzielnicowymi. Dowiedzcie się, czy przypominają sobie kogoś, kto jest niebezpieczny, ale do tej pory go nie złapano. I skupcie się na białych przestępcach.

– Dlaczego? – zapytał ktoś.

– Tak podpowiada zdrowy rozsądek. Ofiary są białe. Druga dziewczyna została znaleziona na terenie zamieszkanym przez białych.

Kolorowy wyróżniałby się, zapamiętano by go, nie zapuściłby się do tego osiedla. Więc najprawdopodobniej to biały.

Rękę podniosła detektyw. Laura rozpoznała połyskujące blond włosy i wstrzemięźliwą mowę ciała. To Rachel Mason. Siedziała pośrodku pomieszczenia. Laura natknęła się już na nią wcześniej, tyle że teraz ona jest sierżantem, a Rachel nadal zwykłym funkcjonariuszem.

– Rozmawiałam z krewnymi – powiedziała Rachel. – Wiedzą, czym zajmują się rodzice Jane, ale mówią, że dziewczyna była inna, nie należała do tego układu. Pracowała w biurze turystycznym w mieście i właśnie próbowała zacząć własną karierę zawodową.

– Chłopak?

Rachel pokręciła głową.

– Zerwali parę miesięcy temu, ale w tym nic nie ma. Szkolny romans, z którego wyrosli.

– Jeśli krewni nie widzą powiązań między tymi dziewczynami, możemy ich zostawić na jakiś czas – stwierdził Carson. – Te dwa zabójstwa jakoś się łączą i my musimy znaleźć powiązania między ofiarami.

– Mamy cynk od informatora, że Don Roberts już ustalił nagrodę – odezwał się głos spod ściany. – Podobno pięćdziesiąt patyków.

– Świetnie. – Carson przewrócił oczami. – Wymuszenia ochroniarskie muszą mu dobrze iść. Jak ci ludzie gromadzą fortuny? – Pokręcił głową. – Zaułki Blackley zarobą się teraz od detektywów amatorów, a żaden nie będzie się nadawał do tej pieprzonej roboty.

Wyobraźcie sobie, co się stanie, jak miejscowe ćpuny pomyślą, że znalazły sposób na łatwą forszę. Don dostanie więcej nazwisk niż jest w książce telefonicznej.

– Może namówmy wydział narkotykowy, żeby wyciągnął z kogoś trochę informacji – podsunął ten sam głos. – Wie pan, jak to jest, zrobią wszystko, żeby nie pójść do mamra.

– Każda metoda jest dobra – odparł Carson i skierował uwagę na dwóch detektywów siedzących na przodzie. – Coś z telefonów?

Jednocześnie pokręcili głowami.

– Jak dotąd nic, nie licząc ludzi, którzy mówią, że to może być wojna gangów, bo ojciec Jane to bandzior – powiedział jeden z nich.

– Czy ktoś ma coś jeszcze, co mogłoby popchnąć to śledztwo? – Carson mierzył wzrokiem salę. Milczenie. Westchnął. – Wygląda na to, że teraz będziemy mieli wyniki badań kryminalistycznych albo nic. Jakies pomysły? – Nadal panowała cisza, Carson klasnął w rękę. – No, to do roboty. Zadzwońcie do swoich rodzin i przeproście, że nie będzie was do późna w nocy.

Gdyby jęczeli, to ciescie się, że żyją.

Chwycił marynarkę i skinął na Joego. Wyciągnął rękę w stronę Laury i pokazał, żeby poszła za nim. Kiedy przeproszała, przeciskając się między szemrzącymi grupkami, Rachel Mason rzuciła jej znaczące spojrzenie, ale Laura szybko się odwróciła. Nie miała czasu na sprzeczkę, że koleżanka nie awansowała.

Podeszła do szefa.

– Sprawdzimy, czy znaleźli coś na miejscu zbrodni – powiedział. – Potem pójdziecie do Mike’a Corleya. Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o Deborah. Teraz ludzie mogą sobie jeszcze coś przypomnieć, bo sprawa nie jest już taka gorąca. Idźcie jeszcze raz tam, gdzie ona chodziła, sprawdźcie, z kim spała, kogo znała. Może uda nam się znaleźć powiązanie między tymi dwiema. – Zwrócił się do Laury. – Spróbuj pogadać z żoną Corleya w cztery oczy. Rozmawiaj z nią jak matka, nie jak glina. Może w ten sposób coś z niej wyciągniesz.

Carson, Laura i Joe przeszli z sali operacyjnej do pokoju, który czasem zawłaszczano na spotkania z radą gminy i komitetami bezpieczeństwa publicznego. Teraz korzystał z niej wydział zabójstw. Pracowało tam dwóch policjantów pod okiem młodej kryminalistyk.

Katalogowali wszystko, co zebrano na miejscu przestępstwa. Stół był zawalony torbami z dowodami rzeczowymi, robiono notatki i policjanci musieli jeszcze spisać raporty, szczegółowo określające znaleziska. To należało do rutynowych działań, harówka dla ludzi pracujących z dala od linii frontu. Kryminalistyków zwykło się nazywać policjantami miejsc zbrodni, ale amerykańska telewizja dodała im blasku.

– Macie coś obiecującego? – zapytał Carson.

– Porozmawiam z szefostwem, ale nie robiłabym sobie wielkich nadziei – odparła kryminalistyk. – Teraz budżet nie obejmuje szerszych badań.

Inspektor wyglądał na zaskoczonego.

– Nie obejmuje? – powtórzył ponurym głosem. – Hm, głównie mnie obchodzą cięcia, bo jak dojdzie do kolejnego

zabójstwa, sprawa zrobi się jeszcze droższa. Przekaż swoim szefom, że jak odmówią zbadania czegoś, co później okaże się istotne, to dam ich numer rodzicom następnej ofiary, żeby mogli wyjaśnić, że z braku kasy jej nie uratowali.

Kryminalistyk popatrzyła w podłogę. Wyraźnie nie chciała podejmować polemiki z Carsonem.

– To nie jest ktoś, kto włóczy się gdzieś po okolicy i czeka na ofiarę. – Joe mówił cicho i spokojnie. – On tu pozbył się zwłok.

Szukamy kawałków materiału, czegoś w tym stylu.

Obaj policjanci pokręcili głowami.

– Nic z tych rzeczy, ale jeśli ciało leżało tam przez jakiś czas, mnóstwo śladów mogło się ulotnić.

Carson się odwrócił.

– Tyle to i ja wiem.

– To co teraz? – wtrąciła się Laura.

Carson westchnął ze zdenerwowania.

– Jeśli Mike Corley nie powie wam czegoś nowego, czekamy na telefon, który wyda mordercę, albo na sekcję zwłok, może coś się okaże. Poza tym pozostaje nam nadzieja.

Rozdział 13

Jack siedział w samochodzie i pisał na laptopie reportaż. Telefon miał podłączony z boku, służył za modem. W ten sposób, kiedy skończy, wyśle tekst prosto do Dolby'ego. Znowu był przy osiedlu Whitcroft. Miał wrażenie, że żongluje talerzami; sąd, zlecenia, ponowne szukanie wypowiedzi do artykułu.

Odchylił się w fotelu, wyprostował palce. Reportaż o morderstwie gotowy. Krótki, tylko opis miejsca zbrodni i suche fakty z konferencji prasowej, okraszone nieustającą żalobą rodziny Corleyów. Tekst mówił wszystkim to, o czym powinni wiedzieć, że młoda kobieta z Blackley została zamordowana. Policja wiele więcej nie powiedziała.

Przeczytał materiał, zapisał go na dysku, załączył do maila i wysłał na skrzynkę pocztową Dolby'ego. Wszystko to zrobił z przedniego fotela swojego wysłużonego triumpha staga.

Popatrzył przez przednią szybę na osiedle. Dochodziła

szósta – ludzie wracali z pracy, niektórych widział już wcześniej tego dnia.

Kilkoro nastolatków siedziało na rowerach i przyglądało się dziewczynom przechodzącym nieopodal. Między nimi kursował nikły żar papierosa, ale po sposobie, w jaki pstrykali palcami, czekając na swoją kolej, widać było, że bibułka zawiera nie tylko tytoń. Ludzie, kiedy znaleźli się bliżej tej małej bandy, przechodzili na drugą stronę. Najwyższy w grupie nachylił się do białej furgonetki, która zatrzymała się obok nich. Samochód ochrony. Tym razem zauważył litery na burcie: „D.R. Security”.

Odłożył laptop, zarzucił pasek torby na ramię i wysiadł z triumpha. Nie było sensu wkładać torby do bagażnika, bo już ją widzieli.

Wyciągnął dyktafon i zaczął się kręcić przy sklepach. Za każdym razem, kiedy ktoś go mijał, Jack pytał, czy może porozmawiać o problemach osiedla i czy policja jest wystarczająco aktywna. Nikt nie był chętny. Zaczepieni przechodnie po prostu wpadali do sklepu albo szli dalej. Wychodziło na to, że będzie musiał powłóczyć się od drzwi do drzwi. Znowu spojrzał na wyrostków. Ciągle na niego patrzyli.

Jack oddalił się od sklepów i skręcił w ślepą uliczkę. Już miał zapukać do pierwszych drzwi, kiedy usłyszał, jak opony ocierają się za nim o krawężnik. Odwrócił się i zobaczył białą furgonetkę ochrony.

– W czymś panu pomóc? – zapytał kierowca przez otwarte okno; grubą ręką trzymał kierownicę.

Jack nachylił się do niego.

– Nie, dziękuję.

Kierowca i jego towarzysz byli tacy, jak Jack się spodziewał: masywni, z byczymi karkami, wytatuowani.

– Powiem inaczej. Co pan tu robi?

– Robię swoje – odparł.

– To znaczy?

– Moja sprawa, nie wasza, i tyle w temacie. – Odwrócił się, żeby odejść.

Nie spodziewał się, że rozmowa na tym się zakończy, ale musiał im dać do zrozumienia, że nie dał się zastraszyć.

– Nic z tego – odezwał się inny głos.

Teraz obaj ochroniarze wysiedli z furgonetki. Wyglądali niemal jednakowo: czarne spodnie i czarne błyszczące kurtki, włosy zgolone do skóry. Drugi mężczyzna był znacznie niższy od kierowcy, a obserwując bójkę pijaków w pubach, Jack nauczył się jednego: duzi faceci sięją największe spustoszenie, ale ci mali zazwyczaj zaczynają walkę.

– Okej, pogadajmy. Kto wam płaci za pracę?

Wymienili spojrzenia, teraz mniej pewni siebie.

– O co panu chodzi? – burknął wyższy.

– Tylko o to. – Jack zatoczył ręką w koło. – Ci ludzie nie są milionerami, a mają was dwóch, żebyście się nimi opiekowali. Gliniarze przyjeżdżają za darmo. Więc co jest grane?

– Jesteśmy przez cały czas – odezwał się znowu wyższy. – Policja zjawia się tylko z nakazami przeszukania albo żeby kogoś aresztować. Nigdy ich nie ma, kiedy trzeba.

– To bardzo szlachetne z waszej strony. A D.R. to kto?

Kolejna wymiana spojrzeń.

– Niech pan sprawdzi, jeśli to pana interesuje – odezwał się wreszcie wyższy.

Jack pokiwał głową.

– Chyba mnie interesuje. Dzięki.

– Dokąd pan teraz idzie?

– Jak mówiłem, robię swoje. Jeśli chcecie za mną iść, cóż, wasz wybór. Za to wam chyba płacą.

– Nie może pan pukać do drzwi – powiedział mniejszy.

– Jak wyciągnę siekiere, zapracujecie na swoje pieniądze, ale do tego momentu robię, co mi się podoba. – Jack uśmiechnął się do nich. – Możecie się znaleźć w reportażu, jeśli chcecie.

Mały nachmurzył się i zacisnął pięści, ale duży złapał kompana za łokieć, żeby go powstrzymać.

– Jeśli dotrą do nas jakieś skargi, znowu się spotkamy.

– Zrozumcie jedno. – Jack podszedł bliżej i zatrzymał się

dopiero, kiedy poczuł ich śmierzące oddechy. – Możecie ze mną rozmawiać, możecie mnie eskortować, ale nie wolno wam przeszkadzać mi w pracy. – Odszedł. Spodziewał się, że usłyszy za sobą kroki, ale nie usłyszał. W końcu furgonetka ruszyła i odjechała.

Zaczął myśleć, że osiedle może być niebezpieczne.

Laura i Joe jechali do domu pierwszej z ofiar. Laura spojrziała na zegarek i zdała sobie sprawę, że robi się późno.

– Bobby? – zapytał Joe.

– Jest u mojej przyjaciółki, więc w porządku.

– Ale i tak martwisz się o niego.

Posłała mu zmęczony uśmiech.

– Jestem jego matką. Powinam wrócić do syna.

– A Jack? Nie może bardziej się starać?

– Stara się bardzo, ale nie chcę, żeby Bobby stał się dla niego męczącym obowiązkiem.

– Nie martw się, wrócisz do małego. – Joe się uśmiechnął.

– Chociaż może nie dzisiaj.

– A ty i reszta ekipy? Jak wygląda wasze życie domowe?

Joe uniósł brwi, ale nie odpowiedział od razu. Patrzył na drogę, wreszcie się odezwał.

– Moje życie domowe zostawiam w domu.

Laura zrozumiała aluzję i nie sondowała dalej.

– Pewnie później pójdziemy się czegoś napić. – Joe spojrzął na Laurę. – Zawsze możesz dołączyć.

Skrzywiła się.

– Nigdy mi nie wychodziło zacieśnianie więzi w zespole.

– Jesteś na to za twarda?

– Hm, może, ale to nie znaczy, że nie myślę o kolegach.

– Nie o to mi chodziło.

– Ale tak to zabrzmiało. Nie sędzę, żeby popijanie z kumplami z pracy było też twoją specjalnością.

– Dlaczego?

– Za mocno stoisz na ziemi.

Roześmiał się.

– Wszyscy musimy się czasem odprężyć i czy ci się to podoba, czy nie, to moi przyjaciele. I twoi.

– To było spostrzeżenie, nie krytyka. – Laura odwróciła się, żeby popatrzeć przez szybę.

Przeglądała się sznurowi hurtowni i salonów samochodowych przy głównej drodze za Blackley. Jedną stronę zdominował wielki supermarket, zaraz za nim, Joe skręcił w ulicę z wysokimi wiktoriańskimi domami o wielkich otwieranych pionowo oknach i ciemnych kamiennych frontonach. Jechali krętymi ulicami, po wysadzanych drzewami alejkach, gdzie przy krawężnikach stały nowe samochody, duże i wypolerowane.

Zatrzymali się przed domem Corleyów. Kiedy wysiedli, Laura wygładziła zakiet kostiumu i przypomniała sobie o celu wizyty.

Spokojnie. Rozegraj to jak wizytę z wyrazami współczucia. Nie wygadaj się, że Mike’a Corleya widziano na miejscu zbrodni, i zwróć uwagę, czy sam tego nie powie.

Przeszli krótką ścieżką i już mieli nacisnąć dzwonek, kiedy drzwi się otworzyły. Naprzeciwko nich stał potężny mężczyzna z krótko ostrzyżonymi włosami, na głowie miał niewyraźne blizny, które wyglądały jak pamiątki po ataku nożem. Ubrany był w czarny T-shirt i czarne bojówki, prawie w policyjnym stylu, nie licząc grubego złotego łańcucha na szyi.

Znieruchomiał, kiedy ich zobaczył, ale potem obrzucił Laurę wzrokiem i zajął z powrotem do domu.

– Ktoś do was – krzyknął. Wymowę miał chropawą, rozwlekłą, tutejszą. – Chyba mormoni – dodał, ironicznie uśmiechnął się do Laury i mrugnął do niej.

W drzwiach pojawił się Mike Corley. Skinął głową Joemu i wszedł do środka.

Poszli za nim.

– Pańska żona jest w domu? – zapytała Laura.

Pokręcił głową.

– Poszła do siostry. Już nie może sobie poradzić z tymi wszystkimi gośćmi i natrętami.

– Najwyraźniej brakuje jej życzliwej duszy – stwierdziła Laura. – Powinna wiedzieć, że ludzie przychodzą dla niej. – Corley wyglądał na zmieszanego, więc wskazała na okno. – Co to za facet, który tu był?

– A, on. – Corley pokręcił głową, jakby obecność gościa z łańcuchem nie miała znaczenia. – Po prostu stary kumpel.

Nie wyglądał na kogoś, kogo gliniarz przyjmowałby na popołudniowe herbatki, pomyślała Laura, ale nic nie powiedziała. Usiadła na kanapie, żeby podkreślić, że wizyta nie będzie krótka. Corley spoglądał to na nią, to na Joego.

– Co panu już dzisiaj powiedziano? – zapytała Laura.

– Niewiele. Wcześniej przyszedł jakiś reporter, ale mówił to, co już słyszałem.

– Pamięta pan jego nazwisko?

– Garrett. Joe albo John.

Laura się zaczerwieniła.

– Jack. – Kaszlnęła. – Jack Garrett.

– Więc pani go zna?

Kiwnęła głową, próbowała nie zdradzić żadnych uczuć.

– Tak, znam. Co panu powiedział?

– Tylko, że nie złapaliście zabójcy mojej córki i że ten bydlak zamordował jeszcze kogoś. To wszystko.

Laura zerknęła na Joego, który do tej pory milczał.

– Pan wie, jak to jest – odezwał się w końcu. – Nie zawsze łapiemy tych ludzi od razu.

Mike pokręcił głową, ręce trzymał na biodrach, w napięciu oblizywał wargi.

– Wiem, że dużo się kręcicie wokół komendy, żebyśmy was podziwiali. Ale jak często coś się wam udaje?

– Druga ofiara nazywa się Jane Roberts. – Laura zmieniła temat. – Zna pan ją albo jej ojca, Dona Roberta?

Słyszając to, Corley opanował gniew i szybko pokręcił głową. Za szybko.

– Widzę, że jest pan tego całkowicie pewien – zauważyła Laura.

– Wiem, kogo znam.

– A pańska córka? Miała jakiś notes z adresami, którego pan nam jeszcze nie przekazał? Może tam jest nazwisko Jane. Jeśli jest między nimi jakiś związek, to może pomóc w poszukiwaniach zabójcy.

Znów pokręcił głową.

– Sprawdzał pan? – naciskała Laura.

– Nie musiałem. – Corley jeszcze bardziej się rozżłościł. – Zanim Deborah znaleziono, prasa przekopała całe jej życie, zresztą potem też nie tracili czasu. Pisali wyłącznie o jej romansach, bo miała paru żonatych chłopaków, a robili to tylko dlatego, żeby jej sprawa paskudniej wyglądała. Jak myślicie, co czuliśmy, kiedy dowiadywaliśmy się o własnej córce rzeczy, o których nie chcieliśmy wiedzieć, o których nikt nie powinien wiedzieć?

– To prasa, nie my – usprawiedliwił się Joe. – Nie możemy im zabronić pisać tego, co podnosi sprzedaż gazet, ale pan może ich wykorzystać, żeby opinia publiczna nie zapomniała o pańskiej córce. Niech zobaczą prawdziwą Deborah, nie tę, którą pokazywano do tej pory.

– To samo powiedział ten reporter. Wy chyba pracujecie według jakichś scenariuszy. – Roześmiał się gorzko. – Po to przyszliście?

Żeby zmusić mnie do rozmowy z dziennikarzami?

– Nie – zapewnił Joe. – Chcę się tylko dowiedzieć, czy czegoś sobie pan nie przypomniał. Minęły już trzy tygodnie.

Mike zgrzytnął zębami.

– Dobrze wiem, ile minęło. Boleśnie odczułem każdy dzień.

– Próbował pan myśleć o czymś innym? – zapytał Joe.

Corley pokręcił głową.

– Nie. A teraz znów ktoś zginął.

Joe przytaknął i spojrzał na Laurę, że na nich już czas.

– Gdyby pan trafił na nazwisko Jane, da pan nam znać? – zapytała.

Corley powoli pokiwał głową, ale potem dodał: –

Zostawcie mnie już w spokoju. Jedyne, co teraz widzę, to detektywi, którzy nas zawiedli. Pogadamy, jak znajdziecie tego, kto zabił moją córkę.

Laura wymieniła szybkie spojrzenie z Joem.

– Przepraszamy. Dziękuję, że poświęcił nam pan czas.

Kiedy szli do drzwi, Laura zatrzymała się i spojrzała za siebie.

– Dlaczego dziś rano był pan na miejscu zbrodni? – zapytała.

Corley szeroko otworzył oczy ze zdziwienia, potem pokręcił głową.

– To dlatego tu przyszliście, żeby mnie przyłapać.

– Nie o to chodzi. Widzieliśmy pana, to wszystko, po prostu jesteś ciekawi.

– Więc myślicie, że jeśli mam z tym coś wspólnego, to nie jestem z tych najbystrzejszych, tak?

Laura nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

Drzwi mało jej nie uderzyły, kiedy przestąpili próg. Z hukiem zatrasnęły się za nimi.

– Nie najlepiej mi poszło – stwierdziła.

– Nie mogło dobrze pójść – pocieszył ją Joe. – Teraz nas nie lubi. I wiesz co, ty na jego miejscu też byś nas nie lubiła.

Kiedy już byli w samochodzie, Laura popatrzyła na dom Corleya, spokojny z zewnątrz, rozszalały w środku.

– Więc teraz masz ochotę na drinka? – zapytał Joe.

– Powinam jechać do domu.

– I tak zdążysz się jeszcze zobaczyć z Bobbym.

Laura zawahała się, a kiedy Joe uniósł brwi i się uśmiechnął, ustąpiła.

– No dobrze. – Westchnęła. – Znajdę czas na jednego.

Rozdział 14

Jack spojrzął na zegar. Właśnie minęła dziewiąta. Bobby bawił się na podłodze jakimiś figurkami superbohaterów, mówił do siebie, odgrywał scenę. Powinien być w łóżku, ale Jack chciał, żeby dzieciak zobaczył się z mamą, zanim pójdzie spać.

Tekst o morderstwie dawno już został oddany, więc Jack wylegiwał się na kanapie, czekał na Laurę. Z głośników dudnił jak zwykle Johnny Cash, album *Orange Blossom Special*. Dudniące rytmy wagonów towarowych i szlaku kolejowego, przydawały domowi energii, której jemu brakowało.

Na stoliku leżało parę magazynów ślubnych z ulotkami o salonach wetkniętymi jak zakładki. Jack sięgnął po jedno z pism. Wiedział, że wreszcie muszą podjąć jakąś decyzję, ale połyskliwe fotografie, które kartkował, zupełnie go nie interesowały.

Bobby popatrzył na niego i się uśmiechnął. Jack przez chwilę widział w nim Laurę, z dołeczkami w policzkach.

– O której wróci mama? – zapytał mały.

– Niedługo – zapewnił Jack, chociaż nie miał pojęcia, czy to prawda. Wiedział, że będzie zajęta przez większą część wieczoru, takie są pierwsze dni po zabójstwie, kiedy cała nadzieja w tym, że szybko wpadnie się na trop, ale dzień dawno już się skończył.

Wyciągnął z kieszeni telefon, żeby zadzwonić do Laury i zapytać, czy długo jej nie będzie, ale zrezygnował. Może być na spotkaniu albo prowadzić samochód. I czy dzwoni po najnowsze informacje, zawsze reporter, czy po prostu za nią tęskni, chce usłyszeć jej głos?

A może coś gorszego; po prostu się nudzi?

Album się skończył i w domu znów zapadła cisza, nie licząc skrzypienia ramienia z igłą, wracającego na swoje miejsce. Jack słuchał Johnny'ego Casha, bo ten przywodził mu na myśl ojca, który całe życie zbierał i odtwarzał płyty Casha. Został zabity kilka lat temu.

Mówiono, że zginął na posterunku jak prawdziwy policjant, chociaż Jack nie sądził, żeby ojciec zgłosił się na ochotnika do takiej roli. I nie tylko piosenki przypominały mu o staruszku. Także koszulki płyt, papierowe wkładki, pomarańczowe nalepki Columbii. Jack ożywiał pamięć o ojcu, kiedy prowadził jego samochód albo dmuchiwał pyłki z igły adapteru.

Odwrócił się do Bobby'ego, znów pochłoniętego zabawą.

Dzieciak zrobił z nich prawdziwą rodzinę, ale Jack znał prawdę: jeśli rozstanie się z Laurą, dla chłopca będzie tylko odległym wspomnieniem, mimo tych wszystkich lat, które mu poświęcił. W końcu okazałoby się to niczym, bo wiązała ich tylko Laura.

Czasem szło jak po grudzie. Laurze długo zajęło, zanim na dobre przeniosła się na północ i przez ich pierwsze parę lat toczyli nieustanną wojnę z Geoffem, ojcem Bobby'ego. Facet nadal mieszkał w Londynie i chciał, żeby syn był bliżej niego. Kłócili się, a kiedy sprawy robiły się naprawdę napięte, Jack widział, że Laura nie jest pewna, czy chce osiąść na stałe na wzgórzach Lancashire.

Kochali się jednak i jak do tej pory to pozwalało im przebrnąć przez trudne czasy. Jack miał nadzieję, że ślub rozwieje wszelkie wątpliwości, jakie mogły jeszcze pozostać.

W melancholię wdarł się warkot silnika samochodu. Jack usiadł, spojrzął w stronę okna z nadzieją, że to Laura. Jęknął. Dolby. Przy jaguarze szefa jego triumph stag wyglądał mizernie. Kiedy Dolby wysiadał z samochodu, Jack poczuł, że się jeży. Próbował się opanować. Ten gość zachowywał się tak, jakby mógł wpadać, kiedy zechce. Miał na sobie designerskie dżinsy, a kiedy podchodził do drzwi, narzucił na plecy lnianą marynarkę. Szybko przejechał palcami po długich kręconych włosach i zapukał.

Jack zmusił się do uśmiechu.

– Jest późno. Czym zasłużyłem na wizytę?

– Daj spokój. – Dolby rozłożył ręce. Uśmiechał się szeroko. Doskonałe białe zęby. Tylko takich można było się spodziewać. – Przejeżdżałem tędy i pomyślałem, że można by pogadać.

Jack odsunął się i przepuścił nieproszonego gościa.

– Może lepiej, jak porozmawiamy na osobności – zasugerował Dolby.

Jack pochylił się, potargał Bobby'emu włosy i wyszeptał mu do ucha, że czas iść na górę. Kiedy zostali sami, Dolby usiadł na poręczy kanapy. Jack nie protestował, bo wyglądało na to, że Wilkins długo nie zabawi.

– Jak wyszedł tekst z konferencji prasowej? – zapytał Jack.

– Dobry, jest na stronie internetowej, ale teraz potrzebujemy więcej.

Jack się zmieszał.

– To znaczy?

Naczelnny uśmiechnął się protekcyjnie, jak to zwykle on.

– Słuchaj, teraz to stara sprawa. Wiesz, co sprzedaje gazety? Gniew, właśnie to. Ludzie giną, a gliniarze nie potrafią złapać zabójcy, ale to można znaleźć sobie w Internecie. Może ruszyć z kampanią? Nastraszyć tutejszych. Musimy zrobić tak, żeby gazeta znowu się za czymś opowiedziała.

– I tym sposobem jest szerzenie paniki? – zapytał zaskoczony Jack. – Policja nie powinna marnować czasu na walkę z prasą, powinna się skupić na łapaniu zabójcy.

– Aleś ty, do cholery, szlachetny. – Dolby przecesał ręką włosy. – Szlachetność nie utrzyma gazety na fali. Świat się zmienił, Jack.

Dla prasy lokalnej nastały ciężkie czasy. Wiesz, jak to jest. Weszliśmy w inną kulturę niż ta, w której się uczyłeś. To teraz potrzeba chwili, więc musimy zrobić coś nowego. Chcę przeprowadzić kampanię, dobrać się policji do skóry, zapytać, dlaczego zabójca nadal grasuje na wolności.

Jack powstrzymał się z odpowiedzią, że nie trzeba go pouczać na temat polityki gazety.

– To dla mnie trudne – powiedział. – Laura jest w wydziale zabójstw, na litość boską.

– Więc odmawiasz, tak? – Wilkins szeroko otworzył oczy.

Jack domyślił się podtekstu: jest mnóstwo gorliwych młodych pismaków gotowych tym się zająć i to nie jedyny tekst do wzięcia.

Westchnął.

– Nie, nie odmawiam – wymamrotał cicho.

Dolby klepnął się po kolanach i błyskawicznie wstał.

– W porządku z ciebie gość, wiedziałem, że się zgodzisz. Możesz zrobić coś na jutro?

Jack wskazał na zegar.

– Trochę za późno.

Szef pokręcił głową.

– Trzymam na to pierwszą stronę. Już mamy tytuł i zdjęcie miejsca zbrodni. Potrzebujemy tylko dwustu słów.

– Na kiedy?

– Za godzinę.

Jack znów westchnął, potem wzruszył ramionami i kiwnął głową.

Dolby poklepał go po plecach i ruszył do drzwi. Kiedy już przekraczał próg, Jack powiedział: – Ale jeden warunek.

Dolby się odwrócił.

– Jaki?

– Podpisz to innym nazwiskiem. Ze względu na mój zbliżający się ślub, jeśli do niego dojdzie. Naprawdę wolę, żeby Laura nie wiedziała.

Kolejny błysk nieskazitelnych zębów.

– Nie ma problemu.

Kiedy drzwi się zamknęły, zapadła przytłaczająca cisza, bo Jack zdawał sobie sprawę, co właśnie obiecał: że podłoży minę pod śledztwo Laury.

Poszedł do komputera i znalazł stronę „Telegrapha”. Opis konferencji prasowej wywołał pewne zainteresowanie. Czterdzieści osiem komentarzy. Może to efekt Simona Cowella¹, ale wyglądało na to, że reportaż nie będzie prawdziwym reportażem, dopóki wszyscy nie dowiedzą się, co o nim sądzi każdy Józek z zapadłej dziury. Ale i tak je przeczytał.

Pierwsze wyrażały smutek, ale potem musiała wyjść na jaw tożsamość zamordowanej dziewczyny. Jane Roberts. Z początku to nic Jackowi nie mówiło, ale kiedy wpisy zrobiły się nieprzyjemne i zobaczył, kim jest ojciec Jane, zaczął się zastanawiać, czy to nie było coś więcej niż przypadkowy atak. Jack – reporter sądowy – już słyszał o tym facecie. Don nigdy nie pojawiał się na wokandach, ale zawsze szeptano i sugerowano, że to gruba ryba w mieście.

1 Angielski łowca talentów i producent telewizyjny (przyp. red.).

Przestał czytać, kiedy w kieszeni zadzwonił mu telefon. Na wyświetlaczu pojawił się numer Laury.

– Jak tam sprawy?

– Pytasz jako Jack chłopak, czy jako Jack reporter?

– Jack chłopak – odparł ze śmiechem.

– To był długi dzień. A jutro zapowiada się jeszcze dłuższy.

– O której wracasz do domu?

Usłyszał zmęczenie w jej głosie.

– Nie wiem. Przepraszam. Dlatego dzwonię. Jutro jest sekcja zwłok, więc będziemy mieli odprawę, a potem się okaże, co dalej. – Przerwała, zrozumiał, że mobilizuje się, żeby coś jeszcze dodać. – Powiedz Bobby’emu dobranoc ode mnie.

– Dobrze. I będę na ciebie czekał. – Kiedy się pożegnali, spojrział w stronę kuchni i przypomniał sobie, że w lodówce od paru dni stoi wino. Nie było sposobu, żeby wypełnić samotne godziny, bo czas i tak płynął powoli, ale uraczenie się alkoholem wydawało się dobrym pomysłem.

Laura zatrzasnęła komórkę i popatrzyła na Joego. Zauważył, że zacisnęła zęby, i uniósł brwi.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że idziemy się napić?

Myślała o tym przez chwilę. Poczula, że się czerwieni.

– Chodzi o Bobby’ego. Powinnam tam być ze względu na niego.

– To, że pracujesz, nie znaczy, że jesteś złą matką – stwierdził Joe. Miał życzliwą minę, łagodne brązowe oczy.

– Wiem. Tylko sądzę, że za mało dla niego robię.

– To naturalne, ale jak podrośnie, będzie z ciebie dumny.

Wszystko dobrze się skończy.

Wyciągnęła rękę i uściśnęła jego dłoń.

– Dziękuję. – Wzięła głęboki wdech. Spojrzała w lusterko wozu i rozczesała włosy, potem zmarszczyła brwi. – Wyglądam na zmęczoną.

– Wyglądasz w porządku.

– W porządku to nie znaczy dobrze. – Uśmiechnęła się.

– Okej, lepiej niż w porządku. – Zaśmiał się razem z nią. –

Atrakcyjnie, seksownie.

Cała się zaczerwieniła.

– Już dość o mnie. A co z tobą?

– To znaczy?

– Kiedy pozwolisz, żeby jakaś dama zwała cię z nóg?

Joe się uśmiechnął.

– Za bardzo analizuję sprawy, więc nic nie zdarza mi się spontanicznie.

– A Rachel Mason?

– Niby co? – Dłoń Joego znieruchomiała na klamce u drzwi samochodu.

– Wiesz, że cię lubi. Gapi się na mnie, ile razy jestem z tobą, tak jakbym wkraczała na jej terytorium.

– Chodź już. Reszta wydziału czeka – uciał.

– Unikasz tematu?

– Coś w tym stylu. – Wysiadł z samochodu.

Nadal się uśmiechał, kiedy stanęła obok niego na chodniku.

Spojrzała do góry, na ciemne niebo i odetchnęła głęboko.

Dobre stosunki z kolegami to nie tylko zachęta do pracy. To ważny element, kiedy się jest członkiem zespołu.

Ale dlaczego czuła taką niechęć do wspólnego przesiadywania w knajpie?

Popatrzyła na Joego i wrócił jej uśmiech.

– Ty stawiasz – oznajmiła i poszła do drzwi pubu.

Rozdział 15

Jeszcze raz przewinął taśmę. Robił to od dziesięciu minut.

W wiadomościach był inspektor Carson. Poważne spojrzenie w kamerę.

„Nie możemy jeszcze ujawnić szczegółów zabójstwa, ale oświadczam, że ten, kto dokonał tej okrutnej zbrodni, musi zostać schwytyany”.

A potem przypomnienie konferencji prasowej sprzed trzech tygodni, obrazy zrozpaczonego Corleya. Och, jak mu się to

podobało. Ale kiedy będą gotowi ujawnić więcej?

Obraz wrócił mu do głowy. Tym razem córka Corleya. Mniej walczyła niż Roberts. Krzyk, a potem płacz. Prawie się poddała, to było zbyt łatwe. Jej wybór. Zły wybór. Mogła iść inną drogą albo bardziej walczyć, ale wołała się poddać, tak jakby miał ją tylko obmacać i uciec. Ale on jest inny. Powinna to rozumieć.

Znów się podniecił. Oddychał szybko, wiedział, że znowu musi popatrzeć na Jane, ale coś było nie tak, nie tak jak się spodziewał.

Poszedł do gabinetu. Nieźle go sobie urządził pod schodami; pochyłość wygładził płytą gipsową i tapetą. Było ciasno, więc kolanami robił niebieskie ślady na ścianie, obracając się na fotelu. Nie mógł się cofnąć dalej, ale miał poczucie prywatności i oddzielenia od reszty domu.

Czuł, jak jego przestrzeń się zasklepia, kiedy zamknął za sobą drzwi. Światło ekranu omywało mu twarz jasnym migotaniem, głowę miał wypełnioną łagodnym buczeniem wiatraka w komputerze.

Zazwyczaj lubił ciemność, ograniczoną przestrzeń, ale dziś było inaczej. Jane miała być finałem, szczytem, ale nie czuł żadnej różnicy w porównaniu z tym co poprzednio.

Zamknął oczy. Czuł syk uchodzącego ciśnienia, jak z nieszczelnego zaworu. Próbował to stłumić, ale nie mógł; to tak jak z piosenką odtwarzaną w myślach bez końca. Można próbować nie zwracać na to uwagi, ale w końcu rytm wchodzi ci do głowy jak cholera i musisz po prostu dopasować się do niego. Ale, o Chryste, te myśli o niej. Jej przerażona twarz, krótkie piski tłumione jego ręką twardo trzymaną na jej szyi, zaciskaną, jej gładka skóra z siniakami. Oddech przerodził się w krótkie sapnięcia, głośne w małej zamkniętej przestrzeni.

Dłoń powędrowała do paska, ale się powstrzymał. Nie marnuj tego, nie tutaj.

Wszedł na stronę internetową lokalnej gazety i przebiegł wzrokiem reportaż. Widział oburzenie w komentarzach, ale potem przeczytał szyderstwa na temat Jane. Inaczej ją zapamiętał. Szelest

jej włosów, łagodny zapach perfum, gdy wciskał ją w ziemię, ryk jego myśli, kiedy ją chwycił. Szamotanina. Walka.

Odetchnął głęboko. Musi się uspokoić. Musi zakończyć projekt. Jane miała być ostatnia, ale żądza nadal w nim płonęła. Nie wyglądało na to, że już skończył. Potrzebny mu ostatni szczyt, żeby zbliżyć się do natężenia z pierwszego razu. Powinien zadośćuczynić tej żądzy.

Ale trudno nie myśleć o Jane. Młoda kobieta. Piękna. Wystraszona. Ziemia. Widział bieganię w komendzie. Nadsięgnęli ważniacy, a i tak nie zauważyli powiązania. Jane i Deborah. Musi zrobić więcej.

Pod artykułem zobaczył adres mailowy reportera. Czas przemówić do społeczeństwa. Zawsze to planował.

Jego palce zaczęły stukać w klawisze, ciche klikanie odbijało się echem w małym gabinecie.

Rozdział 16

Jack czytał słowa na ekranie, jego ruchy stały się powolne. Połączył artykuł Dolby'ego dociekający, dlaczego zabójca nadal jest na wolności, materiał z konferencji prasowej i tekst, który oddał wcześniej. Rano ten zlepek pojawi się w gazecie. Właśnie otworzył drugą butelkę wina i zaczęło mu wirować przed oczami, a palce niezdarnie poruszały się po klawiszach, kiedy wchodził na stronę „Blackley Telegraph”, żeby przejrzeć ostatnie komentarze.

Kiedy strona się ładowała, napił się jeszcze wina. Jego nazwisko było wypisane wielkimi literami na górze. Zobaczył, że złośliwości pod adresem ojca Jane wzięły górę nad współczuciem. Niektórzy nawet patrzyli na to pod kątem rasistowskim, przedstawiali jedną z grup etnicznych jako potencjalnych podejrzanych. Jack wiedział, że komentarze są moderowane, ale Dolby zazwyczaj podchodził do tego liberalnie, bo przecież zółć nakręca licznik wejść na stronę.

Już miał wyłączyć komputer, kiedy pojawiło się powiadomienie, że nadeszła nowa wiadomość. Przeszedł do odebranych. Spodziewał się jakiejś oferty fałszywej kuracji, ale

znalazł tam list zatytułowany *Ślepota*.

Zaczął czytać: „Jacku Garretcie, piszesz nie tę historię. Więc kolejna kobieta zginęła w Blackley, zwyczajna córka-dziwka największego bandziora w mieście. Moje przesłanie do niego brzmi: też niszczyłeś życie, no to jak się teraz czujesz? Obaj ojcowie. Obaj grzesznicy.

Wejźdź na link, wygraj nagrodę, bo oni nie wejdą, gwarantuję, ci specjaliści chłopcy w niebieskim. Tak, poświęć myśl dziewczynie w lesie, która obżerała się na ściółce, ale nie rozważaj tego za długo, potem pomyśl o tacie, który wreszcie poczuł ból”.

Jack zaskoczony odstawił wino. To dopiero mocny materiał. Sprawdził adres mailowy. Z Google, więc prawdopodobnie trudno będzie wysledzić właściciela.

Rozparł się na krześle i zaczął skubać wargę. Reportaże kryminalne z pewnością przyciągają sporą liczbę świrów, od tych, którzy siadają z tyłu sali sądowej, żeby sobie popatrzeć, po tych, którzy bezmyślnie wysyłają paranoiczne maile. Ale skąd odniesienie do obżerania się na ściółce? I jakie jest powiązanie między dwiema zamordowanymi dziewczynami? Policja sugerowała, że to przypadkowe ofiary, że wszystkie kobiety są zagrożone.

Jack rozejrzył się za notatnikiem, poczuł znajome drżenie palców z podekscytowania. Jeśli gliniarze ukrywają jakieś fakty, musi się o tym dowiedzieć.

Wcisnął przycisk odpowiedzi i napisał: „Obżerała się na ściółce. Co chciałeś przez to powiedzieć?” Stuknął „Wyślij” i pociągnął jeszcze trochę z kieliszka. Zastanawiał się, co przyjdzie w odpowiedzi. Nie musiał długo czekać.

„Miło widzieć, że jesteś czujny, Jack, ale to tylko między tobą i mną. Jeśli powiesz policji, dowiem się. Słyszę szept. A co sądzisz o wierszu, odzie do Jane: Co to jest co chwyta mnie, Zimne ręce trzymają mnie, Bo przyszła Śmierć, każdy wie, Piekło za chwilę pochłonie cię.

On zapcha usta nie powiesz nic, On zwiąże nogi nie będziesz iść, On zwiąże ręce byś nie drapała, On zamknie ci oczy

byś nie widziała”.

Jack znów napił się wina. Wyglądało na to, że reportaż nabrał rozpędu.

Rozdział 17

Światło padało zza odsuniętej zasłony, Jack jęknął. Uniósł głowę nad poduszkę, zdawało mu się, że łóżko się kołysze. Nie powinien otwierać tej drugiej butelki. Oblizął wargi – smak wina.

Wyciągnął rękę, żeby poczuć kształtne ciało Laury albo rozrzucone włosy, ale nic, pusto. Zerknął na budzik. Ósma. Znowu padł na poduszkę. Był ocieężały, szybkie ruchy wywoływały ból pod czaszką. Leżał na plecach, nasłuchiwał krzątanimy Laury na dole, trajkotania z Bobbym albo hałasu suszarki do włosów, ale było cicho.

Próbował sobie przypomnieć wczorajszy wieczór. Nie pamiętał, jak Laura wróciła do domu, ale pamiętał ją obok siebie, w łóżku, dotyk jej nagiej skóry, cieplej i bliżej. Zrzucone ciuchy leżały na podłodze, czuł kwiatowy zapach jej perfum.

Wygramolił się z pościeli i poczłapał do pokoju Bobby’ego, żeby sprawdzić, czy mały nie śpi. Spał. Ciemne włosy sterczały znad kołdry z drużyną piłkarską Anglii – pozostałości po dziecięcym szale na tle World Cup sprzed roku. Jack przetarł oczy. Teraz musi wszystko robić szybko, a nie miał ochoty na pośpiech.

Lekko poszturczał Bobby’ego, aż chłopiec zaczął się kręcić. Wtedy wskazał szkolny strój rozłożony przez Laurę.

– Czas się zbierać. – Jego głos nadal brzmiał sennie.

To będzie trudny poranek.

Laura przeciskała się przez salę operacyjną z kawą w ręku. Uderzył ją zapach przetrawionego alkoholu, wspomnienie wieczornej wyprawy do pubu. Wszyscy mieli oczy bardziej zapuchnięte niż poprzedniego dnia. Poranki przy śledztwach w sprawach zabójstw są zawsze najtrudniejsze, bo przed śledczymi rozciągają się godziny niepewności.

Podeszła do Joego. Podniósł na nią wzrok i się uśmiechnął.

– Miałaś kłopoty, że za późno wróciłaś?

– Jack już leżał w łóżku. – Odwzajemniła uśmiech. – Dobrze się bawiłam. Dziękuję, że mnie namówiłeś, żebym poszła. – Upiła łyk kawy i skinęła głową w stronę kilku kartek leżących przed Joem. – Coś nowego?

Spojrzał na papiery i pokręcił głową.

– Nie ma się czym podniecać. Po prostu telefony z wczorajszego wieczoru. Jeśli Don Roberts przez noc nie zmienił zdania, wszystko co mamy, to informacje od jej przyjaciółek.

– To kiedy ostatni raz widziano Jane?

– W zeszłą sobotę. Cotygodniowa wieczorna wyprawa, szła do przyjaciółki, do domu. Czekały na nią też inne dziewczyny, ale się nie pojawiła. Dzwoniły do niej, Don powiedział, że nie wie, gdzie jest córka i żeby się nie martwiły. No to wyszły same. Niektóre wysłały jej SMS-y, ale nie przejmowały się, że nie dostają odpowiedzi.

– Nie wyglądają na szczególnie zaprzyjaźnione – zauważyła Laura.

– Przywykły do tego, że Jane znika – wyjaśnił Joe, sięgając po jej zdjęcie. – A jej były chłopak nie był taki bardzo były. – Podał Laurze fotkę młodego mężczyzny. Zdrowe zęby i skóra, ciemne włosy zaczesane na czoło. – Adam Carter. Udawali, że są osobno, ale nadal ze sobą chodzili. Musieli się kryć z tym przed Donem.

– Dlaczego?

– Potem się dowiemy – odparł Joe. – Ale to dlatego przyjaciółki się nie martwiły. Myślały, że jest z Adamem.

– Więc chłopak jest świadkiem czy podejrzanym?

– Wszyscy są podejrzeni. O Adamie wiemy tylko tyle, że właśnie skończył studia i próbuje znaleźć pracę. Przyjaciółki Jane chyba go lubią, sądzę jednak, że to niewiele znaczy.

– Ale jeśli ma coś wspólnego ze śmiercią Jane, to skopiował poprzednie zabójstwo, żebyśmy myśleli, że Jane zabił ten, kto zabił Deborah. Skąd student mógłby tyle wiedzieć o morderstwie Deborah?

Joe się uśmiechnął.

– Nie powiedziałem, że jest wysoko na liście.

– Przynajmniej mamy listę. – Laura postukała w zdjęcie palcem. – A co mówią w jej miejscu pracy?

– To samo co przyjaciółki. Nie pojawiła się, a kiedy zadzwonili do domu, rozmawiali z jej ojcem. Identyczna odpowiedź, że nie wie, gdzie ona jest, ale żeby się nie martwili.

– Nie chwytam. – Laura pokręciła głową. – Dlaczego Don odcina wszystkich, kiedy jego córka znika? Czy jego nienawiść do nas jest ważniejsza niż odnalezienie Jane?

– To pewnie bardziej skomplikowana sprawa. Ludzie, którzy tak się zachowują, często mają coś do ukrycia.

– To co, myślisz, że Roberts może być zamieszany?

– Nie wiem, musimy sprawdzić. – Joe pokazał na dwóch detektywów z tyłu pokoju, którzy przeglądali papiery i patrzyli w ekran komputera. – To ich zadanie.

– Co oni sprawdzają? – zapytała Laura.

– Stare raporty policyjne, szukają wszelkich zarzutów wykorzystywania seksualnego w rodzinie.

– Myślisz, że chciała go zdemaskować?

– Może nie było czego demaskować – odparł Joe. – Ale lepiej, żebyśmy pogrzebali i niczego nie znaleźli, niż gdybyśmy nie grzebali i coś przeoczyli. Mnóstwo facetów, którzy zabili swoje córki, zrobiło to, bo już miały donieść na nich na policję. To mieszanek zdrady, wstydu i nagiego strachu, że zostaną pokazani takimi, jakimi są naprawdę. Więc atakowali.

– I wpychali córkom między nogi liście i ziemię? – Laura uniosła brwi.

– Hm, to całkowita skrajność. Ale tak samo jak z jej chłopakiem, to mogła być część maskowania, żeby odciągnąć uwagę, żeby wyglądało na to, że obu zabójstw dokonała jedna osoba.

– Ale nie ujawniliśmy szczegółów tamtego zabójstwa – zauważyła Laura.

– Więc musimy sprawdzić, czy gdzieś nie było przecieku. Don może mieć jakichś przyjaciół w policji. Owszem, to oszust i

bandyta, ale niektórzy gliniarze myślą, że mogą wydobyć pożyteczne informacje, jeśli będą w dobrych stosunkach z wrogiem. W rzeczywistości jednak to coś więcej. To więź, to tak jakby przeciwnicy podawali sobie ręce poza ringiem. Widziałem już mnóstwo twardych glin, którzy skończyli, pracując dla kancelarii adwokackich i ciężko tyrają, żeby szemrane typy zostały na wolności. Znam takiego jednego. Jeździ jako kierowca w kancelarii adwokackiej. Został taksówkarzem kryminalistów, zabiera ich i podwozi do sądu.

– To poniżające – powiedziała Laura.

– Tak, ale tu nie chodzi o pieniądze, tylko o to, żeby utrzymać się w grze, bo chociaż gliniarze lubią walczyć z przestępcami, to ponad wszystko uwielbiają grę i tęsknią za nią, kiedy przechodzą na emeryturę.

– Więc myślisz, że Don Roberts mógł dostawać informacje o tym, jak zmarła Deborah Corley, i zrekonstruować to, żeby odsunąć od siebie podejrzenia?

– To tylko jeszcze jedna możliwość.

Laura usiadła i westchnęła.

– To może nie mieć końca.

– Gorzej. Dowiemy się, że Don Roberts nie skopiował zabójstwa, kiedy zginie jeszcze ktoś, bo byłby głupi, gdyby miał to powtarzać tylko dla efektu.

– No to go aresztujmy.

Joe pokręcił głową.

– Nic z niego nie wyciągniesz. Nawet jeśli jest niewinny, nie puści pary z ust.

– To co teraz? Wizyta u jej chłopaka?

Joe spojrzął na zegarek.

– Za kilka godzin.

– Dlaczego tyle czekać?

– Bo musimy iść na sekcję zwłok. – Wskazał drzwi.

Laura obejrzała się i zobaczyła, że Carson kiwa na nich ręką. Wzięła głęboki wdech. Poczowała mdłości – za wczesna godzina, żeby patrzeć, jak rozcinają młodą kobietę.

Rozdział 18

Jack rzucił kluczyki na stół. Już odwiózł Bobby'ego do szkoły. Poszedł do kuchni zrobić sobie kawę. Zatrzymał się tylko, żeby włączyć laptop. Potrzebował jeszcze coś na kaca, alkohol z poprzedniego wieczoru ciągle mu krążył w żyłach.

Para z kubka ogrzewała mu twarz, kiedy stał nad komputerem. Zatrzymał rękę nad zaśmiecającym stolik stosem ulotek z ofertami weselnymi. Nie dzisiaj, powiedział sobie i odsunął je na bok.

Kiedy maszyna już odpaliła, zaczął dzień tak jak zawsze, od szybkiego przeglądu stron gazet, tytułów dnia. Tym razem szukał jednak czegoś ekstra, reportażu o Jane Roberts. Próbował znaleźć coś, co rzuciłoby światło na to, co dostał w wieczornych mailach. „Obzerała się na ściółce” i „On zapcha usta nie powiesz nic”.

Zaczął od gazet ogólnokrajowych, ale było tak, jak się spodziewał: nic wielkiego. Media przybyły na konferencję prasową, to jednak nie przełożyło się na objętość tekstów. Syndrom tego, co spoza Londynu. Musi być naprawdę źle, żeby to zauważyła stołeczna prasa.

Przeszedł do dzienników z północy. Sprawa zabójstwa była bardziej wyeksponowana, mimo to brakowało szczegółów, a niektóre gazety po prostu przedrukowały reportaż z „Telegrapha”.

Jack wrócił do strony „Blackley Telegraph”, sprawdził czy są uaktualnienia, ale nic się nie zmieniło. Komentarze tak się rozrosły, że czytanie wpisów wyglądało tak, jakby się brało udział w linczu. Anonimowi użytkownicy pluli nienawiścią, niektórzy krytykowali policję, twierdząc, że ta nie potrafi złapać seryjnego zabójcy, bo jest za bardzo zajęta wypełnianiem papierów.

Ale nikt nie wspominał, że coś było w ustach ofiary.

Otworzył drugi mail i jeszcze raz przeczytał wierszyk.

„On zapcha usta nie powiesz nic, On zwiąże nogi nie będziesz iść, On zwiąże ręce byś nie drapała, On zamknie ci oczy byś nie widziała”.

To znamienne słowa. Jane musiała być związana i

zakneblowana, nie dało się wyciągnąć innego wniosku, ale gazety o tym nie wspominały, nie było żadnych plotek ani aluzji na konferencji prasowej sprzed dwóch dni. Więc jeśli w słowach o „obzeraniu się” tkwiło ziarno prawdy, nadawca maila musiał być blisko śledztwa.

Potem coś mu przyszło do głowy. We wczorajszej wiadomości znalazł przytyk, że coś przeoczył. Zastanawiał się nad tym tak długo, aż zrozumiał. Usiadł i wpatrzył się w ekran. A jeśli maile wysyłał sam morderca, który próbował wykorzystać prasę jako trybunę?

Wypił jeszcze jeden łyk kawy, zamyślił się nad tym. To nie byłby pierwszy raz. Wtedy, jak na dany znak, nadszedł kolejny mail. Tytuł od razu przyciągnął jego uwagę. „Kolejna gryzie ziemię”.

Gryzie ziemię?

Kliknął na mail i czytając go, zdał sobie sprawę, że nie chodzi o dziewczynę znaną wczoraj, ale o ofiarę sprzed kilku tygodni, córkę gliniarza, Deborah Corley.

„Jack, jesteś powolny. Nie bawi mnie, że gazety nie piszą o szczegółach. Wiem, że chłopcy w niebieskim myślą, że muszą trzymać w tajemnicy wszystko, co się dzieje, że wystraszą ludzi, ale ja sędzę, że ludzie powinni wiedzieć. Bo jak inaczej złapią zabójcę? Cha, cha.

Pomyśl o uroczej małej Deborah, pobłogosławionej darami życia. Szkółka niedzielna, lekcje jazdy konnej, śliczna na fotografii prasowej, i taka być powinna, ze wszystkim, co życie jej dało. Ale nic więcej. Deborah uśmiechnęła się po raz ostatni, uciszona na zawsze, jej śmiech zduszony. Próbowwała krzyknąć, ale nie mogła.

Napisz o tym Jack. Napisz prawdziwą historię. Powiedz światu. Bo jak nie ty, to zrobi to ktoś inny”.

Jack oparł się, przetarł oczy. Znów mocny materiał. Ale co to znaczy: „jej śmiech zduszony”?

Wypił jeszcze jeden łyk kawy, zastanawiając się nad odpowiedzią. Może widzi w tym coś więcej niż tam jest, może tylko jakiś czubek próbuje go zmusić, żeby napisał nieprawdę,

sugeruje, że zna sprawę? Jack nie zamierzał zmarnować sobie opinii, opierając się na anonimowych aluzjach.

Odstawił kubek i wystukał odpowiedź.

„Mogę pisać reportaż, jeśli dasz dowód, że znasz sprawę. Co masz? Jack?”

Czekał, bębnił palcami o kolana, oczy miał utkwione w ekran. W domu panowała cisza. Nagle rozległo się brzęknięcie. Kolejna odpowiedź.

„Zapytaj ich o Emmę”.

Tylko tyle.

Ale kto to jest Emma i kim są „oni”?

Rozdział 19

Carson pierwszy wszedł do prosektorium, z hukiem pchnął drzwi, Laura i Joe szli za nim. Pomieszczenie znajdowało się w piwnicy w starym budynku szpitalnym. Było wyłożone popękkanymi kafelkami, zielonymi i kremowymi, a nad drzwiami widniał łaciński napis: *Hic locus est ubi mors gaudet succurrere vitae*. To jest miejsce, gdzie śmierć raduje się, pomagając żywym.

Wchodząc, nabrała powietrza, wahadłowe drzwi nawiewały odór płynów do czyszczenia i gazów żołądkowych. Sięgnęła do kieszeni po małą tubkę maści Vicksa, którą nosiła w torebce na takie okazje, szybko maznęła nią sobie pod nosem i najgorsze minęło. Nigdy nie przyzwyczai się do zapachów świeżo otwartego żołądka, smrodu zepsutego jedzenia, wymiocin i gazów.

Joe Kinsella był inny. Cichy, z jakimś intelektualnym dystansem, tak jakby przyszedł tutaj, żeby coś zobaczyć, a nie tylko przejść ciężką próbę.

Laura radziła sobie z sekcjami zwłok, ale z trudem. To co innego niż znajdowanie ciała albo zmagania na służbie z rzygającym pijakiem. Te sytuacje trwały tylko chwilę, a człowieka nakręcała adrenalina. Sekcje zwłok były chłodnym i wykalkulowanym działaniem, kontakt ze śmiercią po wcześniejszym ustaleniu terminu. Tu miało się dużo czasu, żeby o tym myśleć. Ona nie należała do tych, co potrafią jeść kanapkę nad zwłokami, i nie ufała żartownisiom. Ale to była ich metoda, żeby

radzić sobie z trudną sytuacją.

Carson czuł się nieswojo, martwił się, że zasłabnie, ale on – taki wielki macho – w życiu by się do tego nie przyznał. Chciał odwalić tę robotę i wyjść.

Jane Roberts leżała na stole – pochyłej tacy z podniesionymi krawędziami, tak ukształtowanej, żeby krew spływała do kanalizacji i nie kapała na podłogę. Była naga, tylko na dłoniach miała plastikowe worki na dowody. Pozostało w niej trochę podobieństwa do atrakcyjnej dziewczyny, która zaginęła. Brzuch wydęty, skóra w zielonkawym odcieniu, twarz nabrzmiała. Wyraziste kości policzkowe i kapryśne usta – tak dobrze widoczne na zdjęciach – zniknęły na zawsze.

Anatomopatolog, doktor Pratt, chodził wokół ciała. Próbował zyskać całościowe spojrzenie, zanim zacznie ciąć. Miał na sobie zielony kombinezon i coś, co przypominało kask spawacza, chociaż przyłbica nadal była podniesiona. Wzburzone siwe włosy zabawnie sterczały mu na czubku głowy, ale był tutaj najlepszy i tylko to się liczyło.

Spojrzał w ich stronę i uśmiechnął się do Laury.

– Ach, kawaleria. I McGanity. Miło cię widzieć. Słyszałem, że wepchnęli cię w mundur na jakiś czas.

Laura uśmiechnęła się na powitanie i natychmiast podeszła do wezłowania prosektoryjnego stołu. Stąd więcej zobaczy, choć widok będzie przerażający, kiedy piła wgrzyzie się w czaszkę i skalp opadnie jak czepek pływacki. Jedyna zaleta, to że wentylatory zawsze znajdują się u wezłowania stołu, więc zapachy są zwiewane w dół ciała, nie do góry. Mdleli zawsze ci, którzy stali w nogach. A Laura wiedziała, że będzie źle, bo ciało pozostawało na dworze parę dni i gazy już solidnie skotłowały się w środku.

– Więc chcecie wiedzieć, co zdążyłem sobie pomyśleć? – Doktor Pratt wyciągnął długopis z kieszeni kombinezonu. – Podejdźcie bliżej.

Carson stanął obok niego.

– Popatrzcie tutaj. – Doktor wskazał nadgarstki Jane, tuż nad plastikowymi workami na dowody rzeczowe.

Laura dołączyła do nich. Zobaczyła brązowe ślady, znaki otarć. Wiedziała, co to znaczy: więzy.

– Związana, tak jak poprzednia ofiara – powiedziała.

– Nie związana – odparł doktor.

Carson zmarszczył czoło.

– To znaczy?

– Więzy z materiału albo ze skóry zostawiłyby bardziej wyrównane pierścienie – wyjaśnił Pratt. – Te znaki wskazują na głębsze obtarcia, jakby na kościach nadgarstków było coś twardego. – Wskazał prawy przegub. – Co wam przypominają te obtarcia?

Laura przyjrzała się dokładniej. Takie ślady powstają, kiedy podczas aresztowania trzeba ciasno zakładać kajdanki. I czasem powodują otarcia, bo przesuwają się po skórze.

– Kajdanki – powiedziała.

Doktor się uśmiechnął.

– Otóż to.

– Więc coś się zmieniło – stwierdziła. – Pierwsza dziewczyna była związana czymś miękkim. Może ktoś to naśladowuje?

– Może. – Joe postukał się palcem w brodę. – Ale przez to trudniej będzie znaleźć zabójcę.

– Jak to?

– Jeśli była skuta, niewiele tam się znajdzie. – Wskazał worki przywiązane do rąk. Były w nich wszelkie szczątki, które mogłyby wypaść spod paznokci albo z dłoni podczas transportu ciała. – Kiedy ludzie są duszeni, zabójca używa obu rąk, a ofiara drapie, walczy, szarpie się i często na jej palcach znajduje się włosy napastnika. Jeśli z włosami dostanie się tam trochę skóry, można zrobić test DNA.

Ale jeśli jest skuta, nie ma niczego z tych rzeczy.

– Została uduszona? – Carson popatrzył na doktora Pratta.

– Jeszcze nie jestem tego pewien. Będę wiedział, jak ją otworzę, ale tak sędzę. – Popatrzcie na jej policzki. Widzicie te małe czarne plamki?

Laura przyjrzała się dokładniej, próbowała patrzeć poprzez odbarwienia i opuchliznę powstałe na skutek tego, że ciało leżało kilka dni na dworze. Wreszcie je zobaczyła, małe kropki.

– To wybroczyny – oznajmił Pratt.

– Pęknięte naczynia krwionośne?

– Otóż to – zgodził się doktor. – Ucisk na szyję zwiększa ciśnienie w żyłach i naczyniach włoskowatych i wtedy, kiedy podejda na wierzch, po prostu pękają. Nie zaglądałem jeszcze pod powieki ani w nozdrza, ale będzie tam trochę tego, jestem pewien. I widzicie tę zaschniętą krew wokół nozdrzy?

Laura pokiwała głową.

– I znów, bardziej prawdopodobne, że to od duszenia niż od ciosu.

– Została uduszona rękami? – zapytał Carson.

Patolog wypuścił powietrze i przytaknął.

– Od razu się domyśliłem, że udusiła ją osoba leworęczna.

Inspektor wyglądał na zaskoczonego.

– Skąd wiesz?

– Popatrz na siniaki na szyi.

Wszyscy podeszli o krok bliżej. Laura zobaczyła parę brązowych śladów pod żuchwą.

– Widzicie ten kolor? Biedna dziewczyna leżała porzucona na dworze od weekendu, więc te ślady mogły powstać wskutek procesu gnilnego. To się czasem zdarza, że robią się ślady podobne do siniaków. Jak tylko je potnę, to zdołam określić, czy to siniaki i czy powstały przed śmiercią.

– Sporo ich tutaj – zauważyła Laura.

– Tak, ale głównie z prawej strony. Albo, jeśli wolisz, od lewej strony zabójcy. Z lewej są tylko dwa. Wyobraź sobie lewą dłoń wokół szyi. Tutaj trafiłby kciuk. Znacznie więcej siniaków jest po drugiej stronie, gdzie była reszta palców. To chwyt lewą ręką. Siniaków jest jednak mnóstwo, więc musiał zmieniać ułożenie dłoni.

– A jeśli był nad jej głową, kiedy leżała na ziemi, i patrzył na jej ciało? – zapytał Carson. – Wtedy mielibyśmy chwyt prawą

ręką.

Pratt pokręcił głową.

– Popatrz, siniaki są tuż pod żuchwą. To pokazuje, że nacisk szedł do góry. I że zabójca użył jednej ręki. Chwyty oburęczny obejmowałyby szyję.

– Nie zgadzam się z wnioskiem, że zabójca jest leworęczny – wtrącił się Joe.

Pratt obejrzał się zaskoczony.

– Jak to?

– Miałyby skaleczenia i siniaki na krzyżu.

– Mów dalej, sierzancie, oświeć mnie.

– Kajdanki – rzucił Joe. – Nie było ich przy poprzednim zabójstwie. Są twarde, niewygodne, a jeśli leżała na plecach, wbijałyby się jej w skórę, kiedy się szamotała.

– Ale dlaczego to takie ważne? – zapytał doktor.

– Zakładasz, że posługiwał się lewą ręką, bo jest leworęczny?

Patolog pokiwał głową.

Joe uniósł brwi.

– Myślę, że użył lewej ręki, bo prawą robił coś innego. Na miejscu morderstwa doszliśmy do wniosku, że nadal żyła, kiedy wpychał jej te śmieci między nogi, więc skoro jej nie gwałcił, kiedy umierała, to uważam, że sam się zaspokajał, dusząc ją. Szło mu to znacznie łatwiej, kiedy leżała, niż gdyby przycisnął ją do drzewa. Bez trudu mógł ją też przewrócić.

– I w ten sposób kajdanki jeszcze bardziej wbiłyby się jej w plecy – dodał Pratt.

Joe pokiwał głową.

– Tak sądzę.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. – Doktor machnął na asystenta, który przysiadł w kącie. – Posługacz! – krzyknął. – Chodź tutaj.

Laura popatrzyła na chłopaka z kucykiem i brodą, w czarnym T-shircie pod kombinezonem. Wyglądał, jakby wieczory spędzał w Internecie, tocząc bitwy w świecie fantasy. Ale minę

miał niezbyt szczęśliwą.

Pratt nachylił się do Laury.

– To nazwa ich zawodu: posługacz – wyszeptał. – To kalka z niemieckiego i znaczy tyle co „sługa”. Ci, którzy to wiedzą, nie znoszą tego.

– Zawsze możesz zwracać się do niego po nazwisku.

Doktor błysnął okiem i się uśmiechnął.

– Ale tak jest znacznie zabawniej.

Kiedy posługacz podszedł do nich, Pratt pokazał na ciało.

– Musimy ją podnieść, żeby sprawdzić plecy.

Chłopak skinął głową w milczeniu. Nachmurzył się, patrząc na Pratta, chwycił Jane za ramię i mocno szarpnął; już nie trzeba było się z nią łagodnie obchodzić. Jane przewrócono na bok, a Laura i Joe nachylili się, żeby obejrzyć jej plecy.

Ramiona i pośladki miała blade, ale krzyż ciemny od zasinienia, tam gdzie krew opadła. Laura wiedziała, co te ślady oznaczają. Jane nie została po jakimś czasie przemieszczona na miejsce, na którym ją znaleziono. Albo tam ją zabito, albo podrzuciono wkrótce po morderstwie. W plecach widniało wgłębienie od bloku, kwadratowego kawałka plastiku podłożonego pod ciało, żeby wypchnąć klatkę piersiową i odchylić do tyłu głowę, co ułatwia nacinanie. Ale trochę niżej, przy biodrach, Laura zobaczyła otarcia, ledwie widoczne na fioletowoniebieskiej skórze, tak jak domyślał się Joe.

– Wygląda na to, że miałaś rację – zwróciła się do Joego, a ten tylko wzruszył ramionami.

– I zobaczcie barki w tym miejscu. – Patolog wskazał rany i siniaki na łopatkach. – Jeszcze jeden ślad, że duszono ją, kiedy leżała.

Powstały pod wpływem kontaktu z ziemią.

– Ale to nie znaczy, że się masturbował – powiedział Carson. – Może po prostu dusił ją, używając silniejszej ręki. A Don Roberts?

Jest leworęczny?

– Nadal trzymasz się tej hipotezy? – zapytał Joe.

– To nie jest główna hipoteza, ale nie wykluczę jej, dopóki nie będę musiał.

Joe spojrzął na Pratta.

– Możemy być pewni, że to było uduszenie?

– A niby co innego?

– W usta miała wepchnięte mnóstwo liści i ziemi. Może się zadławiła?

Doktor znów wskazał szyję denatki.

– Prawdopodobnie żyła, kiedy powstały te ślady, więc stawiam raczej na uduszenie. Ponadto wyglądałaby gorzej, kiedy ją znaleźliście, bo język i wargi obrzmiałyby, kiedy gniła w lesie. Możliwe, że odciski ręki na szyi powstały, kiedy ją przytrzymał, ale tego nie będziemy wiedzieli, dopóki nie rozkroimy szyi, żeby sprawdzić, czy kość gnykowa nie jest złamana. Jeśli nie jest, to tak, pewnie się zadławiła.

– Co to za różnica, Joe? – wtrącił się Carson.

Joe zamyślił się nad tym.

– Sądzę, że jeżeli się zadławiła, to przypadkowy atak na tle seksualnym jest mniej prawdopodobny. Dławienie to agresywny akt seksualny. Często zdarza się, że to podnieca socjopatów. Zapychanie tchawicy? To nie to samo doznanie dotykowe, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi.

Doktor przez chwilę przygryzał wargę, potem wskazał na Laureę.

– Mogłabyś wskoczyć na zapasowy stół?

Spojrziała na drugą stalową tacę w dalszej części pomieszczenia.

– Muszę?

– Czy to pomoże w śledztwie? – Carson poszedł w stronę stołu, czekał na przedstawienie.

Laura zrobiła głęboki wdech i zamknęła oczy.

– W porządku. – Chwyciła za rant i wgramoliła się na stół prosektoryjny. Przez kostium czuła chłód stali, buty głośno brzęknęły.

Próbowała nie myśleć o tych wszystkich ludziach, którzy tu

przed nią leżeli. Kiedy oparła głowę, włosy rozłożyły się na metalu.

– Jeśli moja lewa ręka jest silniejsza, a ofiara leży na plecach – zaczął Pratt – z której strony bym podszedł, żeby ją udusić?

Carson popatrzył na Joego, zanim odwrócił się znowu do Pratta.

– Z lewej strony McGanity, a z twojej prawej, tak że twoje lewe ramię jest nad nią i naciska.

Pratt skinął głową i stanął obok Laury. Patrzyła, jak patolog wyciąga rękę. Przelknęła, kiedy objął jej szyję dłońmi i łagodnie nacisnął.

– Patrzcie, jak równo moja ręka układa się na jej szyi – ciągnął doktor. – Zakrzywienie dłoni, palec wskazujący i kciuk są dokładnie pod jej szczęką i gdybym chciał, mógłbym nacisnąć prosto w dół. Byłoby jej trudno poruszać głowę. – Uśmiechnął się do Laury. – Czego, oczywiście, nie zrobię. – Odsunął się i podszedł z drugiej strony.

Laura na chwilę zamknęła oczy, czując, jak jego dłoń znowu chwyta ją za gardło.

– Popatrzcie teraz na moją lewą rękę – mówił dalej. – Muszę wykręcić ramię, żeby położyć ją równo na szyi, bo moje lewe ramię jest przy jej boku, a nie nad nią. Mógłbym przysunąć jej głowę do siebie, ale nacisk byłby inny. Pchałbym jej głowę do tyłu, nie w dół, i Laura dałaby radę kręcić głowę, co prawdopodobnie utrudniłoby mi jej uduszenie. Więc najbardziej naturalnym dla mnie sposobem na uduszenie kogoś z tej strony lewą ręką, byłoby wygięcie dłoni tak, żeby koniuszki palców znalazły się tuż pod jej żuchwą, bardziej pionowo, z kciukiem lekko w dole, a nacisk szedłby od nasady kciuka, a nie z zagięcia reszty palców.

– Mógłbyś stanąć nad nią – zasugerował Carson.

– Mógłbym – przyznał Pratt – ale zabójca tego nie zrobił. – Wskazał ciało Jane Roberts. – Popatrzcie na siniaki od kciuka zabójcy.

Są znacznie niżej niż siniaki zrobione przez palce, co sugerowałoby, że zabójca był po jej prawej stronie.

– Po co miałby to sobie utrudniać? – zdziwił się Carson.

Pratt wskazał na Joego.

– Prawidłowo to przedstawił. Prawą rękę napastnik miał wolną, żeby sobie ulżyć. – Odszedł od stołu.

Laura płynnie zeskoczyła na podłogę. Wyprostowała się i zobaczyła, że posługacz uśmiecha się do niej – zdawał sobie sprawę z jej zakłopotania. Odwróciła się.

– Więc jak tylko rozkroję szyję, będę wiedział na pewno – oznajmił doktor.

– Zacziesz od tego? – zapytał Carson.

Pratt niecierpliwie zaprzeczył.

– Wszystko w swoim czasie. Najpierw muszę rozłupać czaszkę i rozpruć klatkę piersiową. Chcecie poczekać w pobliżu?

Inspektor spojrział na drzwi, potem znów na Jane Roberts.

– Ile to potrwa?

– Parę godzin.

Carson pokręcił głową.

– Nie, dziękuję, doktorze, będziemy kontynuować dochodzenie. Zadzwoń, kiedy dojdiesz do jakichś wniosków.

Pratt skinął Carsonowi głową i mrugnął do Laury.

– Do zobaczenia.

Carson popatrzył na Laurę, potem na Joego i poszedł do drzwi. Kiedy się zorientował, że nikt za nim nie idzie, odwrócił się i huknął: – No, dalej, nie marnujmy dnia.

Joe posłał Laurze znaczący uśmiech.

– Robi się wrażliwy na stare lata – mruknął i ruszył za szefem.

Laura patrzyła, jak patolog zaciąga plastikową przyłbicę i sięga po skalpel.

Odwróciła się. Carson miał rację – za wcześnie, żeby to oglądać.

Rozdział 20

Jack najpierw poszedł do redakcji „Blackley Telegraph”.

Dolby był w swoim gabinecie, przed nim stał wielki kubek kawy.

– Powinieneś mi postawić tę kawę – powiedział, przeżuwając owsiany batonik z orzechami i owocami.

– Dlaczego?

– Bo mój pomysł zadziałał – odparł Dolby. – Telefony wydzwaniają od rana. Zdaje się, że twój artykuł o porażce gliniarzy dotknął czułego miejsca. Dopiero co dzwonił do mnie rzecznik prasowy policji i pytał, dlaczego atakujemy, zamiast pomagać.

– Przyznaję, masz talent. Ale owszem, winien ci jestem kawę, że nie dałeś mojego podpisu. Tylko przypilnuj, żeby czek trafił do właściwej osoby.

Dolby wrzucił paperek od batonika do kosza i zdjął przykrywkę z plastikowego kubka.

– Nie wiem, dlaczego kupuję to gówno. – Krzywiąc się, upił łyk.

– Bo czujesz się ważnym facetem, kiedy po włosku zamawiasz kawę?

Dolby wyciągnął w jego stronę palce i mrugnął.

– Dziś jesteś w formie, ale wiem, że nie przyszedłeś pogawędzić o moim brunchu. Czym mogę ci służyć?

– Czy policja prosiła, żebyśmy czegoś nie publikowali? – zapytał Jack. – Słyszałeś jakieś plotki?

– Policja i tak ze mną nie gada i zawsze coś trzyma w tajemnicy. – Zmarszczył brwi. – Dlaczego pytasz? To ty masz dostęp. Słodkie słówka się skończyły?

Jack się uśmiechnął.

– Laura nie będzie rozmawiać o takich sprawach, bo wie, że wydrukujesz wszystko, żeby tylko sprzedać gazetę.

– Dobra, na tym przerwijmy to napięcie seksualne. – Dolby uniósł ręce, żartobliwie się poddając. – Co masz?

Jack sięgnął do kieszeni i wyciągnął wydruki maili.

– Od wczoraj dostaję coś takiego.

Naczelny wziął kartki i zaczął czytać. Treść najwyraźniej przykuła jego uwagę, bo odstawił na biurko polistyrenowy kubek. Podniósł wzrok.

- Skąd nadane?
- Nie wiem. Nadeszły wczoraj wieczorem i dzisiaj rano. Dolby otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamknął je i rozparł się w fotelu, palcem stukał się w wargi.
- To może być jakaś bzdura, świr szukający sławy.
- Może. – Jack pokiwał głową. – Ale jest jeszcze jedna ewentualność.
- Mów.
- Ich autor to zabójca.
- Dolby spojrział na Jacka, potem znów na maile.
- Morderstwa przyciągają poszukiwaczy sławy.
- Oczywiście, ale możesz to wykluczyć?
- Naczelny oddał wydruki Jackowi.
- Nie puszczę tego w gazecie. Jeśli to jakiś wariat, publikacja może odnieść odwrotny skutek.
- Nie proszę, żebyś to zamieszczał teraz.
- Więc o co chodzi?
- Chcę porozmawiać z Laurą i jeśli w tym coś jest, ciekawe, czy dadzą mi dostęp na wyłączność.
- Okej, porozmawiaj z nimi, zobaczymy, co się da zrobić.
- Zakładając, że będą z nami współpracować. Ten kawałek, który kazałeś mi napisać, nie przyniósł nam popularności.
- Tak to jest z wolnymi strzelcami. Postaraj się i sprzedaj mi bombę.
- To znaczy, że będziesz musiał współpracować z gliniarzami. Przełkniesz to, Dolby?
- Jack, zrobię wszystko, żeby ludzie kupowali tę gazetę.
- O, to na pewno. Jeszcze tu wrócę. – Jack wyszedł z gabinetu, z mailami w garści.

Rozdział 21

Laura przejrzała notatki tylko po to, żeby się upewnić, że ma właściwy adres. Potrzebowała świeżego powietrza, żeby pozbyć się zapachów prosekatorium, które utkwily jej w nosie, więc poszła porozmawiać z Adamem Carterem, dawnym chłopakiem Jane.

Dom Adama ją zaskoczył. Jane Roberts była wychowywana przez kryminalistę i Laura spodziewała się, że pochodzenie dziewczyny decydowało o jej życiowych wyborach. Ale tu, proszę: przedmieście, klasa średnia, prosto i zwyczajnie, podjazd na dwa samochody, trawnik bez ogrodzenia. Od frontu biały garaż, prawdopodobnie pełen narzędzi i różnego badziewia, który czekał raczej na śmieciarkę niż na samochód. Przy oknach zamocowane sztuczne okiennice, cegły nowe i czyste.

Drzwi się otworzyły, zanim Laura do nich doszła. Sięgnęła do kieszeni po legitymację.

– Nie trzeba – powiedziała kobieta za progiem. – Zastanawialiśmy się, kiedy przyjdziecie. – Wydawała się za młoda na syna na tyle dojrzałego, żeby był chłopakiem Jane. W obcisłych dżinsach i T-shircie wyglądała szczupło. Włosy opadały jej na twarz. Odsunęła się na bok i Laura przeszła korytarzem do salonu z tyłu domu. Kobieta zniknęła w kuchni, żeby przygotować coś do picia.

Z początku Laura nie usiadła. Próbowwała ocenić rodzinę na podstawie otoczenia. Dom czysty i ładnie umeblowany, na parapecie kwiaty, za oknem mały ogródek. Zajmowała go oranżeria. Przez sklepione drzwi Laura zerknęła do jadalni. Eleganckie meble i jeszcze jeden wazon z kwiatami pokazywały, jak właściciele chcą być widziani: w drodze wzwyż.

Kobieta wróciła z filiżanką herbaty.

– Pani jest matką Adama? – spytała Laura.

– Tak. – Mów mi Tracy.

Laura wzięła herbatę i na zaproszenie gospodyni usiadła w fotelu. Przez chwilę patrzyła na Tracy i pod warstwą uprzejmości zobaczyła smutek. Kobieta miała czerwone obwódki wokół oczu, nerwowo skrobała palcem filiżankę i zarzucała włosy do tyłu.

– Proszę, rozmawiaj delikatnie z Adamem, on naprawdę jest tym wszystkim wstrząśnięty – odezwała się.

– Dlaczego zerwali?

– Nie mówił mi. – Uśmiechnęła się lekko. – Jestem jego matką, ostatnią osobą, której by powiedział.

– Ja też mam syna. Tak to się kończy?

– Ile ma lat?

– Osiem.

– Ciesz się chwilą. Będzie ci trudno, kiedy inna kobieta stanie się ważniejsza, a jedyne, co będziesz wiedziała na pewno, to że syn nic ci nie powie. – Potem jakby przypomniała sobie, z kim rozmawia. – To nie znaczy, że zrobił coś złego. Po prostu taka kolej rzeczy.

Laura nie zareagowała. Ludzie, którzy mają coś do ukrycia, zazwyczaj ujawniają więcej, kiedy próbują zapęłnić luki w rozmowie.

– Adam znalazł sobie nową dziewczynę? – zapytała Laura.

Tracy pokręciła głową i uśmiechnęła się smutno.

– Była tylko Jane. Sprowadziła kłopoty. To znaczy, nie chodzi mi o samą Jane. Była słodka, ale jej rodzina robiła problemy jej i Adamowi. – Westchnęła. – Przystojniak z niego. Teraz to zabrzmi okrutnie wobec Jane, ale nie będzie zawsze sam.

Zanim Laura zdołała jeszcze o coś zapytać, na schodach rozległ się łoskot kroków i do pokoju wszedł wysoki szczupły chłopak.

Laura stwierdziła, że Tracy nie patrzyła na swojego syna przez matczyne okulary i że aparat fotograficzny nie kłamał. Adam był przystojnym młodym człowiekiem. Trochę ponad metr osiemdziesiąt, zmierzwiłone ciemne włosy i łagodne brązowe oczy. Rzeczywiście, raczej nie zostanie sam, kiedy skończy się żałoba. Laura ukradkiem zerknęła na jego ręce, ale nie zauważyła obgryzionych z nerwów paznokci albo skórek.

– Pani z policji? – zapytał.

Skinęła głową.

Popatrzył na matkę.

– Możesz zostawić nas samych.

– Chcę zostać – odparła Tracy.

Pokręcił głową.

– Nie – powiedział, tym razem bardziej stanowczo.

Patrzyła na niego przez chwilę, potem wstała, żeby wyjść z

pokoju. Zaczekał, aż zamknęła za sobą drzwi.

– Pani przyszła w sprawie Jane – zwrócił się do Laury.

Skinęła głową.

– Tak, przepraszam, że się narzucam, ale szukamy zabójcy.

Możesz mi powiedzieć, kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

– Zerwaliśmy przed miesiącem. – Mówiąc to, odwrócił wzrok.

– Adam, nie musisz udawać. Wiemy, że nadal byliście razem. Rozmawialiśmy z jej przyjaciółkami.

Spojrzał w podłogę i pokiwał głową, a kiedy znów podniósł oczy, Laura zobaczyła, że są zaczerwienione.

– Miałem się z nią już więcej nie spotykać – wyznał.

– Dlaczego?

– Przez jej ojca.

– To znaczy?

Usiadł i oparł głowę o kanapę.

– Grożono mi – powiedział w końcu.

– Ojciec Jane ci groził?

Przytaknął.

– Nie podobał mu się zawód, który sobie wybrałem.

– Czyli?

Popatrzył na Laurę.

– Złożyłem podanie do policji.

Była zaskoczona.

– Dobry wybór.

Adam się zachmurzył.

– Don uważał inaczej. – Westchnął ciężko. – Skończyłem prawo, matka chciała, żebym został adwokatem, chwaliła się przed wszystkimi koleżankami, ale teraz nie ma pracy dla prawników.

– Prawo nie zapewnia już posady, tak jak kiedyś – powiedziała Laura. – I postanowiłeś iść do policji, bo to lepsze niż nic? – Kiedy Adam nie odpowiadał, dodała: – W porządku, nie jestem z komisji rekrutacyjnej. Wstąpiłam, bo zawsze chciałam to zrobić i się nie rozczarowałam. Spodoba ci się. – Kiedy pokiwał głową w zamyśleniu, zapytała: – Więc jak to przyjął Don Roberts?

Podniósł wzrok.

– Żle. Powiedział Jane, żeby się ze mną więcej nie spotykała.

– I co wy na to?

Adam się zaczerwienił.

– Była dorosła, ale jej ojciec ciągle się wtrącał. Mówiła, że idzie do koleżanki, a potem spotykaliśmy się u mnie. Ale jego koledzy ją śledzili, więc musiała bardzo kluczyć, żeby tu dojechać.

– Pokręcił głową. – Jeden z jego goryli groził mi, że jeśli jeszcze raz umówię się z Jane, Don tak mnie urządzi, że żadna dziewczyna już na mnie nie spojrzy.

– Don aż tak nie lubi policji?

– Z początku to wyglądało na instynktowną reakcję, ale potem poszło o to, że go nie posłuchaliśmy.

– Kiedy ostatni raz ją widziałeś?

Chłopak spuścił wzrok na swoje ręce i potarł jedną dłoń kciukiem drugiej, jakby ścierał plamę.

– W ostatni piątek, na dzień przed jej zaginięciem – odezwał się w końcu i otarł łzę. – Poszliśmy do kina, potem wróciliśmy tutaj. – Zamilkł, łzy spływały mu po policzkach. – Mamy i taty nie było, więc mieliśmy dom dla siebie. – Wzruszył ramionami. – Cóż, może się pani domyślić, co robiliśmy.

– Umawiałeś się jakoś, żeby się znowu z nią spotkać?

Przytaknął.

– Następnego dnia wieczorem.

W wieczór, kiedy zginęła, pomyślała Laura, ale nie powiedziała tego.

– I co było?

– Nic – odparł. – Ustaliliśmy, że zobaczymy się w Black Bull, w mieście. Tam, na zapleczu są drzwi na parking.

Laura pokiwała głową, że wie. Zapamiętała to z krótkiej służby w mundurze, kiedy młodzi funkcjonariusze świecili tam latarkami po zamknięciu pubu, żeby wypłoszyć parki, które wolały wygody ściany parkingu od ciepłego łóżka.

– Miała przejść prosto przez pub, a potem planowaliśmy

wskoczyć do taksówki i gdzieś sobie pojechać. – Zajęło mu parę sekund, zanim się opanował. – Czekałem ponad godzinę, próbowałem się do niej dodzwonić... nie odbierała.

– Dlaczego nie skontaktowałeś się z nami?

– Czy ja wiem? Po prostu pomyślałem, że ojciec ją przyłapał, jak wychodziła.

– Próbowaleś jeszcze raz do niej zadzwonić?

– Parę razy. I nic, nie licząc jednego razu, ale ten ktoś się nie odezwał.

To zaskoczyło Laurę.

– Kiedy to było?

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął komórkę. Postukał w wyświetlacz i sprawdził.

– W poniedziałek po południu. Tuż przed trzecią.

– Sądzimy, że Jane zginęła, kiedy szła na spotkanie z tobą.

Adam wziął głęboki wdech, żeby się uspokoić.

– Pomyślałem, że może zostawiła telefon w domu i odebrał jej ojciec. Gdyby wiedział, że to ja, byłby problem.

– A zabójca Jane? Może to on odebrał?

– Może zabójca i ojciec Jane to ta sama osoba?

– Tak uważasz?

Wzruszył ramionami.

– Nie zdziwiłbym się.

– Dlaczego?

– Jane mówiła mi różne rzeczy.

– Na przykład co?

Podrapał palcem kącik ust i spojrzął na sufit, kiedy usłyszał na górze odkurzacz. Matka dawała znać o swojej obecności.

– Lubi pieniądze i lubi władzę – odparł Adam. – Przymykał oko na dilerkę narkotyków w klubach, gdzie jego ludzie byli bramkarzami, bo dostawał za to działkę. Była umowa, że jak dilerzy wpadną, nie puszczą pary z gęby i przed sądem wezmą wszystko na siebie. Tyle że niektórym nie podobała się perspektywa więzienia i wygadali glińiarzom o umowie. Ci, którzy sypali, zniknęli z miasta. Krążyły plotki, że jeden wylądował na

wózku inwalidzkim. Teraz Don wziął się do wymuszeń za bezpieczeństwo, tylko że nazywa to ochroną. To wielki człowiek w małym światku. Ludzie, którzy nie płacą, są zadreżczani przez miejscowych idiotów, samych gnojników. Wsadzają im gównem do skrzynek na listy albo obrzucają jajkami okna, ale paru gościom wiali benzynę do korytarzy.

– Więc martwił się, że córka zostanie żoną gliniarza?

– Gorzej. Ona też myślała, żeby wstąpić do policji.

Laura była zaskoczona.

– Don o tym wiedział?

Adam pokiwał głową.

– Teraz pani rozumie, dlaczego kazał nam zerwać. Uważał, że wywieram na nią zły wpływ. – Roześmiał się lekko. – Nie sądzę, żeby Don chwycił tę ironię.

– Masz zdjęcie Jane? Jej rodzina w ogóle nie chce współpracować.

Chłopak skinął głową i wyszedł z pokoju. Nasłuchując jego kroków na schodach, myślała, czy to, czego się dowiedziała, jeszcze bardziej obciąża Dona jako podejrzanego. Spojrzała w górę, kiedy usłyszała jakiś ruch w przedpokoju, zobaczyła, że przygląda się jej Tracy.

Adam wrócił z fotografią.

– Ta będzie w porządku?

Laura popatrzyła i zwłoki, które widziała przed godziną, ożyły. Na zdjęciu Jane śmiała się, z głową odrzuconą do tyłu, pełna radości i życia. To wyglądało na zdjęcie z wakacji, z Ibizy czy skądś. Opalone ramiona, różowy top, w tle jasnoniebieskie niebo.

– Świetne. – Laura przez chwilę poczuła cząstkę smutku Adama, że ktoś tak młody, mógł skończyć tak jak ta dziewczyna, wykorzystana i porzucona w lesie. – Znajdziemy zabójcę. Obiecuję – starała się, żeby to zabrzmiało przekonująco.

Rozdział 22

Jack stał przed gmachem sądu, kiedy udało mu się dodzwonić do Laury. Jej telefon był wyłączony, usiłował się z nią skontaktować od rozmowy z Dolbym. Poszedł do sądu, żeby

zdobyć jakieś ochłapy na krótki artykuł. Zegar wskazywał dwunastą i korytarze opustoszały, więc wyszedł i spróbował raz jeszcze.

W końcu Laura się odezwała.

– Jack? Słuchaj, przepraszam, że nie było mnie rano. Jak tam Bobby?

– Dobrze, ale nie dzwonię w tej sprawie. Chodzi o morderstwo.

– Nie mogę ci za dużo powiedzieć.

– No to przynajmniej odpowiedz na to: co Co Jane Roberts i Deborah Corley miały w ustach?

Chwila ciszy, potem: – O co ci chodzi?

– O nic takiego. Uznaj, że jestem ciekaw.

– Daj spokój, Jack. W twoim przypadku „ciekaw” znaczy coś więcej. No, mów, dlaczego uważasz, że miały coś w ustach?

– Jeśli poświęcisz mi parę minut, przyjdę i ci pokażę.

– Okej – odparła już łagodniejszym głosem. – Przy okazji, miło będzie cię zobaczyć. Nie widzieliśmy się już ze sto lat.

– Wiem, ale teraz to tylko biznes – odparł Jack i się rozłączył.

Znów poczuł podekscytowanie. Przez dłuższy czas nic mu się nie układało się. Może wreszcie napisze reportaż, który chciał napisać.

Poszedł do samochodu.

Laura popatrzyła na komórkę.

Stała przed komendą, prosto po wizycie u chłopaka Jane. Skąd Jack wiedział, że w usta Jane coś wepchnięto?

Zdawała sobie sprawę, że musi porozmawiać z Carsonem, jeśli Jack ma dostać uprzywilejowany dostęp do informacji. W pewnym momencie może będą musieli prosić dziennikarzy, żeby czegoś nie publikowali, ale jeśli stwierdzą, że ktoś z prasy wymusza informacje, natychmiast odsuną Jacka.

Szybko weszła do budynku. W kantine zobaczyła szefa – siedział przy stole. Joe stał w kolejce po jedzenie.

– Jak ci poszło z byłym chłopakiem? – zapytał Carson,

kiedy usiadła naprzeciwko niego.

– Nie takim znowu byłem – odparła.

To Carsona zainteresowało.

– Złożył podanie, żeby zostać jednym z nas – ciągnęła Laura. – Jane też myślała o wstąpieniu do policji. Tacie to się nie podobało, więc próbował ich rozłączyć.

– Dziewczyna była dorosła – zauważył inspektor.

– Tak, ale ojciec mógł utrudniać im życie, a Jane nadal mieszkała w jego domu.

– Więc w tle znowu jest Don?

– W rzeczywistości nigdy z niego nie zniknął.

– Co sądzisz o chłopaku jako podejrzanym?

Zamyśliła się.

– Nie można go wykluczyć, chociaż ja mu uwierzyłam. Ale teraz mamy na głowie coś innego.

– Dawaj.

– Właśnie dzwonił Jack. Wie, że coś wepchnięto w usta

Jane.

Carson wyglądał na zaskoczonego.

– Niby skąd?

– Nie powiedział, ale powie, kiedy tu przyjedzie.

– Chyba nie chce się wtrącać, co?

– Nie mam pojęcia, czego chce.

– W naszej firmie nigdy coś takiego się nie podobało.

– Tak, tak – przyznała zmęczonym głosem. – Ale Jack musi wiedzieć coś, czego chyba warto posłuchać. Przyjmij go.

Odpowiedź Carsona przerwał stukot tacy stawianej na stole. Joe rozstawił trzy talerze z miękkim białym chlebem i kruchymi jezorami bekonu, a potem rzucił na blat kilka saszetek z sosem.

– Zobaczyłem cię i pomyślałem, że jesteś głodna – zwrócił się do Laury. – Słyszałem, że wspominałaś o Jacku.

– Wie o ziemi wepchniętej w usta Jane – powiedziała.

Carson odgryził kawałek kanapki.

– Mówisz przez sen? – wybełkotał z pełną buzią, a kiedy

Laura odpowiedziała uniesieniem brwi, dodał: – Kiedyś musiały się zacząć plotki. I może to już nie jest taka tajemnica. Nie tylko my o tym wiemy. Nastolatki, które ją znalazły, patrol, które przeczesywały miejsce zbrodni. Ktoś w końcu zacznie gadać. Jeśli zaistnieje ryzyko, że plotki zostaną opublikowane, będziemy musieli prosić prasę o nałożenie embargo, a to znaczy, że Jack nie dostanie specjalnego dostępu do informacji.

– Myślę, że to coś więcej, niż nam się wydaje.

Na słowa Laury Carson przestał przeżuwać.

– To znaczy?

– Jack jedzie tutaj. Powiedziałby mi, gdyby to były jedynie dziennikarskie plotki.

Inspektor wyglądał tak, jakby stracił apetyt. Odłożył kanpkę na tacę.

– Mam tylko nadzieję, że nie wykorzystuje ciebie, żeby uzyskać lepszy dostęp niż inni.

– Nie pozwoliłabym mu – odparła Laura, ale po groźnej minie, z jaką szef popatrzył na nią przez stół, poznała, że zostanie wykluczona ze sprawy, jeśli Jack choćby spróbuje.

Rozdział 23

Jack napisał Laurze SMS, że już przyjechał. Wchodząc do komendy, sprawdził, czy ma w kieszeniach narzędzia pracy: dyktafon, notes i długopis. Znalazł się w oszklonej od przodu recepcji. Okienka były jak w kiosku z biletami, przed nimi na krzesłach siedzieli znudzeni petenci, czekali na swoją kolej. Niektórzy trzymali dokumenty samochodów, jeden czy dwaj chyba chcieli się widzieć z aresztowanymi krewnymi. Jack popatrzył na krzesła i na końcu rządka zobaczył uśmiechniętą twarz. David Hoyle – zuchwały młody adwokat z sądu.

– Pan Żurnalista – krzyknął do Jacka, a potem rozparł się w krzesło, podłożył ręce pod głowę i wyciągnął nogi. Nosił drogie dziurkowane brązowe półbuty, płowy garnitur i różową koszulę do kompletu. Wyglądał na kogoś o oczko wyżej niż adwokacyny biegające do komendy w garniturach z seryjnej produkcji i wysmarowanych brylantyną włosach, którzy odwalali większą

część prac obrończych. – Czyje życie dziś obnażasz? – zapytał, unosząc brwi.

– Och, wiesz, czasem dobrze jest odejść od rutyny. – Jack odwzajemnił uśmiech. – Takiej jak twoje mowy.

Uśmiechnięte usta zadrgały, ale potem adwokat machnął ręką na ten przytyk.

– E tam, gadka-szmatka. Od lat jestem najlepszy w sali sądowej.

– Świat jest pełen nieodkrytych geniuszy, panie Hoyle – nie odpuszczał Jack. – Fajnie wreszcie spotkać jednego z nich.

Hoyle powoli przestał się uśmiechać.

– Drobne rzeczy się nie liczą – mruknął i pochylił się do przodu, tak że Jack musiał podejść bliżej, żeby go dobrze słyszeć.

– Tu liczą się ludzie i ich życie – odparł Jack.

– My tylko przechodzimy obok tych ludzi. – Hoyle lekceważąco machnął ręką. – Robię, co do mnie należy, ale ogólnie mam to gdzieś. Kiedy ja skończę mówić, a ty coś napiszesz, czy coś się zmieni? – Pokręcił głową. – Nie, nic a nic. Wrócą do swojego podłego życia i spotkam ich, kiedy znowu coś spieprzą.

Jack był zaskoczony.

– Wyglądasz dzisiaj na przygnębionego. Źle zaczęłaś dzień w sądzie?

Hoyle wzruszył ramionami.

– Wysiadywanie tutaj tak na mnie wpływa. No a ciebie, co sprowadza w te okolice?

– Po prostu zwyczajne dziennikarskie sprawy. A ty co? Masz kolejne przekłete młode niewiniątko?

– Nikt z nas nie jest niewinny, panie Garrett.

– Może i tak, ale niektórzy są znacznie bardziej winni. Problem z prawnikami polega jednak na tym, że winą to tylko wyrok, a nie kwestia moralności.

Hoyle się uśmiechnął.

– Gdybym martwił się o moralność, słaby byłby ze mnie adwokat od spraw karnych.

– Zachowam owacje na później – zakpił Jack. – No, to co

masz?

– Tylko małolaty. Robiły to, co robią wszystkie gnojki z tej głównianej części Blackley.

Przed dalszą rozmową uratowało Jacka pojawienie się w drzwiach Laury. Kiwnęła głową, żeby poszedł za nią.

– Baw się dobrze – rzucił do Hoyle’a i podążył w głąb komendy.

– Czego chciał? – zapytała Laura.

– Zrobić na mnie wrażenie swoją wielkością. – Jack zwolnił, kiedy zobaczył Carsona, który na niego czekał.

– W jakim jest nastroju? – spytał Laurę szeptem, wskazując głową inspektora.

– W takim jak to zwykle on.

– Czyli rozdrażniony. – Jack patrzył, jak Carson odwraca się i odchodzi. Uznał to za znak, żeby pójść za nim.

Usiedli na niskich krzesłach pod ścianą kantyny; powietrze było ciężkie od zapachów lunchu. Laura poszła po coś do picia.

Carson podejrzliwie patrzył na Jacka.

– Podobno tak naprawdę to nie zajmujesz się tą sprawą.

– Owszem, nie zajmuję się.

– Ale byłeś na konferencji prasowej i twoje nazwisko widniało pod artykułem w Internecie.

– Tylko po to, żeby dodać lokalnego kolorytu, gdyby zainteresowały się gazety ogólnokrajowe, a tutejsza szmata chciała na tym skorzystać – odparł Jack. – Muszę mieć za co kupować jedzenie.

Carson położył na stole gazetę. Jack popatrzył na tytuł: *Ile ich jeszcze będzie?*

– Masz coś z tym wspólnego? – zapytał Carson.

Jack zaczął przyglądać się dokładniej – pretekst, żeby uniknąć wściekłego wzroku wielkiego gliniarza. To był jego artykuł z podpisem i zdjęciem Dolby’ego.

Jack pokazał na fotkę.

– Nie wygląda jak ja. A w ogóle, to nie interesuje cię, dlaczego tutaj jestem?

Carson zrobił groźną minę.

– No, dalej, mów, co masz.

Przyszła Laura z kawą na tacy i Jack opóźnił odpowiedź, upijając łyk gorącego napoju.

– To, o czym powiedziałem Laurze przez telefon. – Ciekawi mnie, co ofiara miała w ustach, kiedy ją znaleziono.

– Kto ci o tym nagadał?

Jack upił jeszcze jeden łyk, patrząc znad brzegu kubka na Carsona. Facet marszczył brwi.

– Chcę ci pokazać. – Jack sięgnął do kieszeni i podał policjantowi wydrukowane maile.

Carson spojrział na kartki.

– Co to jest?

– Dostałem to wczoraj wieczorem. Adres mojej skrzynki jest nad artykułem, który wczoraj napisałem.

Kiedy Carson czytał, Jack odwrócił się do Laury.

– Wcześniej wstałaś – szepnął i sięgnął ręką w stronę jej nogi.

– Wiem, przepraszam – powiedziała cicho, czerwieniąc się lekko. – Nie martw się, niedługo to się ułoży.

– Cholera jasna! – Carson trzepnął papierami o stół, rozlewając sobie kawę.

Zaskoczona Laura podniosła kartki i zaczęła czytać. Kiedy szeroko otworzyła oczy, Jack domyślił się, że dotarła do wiersza.

„On zapcha usta nie powiesz nic, On zwiąże nogi nie będziesz iść, On zwiąże ręce byś nie drapała, On zamknie ci oczy byś nie widziała”.

Odłożyła wydruki na stół.

– Więc stąd wiesz.

– No i co ty na to? – zapytał Jack. – Mogą być od zabójcy? Kto zna szczegóły z miejsca zbrodni? Wasz wydział i zabójca, tyle.

– I wszyscy funkcjonariusze, którzy pilnowali miejsca zbrodni i ich rodziny, bo kiedy wrócili do domu, podzielili się wiadomościami, a potem usłyszeli je ich sąsiedzi – wyliczał Carson. – Takich rzeczy długo nie utrzyma się w tajemnicy, więc

się za bardzo nie podniecaj.

– W takim razie co z tym? – Jack podał kartkę z mailem, w którym było napisane tylko: „zapytaj ich o Emmę”.

Jack przyglądał się Carsonowi. Gliniarz wyglądał na zmieszanego.

– Emma? – mruknął.

– Teraz też jesteś pewien, że nie są od zabójcy?

Inspektor spojrział na Jacka.

– O co ci chodzi?

– On mi napisał, że coś wie o tym, dlaczego Deborah i Jane zostały zabite. Ale domyślam się, że wy nie macie pojęcia, w czym rzecz, a to znaczy, że on wie coś, czego wy nie wiecie.

Carson myślał o tym przez chwilę.

– To może być tylko ktoś, komu zależy na rozgłosie. Ciągłe takich mamy w sprawach o morderstwa.

– Więc odrzucasz możliwość, że są od zabójcy?

– Nie, nie odrzucam, ale muszę ostrożnie podchodzić do dowodów. Pamiętasz tamtego idiota, który przysłał taśmę Rozpruwacza z Yorkshire, Jacka Wearsida’a? I co ludzie z tego zapamiętali? Że zginęło więcej kobiet, bo policja marnowała czas na łapanie świra.

– A jeśli autora tych maili spiszesz na straty, jako jakiegoś stukniętego gościa, a okaże się, że to morderca?

Carson nie odpowiedział, zrozumiał, że cokolwiek by zrobił, może zrobić źle, a jeśli zrobi źle, zginie więcej kobiet.

– Czy to może być przeciek z komendy? – wtrąciła się Laura.

Carson znów wziął kartki i dokładnie przeczytał.

– To byłoby cholernie podłe. I jeśli to ktoś od nas, to narobił sobie cholernych problemów.

– Miałbym więc inny pomysł – podsumował Jack, popijając kawę. – Kimkolwiek jest nadawca, zapowiedział, że napisze do innych reporterów, więc informacja się rozejdzie. Dlaczego nie mielibyście skorzystać z mojej pomocy i zachować kontrolę?

Carson się nachmurzył.

– To znaczy?

– Co teraz zyskacie na ukrywaniu faktów? Bo właśnie to robicie, ukrywacie je. Jeśli rozgłosicie sprawę, to przynajmniej znowu będziecie panować nad informacją i nie zostawicie sprawy Internetowi.

– Jak będzie mi potrzebna porada w sprawach kontaktów z mediami, porozmawiam z rzecznikiem prasowym – burknął Carson.

Laura zwróciła się do Jacka.

– Chyba nie myślisz, żeby o tym napisać, co?

Przechylił głowę, jakby chciał to rozważyć.

– Lokalna gazeta chętnie rzuci się na ten temat – powiedział. – Wiesz, że opublikowali kilka tekstów przeciwko policji i niewiele mają do stracenia. – Kiedy Carsonowi stężała twarz, dodał: – Mnie nic do tego. Ale w tej komendzie może być ktoś, kto ujawnia tajemnice.

W mailu jest napisane, że będzie wiedział, czy z wami rozmawiałem.

Carson spojrział na sufit. Westchnął i znowu popatrzył na Jacka.

– Więc co proponujesz?

– Zaatakujcie go z otwartą przyłbicą, zróbcie z niego drania, który utrudnia śledztwo. Podajcie więcej szczegółów na temat zabójstwa i wyprzedźcie go, ktokolwiek to jest. Niech wie, że posunął się za daleko i może ktoś go wyda: wkurzona dziewczyna albo kolega.

– Ale w ten sposób to on będzie dyktował, jak prowadzić śledztwo – sprzeciwił się Carson.

– Już dyktuje, bo rozpowiada to, co wy chronicie. Nie panujecie nad tym.

– To co, zrobić z niego główną postać? – zapytał Carson.

– Czarny charakter, nie bohatera. Wszyscy lubią demaskatorów, ale nie kosztem ludzkiego życia. Dzięki temu przejmiecie inicjatywę.

Jeśli to nie spodoba się lokalnej gazecie, to myślę, że zainteresuje któryś z tytułów ogólnokrajowych. Pokażcie, jak naraża mieszkańców, zmuszając was do podania większej liczby szczegółów.

– Zawsze możesz niczego nie pisać – parsknął Carson. – Wydawało mi się, że pracujesz jako wolny strzelec.

– Owszem, ale mam stałych zleceniodawców, a jednym z nich jest „Telegraph”. Przemyśl to. Może po takiej nagonce ktoś go wyda i wygracie na dwa sposoby: jeśli jest przeciek, uszczelnicie go i wyciągniecie służbowe konsekwencje. Jeśli to wysyłał zabójca, ktoś może coś rozpoznać po jego stylu pisania albo nawet po adresie elektronicznym.

Carson pokiwał głową, ale nadal siedział zasepiony.

– Tak to przedstaw, jako przeciek – powiedział cicho. – Pozwolisz, żebym zaakceptował to, co napiszesz?

Jack pokręcił głową.

– To musi być moje dzieło, nie wasze, ale jeśli uznasz, że zepsułem sprawę, w porządku, wykluczysz mnie z konferencji prasowych.

Carson się uśmiechnął.

– Z przyjemnością – westchnął. – Jeśli chcesz wiedzieć, co miały w ustach, chodź ze mną. – Wstał.

Jack poszedł za nim z Laurą i Joem. Skierowali się do sali operacyjnej. W środku Carson pokazał ścianę z fotografiami.

Na widok zdjęć Jane Roberts i Deborah Corley Jack szeroko otworzył oczy, ale nic nie powiedział. „Obżerała się na ściółce”. Więć o to chodziło.

Zwrócił się do Carsona z nowym pomysłem. Teraz zanosilo się na coś więcej niż tylko reportaż. Musi tylko przypilnować, żeby Dolby dotrzymał obietnicy.

Hałas wokół niego był jak echo, ruchy rozmazane. Analitycy policyjni i detektywi przechodzili obok z papierami w ręku albo w gromadkach poszeptywali nad lunchem, narzekali na szefa, który nimi orze.

Zerknął tam, gdzie Carson siedział z Laurą McGanity.

Stała w kolejce po coś do picia obok niego. Dotknęła go, przypadkiem, lekko się otarła, jej spodnie cicho zaszeleściły, jej biodro znalazło się przy jego biodrze. Poczł delikatny powiew perfum, kiedy jej ciemne włosy zafalowały obok. Mogła stanąć dalej, ale wtargnęła w jego przestrzeń, jakby go nie widziała.

Pamiętała ją sprzed lat. Kiedy przyjechała do Blackley miała południowy akcent, tak zaokrągląa samogłoski, chociaż to niezupełnie brzmiało z londyńska. Mówiła jak kulturalna, wykształcona osoba, a teraz znów tu była, w tym swoim kostiumie, marnowała czas z ludźmi z centrali. Wcześniej go dostrzegała, teraz nie.

Zamknął oczy, kiedy powróciło wspomnienie jej perfum. Trudno jest przywołać zapach. Ale on zapach Laury potrafił sobie przypomnieć. To takie znużenie bezsennością zmieszane z aromatem płynu zmiękczającego do ubrań, sztucznym i kwiatowym, a wszystko pod warstwą piżma perfum, którymi spryskała sobie szyję. Wyczuwał w niej także kawę i lekką woń potu po porannej pracy.

Przełknął, kiedy pomyślał, jak będzie pachniała pod koniec dnia, w domu, intymnie.

Otworzył oczy i odwrócił wzrok. Ludzie zwróciliby uwagę na rumieńce na jego policzkach, na jego krótki oddech.

Uśmiechnął się do kobiety za ladą, kiedy zapytała, czego sobie życzy. Nie odwzajemniła uśmiechu. Po prostu podała mu talerz z jedzeniem. Promienne spojrzenie zachowała dla stojącego dalej inspektora.

Usłyszał tupot, podniósł wzrok. Wokół zapanował ruch, pokoje wychodzące na atrium pustoszały, ludzie pędzili do kantyny na lunch.

Przy stołach, obok niego usiądą urzędniczki, które przygotowują dokumentację do sądu, i detektywi, którzy pracują od dziewiątej do piątej.

Wiedział, że wkrótce pojawi się więcej mundurowych. Tych, co znaleźli wymówkę, żeby wrócić do komendy i spokojnie coś zjeść.

Usłyszał hałas, gniewny okrzyk. To od stolika Carsona. Był tam jeszcze ktoś. Jakiś facet. Po chwili rozpoznał go po fotografii ze strony internetowej gazety. Reporter. Powiedział mu, żeby szukał Emmy, nie żeby rozmawiał z policją. Widział, jak zadrukowana kartka krąży między nimi. Mail.

Poczuł pierwszy pomruk złości, zrobił kilka głębokich wdechów przez nos. Znowu słyszał głosy w głowie. Jak nieustającą pieśń, rytm, który nigdy go nie opuszczał. Jedynym sposobem, żeby go zwalczyć, było przyłączenie się do śpiewu.

Podniósł wzrok. Myśl o czymś innym, nakazał sobie. Nie tutaj. Uspokój się. Wszyscy jedzą lunch, nie widzą cię. To lubił.

Wtedy zobaczył jeszcze coś. Dotknięcie nogi Laury. Osobiste. Czułe. Czegoś nie zauważył? Hałas w głowie zrobił się głośniejszy, drażnił go; fala gorąca powoli oblała jego ciało. Wiedział, że nie dokończył dzieła. Teraz zrozumiał dlaczego.

Rozdział 24

Laura siedziała pod ścianą sali operacyjnej, kiedy weszła reszta członków wydziału zabójstw. Oderwano wszystkich od pracy, żeby wysłuchali od szefa najnowszych informacji. Albo raczej, żeby wysłuchali jego ostrzeżenia. Carson stał z przodu, ogarniał zebranych wściekłym wzrokiem, chodził w tę i z powrotem. Joe Kinsella siedział na krześle obok z nogą założoną na nogę. Laura zajęła miejsce z tyłu, żeby mieć na wszystkich oko.

Ludzie rozmawiali ze sobą, ot, zwyczajne pogaduszki. Niektórzy trzymali kanapki, bo odciągnięto ich od lunchu. Wszyscy wyglądali na spiętych, jakby wyczuwali problemy. Nerwowo patrzyli na podłogę, na swoje ręce czy na cokolwiek, byle nie na gotowego do ataku inspektora.

Carson kiwnął na kogoś, żeby zamknął drzwi, i powiedział: – Wiecie, dlaczego szczegóły dotyczące zwłok trzymaliśmy w tajemnicy przed prasą: żeby odsączyć świrów i żebyśmy to my, a nie media, panowali nad informacją.

Laura obserwowała, czy nie ma nerwowych reakcji, jakiegoś wzmożonego szurania nogami, ale zgromadzeni siedzieli spokojnie, jakby się domyślali, że coś poszło nie tak.

Carson oparł ręce na biodrach i rozejrzał się po sali. Błysk światel odbijających się od jego głowy pasował do wściekłego błysku w oku.

– Był przeciek – oznajmił, próbując objąć wszystkich wzrokiem. – Skontaktował się z nami reporter, który wie, w jakim stanie było ciało. Dowiedział się tego z maila, ktoś puścił farbę.

– Który reporter? – rzucił ktoś.

– Jack. – Laura poczuła, że się czerwieni, kiedy ludzie odwrócili się, żeby na nią popatrzeć. – I zanim ktokolwiek o to zapyta albo o tym pomyśli, odpowiem, nie ja mu to powiedziałam. Przyszedł, bo to do niego trafiło, chciał, żebyśmy wiedzieli, że jest problem.

– Otóż to – ryknął Carson. – Czas na spowiedź. Czy ktoś chciałby oczyścić sumienie? – Nikt się nie poruszył. – Ten, kto wypaplał komuś o tym dla korzyści osobistej albo dlatego że ma za długi język, zostanie wyrzucony z wydziału, ale na tym sprawa się skończy. Ale jeśli się nie przyzna, a ja się o tym dowiem, to wtedy ma całkiem przerażane. – Pochodził w tę i z powrotem, popatrzył każdemu w oczy.

Żaden policjant nie ośmielił się odwrócić wzroku. – No, jest ktoś taki?

Nadał martwa cisza i bezruch.

Carson się zatrzymał.

– Dobra, dziękuję za poświęcony mi czas. Wracajcie do swoich zajęć. Gdyby ktoś usłyszał o przecieku, chcę o tym wiedzieć.

Lojalność wobec wydziału ma pierwszeństwo przed przyjaźnią, bo jeśli będziecie kogoś chronić, to wy też wpadniecie. Dotarło?

Milczące potwierdzenie.

Inspektor podszedł do drzwi i skinął głową na Laurę. Czują na sobie spojrzenia, kiedy szła przez salę. Ledwie zamknęła drzwi, po drugiej stronie rozległ się gwar.

– McGanity, w tej sprawie jesteś czysta, więc nie martw się, co myślą. – Carson uśmiechnął się i lekko pobladł. – Martw się,

jak złapać zabójcę. Ja dorwę drania, który skontaktował się z Jackiem.

– A jeśli to jedna i ta sama osoba?

– To ludzie będą mnie oskarżać, że się pomyliłem. Tak czy inaczej, narażam się na przegraną.

Jack zadzwonił do Dolby’ego i przekazał mu, że policja zgadza się na współpracę przy reportażach.

– To mi się podoba – zawołał Dolby. – Skorumpowane gliny robią przecieki. Daj mi na to zerknąć, jak skończysz. Postaram się nadać temu mój własny, specjalny połysk.

– Nie. To idzie tak, jak ja to napiszę – sprzeciwił się Jack. – Jeśli to spieprzę, policja odetnie mnie od informacji.

Dolby westchnął.

– Ale zachowuję prawo, żeby tego w ogóle nie zamieszczać.

– Nie. Zleciłeś mi napisanie reportażu, więc go opublikujesz. I pójdzie też do tytułów ogólnokrajowych. Mam jeszcze parę kontaktów.

– Jack, daj spokój, wiesz, że nie mogę ci obiecać, że puszczę coś, czego nie widziałem. I to musi być dla mnie, na wyłączność.

– Chcesz to czy nie chcesz tego, Dolby? To są moje warunki.

Zapadła cisza, naczelny to rozważał. Jack nie był pewien, czy materiał nadaje się do tytułów ogólnokrajowych. Reportaże sądowe z Blackley czasem odnosiły sukces: nauczyciele przyłapani w łóżku ze swoimi uczennicami albo nielegalni imigranci, którzy złamali prawo. Afery związane z seksem i imigracją zawsze wywoływały oburzenie, a jeśli można to było połączyć z przestępstwem, wychodziła stroniczka, dwie. Nie zamierzał jednak odpuścić.

– Dobra, zgoda – odparł w końcu Dolby. – Ale to wyjątek.

– Wszystko, czego chcesz, Dolby. Dziś dam ci tekst. – Jack się rozłączył.

Potem zadzwonił do Englisha.

Harry English był wydawcą w newsroomie, kiedy Jack pracował w Londynie dla jednej z ogólnokrajowych gazet, zanim został wolnym strzelcem. Na tym niedźwiedziowatym facecie dym papierosów i stres brytyjskiego dziennikarstwa odcisnęły piętno w postaci czerwonych plam na skórze i popękanych żyłek na policzkach. Właśnie temu człowiekowi można było zaproponować porządny reportaż, który zainteresowałby dzienniki, i zawsze dobrze płacił, jeśli rzecz była warta druku.

Harry odebrał telefon z kasznięciem.

– Jack, kopę lat. Domyślam się, że dzwonicz w sprawie zabójstw tam, u ciebie?

– Więc o nich słyszałeś.

– Ciągłe monitorujemy, co się dzieje na północy. – Harry zachichotał. – Po prostu nie mamy ochoty dużo na ten temat publikować.

– Policja chce ujawnić jakieś świeże informacje, za moim pośrednictwem. Byłbyś zainteresowany? To makabryczny materiał.

– Brzmi nieźle.

– Jesteś kochany, Harry, ale muszę mieć gwarancję, że to pójdzie w jutrzejszym wydaniu.

– To zależy od jakości tekstu.

– Och, artykuł będzie pierwsza klasa.

– Niby skąd taka pewność, mądralo?

Jack uśmiechnął się, chociaż Harry nie mógł tego widzieć.

– Mamy kogoś z policji, kto rozpowiada o szczegółach zbrodni i psuje robotę firmie.

Zaległa cisza, potem: – Ciekawe, ciekawe.

– I to jeszcze jak. Policja musi zmienić przez niego taktykę. No to co, zainteresowany?

Harry wykaszłał „tak”.

– Świetnie. Wieczorem wysmażę dla ciebie tekst – zapewnił Jack i się rozłączył.

W samochodzie znów zrobiło się cicho. Wkrótce czas odebrać Bobby’ego ze szkoły, ale Jack wiedział, że zdoła napisać tekst, kiedy mały będzie oglądał telewizję.

Zamknął oczy, żeby oczyścić umysł. Musiał zaplanować to, co ma napisać. Najlepiej zacząć od końca. Tak to jest z reportażami: już na początku trzeba ujawnić sedno sprawy, żeby czytelnik rzucił okiem na resztę.

Reportaż był dla jednego z tabloidów i dla miejscowej gazety. Musi więc być napisany żywym, plastycznym językiem, żeby ludzie poczuli się zagrożeni. Tytuł: *Glina ujawnia tajemnice*, a potem wstrząsająca, przeraźliwa opowieść, że przeciek może kosztować czyjeś życie. Osoba, która przysłała maile musi być łajdakiem, nie antybohaterem. Jack cieszył się, że napisze coś innego niż reportaże zamawiane przez Dolby'ego. To było coś, co mógł kontrolować. Właśnie tego mu brakowało, tej podniety, że tworzy coś, co ludzie chętnie przeczytają, nawet jeśli zajmie im to parę minut w zatłoczonym autobusie albo pociągu.

Z zamyślenia wyrwały go jakieś krzyki. Paru nastolatków w ciemnych spodniach od dresów i kapturach dumnym krokiem wymaszerowało z komendy. Za nimi wyszedł David Hoyle. Podali sobie ręce w młodzieżowym stylu. Hoyle wypadł przy tym niezdarne.

Potem poszli do taksówki, śmiejąc się po drodze.

Jack zamachał do adwokata, a ten odpowiedział mu salutem. Kolejny dzień, kolejna wygrana.

Wyszedł na dwór za reporterem, ale rozproszył go hałas dochodzący z tyłu. To David Hoyle. Przywiało do niego zapach jego wody kolońskiej, słodki i mocny. Wiedział, jak to działa – miał to zauważyć, nie musiało mu się podobać. Tak jak krzykliwa złota bransoleta na nadgarstku i wysadzany diamentami sygnet, który adwokat nosił na małym palcu. To wszystko było na pokaz, atrybuty zwycięzcy, tak jak i jego arogancki chód: plecy wyprostowane, stopy szeroko, zejdźcie mi z drogi. Jego klienci podskakiwali przed nim, kolejny dzień sukcesu dla nich. Wiedział, kim są, już ich widywał.

Ogarnęła go pierwsza fala gniewu i kiedy wyszedł na dwór, hałas stał się głośniejszy. Wzrok mu się zaćmił, czas zwolnił, obrazy się zamazały. Reportera widział jak przez mgłę, zaledwie

czerwień samochodu. Głosy nastolatków odbijały się echem w jego głowie. Gniew zmienił się we wściekłość, zrodziła się jako drżenie w brzuchu, skłębiona, gorąca. Szybko rozeszła się po całym ciele niczym pragnienie, którego nie sposób opanować. To konieczność. Nie, coś więcej. Potrzeba zadania komuś bólu, krzyk pożądania.

Wraz z narastającym podnieceniem policzki zaczęły mu płonąć. Zaciśnął pięści i spuścił wzrok. Wiedział, że teraz nie może się z niczym zdradzić, ale nie potrafił tych emocji powstrzymać, zachować do chwili aż będzie w stanie je wykorzystać. One zawsze mu towarzyszyły, były jak tykająca bomba.

Usłyszał kaszlnięcia starego silnika i przez mgłę zobaczył, że oddala się coś czerwonego. Samochód reportera. To pomogłoby, wiedział o tym. Skrzywdzić tego, kto go zdradził.

Rozdział 25

Po kazaniu, które wygłosił Carson, detektywi długo jeszcze wymieniali się komentarzami. Wrócił Joe i usiadł przy swoim biurku, papiery przy jego klawiaturze urosły w stos. Laura minęła Rachel Mason, nie zwracając uwagi na jej lodowate spojrzenie.

Joe podniósł wzrok, kiedy do niego podeszła.

– Zauważyłaś coś? – Rozparł się w krzesło, zaczerpnął powietrza, przetarł oczy.

– Nie, nic – odparła. – Jeśli przeciek był stąd, facet jest opanowany. Po co wróciłeś?

– Potrzebna mi drukarka. – Podniósł kilka kartek z biurka.

– Szukam czegoś związanego z podpaleniem albo okrucieństwem wobec zwierząt sprzed dwudziestu, trzydziestu lat.

– Jakież sukcesy?

Pokręcił głową.

– Żadnych. Wygląda na to, że co parę lat system samoczynnie czyści kartotekę. Im głębiej sięgniesz, tym mniej znajdziesz, a cofniesz się o więcej niż piętnaście lat i jakbyś wchodziła w świat, w którym nie ma komputerów. – Zdenerwowany postukał długopisem w blat. – Gdybyśmy znali

nazwisko, lepiej poszłoby wyszukiwanie. Sprawdzilibyśmy, czy podejrzany był już notowany, bez nazwiska nic z tego.

– Myślisz, że podpalenie albo okrucieństwo wobec zwierząt jest tu istotne?

Joe przestał stukać długopisem.

– Jak sądzisz, dlaczego faceci zabijają piękne młode kobiety?

Laura się zamyśliła.

– Chyba chodzi o seks. Żądzę. Chcą czegoś, czego nie dostają. Albo podnieca ich samo zabijanie i wolą młode od starszych.

– Ale dlaczego zabijanie ich podnieca? Musisz to wiedzieć, żeby znaleźć podejrzanego.

– Władza, tak mi się zdaje – powiedziała Laura.

Joe się uśmiechnął.

– Blisko. Tylko że tu chodzi o brak władzy i wynagradzanie sobie tego.

– Czy to nie to samo?

– Niezupełnie. Niektórzy zabijają ze względu na upojenie władzą, bo czują się potężni, jak drapieżniki. Wybierają sobie słabszych mężczyzn, kobiety, w zależności od sprawy. Ale zabójcy, którzy mają na koncie podpalenia albo znęcanie się nad zwierzętami atakują z przeciwnych powodów. Oni nie posiadają władzy.

Laura usiadła. Domyślała się, że to będzie długa rozmowa, a przy Joem Kinselli trzeba było mieć jasny umysł, żeby wszystko zrozumieć.

– Mów dalej.

Joe zaczął obracać długopisem.

– Dzieci palą różne rzeczy albo torturują zwierzęta, żeby się odegrać – wyjaśnił. – Wyobraź sobie dziecko wykorzystywane seksualnie albo maltretowane, albo nawet tylko dziwne i pozbawione poczucia bezpieczeństwa, inne niż wszyscy. Jak może się bronić? – Joe uniósł brwi. – Nie może, to jest odpowiedź. Więc w tajemnicy mści się na tym, na czym może. Okalecza małe

zwierzęta, pali budynki, i potem zwiewa. To tchórzostwo, jednak zrodzone z zemsty, nie z gniewu.

– Ale nie wszystkie dzieci podpalacze stają się mordercami. Skinął głową.

– Ale większość seryjnych zabójców ma za sobą podpalenie albo okrucieństwo wobec zwierząt. Coś się dzieje, że rozwijają się w tym kierunku. To może być okres dojrzewania, jakieś błędne połączenia w mózgu albo niezwykle silny popęd seksualny. Mamy tylko ogólniki, ale takie domysły zazwyczaj się sprawdzają.

– To dlaczego wybrał właśnie te dziewczyny?

– To ważna część układanki: przyszła ofiara – odparł Joe. – Zabójcy rzadko atakują obiekt swojej nienawiści. Jeśli byli upokarzani albo wykorzystywani seksualnie jako dzieci, można by się spodziewać, że wrócą i zabiją ludzi, którzy ich krzywdzili. Ale tego nie robią. – Zamilkł, zanim zaczął mówić dalej. – Wyobraź sobie, że jakiś chłopak jest w dzieciństwie ofiarą tyrana. Nieustannie marzy, żeby się odegrać. Czerpie z tych marzeń satysfakcję. I co się dzieje, kiedy dochodzi do okresu dojrzewania, a najbardziej podnieca go fantazjowanie o zemście? Zaczyna się przy tym masturbować, podnieca to go bardziej niż podglądanie dziewczyny z sąsiedztwa, jak ta się przebiera. I tak oto nienawiść miesza się z pożądaniem seksualnym i prawie nie sposób rozdzielić tych dwóch rzeczy.

– Więc motywem jest pożądanie połączone z chęcią zemsty? – zapytała Laura.

Joe pokiwał głową.

– Coś w tym stylu.

– Możemy się spodziewać, że następna ofiara będzie młoda i atrakcyjna, jak Jane i Deborah?

– Prawdopodobnie. Ale nadal będzie miała z nimi jakiś bezpośredni związek. Pamiętaj, co powiedziałem o miejscu znalezienia ciała Jane. Tak mało wiemy o jej życiu. Rodzina Deborah bardziej nam pomagała, ale z Donem Robertsem rozmawia się jak ze ścianą.

– Myślisz, że to mógł być ktoś, kogo jedni i drudzy znają?

Joe się zastanowił.

– Raczej nie. Trochę ponad połowa tego typu zabójców atakuje obce osoby, więc musimy spróbować złapać miejscowego psychopata, ale bylibyśmy głupi, gdybyśmy wykluczyli powiązanie. Powinniśmy trochę pogrzebać w przeszłości Deborah i Jane. Były koleżankami w szkole albo w klubie młodzieżowym? Czy obie znały jakąś Emmę? A co z ich rodzicami? Ale tu może chodzić o jakiegoś cherlawego chłopczyka, którego ciągle upokarzały ładne dziewczyny. Teraz, kiedy dorósł, w pięknych młodych kobietach widzi przyczynę swoich problemów i w ten sposób znalazły się w jego marzeniach o zemście.

– Czy ktoś z nas robił wywiad w szkołach?

Joe wskazał na Rachel, która spojrzała przez ramię.

– To jej działka. A ja jak skończę wyszukiwać w komputerze dzieci podpalaczy, które zdążyły dorosnąć, przeanalizuję dzieciństwo Jane i Deborah. Może coś z tego wyniknie.

– Dlaczego nie zacząłeś od tego? – zdziwiła się Laura. – Kiedyś mi powiedziałeś, że najważniejsze to przyjrzeć się ofiarom, bo pomagają zidentyfikować typ zabójcy.

– Zgadza się, ale nie sądzę, żeby zabójcą był ktoś z przeszłości Jane albo Deborah, bo to by znaczyło, że ma z dwadzieścia lat albo nawet mniej – odparł Joe. – Wydaje się za młody, szczególnie na tak dopracowaną metodę jak ta, zastosowaną w obu przypadkach.

Musimy wszystko brać pod uwagę, więc szukam, ale według mnie napastnik ma co najmniej czterdziestkę.

– Bo młodzi nie potrafią się tak kontrolować? – zapytała Laura, a kiedy Joe się uśmiechnął, dodała: – Sam mi to mówiłeś. – Wskazała papiery. – To ile czasu zajmie ci ta robota?

– Już niedużo. Za często trafiam w puste miejsca.

– Jakiego typu szukasz? Poza tym, że w przeszłości był podpalaczem i znęcał się nad zwierzętami.

– Pana Niewidzialnego. – Joe zmarszczył brwi. – Ten ktoś nie będzie od razu oczywistym sprawcą. Przypomnij sobie miejsca

zbrodni. Wspomniałaś o kontrolowaniu się. Tam wszystko było uporządkowane, ciała w widocznym miejscu, brak ubrań, brak śladów.

Ten zabójca nie jest durniem, a co najważniejsze, ciała nie były okaleczone.

– W usta i inne otwory miały wepchniętą ziemię i liście – zauważyła Laura.

– Myślę, że to część jego fantazji, bo zrobił to, zanim je zabił. Jeśli ktoś pada ofiarą jakiegoś niezrównowalonego świra, zwykle ma poważnie okaleczone ciało. Ślady byłyby wtedy wszędzie, a my pewnie złapalibyśmy go dość szybko. Natomiast w tych dwóch przypadkach zabójstwo było kontrolowane i przemyślane, a to znaczy, że i jego życie jest takie, fasadowe. Nikt nie wie, co on naprawdę myśli. Mógł zbudować sobie doskonały wizerunek, jak z obrazka. Stała praca, kościół. Może nawet żona i dzieci. Ładny dom i samochód.

A jak go złapiemy, wszyscy się zdziwią, bo wydawał się takim zwyczajnym człowiekiem.

Laura głośno wypuściła powietrze.

– Więc raczej nie będzie go widać na radarze?

Joe pokręcił głową.

– To rozpaczliwe trałowanie, nic więcej, ale musimy stworzyć listę podejrzanych.

– I nie wolno jej pokazywać Donowi Robertsonowi – powiedziała Laura. – Mielibyśmy krwawą łaźnię. Uznałby ją za listę celów.

– I dlatego musimy znaleźć tego, kto wysyła maile, na wypadek gdyby był przeciek – dodał Joe. – Więc Don nadal nie chce współpracować?

Laura pokręciła głową.

– Właśnie tam się wybieram, to kolejna próba. Nasi ludzie rozmawiają z koleżankami Jane, ale jak dotąd nic.

– A co z Jackiem?

Westchnęła.

– Píše reportaż o przecieku.

– Śliska sprawa – stwierdził Joe.

– To znaczy?

– Obawiam się, że pierwsze przecucie Jacka było dobre, że to może być coś więcej niż przeciek, bo jest jedna osoba, która zna wszystkie szczegóły... zabójca obu dziewczyn. Jeśli informacji dostarczył zabójca, ryzykujemy, że damy mu pole do działania, bo on myśli, że będzie się z nami porozumiewał za pośrednictwem Jacka.

– Dlaczego sądzisz, że tak będzie robił?

– Bo oni tak robią – odparł Joe. – Pokazują, że mają władzę, może po raz pierwszy. Tego gościa cieszy wywoływanie chaosu.

Będzie śledził wiadomości w gazetach i wbijał się w dumę, że pokonał nas, policję. Pamiętaj: cały czas chodzi o prężenie mięśni.

– Więc to jest wkalkulowane ryzyko – uznała Laura. – Bo jeśli dzięki opisowi ciała ktoś wpadnie na jego trop albo przestać go chronić, sprawa się opłaci.

– Na tym polega problem z ryzykiem. – Joe machnął długopisem w jej stronę. – Można się pomylić, a w tym przypadku to znaczy, że zginie jeszcze jedna kobieta.

Rozdział 26

Laura spojrziała przez szybę samochodu i poczuła nerwowe łaskotanie. Parę razy głęboko odetchnęła i strzepnęła pyłek z kłapy kostiumu.

Podeszła do drzwi Dona Robertsa i nacisnęła dzwonek. W środku rozległ się elektroniczny akord. Rozejrzała się, czekając. W końcu usłyszała trzask zasuwki. Drzwi otworzył Don. Był w tym samym ubraniu co poprzedniego dnia: prostym, czarnym T-shircie, na piersi złoty łańcuch. Karykatura twardziela.

– Dzień dobry panie Roberts – odezwała się przyjaznym tonem, żeby na chwilę zapomniał, że jest policjantką.

Przez chwilę się jej przyglądał z zaciśniętymi zębami, a potem, o dziwo, odsunął się na bok.

– Niech pani wejdzie – powiedział, chociaż to zabrzmiało

bardziej jak rozkaz niż zaproszenie.

Przechodząc obok niego, zauważyła rzeczy, których poprzedniego dnia nie dostrzegła. Wtedy koncentrowała się na przekazaniu złej wiadomości. W schodach były osadzone odbijające światło kamienie i każdy stopień błyszczał jak dyskotekowa kula. Intensywnie czarna tapeta miała wypukły wzór, ale promienie słońca wydobywały z niej czerwony poblask. Takich nie kupuje się w miejscowym sklepie dla majsterkowiczów. I tak to jest z przestępcami. Nie mogą odkładać pieniędzy w banku, więc wydają je na samochody i zyrandole.

Laura była jeszcze bardziej zaskoczona, kiedy weszła do salonu. Poprzedniego dnia już widziała to pomieszczenie z jasnoczerwonymi kanapami przed wielkim telewizorem, z białymi ozdobnymi figurkami psów w kącie, ale tym razem było tu pełno ludzi. I nie wydawało się, że to rodzina przyszła złożyć wyrazy współczucia.

Sześciu facetów obsiadło każdy dostępny kawałek czerwonej skóry, a wszyscy wyglądali tak, jakby wyszli spod jednej sztancy: mięśnie rozpychały im T-shirty, niebieskie i czarne zwoje tatuaży spływały im na przedramiona. Twarze mieli ogolone na gładko, fryzury na jeża, usta zaciśnięte ponuro.

Laura próbowała zachowywać się swobodnie, nic nie mogło się jej stać, ale w ustach jej zaschło, a serce tłukło się mocno w piersi.

– Musimy porozmawiać na osobności – zwróciła się do Dona.

– Macie podejrzanego? – zapytał.

– Wolalabym o tym porozmawiać w cztery oczy.

– A ja nie – odpowiedział ostro.

– Panie Roberts, nie przyszedłem tu, żeby urządzić przedstawienie.

Skinął głową w stronę drzwi.

– Tamtędy możesz wyjść, kotku.

Na chwilę spuściła wzrok, potem westchnęła.

– Dobra, skoro pan woli, żeby to tak się odbyło. Nie, nie

mamy podejrzanego, ale też jest nam trudniej, kiedy rodzina ofiary nie współpracuje. Dlaczego pan nie chce nam pomóc? Zakładam, że nie ma pan nic do ukrycia.

Zwalczyła chęć, żeby cofnąć się kilka kroków, kiedy Roberts zacisnął zęby i kilka razy odetchnął głęboko przez nos.

– Możecie o mnie mówić jak wam się podoba, ale nie skrzywdziłbym własnej córki – oznajmił głosem przechodzącym w groźny pomruk. Popatrzył na mężczyzn siedzących na kanapie.

Laura szybko obrzuciła ich wzrokiem, byli wstrząśnięci.

Roberts znów odwrócił się do niej.

– Myślicie, że robicie mi wielką łaskę, że odpajkujecie kolejne pozycje na liści? Skontaktowano się z pogrążoną w smutku rodziną.

Ptaszek. Próbowano znaleźć chłopaka. Ptaszek. Ale marnujecie czas, bo ludzie nie będą chcieli z wami rozmawiać. – Usta wygięły mu się w uśmiech, ale oczy pozostały ciemne i zimne. – Ludzie będą rozmawiać ze mną.

– A skąd pan wie, że dostanie właściwe odpowiedzi? – zapytała Laura. – Ludzie powiedzą to, co pan chce usłyszeć, bo się pana boją.

– Spokojna głowa. – Teraz mówił powoli. – Wyjaśnię im, że wrócę, jak tylko wyczuję, że to bzdura.

Laura spojrzała na zgromadzonych facetów. Zauważyła, że paru zacisnęło pięści.

– Pan wie, że najpierw zajrzemy do tego domu, jeśli zginie jakiś miejscowy zboczeniec – powiedziała.

Nikt się nie odezwał.

– Czy któryś z was widział Jane w wieczór, kiedy zaginęła? Nadal cisza.

Zdała sobie sprawę, że jeśli chce uzyskać jakąś reakcję, musi ją sprowokować.

– No, dalej, twardziele. To nie jest trudne pytanie. Założę się, że niektórym z was się podobała. Piękna dziewczyna, ładne ciało, klucz do imperium Dona. Na pewno któryś z was nie pragnął jej trochę za bardzo?

– Dość tego – warknął Roberts.

– A co z Deborah Corley? – zignorowała go. – Widzieliście ją gdzieś w okolicy?

Usłyszała, że Roberts do niej podchodzi. Czowała jego oddech, bezsenność i papierosy. Zauważyła, że paru mięśniaków z lekkim zażenowaniem poruszyło się na kanapie.

– Czy wszyscy zamierzacie milczeć, żeby się chronić? – nie ustępowała. – Może zrzucicie winę na jakiegoś miejscowego zboczeńca?

– Dość!

Tym razem to był głos kobiety.

Laura okręciła się na pięcie. W progu stała żona Dona, Helen, matka Jane. Po twarzy spływały jej łzy, oczy miała zaczerwienione.

– Proszę, niech pani przestanie – powiedziała już spokojniej, ręką podpierając się o framugę drzwi. – Tu nie chodzi o zbieranie punktów.

– Więc proszę nam pomóc. – Zwróciła się do Dona: – Pan prowadzi własne śledztwo, świetnie, ale niech pan nas nie wyklucza.

Roberts popatrzył na żonę, potem znów na Laurę. Ściągnął wargi, wreszcie się odezwał.

– Do widzenia, pani.

Laura spojrzała na Helen, która wpatrywała się w męża.

– Niech mi pan powie jedną rzecz – poprosiła Laura. – Czy imię Emma coś panu mówi, w połączeniu z Mikiem Corleyem?

Don zamrugał, potem zacisnął zęby i pokazał drzwi.

– Pani już skończyła.

– Okej, wychodzę. Ale niech pan przyjdzie do komisariatu i spotka się ze mną, gdyby pan chciał porozmawiać. – Mówiąc to, patrzyła na panią Roberts.

Poszła do drzwi wejściowych i kiedy usłyszała, że się za nią zatraskują, spojrzała na swoje ręce. Palce jej drżały. Nie wiedziała, ilu sobie zrobiła tam przyjaciół, ale kiedy się obejrzała, zobaczyła twarz, która szybko cofnęła się zza szyby w drzwiach.

Rozdział 27

Jack siedział przy stole zgarbiony nad laptopem, pisał tekst o przeciekach. Butelka z piwem była prawie pusta, kiedy Laura pojawiła się w drzwiach.

Bobby oglądał telewizję, odwrócił się z entuzjazmem. Laura uśmiechnęła się i podeszła do niego. Opadła na kanapę obok synka, a Jack z uśmiechem przyglądał się, jak mały opowiada mamie, co się działo w szkole. Zmęczenie jakby zniknęło jej z oczu i po paru minutach śmiała się z czegoś, co dzieciak powiedział o nauczycielce. Przez parę minut razem oglądali telewizję, Bobby wtulony w mamę.

Wreszcie pocałowała go w czubek głowy i powiedziała, że musi się czegoś napić.

Jack podniósł butelkę, kiedy Laura przechodziła obok niego.

– Po drodze przynieś mi jeszcze jedną z lodówki, dobra?

– Sam idź i sobie weź – odparła, a kiedy odwrócił się, żeby na nią popatrzeć, z uśmiechem kiwała na niego ręką.

Kiedy Jack wszedł do kuchni, Laura przysunęła się do niego, objęła go za szyję, przyciągnęła blisko i przelotnie pocałowała w usta.

– Trochę za wcześnie na piwo – powiedziała łagodnie.

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się, przytulił ją i pocałował, tym razem mocniej. Z początku odpowiedziała na to, ale potem wyszeptała, że Bobby może wejść, i się odsunęła. Oparła się o blat.

– Jak z reportażem?

– Jakoś idzie. – Otworzył lodówkę, żeby sięgnąć po kolejne piwo. – A jak śledztwo?

Uśmiechnęła się.

– Jakoś idzie.

– To wszystko, czego się dowiem? Wcześniej pokazaliście mi zdjęcia ciała, a teraz znowu tajemnica? Mógłbym napisać więcej.

Westchnęła.

– Już dobrze, dobrze. Oficjalnie podążamy paroma interesującymi tropami.

– A nieoficjalnie?

– Zabrnęliśmy w ślepią uliczkę. Chłopak Jane jest czysty, ale zawsze tak uważaliśmy. To do niego szła Jane, kiedy ją zabito. Don nie lubił jej chłopaka, więc młodzi musieli spotykać się ukradkiem. Dlatego była sama i to jest naprawdę smutne. Poza tym nie mamy nic.

– A co z odniesieniem do Emmy?

Pokręciła głową.

– Jak do tej pory nic. Wygląda na to, że maile mogą być od kogoś żadnego sławy.

Jack pociągnął łyk piwa.

– Mój artykuł ukaże się w jednej z gazet ogólnokrajowych – powiedział.

– Harry?

– Dobrze mieć przyjaciół, do których można zadzwonić.

– Nie będzie tam zawsze.

Jack wzruszył ramionami.

– A kto jest gdzieś zawsze? – Znowu się napił. – Wcześniej wróciłaś. Możemy spędzić wieczór w domu.

– Chętnie, pod warunkiem że nie będziesz mnie więcej wypytywał o sprawę.

– Co jeszcze należałoby wiedzieć? Czy Don jest podejrzanym?

– A powinien być?

– Może naśladował tamto zabójstwo, ukrywał coś, co zrobił w przeszłości, i upozorował, że Jane jest drugą ofiarą tego samego sprawcy.

Laura położyła dłoń na ustach i zrobiła zszokowaną minę.

– Co, chcesz powiedzieć, że jakiś gliniarz mu przekazał szczegóły dotyczące pierwszej ofiary? – Uśmiechnęła się żartobliwie. – Pomyśleliśmy o tym, Sherlocku. Wiesz, nie jesteś jedynym detektywem w mieście. – Odgarnęła włosy do tyłu.

– Musisz porządnie wypocząć – stwierdził Jack.

– A ty musisz mniej pić.

– Daj spokój, Lauro. Przestań się zachowywać tak, jakbyś

musiała coś udowodnić. Jesteś dobrym detektywem, wszyscy to wiedzą.

Pokręciła głową.

– Zawsze trzeba coś udowodnić. Jestem kobietą, pochodzę z niewłaściwej części kraju, londyńska parweniuszka. Zawsze znajdzie się ktoś, kto walczy o moje stanowisko, a ja niestety muszę się starać trochę bardziej niż inni.

– Okej, tylko nie zapomnij, że nas dwóch czeka na ciebie w domu.

Z początku nie zareagowała i przez chwilę Jack myślał, że powiedział za dużo, dopóki się nie odezwała.

– Obaj jesteście moją rodziną. – Mówiła powoli i cicho. – Nigdy o tym nie zapomnę. Na litość boską, przecież mamy się pobrać.

Z uśmiechem pokiwał głową.

– Dziękuję.

– A to mi przypomina... – odepchnęła się od blatu i przeszła obok Jacka – że muszę dobrze wyglądać w sukni, więc lepiej żebym pobiegała.

Rozdział 28

Laura ze wzrokiem utkwionym w ziemię zaczęła biec w górę długiego zbocza. W końcu dotrze do domu, ale zostały jej jeszcze dwa kilometry ciężkiego biegu, a już się ściemniało. Musiała uważać na samochody. Zdjęła słuchawki z uszu i teraz głowę wypełniał jej rytmiczny łomot stóp na ścieżce, a każde stąpnięcie przypominało, że dom jest coraz bliżej.

Nie lubiła biegać, nigdy. Kolana ją bolały i panował zbyt duży ruch, żeby przebieżka była przyjemna, ale wiedziała, że jeśli dzień ślubu ma w ogóle nadejść, musi to robić. Będzie miała resztę życia, żeby się zrelaksować, więc parła do przodu, z butelką wody w rękę. Pot kapał jej z czubka nosa. Każdy krok okupowała wysiłkiem, mocno pracowała ramionami, dyszała ciężko. Wmawiała sobie, że chodzi o coś więcej, niż tylko o to, żeby być w formie na weselu. Dobrze jest się otrząsnąć ze wspomnień z pracy, ożywić, poczuć promienie zachodzącego słońca na twarzy i cieszyć

się widokiem zielonych wzgórz. Ale wiedziała, że to kłamstwo. Nienawidziła każdego kroku i obiecywała sobie, że to się skończy, jak tylko wsunie na palec obrączkę.

Spojrzała przed siebie. Droga powoli prowadziła w górę, dalej chodnik się urywał. Obejrzała się. Coraz bliżej słyszała warkot silnika.

Wkrótce samochód ukaże się zza zakrętu, słupy światła już malowały ścianę przed nią. Zbliżał się coraz bardziej. Ubrana była jaskrawo, wzdłuż rękawów i nogawek dresu biegły odblaskowe taśmy, ale zmusiła się do dodatkowego wysiłku, żeby zwiększyć dystans od tego, co nadjeżdża, odbiec jak najszybciej od zakrętu. Przyspieszyła, znów opuściła głowę.

Obejrzała się, kiedy auto wyjechało zza zakrętu. Mała stara furgonetka. Wiatr przyniósł zapach spalin kłębiących się z rury wydechowej. Nie widziała kierowcy, bo oślepiły ją światła.

Chodnik zaraz się kończył, wiedziała, że furgonetka dogoni ją, kiedy będzie biegła jezdnią. Ale z przodu nic nie nadjeżdżało, więc wóz miał mnóstwo miejsca, żeby ją wyminąć.

W końcu zbiegła na drogę. Na twardym podłożu z każdym krokiem czuła dźgnięcia bólu w kolanach. Teraz samochód był tuż za nią, jej kołyszająca się sylwetka odbijała się cieniem na drodze. Czekała, aż furgonetka przejedzie obok, usta miała mocno zaciśnięte, nie chciała wdychać spalin z jadącego pod górę wozu. Oddychała szybciej, przez nos.

Ale samochód nie przejechał obok. Coś było nie tak.

Znowu się obejrzała. Oślepił ją blask świateł. Auto było teraz tylko kilkadziesiąt centymetrów od niej.

Zaniepokojona spróbowała przyspieszyć, ale furgonetka trzymała się jej, przedni zderzak był za blisko. Ciągłe się oglądała, ale wiedziała, że nie może się zatrzymać. Wóz jechał blisko ściany ciągnącej się wzdłuż drogi, więc nie mogła zwyczajnie usunąć się na bok.

Pobiegła jeszcze szybciej, teraz oddychała z trudem, paliły ją płuca, na łydkach czuła gorąco z maskownicy wlotu powietrza.

Zamachała ręką, żeby furgonetka przejechała, ale nic z

tego. Kierowca ciągle sunął za nią. To nie mógł być przypadek.

Spojrzała przed siebie z nadzieją, że ktoś inny nadjedzie. Silnik zwiększył obroty na wzniesieniu. Mogłaby skoczyć pod ścianę, to jedyna droga ucieczki, ale furgonetka jechała za blisko. Laura bała się, że wpadnie pod koła, jeśli zmieni tempo. Mięśnie nóg miała twarde od wysiłku, serce biło jej mocno. Znów szybko się obejrzała. Furgonetka zajeżdżała ją z boku. Laura pod stopami czuła wibrowanie asfaltu. Przed sobą zobaczyła trawiaste pobocze, za strome dla samochodu. Dwadzieścia metrów dalej. Może tam zanurkować, a potem wdrapać się na mur.

Opuściła głowę, próbowała pobiec sprintem, ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Odrzuciła głowę do tyłu. Już prawie jest na miejscu.

Dziesięć metrów. Pięć.

Kierowca musiał się zorientować, co Laura chce zrobić, bo skręcił w jej stronę, przedni zderzak celował prosto w jej nogi. Krzyknęła i skoczyła na pobocze.

Wylądowała niezgrabnie, potknęła się o kamień wystający z trawy, rękami złagodziła upadek, ból przeszył jej ramiona. Poczowała pęd powietrza, kiedy opona otarła się o jej stopę, rozległ się trzask – samochód wjechał na pobocze.

Ze złością podniosła wzrok, pierś mocno jej falowała. Auto szybko cofnęło, miało wgięty zderzak. Zaczęła wstawać, kiedy drzwi od strony kierowcy się otworzyły. Miała już krzyżeć, ale się powstrzymała. Kierowca działał w zbyt przemyślany sposób. Nikt nie wysiadł ani nie poruszył się w środku. Potem zauważyła jeszcze coś: brak tablicy rejestracyjnej.

Myśl, nakazywała sobie. Może mieć broń, kimkolwiek jest. Zaczęła się cofać, w górę pobocza, w stronę szarego muru. Poczowała się zagnana w pułapkę, kiedy uderzyła plecami o kamienie.

Myślała, co zrobić, kiedy zza zakrętu wyjechał jakiś samochód, zjeżdżał powoli ze wzgórza.

Drzwi kierowcy furgonetki zamknęły się z trzaskiem, Laura zakaszlała od kłębów niebieskiego dymu. Silnik głośno pracował.

Kiedy Laura patrzyła za odjeżdżającą furgonetką, kierowca

drugiego samochodu odkręcił szybę.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Pokiwała głową. Uśmiechała się słabo.

– Tak. Po prostu się potknęłam.

Kierowca odpowiedział jej uśmiechem i odjechał. Laura znowu usiadła na trawie i słuchała niknącego w oddali odgłosu silnika.

O co w tym wszystkim chodziło? Czy to dlatego, że była samotną kobietą biegnącą ciemną drogą, czy dlatego, że jest policjantką i ktoś chciał się zemścić?

Potem przypomniwała sobie maile. Ten, kto je przysłał, wiedział o Jacku. Czy o niej też wiedział? Znowu spojrzała na wzgórze, furgonetka już zniknęła. Potem pomyślała o tym, co jest na szczycie wzgórza. Jej dom. Bobby. Czy tam pojechał?

Wstała i znów zaczęła biec. Tylko że tym razem mogła myśleć wyłącznie o swoim synku. To wypędziło ból z nóg i piersi. Serce jej załomotało. Musiała jak najszybciej dotrzeć do domu.

Rozdział 29

Nic już nie było jasne. Pędził furgonetką, zbyt podniecony, zbyt wściekły. Nie mógł wrócić do domu. Hałas w głowie był teraz głośny, jak krzyk. Wiedział, że musi go szybko uciszyć. Widział tylko strumień czerwonych świateł, zamazanych, stapiających się w jedno. Nie pamiętał, dokąd pojechał.

Wydawało mu się, że ludzie z niego drwią, tylko ciche śmiechy, prawie niesłyszalne, ale z pewnością były. Zaczął głęboko oddychać, pot spływał mu po ciele, koszula przylgnęła do pleców.

Musi kogoś znaleźć. Blackley było za daleko. Pojechał z powrotem do Turners Fold, bocznymi drogami, żeby nie przejeżdżać obok niej. Nie widziała jego twarzy, na pewno, ale nie mógł jej dawać drugiej okazji.

Wkrótce znalazł się w centrum, szukał kobiety, jakiegokolwiek. To było coś innego niż z Jane i Deborah. Tu chodziło o natychmiastowe rozładowanie żądz, nie o zemstę. Przepływ adrenaliny zablokował hałasy dochodzące z zewnątrz.

Zobaczył dziewczynę wychodzącą ze sklepu. W rękę

trzymała karton mleka, patrzyła w dół, niosła kluczyki do samochodu. Zwolnił.

Spodobała mu się. Miała na sobie obcisły T-shirt. Widział, jak przy każdym kroku podskakują jej cycki. Nie powinna się tak ubierać. Zły wybór. Ale wtedy zobaczył jego, chłopaka. Czekał na nią.

Ruszył dalej. Wiedział, że będzie ich więcej. Myślał, żeby pojechać tam, dokąd miał nigdy więcej nie jeździć, gdzie dziewczyny włóczą się w grupkach, w krótkich sukienkach, z torebkami przewieszonymi przez pierś, gotowe śmiać się z niego, pieprzyć się za pieniądze. Ale to zły pomysł. Były w Blackley, kilkanaście kilometrów dalej, a on musiał sobie ulżyć szybciej. A w ogóle, to kobiety, które się sprzedają, uważają na siebie nawzajem i zawsze go odpychają, kiedy tak dla żartu, kładzie im dłonie na szyje.

Krażył wokół małego centrum, potem zapuścił się w krętą uliczki przedmieść. I wtedy zobaczył ją.

Hałasy stały się głośniejsze.

Młoda, jakieś dwadzieścia lat, szła sama, z opuszczoną głową, rękami skrzyżowanymi na piersi, zatopiona w myślach, z papierosem wetkniętym między palce. Może wracała do domu po sprzeczce, więc jest szansa, że go nie usłyszy.

Przejechał obok niej i zatrzymał się w zaułku. Wysiadł z furgonetki i czekał, oparty o drzwi od strony kierowcy. Musi być szybki, w pobliżu stały domy, wysokie wiktoriańskie budynki, które przekształcono w mieszkania. Miał wprawę, robi to szybko. Trzask kajdanek, ręce wokół szyi.

Hałasy w głowie się oddaliły. Zawsze cichną, kiedy nadchodzi czas, tak jakby nie chciały mu przeszkadzać. Musi działać bezbłędnie.

Schwytnie, groźba. Słyszał tylko nocną ciszę i jak zwykle miał wrażenie, że dźwięki są wzmocnione – wydawało się, że jej kroki walą o asfalt. Słyszał szelest jej ubrania, zaciąganie się dymem z papierosa. Odgłosy ruchu ulicznego były odległe. Teraz musiały takie być.

Nadeszła, przechodziła przez boczną ulicę, głowę nadal trzymała opuszczoną, szaroniebieski dym kłębił się za nią. Dlaczego poszła tą drogą? Znowu zły wybór. Sama go dokonała, naraziła się na niebezpieczeństwo.

Zaczął za nią iść, wpadł w rytm jej kroków. Miał miękkie podeszwy, mógł podejść blisko, zanim go usłyszała. Starał się trzymać lewej strony, z dala od cieni rzucanych przez uliczne latarnie.

I wtedy znalazł się na odległość chwytu.

Sięgnął za siebie po kajdanki przymocowane do pasa. Głęboko nabrał powietrza przez nos. Wtedy się odwróciła. Patrzyła spłoszona i już miała zacząć krzyczeć, kiedy jego ramię wystrzeliło do przodu, dłoń chwyciła ją za gardło, ścisnęła mocno, wolna ręka zatrzasnęła kajdanki na jednym nadgarstku. Szybko przebieła nogami, pchał ją w stronę alejki, którą widział przed sobą.

Rozdział 30

Jack skończył artykuł dla Dolby'ego i pił kolejne piwo, kiedy Laura wpadła do domu. Utykała, oddychała ciężko, łzy spływały jej po policzkach. Kiedy się obejrzał, padła na kolana, zakryła twarz dłońmi.

Jack podbiegł do drzwi, wyjrzał na ulicę, żeby sprawdzić, co ją wystraszyło. Nic takiego tam nie zobaczył.

– Co się stało? – Ukłękł, objął ją ramionami.

Plecy miała złane potem, rżąc robiła głębokie wdechy.

– Ktoś w furgonetce właśnie próbował mnie przejechać – wydyszała.

– Cholera! Nic ci nie jest? – Odsunął się, szukał ran.

Pokręciła głową i cicho załkała.

– Nie, nic. Tylko skaleczyłam się w nogę.

Zobaczył rozdarcie w dresie i rozbite kolano.

– Nie powinnaś biegać po tych odludnych drogach po zmroku. Są niebezpieczne.

– Nie mów, że to moja wina! – krzyknęła, ocierając dłonią łzy z policzków. – On to robił specjalnie.

– Jak to: specjalnie? Jesteś pewna? To znaczy, skąd wiesz?

– Po prostu wiem, widziałam, co się dzieje.

– Ale dlaczego ty?

Wstała, krzywiąc się z bólu.

– Nie wiem. Jestem policjantką. Narobiłam sobie wrogów.

– Akurat teraz?

Nachyliła się, dłonie oparła o kolana, nadal brakowało jej tchu.

– Właśnie to mnie martwi.

– Jak to?

– Daj spokój, Jack, sam pomyśl. Ktoś, może zabójca, kontaktuje się z tobą, a potem to. – Pokazała krew na kolanie.

– On groził – powiedział cicho Jack – „Jeśli powiesz policji, dowiem się”. Tak napisał.

Laura wyprostowała się i popatrzyła na jego laptop. Zobaczył wyraz jej oczu, oskarżycielski, to jego вина.

Wskazała w górę.

– Trzeba zabrać stąd Bobby’ego. Ten człowiek na pewno wie, gdzie mieszkamy, więc mały nie może tu być.

Jacek skinął głową. Rozumiał. Podszedł, żeby znowu ją objąć, ale go odtrąciła.

Ruszyła w głąb domu, ale kolano bolało jak diabli. Musiała przenieść cały ciężar ciała na jedną nogę. Popatrzyła na Jacka, teraz była zła.

– Jeszcze dziś przeniesiemy Bobby’ego.

Jack zgodził się, patrzył, jak Laura kuśtyka na górę.

Z początku stał beczynnie, gapił się tylko przez okno i zastanawiał, jakie zagrożenie sprowadził na nich jego artykuł. Słyszał odgłos otwieranych szuflad, jej szybki prysznic, a potem rozmowę z synkiem. Żartowała, przedstawiała to jako przygodę, nie chciała nastraszyć dzieciaka.

Jack wyjrzał przez okno. Tylko ciemność. Czy ktoś zagląda do środka?

Odwrócił się na odgłos kroków. Bobby był ubrany w piżamę i szlafrok, Laura w kostium. Trzymała małą walizeczkę.

– Zostanie na noc u Marthy – oznajmiła.

Jack kiwnął głową na znak zgody. Martha była starą przyjaciółką rodziny. Laura poczochnęła włosy Bobby'ego, sprawiając, że się uśmiechnął. – A tata odbierze cię ze szkoły. Fajnie, co?

Uśmiech chłopca przygasł i Jack domyślił się, że Bobby wyczuwa, że coś jest nie tak. Ojciec rzadko jeździł taki kawał na północ, żeby go odebrać. Zwykle przekazywali sobie dziecko na stacji obsługi pojazdów przy M6.

Jack podszedł do Bobby'ego i go objął.

– Baw się dobrze u Marthy. Pamiętaj, że to starsza pani. Nie bądź łobuziakiem.

Mały zachichotał, a kiedy Jack wyprostował się, Laura chwyciła chłopca za rękę.

– Wróć później – powiedziała i wyszła.

Nocną ciszę zakłócił warkot silnika jej samochodu, reflektory na chwilę oświetliły ciemne pola. Jack patrzył, jak auto znika z pola widzenia. Potem znów zapanowała cisza.

Wszedł do domu, zamknął drzwi i sprawdził zamki. Zapowiadała się długa noc.

Rozdział 31

Jack wyrztał przez okno. Stał kilkanaście centymetrów od szyby, żeby schować się w cieniu.

Dochodziła już jedenasta, Laury nie było od paru godzin. Pogasił w domu wszystkie światła. Chciał wyrzeć na dwór, tak żeby nikt go nie widział. Nie miał pojęcia, czego się spodziewać, ale jeśli ten ktoś z furgonetki postanowiłby przyjść z wizytą, to Jack go zaskoczy.

Ale jeśli źle to odczytali? Może to po prostu marny kierowca albo ktoś, kto chciał tylko dla żartu nastraszyć Laurę.

Odpowiedź nadeszła wcześniej, niż się spodziewał.

Jedynym źródłem światła w pokoju był laptop. Na wygaszacz ekranu były zdjęcia rodzinne. Jack nie patrząc, nacisnął któryś z klawiszy. Kiedy ukazał się widok roboczy, zobaczył, że ma nowego maila od tego samego nadawcy co poprzednio. W tytule było tylko jedno słowo: „Dlaczego?” Jack

rozwinął tekst.

„Dlaczego, do cholery, nie porozmawiałeś z Emmą? Jeśli chcesz poznać całą historię, to musisz do niej pójść. Znajdź ją. Wiem, że potrafisz. A może jesteś za bardzo zajęty współpracą z policją? Mówiłem, żebyś się z nimi nie kontaktował. Laura miała mały wypadek, ale mogło być znacznie gorzej.

To nie jest część historii, tylko przypadkowa frustracja, ale kto inny za to oberwał”.

Jack usiadł, żeby przeczytać to raz jeszcze.

Teraz nie miał wątpliwości, bo skąd nadawca mógł wiedzieć, że Laury omal nie przejechała furgonetka i że on był na policji? Czy go obserwował?

Znowu spojrzął na ekran, słowa zaczęły przed nim pływać. Musi się wreszcie uspokoić. Sam fakt, że Laurę nastraszył człowiek, który przysyłał maile, nie znaczy, że to morderca. Carson mógł mieć rację, że to tylko przeciek. Któryś z policjantów wydawał tajemnice i próbował jedynie przestraszyć Laurę, żeby ostrzec Jacka. W końcu, gdyby chciał ją przejechać, mógł to zrobić.

Jack szybko napisał: „Widziałeś? I co to znaczy, że z Laurą mogło być gorzej? Kim jesteś?” Czekając na odpowiedź, nie spuszczał wzroku z ekranu. Głowę miał pełną myśli o Laurze, samej na pustej drodze, o tajemniczej furgonetce, która ją prześladowała.

Przyszedł mail. Tytuł brzmiał: „Mała wskazówka, Jack. Taki prezencik”.

Był załącznik. Zdjęcie.

Wydawało się, że wieki miną, zanim się załaduje. Obrazek otwierał się bardzo powoli, ale kiedy już wyświetlił się cały, Jack poczuł, że serce mu wali jak młotem. Laura musi to zobaczyć.

Zadzwoił do niej. Odebrała po drugim dzwonku.

– Powiedz mi o Jane – poprosił. – Była naga, kiedy ją znalezione?

– Wiesz, że tak. Ujawniliśmy tę informację, a ty widziałeś zdjęcie.

– Ale policja czasem wprowadza prasę w błąd, jeśli tego wymaga śledztwo. Czy ona naprawdę była naga? Czy ktoś zdjął jej ubranie, żeby pobrać próbki do analizy?

– Jack, nie jestem w nastroju – rzuciła rozdrażnionym tonem.

– Dostałem nowego maila – wyjaśnił. – Ale na zdjęciu Jane wygląda tak inaczej.

– Mów – warknęła.

Znów popatrzył na zdjęcie, żeby je szczegółowo opisać.

– Błada skóra, blond włosy na ziemi, ale twarz lekko zaczerwieniona. Na policzkach punkciki krwi i cienki czerwony wyciek z nosa.

I widzę śmieci w jej ustach. – Przyjrzał się dokładniej. – Policzki ma pełne, wypchane, na zewnątrz wychodzą liście i ziemia, jakby się tym udławiła.

– Wspomniałeś o ubraniu – powiedziała niecierpliwie Laura.

Jack zerknął na ekran.

– Bluzkę ma rozpiętą, stanik podciągnięty, tak że widać jej piersi.

– Potrzebne nam to zdjęcie.

– Więc jak ją znaleźliście, była naga?

– Jack, zdjęcie!

Wpisał policyjny adres mailowy Laury i przesłał załącznik. Po kilku sekundach usłyszał brzęknięcie. Mail wylądował w skrzynce pocztowej Laury. Zrobiła gwałtowny wdech, kiedy to zobaczyła.

– On był tym człowiekiem w furgonetce – powiedziała już spokojniej. – Wie, gdzie mieszkamy. Bobby nie wróci do domu, dopóki nie złapiemy drania.

– Złapiecie go.

– Mam nadzieję – odparła z napięciem w głosie.

Już miał się rozłączyć, kiedy dodała: – Kocham cię, Jack. Uważaj na siebie. Nie wpuszczaj nikogo do domu.

– Tak zrobię. Ja ciebie też kocham.

Zamknął komórkę i włożył ją z powrotem do kieszeni. Znów zdał sobie sprawę z ciszy.

Rozdział 32

Poranek przybył w postaci strumienia światła spomiędzy rozsuniętych zasłon.

Jack zmrużył oczy, ledwie je otworzył. Spał na dole, zwinięty pod kocem, na kanapie, żeby usłyszeć hałas, gdyby ktoś próbował się włamać. Przed nim ktoś stał. Ciemne włosy, dołeczki, uśmiech. Wysunięty ku niemu kubek kawy.

Usiadł, przetarł twarz, wziął kawę.

– Dziękuję.

– Marny z ciebie pies stróżujący – zaśmiała się Laura. – Wróciłam w nocy, a ty ani drgnąłeś.

Jack stęknął. Dla niego nadal było za wcześnie. Spojrzał na zegarek. Dziewiąta.

– Jak tam Bobby? – zapytał. Kawa przywróciła go do życia.

– Właśnie byłam u Marthy, żeby zabrać go do szkoły. Wszystko w porządku, ale musimy być ostrożni. Nie możemy pozwolić, żeby się bał we własnym domu.

Jack skinął głową.

– I przyniosłam ci gazetę. – Wręczyła mu „Blackley Telegraph”.

Popatrzył na tytuł, wielki, tłustym drukiem, obok zdjęcia Jane Roberts. *Glina ujawnia tajemnice*.

Rzucił gazetę na stolik.

– Sprawy teraz się zmieniły – powiedział.

– Wiem, ale dziękuję za zdjęcie. Przez te maile facet za bardzo się ujawnia. Wyśledzimy adres IP, sprawdzimy, gdzie ma dostęp do konta mailowego, a fotkę przesłaliśmy technikom. Zdjęcia cyfrowe zawierają sporo danych. Czas i datę. Markę i model aparatu. Jeśli korzystał z serwisu, może nawet namierzymy jego nazwisko.

Jack się uśmiechnął. Z tej koszarnej korespondencji mogło przynajmniej wynikać coś dobrego.

– Teraz uciekam. – Laura nachyliła się, żeby go pocałować.

Poczuł jej miękkie wargi na swoich ustach i przez chwilę chciał, żeby nie wychodziła, żeby robili to, co zwykli robić, zanim wróciła do wydziału zabójstw: po prostu relaksowali się, spędzili razem leniwy dzień. Tak było, kiedy miała wolne między zmianami, a Bobby siedział w szkole. Ale to już przeszłość.

Potem jednak przypomniał sobie fotografię Jane Roberts i inne, które widział przypięte w sali operacyjnej. Pomyślał o tym, co przydarzyło się Laurze poprzedniego dnia.

– Idź, złap sukinsyna – powiedział. Patrzył, jak Laura wychodzi z domu.

Kiedy znów nastąpiła cisza, wziął gazetę i ponownie spojrzął na pierwszą stronę. Przeczytał reportaż i stwierdził, że Dolby dotrzymał słowa – tekst poszedł w oryginalnej wersji. Harry English wprowadzi jakieś zmiany dla „London Star” i upchnie materiał gdzieś w środku numeru, ale to i tak może pomóc.

Kolana mu zatrzęszczały, kiedy wstał i pokuśtykał do laptopa. Dźgnął włącznik, był podenerwowany, nie w nastroju, żeby przeglądać prasę online. Chciał się dowiedzieć, jak szeroko tekst rozszedł się po Internecie.

Odczekał dłuższą chwilę, w końcu buczenie komputera ustało i zaczął przeglądać strony, które zawsze czytywał. Jak dotąd niczego nie było.

Kliknął ikonę poczty na ekranie – miał nową wiadomość. Głęboko odetchnął i nachylił się, żeby ją przeczytać.

„Dobra robota, Jacku Garretcie, ale teraz wiesz, że się pomyliłeś. Bardzo się pomyliłeś. I pamiętaj: znam twoje nazwisko. Ty nie znasz mojego. Wiedza to potęga. Pamiętaj o Emmie”.

Jack zgarbił się na krześle i spojrzął w stronę okna. Zielone wzgórza, poza tym nic. A w nocy będzie tylko nieustępliwa ciemność, łatwa kryjówka dla kogoś, kto chciałby podejść pod drzwi.

Rupert Barker wyrzwał na korytarz, kiedy usłyszał, jak gazety upadają na wycieraczkę.

Kupował „Timesa” od czasów uniwersyteckich. Gazeta zmieniła się przez te lata, więcej było newsów o celebrytach i o

sporcie, a wielkie stronice skurczyły się do rozmiarów tabloidu, ale nadal lubił ją czytać przy porannej kawie. Odkąd przeszedł na emeryturę, dodał jedną z popołudniówek, dla żartu, żeby mieć trochę łatwej rozrywki. Z uśmiechem przeglądał tytuły, a potem odpoczywał w fotelu z „Timesem”. I tak upływał ranek.

Ciężko znosił emeryturę. Trzydzieści lat pracy w charakterze psychologa dziecięcego, rozmowy z wystraszonymi i bezbronnymi maluchami z całego Lancashire. Ale w końcu zmęczyła go ta nieustająca orka w dziecięcych problemach, więc dał sobie spokój.

Postanowił resztę dni spędzić na czytaniu albo drzemce przed kominkiem.

Poszedł do kuchni i włączył ekspres do kawy, omal nie potknął się o kota, zaniedbane biało-czarne stworzenie z nadgryzionym prawym uchem. Woda zaczęła bulgotać przez zmielone ziarna. Odetchnął głęboko i się uśmiechnął. Zapach świeżej kawy zawsze oznaczał dobry początek dnia. Emerytura była dla niego problemem i przyjemnością. Musiał wypełnić sobie jakoś mnóstwo czasu, ale próby wypełniania go dawały mnóstwo przyjemności.

Jęknął, podnosząc gazety z wycieraczki, i podreptał z powrotem do salonu, królestwa książek i starych wspomnień, tak zakurzonego, że goście marszczyli nosy. Ale to jego sanktuarium. Tu dożyje swoich ostatnich dni, czytając i wspominając w fotelu z wysokim oparciem, naprzeciwko kominka. Minęło już parę tygodni od chwili, kiedy go rozpalili. Zaczynało się lato, ale on nadal ustawiał fotel przy ogniu. Zerknął przez okno i zobaczył, że kwiaty wiśni z drzewa sąsiada opadają na trawnik, a kwietne grządki zaczynają pałać kolorami.

Jedynymi odgłosami, jakie go dochodziły, było ćwierkanie ptaków z karmnika wiszącego na drzewie i skrzypienie kurka na wieży kościoła za jego domem.

Sięgnął po okulary i założył je na nos, a potem zaczął przeglądać popołudniówkę.

Zaśmiał się, czytając kilka pierwszych artykułów,

opowieści o piłkarzach, salonach masażu i kochankach. Prasa irytowała się na przepłacanych młodych ludzi, którzy za dobrze się bawią. Szybko przerzucał strony, chciało mu się śmiać i o to chodziło. Potem zobaczył tytuł: *Glina ujawnia tajemnice*.

Tekst mówił o anonimowym policjancie, który wysłał do dziennikarza maile na temat zabójstwa. Pokręcił głową. Ktoś stracił robotę i za co? Jakież żale w miejscu pracy?

Nagle zatrzymał wzrok. Poczuł szarpnięcie w piersi, chwycił palcami skraj gazety. Myślami cofnął się wiele lat wstecz, jakby szybko przewijał taśmę wideo.

Położył gazetę na kolanach i znowu wyjrzał przez okno.

Reportaż przypomniał mu o małym pacjencie, który zawsze go martwił. Gniew wywołany maltretowaniem rozumiał, ale w tamtym przypadku to było coś więcej. Chłód tkwiący w chłopcu, obojętność, z jaką mówił o tym, co zrobił. Spojrzenie prosto w oczy, przechylona głowa.

Znów spojrzał na artykuł i wspomnienia sprzed dwudziestu lat ożyły. Ekspres dał sygnał, że kawa zaparzona, ale Rupert nie zwracał na to uwagi. Teraz myślał o czymś innym. A raczej o kimś innym. O cichym, zamkniętym w sobie dziecku z jasnymi włosami, z twarzą pozbawioną emocji.

„Jane Roberts znaleziono uduszoną, usta i inne otwory ciała miała wypełnione ziemią i liśćmi”.

Jeszcze raz wyjrzał za okno, ale tym razem stwierdził, że ogród wygląda nieporządnie, płatki wiśni zaśmiecają trawnik, między kwiatami pojawiły się chwasty.

Rozdział 33

Maile pochłonęły uwagę Jacka, bo zdał sobie sprawę, że ma nieproszonych gości dopiero wtedy, gdy drzwi otworzyły się z hukiem. Nie usłyszał samochodu na dworze.

Odwrócił się wstrząśnięty i zaczął rozglądać za jakąś bronią, nożem, czymkolwiek, ale niczego nie miał pod ręką. Weszło trzech mężczyzn. Mieli na sobie czarne dżinsy i czarne T-shirty. Włosy krótko obcięte, blizny na twarzach – wspomnienia po dawnych konfliktach wryte na skórze. Jeden z nich trzymał psa

nabitego mięśniami. Zwierzę z groźbą w ślepiach, szarpało się na smyczy. Ten facet był starszy od dwóch pozostałych, wysoki, wyglądał na wkurzonego, policzki miał zaczerwienione od alkoholu. Don Roberts, domyślił się Jack.

Próbował ocenić sytuację. Tacy ludzie jak Roberts byli nastawieni na zastraszenie, psy, groźne miny, ale Jack przypuszczał, że Don nie zaatakuje go w domu. Reputacja bandziorów pozwalała im rządzić – wielcy faceci w brudnym bajorze, samozwańczy królowie tej części Blackley, którą większość ludzi miała ochotę opuścić. Ale Jack nie był jednym z ich poddanych, więc istniało prawdopodobieństwo, że złożą na nich doniesienie. Don przyszedł postraszyć, nie skrzywdzić.

Ale Jack pisał o jego córce, o tym jak ją znaleźiono. To może sprawić, że gość stanie się nieobliczalny.

Próbował udawać, że się nie przejmuje. Skrzyżował nogi w kostkach i czekał, aż Don odezwie się pierwszy.

Minęła długa, pełna napięcia minuta.

– Wiesz, kim jestem? – powiedział w końcu Don.

Jack skinął głową.

– Ojcem Jane.

Don na chwilę stracił grunt pod nogami. Zwykle ludzie mówią do niego z respektem, a Jack odniósł się do jego zmarłej córki.

Spiął się i wrócił do siebie.

– Więc wiesz, po co tu jestem.

– Pewnie chodzi o ten artykuł o przecieku z policji.

Roberts nachmurzył się i podszedł bliżej. Teraz pies stał przy stopach Jacka, z otwartym pyskiem, dysząc ciężko.

– Napisałeś parę obrzydliwych rzeczy o mojej córce.

Jack słyszał drzenie w głosie Dona, widział czerwone obwódki wokół jego oczu. Starał się pamiętać, że ten człowiek stracił dziecko.

– Jeśli czytałeś reportaż, to wiesz, że to było o policyjnym przecieku, a nie o twojej córce – powiedział.

Roberts przekazał psa jednemu z ludzi i nachylił się,

zbliżając twarz do twarzy Jacka.

– Nie musiałeś tego pisać. – Był tak blisko, że Jack widział ślinę na jego wargach i czuł brak snu w jego oddechu.

– Ale napisałem.

– Nie tak jak trzeba. – Don patrzył na niego z wściekłością.

– Miej pretensje do tego, kto rozsiewa te historie, nie do mnie. – Jack próbował ukryć nerwowość w głosie.

– Ja tylko chcę, żeby tego sukinsyna złapali – wychrypiął Don. Wyraźnie zaczynał tracić nad sobą kontrolę. Palce mu drżały, sapał ciężko, jakby zmagając się ze sobą, żeby powstrzymać emocje.

– Więc współpracuj z policją – rzucił Jack.

– Co, żeby wsadzili go za kratki, dali mu telewizor i pozwolili, żeby kpił ze mnie na swoim profilu w Facebooku? I wypuszczą go za piętnaście lat, bo obieca, że już będzie grzecznym chłopcem, a moja córka cały ten czas będzie leżeć na cmentarzu? – Wziął kilka głębokich wdechów i spojrzał w dół. Kiedy znów podniósł wzrok, usta miał wygięte w szyderczy uśmiech, pięści mocno zaciśnięte. – Nic z tego.

– Więc co czeka zabójcę Jane?

– Sprawiedliwość. W moim wydaniu, nie w wersji oficjalnej, a ty mi pomożesz.

Jack oblizał wargi, w ustach mu zaschło.

– Jak?

Don sięgnął do kieszeni i wyjął mały składany nóż. Obrócił nim przed oczami Jacka, ostrze zaśniło w świetle padającym z okna. – Nie skrzywdzę cię w tej chwili, chcę tylko, żebyś wiedział, że niebezpiecznie jest powiedzieć „nie”.

Jack przełknął.

– Nie wiem, jak mógłbym ci pomóc.

– To proste. Ktoś z policji się z tobą kontaktuje, bo o tym jest cały twój artykuł. – Don przycisnął ostrze do twarzy Jacka, czubkiem skierowanym był w stronę oka. – Niech z tobą współpracuje, a ty mi przekażesz, co on mówi.

Jack nie zareagował. Chciał pokręcić głową, ale bał się, że nóż go skaleczy.

– Coś nie tak? – zapytał Don. – Wyrzuty sumienia?

– Więcej niż wyrzuty – wychrypiał Jack. – To byłoby po prostu niewłaściwe.

Roberts uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie i mocniej przycisnął ostrze.

– Nie daję ci wyboru.

Jack starał się utrzymać spokój na twarzy, nie chciał, żeby jakiś mina albo tik spowodowały, że czubek stali wbije mu się w oko.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Każdy, kto staje mi na drodze, jest moim wrogiem, a ty wolałbyś nie znaleźć się w takim położeniu.

Spojrzenie Jacka przeskakiwało między ostrzem a twarzą Dana. Słyszał warczenie psa, jak niski grzmot, i pazury klekoczące na panelach, kiedy zwierzę próbowało się zbliżyć.

Don odsunął się i schował nóż do kieszeni. Jack zrobił długi wydech i popatrzył na dwóch goryli stojących za Donem. Uśmiechali się.

– Więc pan się zgadza, panie Garrett? – zapytał Roberts.

Jack przygryzł wargę i spojrzał w dół, kręcąc głową.

– Nie mogę. – Starał się, żeby jego słowa zabrzmiały spokojnie. – To niezgodne z prawem, a jeśli zrobilibyś mordercy jakąś krzywdę, ja byłbym w to zamieszany. Więc nie, nie zgadzam się.

Don patrzył na niego, rękę trzymał w kieszeni. Jack pomyślał, że facet znowu wyjmie nóż. Cisza narastała.

– Spodziewałem się takiej odpowiedzi – warknął wreszcie Don. – Ale w końcu cię namówię.

Ruszył do wyjścia, za nim poszła jego gwardia przyboczna. Kiedy drzwi zamknęły się z lekkim trzaskiem i Jack znowu został sam, westchnął głęboko i przeklął reportaż o przecieku. Teraz naprawdę zyskał zainteresowanie, którego nie chciał.

Rozdział 34

Rupert popatrzył na budynek, gdzie jeszcze parę lat temu prowadził praktykę. Dom stał na końcu długiego szeregu

sklepów, pomalowany na biało, z pionowymi żaluzjami zasłaniającymi wewnątrz i małą plakietką z brązu przy drzwiach wejściowych: „Barker i Holmes”. Wiedział, że będzie spokojnie, bo dopiero dochodziła dziesiąta. Większość wizyt odbywała się po południu. Rano pisano raporty.

Nacisnął mały srebrny guzik intercomu i po kliknięciu usłyszał znajomy głos.

– Cześć, Anne – powiedział, odchrząkując. – Tu Rupert. Mogę wejść?

Rozległ się śmiech, a potem brzęczenie zwalnianego zamka. Pchnął ciężkie drewniane drzwi i wszedł do wnętrza, do którego myślał, że już nigdy nie wejdzie.

Znajomy zapach, pasta do podłóg i odświeżacz powietrza, ogrzewanie też jak zwykle za bardzo odkręcone. Przed nim rozciągał się korytarz prowadzący do pokoiów, gdzie próbował kiedyś naprostować parę zaburzonych młodych umysłów. Mógł liczyć tylko na to, że niektórzy wyszli po tej samej wykładzinie ze zdrowszymi głowami, niż kiedy przybyli po raz pierwszy.

Skręcił w stronę recepcji, niskiego stołu zarzuconego starymi egzemplarzami „Lancaster Life”, i zobaczył uśmiech – wciąż tak samo serdeczny, wcale się nie postarzał odkąd widział go ostatnim razem.

– Mam nadzieję, że nie gniewasz się z powodu tej wizyty – powiedział.

– Jak możesz tak mówić? – obruszyła się Anne. – To jest twoja przychodnia.

– To była moja przychodnia – sprostował z uśmiechem. – Cieszę się z tego, co mam teraz.

– Jak tam życie na emeryturze?

– Spokojnie, ale tego chciałem.

– To dobrze. – Anne szybko skończyła rozmowę, wygładziła kremową bluzkę, zaczęła się bawić grzywką. Włosy miała siwe i cienkie.

Pamiętał ją, jak zaczynała u niego pracę: atrakcyjna brunetka prosto z nieudanego małżeństwa. Dwadzieścia lat później

zbliżała się ku starości.

– Przynieść panu coś do picia, doktorze?

– Teraz po prostu Rupert – odparł. – Przyszedłem przejrzeć stare teczki.

– Dlaczego? I jak stare? – zapytała zaskoczona recepcjonistka.

– Wpadł do mnie jeden z moich dawnych pacjentów – skłamał. – Może będzie mu potrzebna jakaś pomoc, ale niewiele pamiętam na jego temat. Skieruję go do właściwej placówki, jeśli przypomnę sobie szczegóły.

– A sam nie może?

Rupert pokręcił głową.

– To naprawdę stary klient. Może z czasów, zanim ty nastałaś.

Spojrzała w stronę pokoju na tyłach. Miała niepewną minę. Rupert podążył za jej wzrokiem, tam gdzie urzędowali nowi partnerzy z przychodni, młode wilki, które ściągnął niedługo przed odejściem na emeryturę, żeby mieć pewność, że ktoś wykupi od niego praktykę.

Teraz oni byli szefami.

– Jak się nazywa? – zapytała Anne.

– Nie powiedział. Odwiedził mnie w domu, był bardzo pobudzony, szybko wyszedł. Myślę, że wróci.

Anne nerwowo przełknęła.

– Był moim pacjentem – zapewnił Rupert.

Skinęła głową, wyglądała na zakłopotaną.

– Okej, przepraszam. Wiesz, gdzie są teczki. Obiecay, że niczego nie zabierzesz.

Uśmiechnął się.

– Nie zabiorę.

Odwrócił się, żeby opuścić recepcję i przejść przez drzwi przeciwpożarowe, ale znów się odwrócił i zobaczył, że Anne trzyma mały klucz.

– Będzie ci potrzebny.

Wziął od niej klucz, podziękował i wrócił na korytarz.

Szedł szybko i cicho. Nie sądził, żeby nowi partnerzy mieli mu za złe tę wizytę, bo był jednym z nich, kolegą, nie rywalem, ale i tak miał nadzieję, że wśliznie się i wyjdzie niezauważony.

Otworzył drzwi do piwnicy i włączył światło. Zmrużył oczy, żeby zobaczyć, co znajduje się dalej, za przyćmionym blaskiem nagiej żarówki. Stały tam drewniane półki wypełnione pudłami podzielonymi na lata według ostatniej konsultacji udzielonej pacjentowi.

Zawartość każdego z pudeł uporządkowano alfabetycznie.

Pomyślał o chłopcu, wrócił wspomnieniami do połowy lat osiemdziesiątych. Podróżnicy New Age i scena w Manchester. Pudło z roku 1985 stało na środkowej półce, na końcu rzędu. Brązowy karton już wyblaknął. Od tego można zacząć. Na wieku zgromadziła się warstwa kurzu. Kichnął, kiedy je zdejmował.

Nazwiska na tezkach były jakby lekkimi kuksańcami pamięci, wracały do niego przeblyski wspomnień o wystraszonych dzieciakach, które stały się złe, bo życie nie szczędziło im mocnych kopniaków. Ale żadne z nich nie było tym, które sobie przypomniał, kiedy rano przeczytał gazetę.

Ściągnął pudło z 1986 roku. Nadal nic.

Stęknął z wysiłku i odstawił akta na miejsce. Przeszedł do późnych lat osiemdziesiątych. Poczł dreszcz emocji, kiedy ściągnął pudło z 1990 roku.

Zajął mu kilka sekund, żeby zrozumieć przyczynę ekscytacji, ale potem zdał sobie sprawę, że chodzi o kolor tezek. Przed rokiem 1990 były płowożółte. Kiedy zobaczył niebieskie, wiedział, że jest bliżej.

Powoli przeglądał dokumentację. Twarze na zdjęciach przywoływały wspomnienia. Wreszcie jego palec zatrzymał się na nazwisku Grix. Shane Grix.

Ręce mu drżały, kiedy sięgał do pudła i wyciągał teczkę. Chłodne okładki, zapach wilgotnego papieru. Przewertował zawartość, niektóre kartki były poplamione pleśnią. Zaczął czytać. Notatki nabazgrane przed dwudziestu laty ożywiły jego pamięć.

Odłożył teczkę i spojrział na drzwi do piwnicy. Miał rację,

ale nie poczuł się dzięki temu lepiej. Zginęli ludzie. Pytanie, czy jest gotów to powstrzymać.

Rozdział 35

Jack przeszedł przez ulicę do budynku sądu. Nadal był zły po wizycie Dona, a kiedy zobaczył wóz policyjny dalej przy drodze, znów przypomniał sobie maile. Czy go obserwuje? Czy zabójca jest policjantem i siedzi właśnie w tym samochodzie? Ale wiedział też, że radiowozy często parkują przed sądem i czekają, aż świadkowie z policji skończą składać zeznania.

Chciał jednak wrócić do rutyny, ale kiedy wchodził po schodach, zauważył, że to kolejny nieobfitujący w newsy dzień – ot, zwyczajny zbiór nierobów i drani zmieszanych ze zdenerwowanymi nowicjuszami. Poszedł do sali sądowej z nadzieją, że prokurator coś ciekawego mu podsunie. Szybko minął budkę woźnych sądowych. W swoich czarnych mundurach siedzieli jak gawrony w klatce i czekali na telefon, żeby się dowiedzieć, czyje nazwisko mają wyrzeć jako następne. Zbliżył się do drzwi sali, kiedy poczuł, że ktoś ciągnie go za ramię. Odwrócił się, to David Hoyle.

– Szukałem cię – powiedział adwokat.

Jack roześmiał się lekko.

– Myślałem, że jesteś za dobry na to miejsce.

Hoyle powoli pokręcił głową.

– Chodź do pokoju. Musimy pogadać prywatnie.

Zaciekawiony Jack poszedł za adwokatem. Hoyle zachowywał się dziwnie. Jack pomyślał, że „prywatnie” nie musi oznaczać „bez zapisu”, więc sięgnął do kieszeni, żeby włączyć dyktafon.

Hoyle zaprowadził go do małego kwadratowego pokoju, wyposażonego w stół i cztery krzesła. Tapicerka siedzeń wytarła się przez lata, kiedy znużeni adwokaci wysłuchiwali tandetnych starych wymówek. Hoyle położył akta na stole.

– Rano widziałem w gazecie ten artykuł.

– Chcesz, żebym ci się na nim podpisał?

Adwokat skrzywił się i oparł ręce o biodra.

– Ty naprawdę jesteś przemądrzałym dupkiem – powiedział. – To dla twojego dobra.

– Oświeć mnie.

Zbliżył się, aż Jack poczuł słodkawy odór starego dymu z papierosów.

– Działam w imieniu Robertsa – oznajmił Hoyle prawie szeptem, jakby ta informacja miała podważyć jego status.

Jack poczuł drgnienie gniewu, kiedy usłyszał nazwisko Dona.

– Co to za sprawa? – zapytał głosem ociekającym sarkazmem. – Bo podobno Don od dawna nie miał problemów, a ty nie jesteś tutaj od dawna. Pewnie wysyłał do ciebie wszystkich swoich kumpli i gońców. Tobie się zdaje, że dostałeś pełnomocnictwa i możesz rozgrywać swoją grę, ale tak naprawdę jest zupełnie inaczej. Teraz zostałeś jednym z jego lokai, tyle że ty widzisz to inaczej, bo nosisz garnitur i dźwigasz akta. – Policzki Hoyle’a zaczęły podbiegać czerwienią, ale Jack nie zamierzał kończyć. – Dziś rano Roberts i jego zbiry złożyli mi wizytę. Nie podobał im się mój reportaż, a ja znalazłem się za blisko noża jak na mój gust. Hm, kiepska sprawa, bo żyję z pisania do gazet, więc powiem ci to, co jemu powiedziałem: nadal będę pisał to co chcę i ani myślę przekazywać mu informacje.

Hoyle zrobił głęboki wdech; miał wściekłość w oczach, ale próbował zachować spokój.

– Nie obchodzi mnie twoja pieprzona misja dziennikarska czy co tam cię motywuje – syknął ze złością. – Mówię to dla twojego dobra. Wiem, do czego jest zdolny Roberts i jego kumple. Pamiętaj, że pomagałem im się wywinąć w wielu sprawach, a są rzeczy o których nie słyszałeś, bo dzięki mnie nie trafiły do sądu.

– No niesamowite! – odciął się Jack. – Różnica między tobą a mną jest taka, że ja mogę wybrać sobie to, co chcę robić, a ty nie możesz, bo jesteś na liście płac.

– A gdybym dał ci dostęp?

Jack roześmiał się gorzko.

– Dostęp? Do czego?

– Do Dona, żeby napisać o nim. Roberts chce, żeby ten koleś z policji przesyłał informacje jemu, ale jest inny sposób. Możesz napisać o Donie, ale tak, jak tego on sam chce, nie tak jak życzyłaby sobie policja. To mogłoby pomóc ludziom.

– Dlaczego miałbym na to pójść? Nie wiem, czy kogokolwiek by to aż tak zainteresowało?

Hoyle przez chwilę patrzył na Jacka, potem westchnął.

– Nie komplikuj sprawy, okej. To jest tylko między nami.

Jack przemyślał to i kiwnął głową. Adwokat szeroko otworzył oczy, kiedy Jack sięgnął do kieszeni, żeby wyłączyć dyktafon.

– Musiał sam się włączyć – oznajmił, kiedy Hoyle kręcił z niedowierzaniem głową.

– Obaj wiemy, że Roberts nie pracuje w biurze – podjął Hoyle, kiedy zobaczył, że czerwone światełko zgasło. – W pewnym sensie jest biznesmenem, tyle że lubi trzymać w tajemnicy swoje metody i zarobki. Świetnie, jego sprawa. Ja nie udzielam mu porad podatkowych i biznesowych. Pomagam tylko jego dorywczym pracownikom, kiedy narobią sobie kłopotów.

– Dlaczego ty?

– Bo on uważa, że jestem dobry. Poza tym pracuję w domu. Wiem, mam na wizytówkach nazwę wielkiej firmy, ale dali mi wolną rękę na pracę w Blackley. Dopóki im się opłacam, są uszczęśliwieni, a Roberts nie potrzebuje w Blackley budynku pełnego urzędników i sekretarek, którzy znają szczegóły jego biznesu. Potrzebuje mnie, bo się przydadę. Płaci mi pod stołem za tych swoich specjalnych przyjaciół i nie muszę z nim załatwiać bzdur przez Radę Adwokacką.

– Ale skąd ta zmiana? – Jack uniósł brwi. – Rano Roberts wywarkuje groźby, a teraz proponuje tekst na wyłączność. Nie rozumiem.

– To nie takie skomplikowane. Wie, które bitwy należy stoczyć, a z których się wycofać. Uraził go tekst w gazecie dzisiaj rano.

Zadzwoił do mnie i zapytał, czy może ciebie pozwać, ale

ja mu powiedziałem, że w tym tekście nie ma nieprawdy. I że istnieje więcej sposobów, żeby to rozegrać. Nie był zadowolony, ale chce znaleźć zabójcę Jane. Jeśli zrobi to za twoim pośrednictwem, jest gotów z tobą współpracować.

Jack pokręcił głową.

– Ale układ obejmuje obie strony. – Hoyle wyglądał na zmieszanego, więc Jack dodał: – Musiałbym chcieć z nim pracować. Dziś rano oznajmiłem Robertsonowi, że nie jestem zainteresowany, żeby mu pomagać, i nic się nie zmieniło. Poza tym twój punkt widzenia nic dla mnie nie znaczy. Ludzie, którzy znają Dona, będą wiedzieli, po co mu informacje, i nie nabiorą się na ojcowskie łzy. Ci, którzy go nie znają, nie zadzwonią do niego, bo on nikogo nie interesuje. Nie pokazał się na policyjnej konferencji prasowej z chusteczką w rękę.

Czytelnicy musieliby go lubić, żeby mu pomagać. To nie w porządku, jasne, ale co zrobić, taki świat. Więc odpowiedź brzmi „nie”, nic z tego. Gdybym zmienił zdanie, skontaktuję się z tobą.

Już chciał wyjść, ale Hoyle złapał go za ramię.

– Nie zadzieraj z Robertsem. Możesz się schować za swoim piórem, ale to tylko pióro, a Roberts dysponuje groźniejszą bronią i ma bardzo dobrą pamięć.

Jack popatrzył na rękę adwokata na swoim ramieniu i oderwał ją siłą.

– Dzięki za radę.

Hoyle patrzył przez kilka sekund na Jacka, wziął akta i wymaszerował z pokoju.

Kiedy Jack został sam, przygryzł sobie wargę, aż pojawił się na niej ślad. Jest wolnym strzelcem, więc może robić co chce, ale kiedy pomyślał o Donie Robertsonie, wiedział, że jest tylko jeden sposób załatwienia sprawy i że to sposób Dona Robertsa. I wiedział, że właśnie zrobił sobie bardzo potężnego wroga.

Laura patrzyła, jak ludzie z wydziału podnoszą wzrok, kiedy wparował Carson. Powieki jej ciążyły po spotkaniu z inspektorem o północy. Za szefem wszedł Joe Kinsella. Rachel zerknęła na niego, potem na Laurę, odwróciła się i znów wpatrzyła

się w ekran komputera.

Spotkanie przebiegała tak samo jak poprzedniego dnia. Joe siedział z przodu, tuż za milczącym Carsonem, przyglądał się twarzom.

Laura z tyłu i nasłuchiwała szeptów.

Ludzie byli rozdrażnieni, bo śledztwo zmierzało donikąd. Minęły dwie doby, odkąd znaleziono Jane, i jak do tej pory nie pojawił się żaden konkretny trop. Pukali do drzwi, rozmawiali z miastowymi podglądaczami i zboczeńcami, zadreżczali laboratorium kryminalistyczne w sprawie wyników, ale nadal nic. W pokoju czuć było poirytowanie, a Carson nie zamierzał poprawiać atmosfery. Kiedy wszyscy weszli, zatrzasnął drzwi, aż zaszeleściła gazeta na biurku. Leżała złożona na pół, tak że Carson mógł ją zaprezentować jako niespodziankę dla tych, którzy jej nie widzieli.

Skrzyżował ręce na piersi i przemówił do swoich ludzi.

– Czy ktoś wymyślił coś, co przybliżyłoby nas do namierzenia zabójcy? – Słowa wydobywały mu się z ust jak warknięcia.

Niektórzy wymienili spojrzenia, ktoś wzruszył ramionami, ale nikt się nie odezwał.

Carson pokiwał głową i odwrócił się do stojącego za nim biurka. Podniósł i rozłożył gazetę. Pokazał tytuł nad zdjęciem Jane Roberts.

– Pamiętacie? – zapytał. – Ktoś ujawnia tajemnice wydziału. Musieliśmy opublikować tekst, żeby spróbować zdemaskować tę osobę, a to znaczy, że ujawniliśmy szczegóły na temat tego, w jakim stanie znaleziono Jane Roberts. – Omiótł wzrokiem twarze obecnych. Nikt nie odwracał oczu. – Wczoraj postawiłem sprawę jasno: ten, kto robi przecieki do reporterów, opuści wydział w trybie natychmiastowym. – Rzucił gazetę z powrotem na biurko. – Cieszę się, że wszyscy nadal tu jesteście, bo w ostatni wieczór zdarzyło się coś, co zmienia postać rzeczy. – Sięgnął po kartkę formatu A3. Kiedy ją podniósł, w pokoju rozległy się szepty. Trzymał zdjęcie Jane Roberts, które przyszło

mailem poprzedniego wieczoru. – Bardziej spostrzegawczy spośród was zauważą, że Jane wygląda nieco inaczej niż wtedy, kiedy dotarliśmy na miejsce zbrodni, i ma na sobie ubranie. Przesłano to Jackowi Garrettowi, narzeczonemu McGanity. To może znaczyć jedno: nadawca tego maila jest zabójcą, bo ona była naga, kiedy ją znaleziono, więc to zabójca zrobił zdjęcie. – Trzasnął pięścią w stół. – Straciliśmy już dzień, nie sprawdzając dokładnie tych maili. Teraz to one są kluczem. Mamy bezpośredni kontakt. – Nie odkładał zdjęcia jeszcze przez kilka sekund, potem powiedział: – Wczoraj McGanity omal nie została przejechana, myślimy, że tropił ją zabójca, bo maile wspominają o tym. O Laurze pisał po imieniu, więc orientuje się, kto pracuje w wydziale. Wiedział też, że Jack Garrett był tutaj. Musimy być czujni. Nie spuszczać oka z lusterek wstecznych. Uważajcie na ludzi, którzy kręcą się wokół waszych domów.

Sprawdźcie, gdzie jest wasza rodzina. – Przerwał, nadal panowała cisza. Nikt nie wyglądał na wystraszonego. – W mailu jest też mowa o tym, że w ostatni wieczór była jeszcze jedna ofiara. – To wywołało falę szeptów. Carson wskazał detektywów obok Laury. – Wy dwaj. Zróbcie listę furgonetek escort albo astra, kolor jasnobrązowy. – Wskazał kolejnych. – Skontaktujcie się z Google. Dowiedzcie się, którego adresu IP użyto, żeby wysłać te maile. Nie pozwólcie im się zbyć.

– Mamy coś, sir – odezwał się głos z tyłu. Kiedy wszyscy się odwrócili, Rachel Mason pokazała na ekran komputera. – Przejrzałam zgłoszenia za ostatni wieczór, kiedy pan mówił. Ktoś poinformował, że nie wróciła jego dziewczyna.

Znów rozległy się szepty.

– Co tam jest napisane?

– Caroline Holt, lat dwadzieścia cztery – Rachel odczytała raport dzienny. – Wybrała się z wizytą do kuzynki. Nie wróciła do domu do północy, a kiedy chłopak zadzwonił do kuzynki, ta powiedziała, że Caroline wyszła parę godzin wcześniej.

– To on – zawołał Carson z błyskiem w oku. Skinął głową na Rachel. – Idź pogadać z tym chłopakiem. Weź od niego zdjęcia.

Sprawdź, czy jest jakiś związek z dwiema wcześniejszymi ofiarami.

Carson klasnął w ręce i uciszył gwar.

– Dobrze, na teraz to tyle. Z powrotem do pracy. Wiecie, co robić.

Laura została na miejscu, kiedy policjanci pracujący w terenie wychodzili. Potem przeszła trochę do przodu, żeby porozmawiać z szefem. Po drodze zauważyła, że Rachel Mason spogląda za siebie, opuszczając salę. Jej błękitne jak lód oczy patrzyły na nią.

– Z tyłu nic się nie działo – powiedziała Laura do Joego.

– Tutaj też nie – odparł, drapiąc się palcem w wargę. – Jeśli zabójca siedział z nami, to niezły z niego pokerzysta.

– To co robimy?

– W mailach napisano, że kluczem jest Emma – przypomniał Carson. – Tego musimy teraz szukać, związku z Emmą. Wrócimy do przyjaciółek i rodziców Jane, żeby dowiedzieć się, kim jest Emma. Będą musieli bardziej się zastanowić.

– A jeśli to też okaże się ślepym zaułkiem, to poczekamy, aż zabójca zrobi coś innego, co nas zaszokuje – dodał kwaśno Joe. – Tyle że ja naprawdę nie chcę na to czekać, bo z tym się wiąże kolejny trup. Napaść na Laureę to sygnał, że może szukamy kogoś z naszych.

Rozdział 36

Rupert popatrzył na zegarek, dochodziło wpół do dwunastej. Spojrzał na komendę policji.

Blackley. Nigdy tu nie był. Mieszkał zawsze tam, gdzie prowadził praktykę – w Cleveleys, małym nadmorskim miasteczku na wybrzeżu Lancashire, sześćdziesiąt kilometrów stąd, tak innym niż Blackley, gdzie horyzont ulic między segmentami mieszkalnymi przełamywały stare kamienne kominy i gigantyczne puste fabryki z ciemnymi oknami, cienie dewastacji.

Komenda wyglądała jednak na nową. Cała w wielkich szklanych panelach obudowanych drewnem wznosiła się wysoko ponad kompleks urzędów i podmiejskich supermarketów. Wielkie

drzwi z ciężkiego drewna były zrobione tak, żeby wytrzymać uderzenie, a nie żeby służyć ludziom. Kiedy szedł w ich stronę, próbował rozproszyć swoje wątpliwości. Składał przysięgę, obowiązywała go tajemnica zawodowa dotycząca pacjentów – zaburzonych dzieci. Potrzebowały przewodnika, który wprowadzi je z powrotem na ścieżkę do udanego dorosłego życia. Miał więcej porażek niż zwycięstw, ale cały wysiłek związany z przegranymi opłacił się, bo niektórym pomógł się wyprostować.

Poufność. Trwał przy tym całe życie, a czasem krył się za tym, kiedy policja chciała informacji albo kiedy opieka społeczna liczyła na to, że zastosuje własne metody wychowawcze.

Ujawniał to, co musiał ujawnić na polecenie sądu, jego podstawowym obowiązkiem było zachowanie tajemnicy.

Ale czy teraz nie jest większym obowiązkiem wobec społeczeństwa powiedzieć im, co wie?

Pociągnął za drzwi i wszedł do recepcji komendy, gdzie rząd krzeseł stał naprzeciwko szyby z okienkami. Za nim znajdowało się wielkie okno, więc pomieszczenie przypominało szklany zbiornik. Widział jakiś ruch tylko za jednym z okienek – siwowłosa kobieta nachyliła się, po cichu rozmawiając z młodym człowiekiem, który trzymał dokumenty kierowcy. Resztę stanowisk przesłaniały żaluzje. Po prostu rutyna.

Spojrzał na krzesła. Siedziało na nich troje ludzi: chłopak w dresie, z zaciśniętymi zębami, wzrokiem utkwionym w jakiś punkt na suficie, mężczyzna w średnim wieku i obok kobieta w kostiumie – przyglądała się swoim włosom w szybie naprzeciwko. Adwokat i klient, domyślał się Rupert.

Usiadł i czekał na swoją kolej.

Przez drzwi prowadzące do głównej części komendy wchodzili i wychodzili policjanci, rozmawiali przez radiostacje, śmiali się, dowcipkowali.

Wkrótce młody petent z dokumentami kierowcy odszedł od okienka, a kobieta po drugiej stronie szyby krzyknęła: – Następny!

Rupert pytająco spojrzał na rząd krzeseł. Pani adwokat uśmiechnęła się i pokręciła głową, wyjaśniła, że na kogoś czeka, a

chłopak w dresie po prostu go zignorował.

Popatrzył na okienko. Pracownica w nieskazitelnie białej bluzce i czarnych zarękawkach skinęła, żeby podszedł, chociaż wyglądała raczej na zniecierpliwioną niż chętną do pomocy. Rupert ponownie zerknął na krzesła i stwierdził, że teraz jego kolej.

Wstał z trzeszczeniem kolan i powoli podszedł do okienka.

– Tak, kochany? – zapytała kobieta protekcyjnie.

Pomyślał, żeby wyjść. To ostatnia szansa, żeby dotrzymać przysięgi o dochowaniu tajemnicy. Potem przypomniał sobie opis zamordowanej dziewczyny i załączone zdjęcie.

– Przyszedłem w sprawie zabójstwa Jane Roberts – wyszeptał. – Chcę rozmawiać z detektywem kierującym śledztwem.

Urzędniczka szeroko otworzyła oczy, potem skinęła głową.

– Pańskie imię i nazwisko?

– Rupert Barker.

– I chce pan rozmawiać z inspektorem Carsonem?

Kiwnął głową. Zapamiętał nazwisko z artykułu.

– Proszę tu zaczekać. – Wskazała krzesło, na którym wcześniej siedział.

Wrócił na miejsce. Ręce miał wilgotne. W ustach sucho. A jeśli jego domysły nic nie znaczą? Złamałby przyrzeczenie i wszystko poszłoby na marne. Z równym powodzeniem mógłby oddać klucz do swojej starej szafki na akta, zawiódłby dziecięce zaufanie. Co się stanie z jego byłym pacjentem, Shane'em Griksem? Czy policja kopniakami otworzy jego drzwi na podstawie tego, z czego chłopak przed laty się zwierzał? Może zabójca i pacjent, o którym myślał, to dwie różne osoby? Teraz zwolnił, na emeryturze zmienił bieg. Czy ma zniszczyć swoją reputację, na którą pracował całymi latami?

Podniósł wzrok, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem, serce mocno waliło mu w piersi. To policjant w mundurze wychodził na patrol.

Tuż za nim szedł policyjny kierowca, niósł torby do furgonetki zaparkowanej tuż przed komendą.

Rupert zamknął oczy i odetchnął głęboko. Nie był gotów, żeby to zrobić. Poznał to po uldze, jaką odczuł, kiedy policjant sobie poszedł.

Otworzył oczy i czekał na jakichś ludzi w garniturach, którzy do niego podejda. Wiedział, że jak tylko usadzą go w jednym z pokoi po drugiej stronie drzwi, trudno mu będzie oprzeć się ich pytaniom. Zapragnął odejść.

Szybko wstał i ruszył do wyjścia. Kiedy wydostał się na zewnątrz i znowu poczuł łagodną pieśczętę lata, zrobił długi wydech. Lekki podmuch wiatru osuszył mu czoło z potu. Czas wrócić do życia. Nie mógł zrezygnować z jedynej rzeczy, którą miał: swojej reputacji.

Wsiadł do samochodu. Poczuł, że tętno się uspokaja, kiedy usłyszał, jak silnik budzi się z warkotem. Uśmiechnął się z ulgą, kiedy wyjechał z parkingu, a komenda policji zniknęła z jego lusterka wstecznego.

Postąpił właściwie.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi sali operacyjnej, wszyscy się obejrzel. To jedna z cywilnych pracownic recepcji.

– Tak? – odezwał się Carson.

– Przy okienku jest człowiek, który chce z kimś porozmawiać w sprawie zabójstwa.

Laura wymieniła spojrzenia z inspektorem i Joem.

– Kto to jest? – zapytała.

– Nazywa się Rupert Barker. Wydaje się zdenerwowany.

Carson popatrzył na Laurę.

– Wygląda na to, że potrzebne mu twoje łagodne podejście.

– Albo może jakiegokolwiek, byle nie twoje – odparowała.

Wstała i poszła za urzędniczką.

Skierowała się w stronę drzwi oddzielających poczekalnię od głównej części komendy. Spojrzała przez szybę w drzwiach i zobaczyła jedną z miejscowych adwokatów, która udawała ślicznotkę – siedziała obok swojego klienta i poprawiała sobie włosy. Był tam też jakichś chłopak w dresie. Nie wyglądał na Ruperta.

Za oszkloną budką znajdował się pokój, tam przenosiły się recepcjonistki, kiedy musiały coś sprawdzić w tajemnicy przed interesantem. Laura zajrzała przez drzwi.

– Dokąd poszedł?

Kobieta podniosła wzrok znad notatki, którą pisała, i zerknęła na poczekalnię.

– Jeszcze przed minutą tu był.

Laura znów popatrzyła przez szybę w drzwiach.

– Ale teraz go nie ma – mruknęła pod nosem i wkroczyła na korytarz.

Przywitało ją parę obojętnych spojrzeń, nie licząc pani adwokat, która nadal przyglądała sobie fryzurę, uśmiechając się do swojego odbicia.

Laura wyszła na słońce. Popatrzyła na sznur samochodów zaparkowanych tuż przed drzwiami i zobaczyła, że jeden z wozów właśnie rusza. Próbowała odczytać numer z tablicy rejestracyjnej, ale był już za daleko. Potem pole widzenia przesłoniła jej odjeżdżająca policyjna furgonetka.

Wróciła do komisariatu i wskazała na kamerę w kącie korytarza.

– Jak mogłabym przejrzeć to, co teraz zostało zarejestrowane?

Kobieta w okienku wzruszyła ramionami i pokazała w górę.

– Chyba w pokoju obsługi monitoringu.

Laura energicznie przeszła przez komendę ku schodom. Nie chciała korzystać z windy, zbyt ograniczonej przestrzeni. Denerwowała się, kiedy czuła, że jest w zamknięciu. Nie zawsze tak było, ale złe doświadczenie sprzed roku, kiedy pod koniec śledztwa została zamknięta w ciasnym pomieszczeniu, wywołało taką reakcję. W miarę możliwości zawsze unikała małych przestrzeni.

Jak najszybciej wspięła się na najwyższe piętro. Po wysiłku z poprzedniego wieczoru rozboleły ją nogi. Brakowało jej tchu, kiedy wpadła do niedużego pokoju z ekranami telewizyjnymi na

jednej ze ścian. Pokazywały obrazy z całego Blackley, z centrum miasta i z punktów zapalnych w sobotnie wieczory, a także niektóre z głównych tras poza miastem. Operator telewizji przemysłowej popatrzył na nią. Minęła sekunda, zanim jego wzrok przestawił się po oglądaniu filmowanych ujęć.

– Czy w korytarzu na dole jest monitoring? – zapytała Laura.

Wzruszył ramionami i skinął głową, potem nacisnął kilka klawiszy. Na środkowym ekranie pojawił się obraz wejścia na dole.

– Możesz przewinąć dziesięć minut do tyłu?

Ledwie było słychać jego niecierpliwe cmoknięcie, ale Laura je usłyszała, chociaż w skupieniu obserwowała przewijanie taśmy.

Kiedy wcisnął klawisz odgrywania, zobaczyła, jak do komendy wchodzi jakaś postać.

Mały, stary mężczyzna. Łysa głowa, ostre rysy twarzy. Wyglądał na skrepowanego, zdenerwowanego, jakby chciał coś powiedzieć, ale ucieszyłby się, gdyby nie dano mu na to szansy. Usiadł. Kręcił się na krześle, zakładał nogę na nogę i ją zdejmował, przygryzał wargę, przejeżdżał dłonią po łysinie, jakby przyglądał włosy, które już dawno przegrały bitwę z czasem. Patrzył, jak dwaj policjanci mijają go i opuszczają komendę. Kiedy przyszła jego kolej do okienka, jakby się wstrzymywał, i chociaż opanował zdenerwowanie i porozmawiał z urzędniczką, to po chwili szybko odszedł ze spuszczonego wzrokiem. Na sekundę usiadł, a potem wyszedł, tak jakby już nie miał wątpliwości i bardziej go teraz ciągnęło do wyjścia niż wcześniej do wejścia.

– Masz jakieś nagranie sprzed komendy?

Operator znów cmoknął ze zniecierpliwieniem i postukał w klawisze. Na ekranie pojawił się widok parkingu. Laura patrzyła, jak mężczyzna szybko podchodzi do samochodu. Kiedy wsiadł i zawracał, numery rejestracyjne były dobrze widoczne. Zanotowała je i powiedziała: – Zachowaj to nagranie. – Wybiegła z pokoju.

Facet od monitoringu ledwie przyjął do wiadomości jej żądanie.

W sąsiednim pokoju znalazła wolny komputer. Zalogowała się i zaczęła sprawdzać numer rejestracyjny. Rupert Barker. Tak samo przedstawił się mężczyzna, który przyszedł do komendy.

Już wiedziała, co będzie jej następnym celem: spotkanie z Rupertem Barkerem.

Rozdział 37

Jakieś dzieciaki przyglądały się samochodowi Jacka, kiedy jechał przez osiedle Whitcroft. Jak zwykle nosiły kaptury i luźne ubrania. Było w tym więcej groźby niż w czarnych włosach i bladych twarzach nastolatków z lepszych dzielnic – u tych bunt był tylko etapem. Jack wiedział, że próbują wykombinować, jak tu komuś popsuć dzień. Śledziły wzrokiem gruchota z lat siedemdziesiątych.

Czerwona farba z przodu odchodziła bąblami, a przednią szybę pokrywał kurz upstrzony rozgniecionymi muchami.

Jack niedługo zabawił w sądzie. Niewiele się działo, a on nie miał nastroju spisywać kolejnej mowy Hoyle'a. Postanowił więc wrócić do osiedla, żeby zebrać więcej materiału do tekstu, który Dolby planował puścić w wydaniu weekendowym.

Porządkował nagrania w dyktafonie, kasował stare wywiady, żeby zrobić trochę miejsca, kiedy przed jego samochód zajechała furgonetka ochrony i zatrzymała się kilkanaście centymetrów przed nim. Inny samochód podjechał blisko z tyłu.

Jack odłożył dyktafon i patrzył, jak dwaj ochroniarze wychodzą z furgonetki; ramiona mieli potężne, napakowane. To nie było przyjacielskie spotkanie. Szli w stronę jego triumpha, zatrzymali się i skrzyżowali ręce na piersi. Potem w samochodzie Jacka gwałtownie otworzyły się drzwi od strony pasażera i ktoś wskoczył na fotel. Don Roberts.

Jack był wstrząśnięty. Obejrzał się na ochroniarzy, obaj uśmiechali się do niego. D.R. Security. Don Roberts. Powinien wcześniej się domyślić.

– Załatwmy sprawę. – Don odwrócił się do niego.

– Nie ma żadnej sprawy – odparł Jack, usiłując ukryć zdenerwowanie.

– Przemyślałeś to?

– Pisanie apelu o informacje? – Jack pokręcił głową. – Nie, nie przemyślałem. – Nerwowo stukał palcem o kierownicę.

– Dlaczego nie chcesz mi pomóc znaleźć zabójcy Jane?

– Bo wiem, co zrobisz, jak go złapiesz.

– Czyli co?

Jack popatrzył na Dona. Zobaczył zaciśnięte pięści, bliznę biegnącą od kącika ust. Ale potem dostrzegł coś jeszcze. Po oczach Robertaśa poznał, że ten człowiek nie wie, dlaczego zginęła jego córka, dlaczego dotknęła go taka potworność. Były tam ból, żal i gniew, i determinacja, żeby pomścić śmierć dziecka w jedyny sposób, jaki znał: przemocą.

– Zrobisz dokładnie to, co chciałby zrobić każdy ojciec – powiedział Jack. – Zabić drania, który zamordował twoją córkę. Ale wybaczone, ja nie mogę ci w tym pomóc.

Don spuścił oczy, a Jack odwrócił wzrok, kiedy zauważył, jak Donowi drżą wargi.

– Czy to będzie takie złe?

– Tak, w moim świecie.

Roberts zacisnął zęby, ale nie odpowiedział.

– Idź na policję – poradził Jack.

Don pokręcił głową.

– Nie chcesz, żeby gliniarze grzebali ci w życiu – ciągnął Jack. – Twój wybór. Ale jakkolwiek źle by to brzmiało, musisz zyskać sympatię czytelników, żeby otrzymać informacje, o które ci chodzi. Więc stań po stronie policji jako ojciec w żałobie.

Don oparł ręce na kolanach i zacisnął palce wokół rzepek, kostki mu zbiały. Zapanowała przytłaczająca cisza. Jack słyszał potrzaskiwanie gałęzi srebrnej brzozy. Lekkie poskrzypywanie sprężyn, kiedy Don poruszył się w fotelu. Rytm skórzanych podeszew, kiedy jakiś facet w szarym garniturze szedł w stronę sklepów.

Donowi opadły ramiona, przestał zaciskać zęby. Popatrzył na Jacka, w oczach miał łzy.

– Z czymś takim jeszcze nigdy nie miałem do czynienia –

wymamrotał.

Jack po raz pierwszy dostrzegł, że gniew uchodzi z Roberta, zostaje tylko żal, głęboki i dojmujący.

Spojrzał przez przednią szybę na dwóch ochroniarzy. Patrzyli w inną stronę, nieświadomi cierpienia swojego szefa. Jack odwrócił się do Roberta przodem.

– Opowiedz mi o Jane – poprosił cicho.

Don nie wycierał łez. Spływały mu po policzkach. Głęboko odetchnął, żeby się opanować.

– Co ojciec może powiedzieć o córce? Dobra, kochająca, piękna.

– A kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

Przez chwilę patrzył na Jacka, zanim odpowiedział.

– To był po prostu zwyczajny wieczór. Wychodziła, ja też, do swojego starego pubu. – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – Wieczór quizów. Jakie to cholernie prozaiczne.

Jack nie przerywał. Pozwalał Donowi się wygadać. Nie zamierzał wykorzystywać tych wyznań, ale chciał się dowiedzieć więcej, żeby to przekazać Laurze. Don nie uważał za stosowne pomagać policji, ale Jack był innego zdania.

– Szykowałem się na górze i nie miałem możliwości się pożegnać – mówił dalej. – A zresztą po co się żegnać, skoro to zwyczajna sobota? Myślałem, że zobaczę się z nią następnego dnia. – Przerwał, potem dodał: – Miała chłopaka.

– Kto to taki? – Jack nie pokazał po sobie, że już to wie.

– Jane ukrywała to przede mną. Powiedziała, że ze sobą zerwali.

– Dlaczego skłamała? Miała z nim problem?

– Nie był dla niej dość dobry.

– Skąd wiedziałeś, że nadal są ze sobą?

– Bo ludzie mi mówili.

– Była dorosła. Chyba mogła sobie wybrać chłopaka?

– Mogła, ale jest coś takiego, co się nazywa rodzina.

– I ty zabraniałeś jej zadawać się z tym chłopakiem, więc musiała się z nim spotykać w tajemnicy. Dlatego tamtego wieczoru

poszła sama.

Donowi zbieleły pięści, kiedy zaciskał je z całej siły na kolanach.

– Mówisz tak, jakby to była moja wina.

Jack pokręcił głową.

– Nie mogłeś wiedzieć, co się stanie. Ale powiedz, dlaczego nie chcesz, żeby policja się w to mieszała? Takie pytanie wszyscy będą zadawać. Dlaczego rodzice nie pojawili się na konferencji prasowej? Dlaczego zaginięcie Jane nie zostało zgłoszone wcześniej?

– Dlaczego miałbym się bać policji? – prychnął Don. – No, powiedz mi, zanim napiszesz artykuł: co jak takiego robię?

Wtedy Jack zdał sobie sprawę, że niewiele wie o Robertsie, nie licząc plotek, że trzeba się go bać.

Don ze złością pokiwał głową, kiedy Jack nie odpowiedział.

– No właśnie – parsknął szyderczo. – Więc uważaj na to, co publikujesz.

– Co czytałeś o śmierci Jane? Paru ludzi napisało w Internecie okrutne rzeczy.

Don przez chwilę przygryzał wargę, potem powoli pokiwał głową.

– Są stuknięci. Niby tacy wygadani, ale niech spróbują mi to powtórzyć prosto w oczy. W Internecie każdy jest pieprzonym bohaterem. Siedzi przy klawiaturze i się mądrzy. Ale to boli tak samo, czy powiedziane wprost, czy napisane. Więc jeśli będziesz coś z tych rzeczy publikował, oto moje słowa do tych ludzi: powiedzcie mi to w oczy.

– Co odkryłeś do tej pory? – Jack starał się, żeby to zabrzmiało niewinnie, jak pytanie rzucone od niechcienia, ale przedobrzył i Don zauważył podstęp.

– To moja sprawa. – Nachylił się bliżej. – Wiem, kim jesteś. Pytałem ludzi i dowiedziałem się, z kim żyjesz. Nie doceniasz mnie.

Jack próbował wytrzymać jego spojrzenie, ale w jego

oczach zobaczył coś, co widywał w sądzie w oczach zatwardziałych kryminalistów. Nie u złodziei ani u zadymiarzy z sobotnich wieczorów, ale u recydywistów, którzy grają o wysokie stawki. To spojrzenie mówiło mu, że nie ma zmiłuj się.

Przerwali im ochroniarze – odwrócili się, żeby porozmawiać z kimś, kto przyciągnął ich uwagę. To był chłopak z rzadkimi przetłuszczonymi włosami, zarosnięty na policzkach. Rozglądał się ukradkowo, ręce trzymał w kieszeniach kurtki, ramiona miał przygarbione. Wydawał się podenerwowany, chorobliwa bledność skóry zdradzała uzależnienie od narkotyków. Mówił szybko o czymś, co sprawiało, że ochroniarze spoglądali w stronę Dona. Roberts wyszedł z samochodu.

Kiedy zatrzasnął za sobą drzwi, Jack uchylił szybę, żeby posłuchać, o czym mowa. Usłyszał słowa „pedofil” i „świr”, a potem fragment adresu.

Wychylił się za okno.

– Muszę jechać. Moglibyście się przesunąć tą furgonetką?

Roberts gestem kazał jednemu z ochroniarzy przestawić wóz. Kiedy furgonetka cofała, Jack zobaczył, jak Don sięga do kieszeni i wyjmuje zwitek dwudziestek. Odliczył dwie i dał je informatorowi. Ale zanim ten się zmył, Don sięgnął ręką i złapał go za kark. Było trochę wygrażania palcem i Jack usłyszał wściekły syk rozzłoszczonego Dona. Narkoman nerwowo przytaknął i wtedy Don go puścił, tamten potknął się i przewrócił. Wstał i szybko odszedł.

Skręcił za róg, kiedy Jack odjechał. Don był głęboko zatopiony w rozmowie z dwoma ochroniarzami.

Jack zrównał się z informatorem, który niemal biegł i oglądał się za siebie. Jack zatrzymał się obok niego i odkręcił okno.

– Właśnie gadałem z Donem – krzyknął. – Gdzie ten świr mieszka?

Narkoman popatrzył podejrzliwie i nie przystanął, ale po chwili przypomniał sobie samochód Jacka.

– Rockley Drive 19. Chcesz go załatwić?

– Gdzie to jest?

– Na szczycie wzgórza, po prawej.

– I myślisz, że to zrobił ten facet spod dziewiętnastki?

Blady chłopak wzruszył ramionami.

– To pieprzony czubek, tyle wiem. Zawsze wysiaduje w oknie, kiedy dzieciaki wychodzą ze szkoły, patrzy przez firanki.

– I to ci wystarczy, tak?

Gość zwolnił i oblizał wargi, język przesunął mu się po brązowych pniakach zębów.

– Gdyby chodziło o twoje dziecko, miałbyś zgryz – rzucił.

– To co się stało z Jane nie jest w porządku i tyle.

– Jak się nazywasz?

– Don zna moje nazwisko.

Jack patrzył, jak narkoman odchodzi, i zdał sobie sprawę, że musi złożyć jeszcze jedną wizytę, choćby po to, żeby uratować komuś życie.

Rozdział 38

Kiedy wjeżdżał do Cleveleys, hałas w głowie był jak rytm bębna, dudniący i szybki, prawie zagłuszał krzyki.

Przez całą drogę jechał za Rupertem Barkerem, zawsze trzymał się dwa samochody dalej. Kiedy auto doktora zatrzymało się przy małym spożywczaku, rozpytywał ludzi na ulicy, czy nie wiedzą, gdzie Rupert mieszka. Policyjne oznakowanie wozu sprawiło, że w końcu ktoś wydał Barkera.

Wysiadł z samochodu i szybko poszedł do domu doktora, wargi poruszały mu się zgodnie z brzmieniem słów w głowie. Wszedł na krótką ścieżkę, potem obszedł budynek. Nie rozglądał się, czy go ktoś zobaczył. Tylne drewniane drzwi miały małe szybki, tak że było widać przez nie kuchnię. Zobaczył staromodną dziurkę od klucza, a kiedy uklęknął, uśmiechnął się, bo klucz tkwił po drugiej stronie.

Zdjął kurtkę, zasłonił nią szybkę najbliższą dziurki od klucza, potem rąbnął łokciem. Materiał stłumił hałas. Szkło poleciało z cichym brzękiem na podłogę po drugiej stronie. Sięgnął ręką, przekręcił klucz i wszedł do środka.

Zamknął za sobą drzwi. Znalazł się w kuchni. Wtedy się zatrzymał. Grało radio. Ruszył powoli, próbując namierzyć, skąd dochodzą dźwięki. Nikt nie krzyknął. Szkło chrzęściło mu pod stopami, kiedy szedł przez kuchnię. Dotarł do korytarza, a tam do kolejnych drzwi.

Zajrzał przez nie i zobaczył coś, co wyglądało na pokój wypoczynkowy doktora Barkera, wypełniony książkami i zdjęciami. Radio stało na biblioteczce przy oknie. Podbiegł i je wyłączył. Teraz słyszał tylko odgłosy pustego domu: tykanie zegara, brzęczenie lodówki, kapanie wody z przeciekającego kranu.

Zatrzymał się przy zdjęciu w zakurzonej srebrnej ramce. Doktor Barker sprzed dwudziestu lat. Jeszcze nieposiwiałe włosy i jakby trochę wyższy. Miał wrażenie, że czas się cofnął, kiedy patrzył na tę fotografię. Spojrzał na swoje dłonie, wydały mu się mniejsze, drobne. Usłyszał cichy płacz, poczuł wilgoć między palcami, kiedy łzy wściekłości spływały mu po twarzy.

Otrząsnął się ze wspomnień i szybko wyszedł z pokoju. Wiedział, gdzie zaczekać. Gdyby stanął przy drzwiach, doktor mógłby uciec albo krzyknąć na ulicę. Ale jak wejdzie na górę, trudno będzie mu wybiec.

Uśmiechnął się, kiedy schody zaskrzypiały pod jego stopami.

Jack zajrzał pod numer 19, o którym wspomniał informator Dona. Brudny bliźniak, okna pokryte kurzem, drzwi z łuszczącą się farbą. Firanki w oknie poźółkłe, zapuszczony trawnik w małym kwadratowym ogródku. Jack zatrzymał się przy furtce zaniepokojony, że informator mógł mieć rację i że to, co robi, pomoże zabójcy uciec, ale wygląd domu powiedział mu, że jego mieszkaniec nie jest niczym więcej niż miejscowym świrem.

Firanka drgnęła, kiedy zbliżał się do domu – lokator pewnie patrzył zza niej – a potem drzwi otworzyły się, zanim do nich dotarł.

Chudy jak szkielet mężczyzna obrzucił Jacka wzrokiem od stóp do głów. Wyglądał, jakby mu brakowało trzy ćwierci do

śmierci, miał siwy zarost i fioletowe wory pod oczami, ubrany był w workowaty szary T-shirt, a włosy na głowie stały mu dęba, jak gdyby dopiero co się obudził. Jack zwrócił jednak uwagę na gładkie dłonie i bystry błysk w oku, więc może z facetem nie było aż tak źle.

– Pan z rady? – zapytał głosem tak przytłumionym, jakby przeszkadzał mu język.

– Nie, jestem reporterem.

Chudzielec rozejrzał się po ulicy, teraz oczy miał wystraszone.

– Czego pan chce?

Jack chciał mu powiedzieć, żeby uciekał z domu, bo jego nazwisko trafiło do Dona Roberts, ale się zawahał.

– Próbuję tylko zebrać wypowiedzi ludzi z sąsiedztwa na temat śmierci Jane Roberts. Znał ją pan?

Mężczyzna pokiwał głową, ale patrzył na Jacka podejrzliwie.

– Znam Dona. Wszyscy go znają. – Zanim Jack zdążył się odezwać, dodał: – Nie był pan w innych domach.

– Wygląda na to, że dobrze zacząć od pańskiego.

– Czego pan chce? – powtórzył facet, tym razem ze złością.

Jack pokojowo podniósł rękę.

– Przepraszam, ale ktoś podał pańskie nazwisko Donowi Robertsowi i wskazał jako podejrzanego.

Chudzielec zbladł.

– Że niby ja zabiłem Jane? Dlaczego ktoś tak powiedział? – zapytał spokojniej.

– Bo dzięki temu ta osoba dobrze wypadła w oczach Dona. Musiałem panu o tym powiedzieć.

Mężczyzna zaczął się cofać za drzwi.

– Nigdzie się nie wyniosę. Mieszkam tutaj.

– Oczywiście. Zrobi pan, co pan zechce. A najlepiej niech pan skontaktuje się z policją. Chciałem tylko pana ostrzec.

Ściągnął wargi i skinął Jackowi głową, potem zatrzasnął drzwi.

Jack nie odszedł natychmiast. Popatrzył na drzwi, na numer z białego plastiku. Dolna część dziewiątki była odłamana, farba wokół się łuszczyła.

Potem się odwrócił. Zrobił, co mógł.

Rupert Barker wszedł do domu. Głupio się czuł po wyprawie do Blackley. Przeszedł przez kuchnię i położył na blacie torbę z zakupami, które zrobił w pobliskim spożywczym. Nachylił się, żeby pogłaskać kota i poszukał puszek sardynek na popołudniową ucztę dla swojego jedyne go kompana. Kot mruczał cicho i ocierał mu się o nogę. Rupert się uśmiechnął. Życie znów stawało się normalne.

Kiedy kot zanurzył mordkę w misce z rybą, doktor odsunął się i usłyszał trzask szkła pod nogami. Popatrzył na drzwi. Brakowało jednej szybki. I klucza. Potem zdał sobie sprawę, że w domu jest za cicho. Kiedy wychodził, zostawił włączone radio, żeby odstraszyć potencjalnych włamywaczy. Ale teraz panowała cisza.

Rozejrzał się szybko, sprawdzał, czy rzeczy nie zostały poprzesusowane. Zdenerwowanie wróciło, właściwie nie opuszczało go, odkąd wybiegł z komendy. Zdecydował nie składać zeznań ze względów zawodowych, żeby chronić prywatność pacjenta, ale niepokój nie minął.

Wycofał się z kuchni i pchnął drzwi do pokoju z tyłu domu. Czekał na krzyk, ale nikt się nie odezwał. Słyszał poskrzypywanie wiatrowskazu na kościele za domem; kurek drapał chmury, drgając na wietrze. Barker nerwowo stukał palcem o wargę. Nadal było za cicho.

Pomyślał o teczce, którą przeglądał rano. Shane Grix. Jak tylko zobaczył to nazwisko, wszystko do niego wróciło. Chłopiec z przechyloną głową, niespokojnymi oczami, rękami zawsze na kolanach, cichy, zamknięty w sobie. Przypomniał sobie zdjęcia, które przyniosła matka Shane'a. Nie brał udziału w żadnych zabawach. Jego koledzy żartowali, śmiali się, popychali, ale Shane zawsze stał obok, osobno, ledwie z półuśmiechem na ustach.

Nie, to nie był półuśmiech. To uśmiech znaczący,

sztyderyzy, „gdybyście tylko wiedzieli”, gębokie zadowolenie z własnych tajemnic.

Rupert pamiętał bój, jaki stoczył, żeby otworzyć chłopaka, ale czuł, że nigdy mu się to nie udało. Shane Grix ujawniał tyle, ile chciał ujawnić, nic ponadto. Więc Rupert mógł jedynie doradzić jego rodzicom, żeby spróbowali być wobec syna otwarci, żeby omawiali z nim problemy, zachęcali do dzielenia się z nimi jego przemyśleniami.

Sesje zakończyły się za szybko. Shane nie pochodził z zaburzonej rodziny, więc angażowanie pomocy społecznej nie wchodziło w rachubę. Po prostu zaniepokojeni rodzice poprosili o prywatne konsultacje. Dawał im porady, dopóki było ich na nie stać.

Odwrócił się gwałtownie, wydawało mu się, że coś usłyszał, jakby lekkie stukanie. Wyrzał przez okno, ale zobaczył tylko bambusy szeleszczące pod płótem. Czy to wiatr, czy ktoś je poruszył?

Cofnął się, próbował schować w cieniu sypialni. Na zewnątrz coś przemknęło. Pomyślał, żeby wykręcić numer policji, ale najpierw chciał sprawdzić, czy dom jest pusty.

Z nerwów robiło mu się niedobrze. Serce biło za szybko, musiał połykać powietrze, żołądek wywracał mu się na drugą stronę.

Znowu hałas. Z góry. Łoskot, jakby ktoś coś przewrócił. Może to kot, ale to coś było za ciężkie. Zajrzał zza rogu do kuchni. Kot nadal jadł.

Rupert cofnął się pod ścianę. Ktoś grasował po domu, był tego pewien. W przedpokoju stał telefon. Doktor wiedział, że powinien zadzwonić na policję, ale nie chciał tego robić. Przynajmniej na razie. Bał się, że w końcu ujawniłby tajemnicę.

Znów spojrzął na sufit. Hałas się powtórzył. Skrzypienie desek w podłodze. A może drzwi?

Odsunął się od ściany i powoli poszedł w kierunku korytarza. Schody były po przeciwnej stronie. Próbował iść po cichu, żeby w razie niebezpieczeństwa móc się szybko cofnąć,

zadzwoić i wezwać policję.

Pociągnął za klamkę i światło z korytarza wpadło wachlarzem do salonu, mnożąc tylko cienie. Wstrzymał oddech, czekał, aż ktoś, kto jest w domu, rzuci się na niego. Ale nikogo nie było.

Głośno wypuścił powietrze. Popatrzył na ręce. Drżały. Myślał, jak mógłby się obronić, ale nie miał w domu żadnej broni.

Popatrzył na schody i powoli ku nim poszedł, spodziewając się, że zobaczy tam Shane'a, a potem omal się nie roześmiał, przeklinając swoją wybujałą wyobraźnię. Spojrzał w górę, pusto.

Postawił stopę na schodku i zaczął wchodzić. Przez głowę przelatywały mu wspomnienia o Shanie, ale wiedział, że nie ma powodu się bać. Shane to bardzo dawne czasy.

Ale co z młodą kobietą zabita w Blackley?

Schody prowadziły prosto do góry, po prawej stronie miał podest odgradzony solidnymi drewnianymi panelami, więc nie widział, czy ktoś się tam nie ukrywa, nie kuca za nimi, czekając, żeby zaatakować. Posuwał się plecami do ściany; skrzypnięcie schodów, szelest ubrania – tylko to od czasu do czasu przerywało ciszę.

Dotarł do szczytu i się rozejrzał. Głośno wypuścił powietrze. Nikogo.

Wtedy skrzypnęły drzwi, rozległ się odgłos kroków na dywanie.

– Kto tam jest? – zapytał słabym głosem. – Shane? To ty?

Usłyszał coś za sobą, szybki tupot stóp na podeście. Błyskawicznie się odwrócił, krzyk uwiązał mu w gardle. Zaczął wrzeszczeć, ale nagle wokół jego szyi zacisnęło się czyjeś ramie.

Mocno szarpnięty, poleciał do tyłu. Na policzku poczuł krótkie sapnięcia nieświeżego oddechu. Rąbnął o podłogę. Zaczął się dławić, kiedy coś wepchnięto mu do ust. Jakiś materiał, policzki mu się wydeły. Ktoś na nim siedział, z rękami na jego szyi. Rupert usiłował go odepchnąć, ale przeciwnik był ciężki i silny. Sięgnął ręką, żeby podrapać napastnika, ale ten miał twarz ściśle okreconą szalikiem. Doktor próbował jeszcze oddychać

przez materiał, ale żelazna dłoń mocno ścisnęła mu gardło.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, kiedy podniósł wzrok, były oczy napastnika: spokojne, zimne. Głowa lekko przechylona na bok.

Rozdział 39

Kiedy Joe jechał wzdłuż wybrzeża w Cleveleys, Laura spojrziała na zegarek. Okno od jej strony było otwarte, więc co chwilę oblizywała sobie usta z soli, niesionej wiatrem. Już prawie druga.

W roztargnieniu obracała pierścionek zaręczynowy na palcu. Myślała, jak różne jest Cleveley od jej domu, Turners Fold, chociaż to była tylko godzina jazdy. Tak właśnie myślała o Turners Fold: dom. Choć zajęło jej sporo czasu, zanim się do tego przyzwyczaiła.

Cleveley zdawało się odległe o pół świata od ciemnej zieleni wzgórz otaczających jej domek. Tutaj niebo było jakieś jaśniejsze, jakby wchłonęło część światła słonecznego połyskującego na jasnoblękitnym morzu ciągnącym się po horyzont, tak innym od kamiennej szarości Gór Pennińskich. Turners Fold nie różniło się od innych bawełnianych miasteczek regionu: zrujnowane fabryki i szczodre obywatelskie gesty, stare kamienne budowle obok imponujących ratuszy i teatrów, dumnych symboli pomyślnej przeszłości. Budynki w Cleveley nie chełpiły się ani nie pyszniły. To były małe ceglane albo otynkowane na biało nadmorskie domy. Witrażowe daszki nad witrynami wspierały się na ozdobnych jasnozielonych kolumnach. Brzeg rozciągał się w oddali. Plaża w dole – mieszanina kamyków i piasku, morze – odległe lśnienie.

Laura zabrała Bobby'ego nad morze, kiedy przeprowadziła się na północ, ale do Blackpool. Hałas, ozdoby i światła, a potem ucieczka do samochodu, zanim wieczorem młodzi ludzie zawładnęli ulicami. Wyobrażała sobie, że nieźle by się bawiła, gdyby była nastolatką, albo gdyby z grupą przyjaciół urządziła sobie imprezową wędrowną knajpę. Ale widok ulicznych straganów, w których sprzedawano kamienie w kształcie fiuta,

przekonał ją, że to nie jest miejsce dla dzieci. Już więcej nie zabrała tam Bobby'ego.

Cleveleys to jednak co innego. Taka herbaciarnia z drożdżówkami na brzegu morza, z popołudniowymi potańcówkami. I chociaż w oddali widziała Blackpool Tower, wszystko tutaj było odmiennym doświadczeniem.

– O czymś myślisz? – zagadnął Joe.

– Hę? – ocknęła się, a kiedy Joe kiwnął głową w stronę pierścionka na palcu, zaczerwieniła się i uśmiechnęła. – Tak, ciągle o tym myślę. To takie dziwne, znowu planować ślub.

– Dziwne? Myślałem, że ekscytujące.

– Chyba tak, ale jest inaczej niż za pierwszym razem.

– „Chyba” nie dodaje temu uroku – zauważył Joe. – Dlaczego jest inaczej?

Zastanawiając się nad odpowiedzią, Laura znów zaczęła patrzeć przez okno.

– Mój pierwszy ślub był efekciarski, jak to zwykle bywa. Mnóstwo falban i bieli, druhny i kwiaty. Marzenie każdej dziewczyny.

– A małżeństwo?

Laura lekko się roześmiała.

– Nie tak dobre jak ślub i może w tym tkwi problem. Dla mnie to nie nowość, bo już przez to przechodziłam. Dlatego pobierzemy się po cichu. Ale nie mogę tego powiedzieć Jackowi.

– Dlaczego?

– Daj spokój, Joe, to przecież ty znasz się na ludziach. Dla Jacka to pierwszy ślub, dla mnie nie. Ostatnim razem, kiedy to zaliczyłam, potem wszystko bardzo szybko się popsulo. A jeśli tak samo będzie z Jackiem?

– Myślisz, że scenariusz się powtórzy?

Laura zamyśliła się, znów zaczęła się bawić pierścionkiem.

– Oby nie.

– Jakoś się dotrzecie.

Laura się uśmiechnęła.

– Tak, na pewno.

– Więc w czym problem?

– W tym... w tym wszystkim. – Machnęła ręką w stronę okna.

– Co, chodzi o północ? – Uniósł brwi. – Aż tak ci tutaj źle?

– Nie, nie rozumiesz – odparła ze śmiechem. – To nie takie proste. Podoba mi się tutaj. To mój dom. Dom Bobby’ego. Uwielbiam Londyn, ale wolę otwarte przestrzenie, wolniejszy rytm życia, tyle że ślub jest taki cholernie ostateczny. Nie sądzę, żeby Jack kiedykolwiek wrócił do Londynu, a kiedy się pobierzemy, na pewno tu zostanie.

– Jeśli ci się tu podoba, to w czym rzecz?

– Bo każdy dzień pobytu tutaj zmniejsza prawdopodobieństwo, że przeprowadzimy się znowu na południe, a ja znalazłam się daleko od rodziny. Od rodziny Bobby’ego. A on tu się osiedli, spotka miejscową dziewczynę i na tym koniec. Opuścić północ będzie znaczyło opuścić Bobby’ego, a tego nigdy nie zrobię. A co, jeśli między mną i Jackiem się nie ułoży? Utknę tutaj, sama, i będę czekać, aż syn raczy mnie odwiedzić.

– Jezu, Laura – zawołał ze śmiechem Joe. – Myślisz z za dużym wyprzedzeniem i już przewidujesz, że wszystko pójdzie źle. To może być historia z cyklu: żyli długo i szczęśliwie.

Nie odpowiedziała.

– Po prostu nerwy przed ślubem i tyle – skwitował Joe.

– Tak, może. – Odwróciła się, żeby popatrzeć na Joego. – Wiesz, kiedy zaczęliśmy być razem?

Pokręcił głową.

– Tuż po śmierci jego ojca. Czy byłam dla Jacka tylko podporą? Jestem od niego starsza. Niedużo, kilka lat, ale przysłam z dzieckiem i bagażem doświadczeń i czasem myślę, że mógł trafić lepiej.

– McGanity, jesteś niezłą laską!

Laura natychmiast się zaczerwieniła.

– Nie polowałam na komplement.

Uśmiechnął się, spojrzął na nią łagodnie.

– Wiem, ale nie powinnaś wychodzić za mąż i myśleć, że

nie jesteś warta swojego męża. Jesteś atrakcyjną kobietą, inteligentną, wesołą, a twój wiek to wszystko podkreśla.

Laure znów zapiekły policzki.

– Ale wtedy, przyznaję, byłam samotna. Miałam paru chłopaków, ale się nie nadawali. Wiązałam się z nimi tylko po to, żeby jakiś czas normalnie żyć. Więc może jest na odwrót? Jack jest moją podporą? – Roześmiała się. – Wiesz, wychodzi na to, że oboje byliśmy trochę w potrzebie.

– Jeszcze nie słyszałem, żebyś tak mówiła. Zżera cię trema, to wszystko. Gdybyście nie mieli być z Jackiem, to stałby się po prostu kolejnym chłopakiem. Taka jest miłość, skomplikowana i ciężka. Tego losu nie dyktują gwiazdy. Dwoje ludzi po prostu trafia na siebie w odpowiednim czasie i jeśli coś między nimi zaskoczy, zaiskrzy, hm, rodzi się miłość. Jak to było, kiedy spotkaliście się po raz pierwszy?

Laura znów zapatrzyła się w krajobraz za oknem i wróciła myślami do ich pierwszego pocałunku. Pocieszała Jacka w domu jego niedawno zmarłego ojca. Obejmowała go, a potem ten dotyk i ten pocałunek... i tak się potoczyło. Wspominała podniecenie, gorączkowe i beztroskie, a potem ekstazę, kiedy się kochali, aż do utraty tchu i zawrotu głowy.

– Może masz rację – powiedziała już spokojniej; wspomnienia dodały jej blasku, którego brakowało przez prawie całą podróż. – Za bardzo to analizuję. – Popatrzyła na Joego. – A ty?

– Co ja?

– Jesteś z kimś?

Ściągnął usta.

– Nic poważnego – odparł wymijająco.

Laura była zaskoczona.

– Dlaczego trzymasz to w tajemnicy?

– Tak jest łatwiej – powiedział i mocno skoncentrował się na drodze. Laura zrozumiała, że rozmowa o prywatnym życiu Joego dobiegła końca, więc już się nie odezwała.

Tuż przed granicą miasta Joe zatrzymał się przed starym

wolno stojącym domem z oknem wykuszowym w drewnianych białych ramach. Dolna część domu była z cegły, ale piętro otynkowane i pomalowane na biało. Wielkie okno sypialni od frontu wychodziło na plażę. Kiedy Laura podniosła wzrok, zobaczyła odbicia mew szybujących nad morzem.

– Tu mieszka Rupert Barker? – zapytała.

– Tak, jeśli dane w wydziale komunikacji są aktualne – Joe sięgnął do klamki w drzwiach samochodu. – To pan doktor Barker, nie zapomnij. Nie chcesz go przecież obrazić.

Laura po drodze wykonała parę telefonów, żeby dowiedzieć się czegoś o ich niechętnym świadku.

– Jego uczucia nie mają znaczenia – powiedziała, kiedy stanęli na chodniku. – Muszę szybko załatwić sprawę. – Joe popatrzył na nią ze zdziwieniem, więc dodała. – Wysyłamy Bobby’ego do Londynu ze względu na tę furgonetkę, która próbowała mnie przejechać. Chcę wrócić, żeby się z nim pożegnać.

– Hm, przejechaliśmy taki kawał drogi, więc miejmy nadzieję, że nie zmarnujemy czasu. Bez trudu może udawać, że nie wie nic, wtedy my też nie dostaniemy nic.

– Aluzję zrozumiałam – odparła z uśmiechem Laura.

Zrobiła głęboki wdech, świeże powietrze wybrzeża wypełniło jej nozdrza. Morze dodawało wiatrowi ostrości. Powietrze było przyjemne, nie to co wilgoć Turners Fold i męczący smog Londynu.

Pierwsza podeszła do furtki, potem do drzwi i dźgnęła guzik dzwonka. Sięgnęła do kieszeni po legitymację. Wewnątrz rozległ się głośny dzwonek, odwróciła się, żeby znowu zobaczyć morze. Zapisała w pamięci, że powinna przywieźć Bobby’ego do Cleveleys.

Wcześniej przejeżdżali obok małego wesołego miasteczka, a w sklepach sprzedawano lody i zabawki. Bobby mógłby jeździć na rowerze po brzegu.

Joe stanął obok niej przy drzwiach.

– I co? Nic? – zapytał.

– Jego samochód tutaj jest. – Wskazała volvo zaparkowane

na podjeździe. Laura jeszcze raz nacisnęła dzwonek.

– Może rozpoznał, że jesteśmy gliniarzami, i schował się w kuchni.

Joe odsunął się i spojrzął do góry.

– Nikt nie podgląda zza zasłon. Sprawdź, czy coś usłyszysz przez otwór na listy, włączony telewizor czy coś innego.

Nachyliła się i otworzyła skrzypiące wieczko skrzynki. Nasłuchiwała uważnie, ale wychyciła jedynie miauczenie kota.

– Nie, nic. – Zamknęła skrzynkę. Znieruchomiła. Coś wyczuła, chociaż nie była pewna co. Tylko oznakę, że coś jest nie tak. Znowu otworzyła wieczko.

– O co chodzi? – zapytał Joe.

– Nie wiem. – Rozejrzała się, próbując odgadnąć, co uruchomiło jej alarm w głowie. Wtedy to zobaczyła. – Tam, z boku stoi torba z zakupami ze spożywczaka, rozpakowana tylko do połowy. I widzę karton mleka. Jest gorąco. Nie zostawia się mleka na wierzchu.

A kot ciągle wchodzi do korytarza, wygląda na spłoszonego.

– To wszystko?

Wyprostowała się i spojrzała na Joego.

– Nie, nie wszystko. To przecucie, intuicja, nazwij to, jak chcesz.

Joe przygryzł wargę.

– Sprawdź drzwi.

Sięgnęła do klamki. Kiedy ją nacisnęła i pchnęła, drzwi powoli się otworzyły.

Popatrzyła na Joego i uniosła brwi.

– Jeśli się schował, to go znajdziemy – stwierdził Joe i wszedł do domu.

Laura ruszyła za nim. Wydawało się jej, że słyszy kapanie wody z kranu. Kot znowu podreptał do korytarza, ogon miał nastroszony.

Korytarz prowadził obok schodów do kuchni, z lewej strony było dwoje drzwi. Joe pchnął te do salonu – w środku

nikogo nie ma było. Tylko kanapa i telewizor. I regał z książkami obok kominka, wypełniony pomarańczowymi grzbietami pierwszych wydań Penguina.

Laura wyminęła Joego i poszła do kuchni. Zajrzała do torby.

– Tu jest też trochę mięsa. Dlaczego nie w lodówce? – Wróciła na korytarz. – Doktorze Barker? – zawołała, ale odpowiedziała jej cisza.

Joe wskazał drzwi od tyłu.

– Tam jest wybita szybka – powiedział, a potem pokazał na dół. – Na podłodze leży szkło.

– Więc trzeba uważać, jak się chodzi. Jeśli tu się coś stało, nie możemy zatrzeć śladów. – Stopą pchnęła lekko uchylone drzwi do drugiego pokoju. Otworzyły się ze skrzypieniem. W środku pusto. Cofnęła się na korytarz. – Doktorze Barker? – zawołała znowu i spojrzała na schody. – O cholera!

– Co takiego?

Kiwnęła w górę głową.

Rupert Barker leżał na podeście, twarzą w dół; było widać, że nie żyje. A spomiędzy nabrzmiałych policzków wystawał mu kawałek materiału.

Rozdział 40

Kiedy Jack przyjechał do domu, zobaczył, że ktoś na niego czeka, nerwowo się przechadzając. Młody, może trochę ponad dwadzieścia lat, ubrany w kremową koszulę luźno wypuszczoną na dzinsy. Przyglądał się, jak Jack wysiada z samochodu.

Jack ostrożnie podszedł do gościa. Chłopak wyglądał na zdenerwowanego. Na policzku miał siniaki, nos skrzywiony, jakby ktoś go uderzył.

– Czym mogę służyć?

– Pan Garrett? – zapytał młody człowiek.

Jack skinął głową.

– Adam Carter, chłopak Jane Roberts. – Oczy mu zaszczyły mgłą. – Były chłopak, chciałem powiedzieć.

Jack przyglądał mu się kilka sekund. Ze sposobu, w jaki chłopak wpatrywał się w ziemię, wywnioskował, że Carter nie przyszedł się awanturować. Mimo to powiedział: – Słuchaj, jeśli chcesz mi zrobić scenę, to pamiętaj: ja tylko piszę reportaże. Nie jestem czarnym charakterem.

– Rozumiem. – Adam skinął głową i podniósł ręce. – Ale spokojnie, nie po to przyszedłem. Miałem już dość kłopotów.

Jack wskazał siniaki.

– Ojciec Jane?

Carter pokiwał głową.

– Skąd pan wie?

– To w jego stylu i chyba nie jest twoim największym fanem. Kiedy to się stało?

Adam opuścił ręce.

– Wczoraj wieczorem.

– Co mówił?

– A czy to ważne?

– Dlatego tu przyszedłeś.

Myślał o tym przez kilka sekund.

– Chciał wiedzieć, co nagadałem policji – odezwał się wreszcie. – Powiedziałem mu, że odpowiadałem na ich pytania.

– I dlatego ci podbił oko i rozkwasił nos?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Chciał, żebym udowodnił, gdzie byłem tego wieczoru, kiedy zniknęła, to mu powiedziałem, że czekałem na nią za Black Bullem, bo musiała stosować sztuczki, wymykać się chyłkiem, żeby jej nie złapali, jak się ze mną spotyka. Nie spodobało mu się, jak oznajmiłem, że gdyby nie traktował jej tak ostro, to by żyła, bo nie wyszłaby z domu sama. – Potarł policzek. – Wtedy dostałem.

– Don cierpi – wyjaśnił Jack.

– To co, miałem go żałować? – Adam lekko podniósł głos.

– Niby dlaczego, do cholery? Co złego zrobiłem poza tym, że kochałem jego córkę? I co on zrobił, żeby pomóc szukać zabójcy?

– Podeszedł bliżej. – Nic. Właśnie. Tyle że mnie pobił. Co to da?

– A ty czego oczekujesz ode mnie?

– Chcę opowiedzieć historię Jane, żeby wszyscy o niej wiedzieli. Mogę też powiedzieć panu o Donie. Jak zarabia pieniądze i dlaczego nie idzie na policję.

– To pomoże złapać zabójcę Jane?

– Zależy, jak pan to napisze – Adam wskazał drzwi. – Jak wejdziemy, powiem panu wszystko, co powinien pan wiedzieć.

Jack spojrział na zegarek. Wpół do trzeciej. Chciał pójść do szkoły Bobby’ego, żeby się upewnić, że ojciec odebrał chłopca. Ale potem pomyślał o reportażu i doszedł do wniosku, że wystarczy mu czasu. Na styk.

Otworzył drzwi i się uśmiechnął.

– Okej, Adam, pogadajmy. Ale się streszczaj.

– Kiedy to się skończy? – zwróciła się Laura do Joego.

Oboje chodzili po domu, zaglądali w kąty. Przy furtce stał policjant, przed nią parkowały dwie furgonetki. Przez szybę w drzwiach Laura widziała, jak dwaj technicy kryminalistyczni w białych kombinezonach krzątają się wokół domu.

– Kiedyś go złapiemy – powiedział Joe. – To nie jest szalony zabójca, który kończy samobójstwem. On morduje dla podniety, więc musimy go powstrzymać. – Popatrzył na Laurę. – Jest iskierka nadziei.

– Mów.

– Takim zabójcom wreszcie zaczyna się nudzić, bo ciągle szukają kolejnej podniety, lepszej, a przynajmniej równie dobrej jak na początku, ale nigdy nie znajdują czegoś tak podniecającego jak za pierwszym razem.

– Lepszej podniety? – zapytała zmieszana Laura. – Mówisz, jakby miał zrobić coś jeszcze gorszego.

– Nie, oni nie robią niczego gorszego i na tym polega ich problem, bo czy może być jeszcze gorzej? Więc szydzą.

– Szydzą?

– Właśnie tak. Podkrecają zabawę szyderstwem albo czymś, co podnosi ich samoocenę. To wprowadza do gry dodatkowy element, a im się wydaje, że się z tego wywiną.

– Ten nasz zaczął wysyłać maile.

– I z każdą informacją będzie się coraz bardziej ujawniał – ciągnął Joe. – Słyszałaś o Dennisie Raderze?

Pokręciła głową.

– Nazwał się zabójcą WTZ.

Laura wyglądała na zdezorientowaną.

– Sam nadał sobie to przezwisko: Wiązać. Torturować. Zabić – wyjaśnił Joe.

Laure przeszedł dreszcz.

– Fajny gość, nie ma co.

– Za takiego wszyscy go uważali. Tyle że podniecało go, jak wchodził ludziom do domów i ich zabijał. Kiedy ta prosta podnieta go znudziła, zaczął pisać do policji, chciał sławy. Dlatego wymyślił sobie to WTZ.

– Czy zabójcy robią to z tak banalnych powodów, tylko dla sławy?

Wzruszył ramionami.

– Jest tyle skomplikowanych przyczyn, że trudno być czegokolwiek pewnym. Możemy tylko patrzeć, jak postępuje zabójca, i przewidywać. Spójrz na Andrieja Czikatilę, rosyjskiego seryjnego mordercę. Zabił ponad pięćdziesiąt kobiet i dzieci. Nadano mu przydomki: Rzeźnik z Rostowa, Czerwony Rozpruwacz, ale jego motywy były seksualne, nic poza tym. A teraz porównaj go z Aleksandrem Piczuszkinem, to też Rosjanin. On chciał sławy, tylko tyle. W jego zabójstwach w ogóle nie chodziło o seks, a to motywuje większość morderców. Nie, jemu zależało wyłącznie na tym, żeby pobić rekord Czikatili. Pysznił się, że zapełnia każde pole szachownicy². – Joe pozwolił sobie na uśmiech. – Skazano go za czterdzieści osiem zabójstw. Wściekł się, jak o tym usłyszał, bo to znaczyło, że nie pobił rekordu.

– Więc skoro zabójcy są tacy nieprzewidywalni, skąd pewność, że ten zmieni tempo?

– Bo mówię o wzorcach zachowań, ogólnym schemacie

2 Aleksander Jurewicz Piczuszkin zyskał przydomek Szachownicowego Zabójcy, ponieważ po każdym zabójstwie kładł na szachownicy numerki (przyj. red.).

postępowania, a on już zaczął pisać maile.

– Więc jego dalsze wysyłanie maili do Jacka jest w normie?

– To jedyna rzecz, która nas może do niego doprowadzić.

Laura westchnęła i na chwilę zamknęła oczy.

– Chyba jesteś zmęczona.

Otworzyła oczy.

– Nie mogę stąd odejść i przez to nie spotkam się z Bobbym.

– Chłopak da sobie radę.

Laura nic nie powiedziała.

Joe odwrócił się i znowu popatrzył na dom.

– Jak sądzisz, co takiego wiedział doktor Barker, że tak bardzo wystraszył zabójcę?

– Jest inne, ważniejsze pytanie – zauważyła Laura.

– A mianowicie?

– Dlaczego dzisiaj? Dlaczego akurat teraz doktor Barker zareagował?

– Ze względu na reportaż Jacka – stwierdził Joe. – Musiał znaleźć w nim coś, co go poruszyło.

– Ale jedyne co Jack dodał, to że w ciało Jane była wepchnięta ziemia z liśćmi.

– To znaczy, że miałem rację. To nie jest nowa metoda – oznajmił Joe. – Barker był psychologiem dziecięcym. A zabójca, którego szukamy, musiał być jednym z dawnych pacjentów doktora. Jeśli szczegół o wepchnięciu ziemi i liści wystarczył, żeby stary Rupert przyjechał do Blackley, to musiało być coś, co zabójca robił jako dziecko.

– I był z okolicy – podsunęła Laura. – Wiedział, że Barker przypomni to sobie, więc go uciszył.

Joe pokiwał głową.

– Na to wygląda.

Laura zamilkła i przez chwilę zastanawiała się nad czymś.

– Myślisz, że zabójca wiedział o wyjeździe doktora do Blackley?

– Nie mam pojęcia. A co?

– Dziwny zbieg okoliczności. Zabójca działa w Blackley, ale nagle wpada w panikę i zabija doktora sześćdziesiąt kilometrów od miasta. Przecież nie mógł wiedzieć, że doktor przeczyta ten artykuł, a nawet jeśli przeczyta, to że coś zrobi w tej sprawie.

Joe się zamyślił.

– Co sugerujesz?

– Doktor Barker przyjechał do komendy. Zabójca w mailach chwalił się, że będzie wiedział, jeśli Jack skontaktuje się z policją.

Wiedział też o mnie i znał mój adres. W usta doktora coś wepchnięto, więc to dzieło tego samego człowieka. – Laura się skrzywiła. – A więc tak, mordercą może być policjant.

Joe patrzył na Laurę, wreszcie się odezwał.

– Nie chcę o tym myśleć. Pójdę sprawdzić, czy coś znaleźli.

Joe podszedł do drzwi domu Barkera. Rozmawiał z kimś w środku, potem wrócił, skubiąc sobie wargę.

– Co jest? – zapytała Laura.

Podniósł wzrok.

– Chyba oboje powinniśmy się napić. Teraz nie ma wątpliwości co do związku.

– Dlaczego?

– Bo właśnie się dowiedziałem, co wepchnięto Barkerowi do ust.

– Co?

– Majtki. Młodej kobiety, jak sądzę. Mały rozmiar z różową kokardką na biodrze.

– Ciekawe, czyje konkretnie – powiedziała Laura i zobaczyła, jak Joe robi posepną minę. – Jane Roberts?

Pokiwał głową.

– Przynajmniej nie myliłem się w jednej sprawie. Jeśli postanowił ich użyć, żeby zakneblować doktora Barkera, to zrobił to tylko z jednego powodu: on z nas szydzi.

Rozdział 41

Adam Carter wszedł i rozejrzał się po domu. Ręce trzymał w kieszeniach dżinsów. Wyglądał na speszonego, usiadł onieśmielony, położył ręce na kolanach.

Jack zajął krzesło naprzeciwko.

– Na pewno chcesz porozmawiać? – zapytał. – Już raz dostałeś wycisk. Jak Don się dowie, możesz znów oberwać.

Adam milczał.

– Tak – odezwał się po chwili. – Bo zależy mi, żeby złapano zabójcę Jane, a Don jasno się wyraził: na policję nie pójdzie. Muszę to zrobić.

Jack uśmiechnął się, słysząc stanowczość w głosie chłopaka.

– Opowiedz mi o Robertsie.

– A co tu dużo mówić – powiedział z goryczą w głosie. – Małomiasteczkowy tyran, który udaje ważniaka, i tyle.

– Co to znaczy „udaje ważniaka”?

Adam się nachmurzył.

– Więc pan naprawdę mało o nim wie?

– To co ja wiem, nie jest takie ważne jak to, co ty chcesz mi przekazać. Nie zamierzam publikować plotek. Potrzebne mi źródło, wtedy zamieszczę bezpośrednią wypowiedź. – Kiedy Adam popatrzył z przerażeniem, Jack dodał: – Mogę nie podawać nazwiska, jeśli wolisz.

Carter zastanowił się nad tym.

– Prowadzi firmę ochroniarską. O tym pan wie, co?

Jack pokiwał głową.

– Piszę artykuł o trudach życia w Blackley. Nazwisko Dona często się pojawia.

– I co ludzie mówią?

– Niewiele. Wiem, że Don prowadzi firmę ochroniarską, ale nikt nie chce na ten temat rozmawiać.

– Hm, nic dziwnego. To wszystko to przekręt, tylko przykrywka dla wymuszeń.

Jack próbował ukryć uśmiech.

– Tak? A skąd masz takie informacje?

- Jane mi powiedziała.
 - Dużo ci mówiła o Donie?
- Adam głęboko odetchnął.

– Mhm, wszystko. Nie lubię Dona za to, jakim jest człowiekiem, ale był opiekuńczy, próbował chronić Jane. Miał pieniądze, mógł jej dać wszystko, czego zapragnęła. Chciał, żeby dobrze sobie radziła w szkole, więc płacił za korepetycje, tego typu rzeczy. Nie była jakąś rozwydrzoną laską z przestępczej rodziny. Była kulturalna, wykształcona, mądra. Don ukrywał przed nią, skąd naprawdę ma kasę, ale i tak się dowiedziała, z tego co usłyszała. To się jej nie podobało, ale go kochała. Było jej ciężko. Ona, dobrze wychowana dziewczyna, a ojciec lokalny bandyta. No i pan sobie wyobraża, jak zareagował Don, kiedy postanowiła wstąpić do policji.

- Uważał, że to zły wybór?

– Dla niego tak. Rozwijał interesy, zbierał sobie fundusz emerytalny. Myślał, że wkrótce zgarnie mnóstwo forsy. Miał oko na jeden z dużych domów przy głównej ulicy. Nie mogła sobie wybrać gorszego momentu.

- Dlaczego?

– Bo wiedział, że Jane zrobi co trzeba, jak na służbie natknie się na jednego z jego zbirów. Nie popracowałyby długo, gdyby go kryła.

Wystarczyłyby ślad przecieku i wywaliliby ją.

- A nie o to by mu chodziło?

Adam uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Don kochał córkę, ani trochę w to nie wątpię. Pewnie, że skończyłyby z tym wszystkim, żeby mogła prowadzić takie życie, jakie chciała. Miał tylko nadzieję, że ona zmieni zdanie, a on będzie dalej robić swoje.

– I stwierdził, że masz na Jane zły wpływ, bo nakłaniasz ją, żeby wstąpiła do policji?

Adam przytaknął.

- Coś w tym stylu.

- Więc jak on robi pieniądze?

– Tak jak zawsze, zastraszenie. – Adam pochylił się do przodu. – No, jak pan myśli, skąd Don ma kasę?

Jack się zastanowił.

– Do głowy przychodzi mi ochrona klubów, barów, kierowanie grupą wykidajłów. Próbuje się wcisnąć w ochronę osiedli.

Adam pokiwał głową.

– Zgadza się, musi poszukać czegoś nowego, bo władze zabierają pieniądze za ochronę lokali, każą mu się zalegalizować.

– Nie rozumiem.

– Niech pan się cofnie o parę lat. Don bez trudu opanował ochronę lokali. Miał bandę zbirów i proponował ich usługi ochroniarskie lokalnym pubom i klubom. Tylko że to była taka ściema, bo jak ktoś odmówił, oni urządzali w lokalu demolkę. W sobotnie wieczory wybuchały awantury z rzucaniem krzesłami, stołami, interwencją policji. To zawsze wyglądało na przypadkową pijacką zadymę, ale to ludzie Dona zaczynali rozrabiać. I tak mięśniaki Roberta stanęły przy wszystkich drzwiach knajp w mieście. Kluby przepłacały, żeby tylko ich lokale przestały być rozbijane. Proszę pamiętać, że to Blackley, nie Manchester. Tu łatwo się wygrywa, jak się ma siłę. A skąd dodatkowe dochody?

– Dodatkowe dochody?

– Głównie z narkotyków. Don Roberts ich nie dotykał, ale dotykał forsę. Bramkarze wiedzieli, kto zajmuje się dilerką w ich klubach, i przymykali oko za działkę z zysków. A kiedy dostawali swoją dolę, to i Don ją dostawał. Przez dłuższy czas kontrolował obrót prochami w klubach.

– I co poszło nie tak?

– ZFO. Zrzeszenie Firm Ochrony. Teraz, żeby pracować w ochronie, trzeba mieć zaświadczenie o niekaralności i przejść szkolenia.

To wykluczało mnóstwo ludzi Roberta. W ten sposób władza Dona nad bramkarzami osłabła. Teraz prowadzi agencję ochrony. Jeśli klubom potrzeba paru dodatkowych facetów, dzwonią do niego i on to załatwia.

– Więc przyszyły dla niego ciężkie czasy?

– Nie od razu. Zajmował się też zakładaniem blokad na koła. Rozwinął to, kiedy bramkarstwo się zalegalizowało. Ludzie Dona włóczą się w miejscach, gdzie poustawiali swoje gówniane znaki, i czekają, aż ktoś wysiadzie z samochodu. Jak tylko kierowca zniknie z pola widzenia, zakładają blokadę. Kiedy przychodzą, żeby usunąć, biedny sukinsyn w samochodzie dostaje słony rachunek i leci w podskokach do najbliższego bankomatu. To był zalegalizowany szantaż. – Adam się uśmiechnął. – Ale znów ten sam problem.

Niedługo władze zamierzają i za to pobierać forszę, więc zakładanie blokad już nie jest takim interesem jak kiedyś.

– I z niesfornych klientów sklepów nie da się już wycisnąć kasy – skwitował Jack. – Więc jak rozwija interesy, skoro władze zmuszają go, żeby się ograniczał?

Adam poruszył się nerwowo.

– Musi pan uważać na to, co pisze, rozumie pan?

– Gazeta nie wydrukuje pomówienia, ale jak mi powiesz, ocenię to.

– W porządku, skoro jest pan taki pewny siebie. – Adam zacierał ręce, oblizywał wargi. – To pozorowane włamania do domów piłkarzy i ochrona osiedla.

– Czekaj, nie łapię.

– Właściwie, to jest to samo. Weźmy włamania do domów piłkarzy. Nietrudno domyślić się, kiedy faceta nie będzie w domu.

Wystarczy przejrzeć listę imprez sportowych. Więc ludzie Dona udają, że są włamywaczami, składają wizyty w domach piłkarzy, szczególnie w czasie wieczornych meczów zimowych albo kiedy piłkarze są za granicą. Jak dobrze postraszyć panią domu, będzie pragnęła ochrony za wszelką cenę. Don ściemnia, że czytał o włamaniu, i proponuje swoje usługi. Z najlepszymi zawodnikami nie idzie mu za dobrze, ale jak zejdzie parę lig w dół, ma tańszych piłkarzy, którzy lubią symbole statusu, takie jak prywatna ochrona.

– A co z ochroną osiedla? – Jack znał część odpowiedzi na

to pytanie, ale chciał usłyszeć, co powie Adam.

Chłopak westchnął.

– To mi się najmniej podobało, bo to wyciskanie pieniędzy z ludzi, którzy nic nie mają. Po prostu wymuszenia w starym stylu, pod pretekstem ochrony. Czytał pan te artykuły, że gliniarze zbyt rzadko tam patrolują? Przynajmniej tak twierdzą politycy. Ludzie boją się, że policja już ich nie ochroni, że zajmuje się tylko najważniejszymi sprawami i papierkową robotą.

– Nie jest aż tak źle – sprzeciwił się Jack. – Większość tekstów przeciwko policji to tylko opowieści ludzi żądnych sławy.

– Może, ale ludzie łykają te historie. Skąd mogą wiedzieć, że nie ma w tym całej prawdy, skoro napisano je tak, żeby wyglądały na całą prawdę? I co zrobić, jak pod oknem włóczą się te miejscowe gnojki, te dzieciaki o szczurzych twarzach, ubrane na czarno, które nie wracają do domu, bo ich rodzice kończą dzień nieróbstwa ukradzioną flaszką wódki, a policja nie bierze cię na serio? – Adam zaśmiał się ironicznie. – Chyba że, oczywiście, na miejscu pojawi się wujek Roberts, żeby zapewnić jakie takie bezpieczeństwo w okolicy. Jego zbiry zaczną łązić po ulicach, będą chronić domy i przegonią małolátów spod ciemnej gwiazdy, a wszystko, rzecz jasna, za skromną opłatą.

– Czy to nie wolny rynek? Don zaspokajają zapotrzebowanie.

Adam roześmiał się gorzko i pokręcił głową.

– Uważa pan, że to takie niewinne? On tworzy popyt. Jak pan myśli, kto każe tym dzieciakom tak się zachowywać? One jakoś nigdy nie zadzierają z prywatną ochroną. A dlaczego? Bo wiedzą, kto płaci, a kto nie. I ci, którzy nie płacą, obrywają za swoje. Jajka w okna, puszki po piwie w skrzynkach na listy, krzyki, porżnięte opony. Jak kto ma kablówkę, kable są pociachane. Tam odchodzi cholerna wojenka. Uspokoi się dopiero, kiedy mieszkańcy zamówią prywatną ochronę Dona. Wszyscy myślą, że robi dobrą rzecz, więc chociaż ceny rosą, to nawet najbiedniejsze rodziny decydują się na usługi Dona.

Jack westchnął. To było poważne oskarżenie, ale zachowywał ostrożność, bo widział rozgoryczenie w oczach

Adama, więc mogło po prostu chodzić o zemstę.

– I dowiedziałeś się tego wszystkiego od Jane?

Carter pokiwał głową.

– Jane przez cały czas o nim mówiła. Kochała go, czuła, że ją chroni, ale nie mogła być z niego dumna.

– Więc czego oczekujesz ode mnie?

– Żebyś napisał o Robertsie.

– Jego adwokat dopiero co prosił mnie o to samo, ale chodziło mu o współczujący reportaż, który pomógłby Donowi namierzyć zabójcę Jane.

– I wtedy Don go zaszlachtuje – powiedział Adam.

Jack wzruszył ramionami. Już to rozgryzł.

– Muszę mieć dowód, żeby napisać taki demaskatorski artykuł.

– Więc niech pan go znajdzie. Trzeba pochodzić po osiedlu. Zobaczyć, gdzie są domy obsmarowane graffiti, gdzie włóczą się dzieciaki. Zapytać, jak tym ludziom się powodzi. Porozmawiać z tymi, którzy płacą Donowi.

– A co tobą kieruje, poza zemstą? – zapytał Jack.

– Chodzi o Jane. Nie wyszłaby z domu sama, gdyby Don traktował nas jak normalną parę. Zabrałbym ją albo Don by ją przywiózł.

Ale nie, musieliśmy się czaić, trzymać sprawę w tajemnicy i Jane poszła sama. Jak pan myśli, co ja teraz czuję?

– Mój reportaż nie przywróci jej życia.

– Nie przywróci – potwierdził Adam. – Ale może trochę rozjaśnić życie innych ludzi.

Jack pokiwał głową i się uśmiechnął. Ale kiedy pomyślał, jak zareaguje Don, wydało mu się, że z każdą rozmową, którą przeprowadzi, jego życie stanie się coraz bardziej zagrożone.

Rozdział 42

Joe telefonował do Carsona, przekazywał mu najnowsze informacje, kiedy Laura ją zobaczyła.

Kobieta w średnim wieku, ładnie ułożone siwe włosy, prosta sukienka w kolorze czerwonego wina. Szła ulicą w stronę

domu doktora Barkera i jak zwykle taśma policyjna zrobiła swoje. Owinięta wokół słupów latarni, w niebiesko-białe paski, dla wielu stanowiła ciekawostkę. Okazja, żeby pogapić się na coś niezwykłego i może nawet trochę porozmawiać ze stojącym najbliżej policjantem. Ale ta kobieta była inna. Zszokowana zakryła ręką usta, szeroko otworzyła oczy, rozejrzała się, jakby nie wiedziała, co robić.

Laura zdała się na instynkt. Poklepała Joego po ramieniu i pokazała na nią.

– Ona coś wie.

Joe na chwilę przerwał rozmowę z inspektorem i pokiwał głową.

Laura poszła w jej stronę. Kiedy się zbliżyła, zobaczyła, że do oczu kobiety napływają łzy.

– Detektyw sierżant McGanity. – Próbowała uśmiechem uspokoić kobietę. – Dobrze się pani czuje?

Minęło parę sekund, zanim nieznajoma się odezwała.

– Coś się stało doktorowi Barkerowi? – zapytała, jakby nie słyszała słów Laury.

– Znała go pani?

Kobieta zdezorientowana spojrzała na Laurę.

– Znałam? Nie rozumiem.

Laura zakłęła w duchu. Wygadała, że Barker nie żyje, nie wiedząc, kim jest ta kobieta. Chociaż kiedy odwróciła się i popatrzyła w stronę domu, na kręcących się technikach kryminalistycznych i wozy policyjne, uznała, że było oczywiste, że zdarzyło się coś poważnego.

– Tak, przykro mi – wyszeptała. – Doktor Barker nie żyje. Znała go pani? – powtórzyła.

Kobieta popatrzyła na dom, potem znów na Laurę.

– Usłyszałam, że tu jest policja, i zaniepokoiłam się, ale nie spodziewałam się aż tego. – Wyjęła chusteczkę higieniczną z torebki i przejechała nią pod oczami. – Jak zmarł?

– Na razie nie mogę tego ujawnić, przepraszam. Niech mi pani powie, skąd go pani zna.

– Pracowałam z nim, zanim przeszedł na emeryturę. Jestem Anne. Jego przychodnia nadal jest niedaleko stąd.

– I kto tam teraz pracuje?

– Paru nowych psychologów. Młodsze wersje doktora Barkera.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

Anne znów otarła oczy.

– Dziwna sprawa. – Pociągnęła nosem. – Dziś rano przyszedł do przychodni.

– Dziś? – zapytała zaskoczona Laura.

Anne przytaknęła.

– Szukał byłego pacjenta.

Laura próbowała ukryć podekscytowanie, wiedziała, że to ważne.

– Podał nazwisko?

Anne pokręciła głową.

– Powiedział tylko, że chodzi o pewnego dawnego pacjenta. Prosił o pomoc, bo zupełnie nie przypominał sobie szczegółów przypadku.

– Jak się zachowywał?

Kobieta się zamyśliła.

– Trochę niespokojnie i nerwowo. A to do niego niepodobne, bo z reguły był bardzo opanowany.

– Znalazł to, czego szukał?

– Nie wiem. Nie widziałam, żeby coś z sobą miał, ale wtedy z kimś rozmawiałam. Po prostu pożegnał się i wyszedł.

– O której to było?

– Tuż po otwarciu. Chyba dochodziła dziesiąta.

A potem udał się prosto na policję, pomyślała Laura.

– Proszę ze mną.

Nagle Anne się wystraszyła.

– Nie chcę go widzieć... martwego.

– Nie, nie, chcę pojechać z panią do przychodni, bo jeśli doktor nie zabrał ze sobą tego czego szukał, to pewnie to tam nadal jest.

Proszę wsiąść do samochodu.

Anne zawahała się, w końcu skinęła głową. Laura wyczuwała jej zdenerwowanie, gdy szły do samochodu Joego. Kiedy kobieta usiadła z tyłu, Laura przywołała go gestem.

– O co chodzi?

– Mamy trop – wyszeptała nad dachem wozu i wskazała na tylne siedzenie. – Barker był dziś rano w swoim starym gabinecie, szukał szczegółów dotyczących byłego pacjenta, tuż przed przyjazdem do Blackley.

– Brzmi obiecująco – powiedział Joe i wsiadł od strony kierowcy. Odwrócił się, żeby się uśmiechnąć na dzień dobry.

Jazda trwała krótko, Anne kierowała ich bocznymi uliczkami, przy których stały sklepy z wiaderkami na piasek i metalizowanymi balonikami. Potem weszli za nią do budynku. Laura zastanawiała się, co pomyśla o Anne jej nowi pracodawcy, że sprowadza policję.

Kiedy kobieta poprowadziła ich korytarzem wykładanym tanim dywanem, nieco dalej otworzyły się drzwi i pokazał się w nich chudy jak szkielet mężczyzna z siwiejącymi włosami ostrzyżonymi prawie do skóry.

– Czym mogę służyć? – zapytał z uprzejmym, ale chłodnym uśmiechem, rozciągając skórę twarzy. Najwyraźniej wolałby ich raczej zatrzymać niż im usłużyć.

Laura przedstawiła się, ale zanim Joe do niej dołączył, mężczyzna powiedział: – Domyśliłem się, kim jesteście, jak tylko was zobaczyłem. Pytanie brzmiało: czym mogę służyć? Jak brzmi odpowiedź?

– Dziś rano przyszedł tutaj doktor Barker, czegoś szukał. – Laura próbowała ukryć irytację w głosie. – Musimy wiedzieć czego.

– Doktor Barker? – Mężczyzna zmieszany popatrzył na Anne, a kiedy skinęła głową, spuścił oczy i się uśmiechnął. – Dlaczego po prostu go nie zapytacie?

Laura posłała Joemu znaczące spojrzenie. Koniec z tajemnicą.

– Nie żyje – powiedziała otwarcie. – Uważamy, że został zamordowany i wiąże się to z tym, co dziś rano tutaj znalazł.

Uśmiezek znikł, chudzielec popatrzył na Anne, która ze łzami w oczach pokiwała głową.

– Dlaczego nam nie powiedziałaś, że Rupert tu był? – wyszeptał.

– Przepraszam, mamy mało czasu – wtrąciła się Laura, podchodząc bliżej. – Nie chcemy, żeby to się zdarzyło jeszcze komuś. – Odwróciła się do Anne. – Proszę pokazać, co oglądał.

– Poszedł do archiwum.

Mężczyzna się nie poruszył.

– To są poufne akta, nie mogę ich tak po prostu państwu wydać.

– Akta nie są nam potrzebne. Chcemy tylko wiedzieć, czyją teczkę przeglądał. – Laura spiorunowała go wzrokiem.

– Nie widzę różnicy.

– Więc co pan powie na to: jeśli doktor Barker został zamordowany w związku z tym, czego się tu dowiedział, to skąd możemy wiedzieć, że wy nie będziecie następni? Bo morderca znowu kogoś zabije. – Pokazała na Anne. – Może ją, może pana. – Podeszła bliżej. – Chodzi tylko o nazwisko. O nic więcej. Którą teczkę doktor przeglądał przed śmiercią? Czy pańska duma jest więcej warta niż czyjeś życie?

– To obowiązek zawodowy – odparł mężczyzna z lekką niepewnością w głosie.

– A może by tak go poświęcić dla uratowania życia paru ludziom? Chyba że pański obowiązek zawodowy jest ważniejszy niż ratowanie życia – naciskała Laura.

Wahał się jeszcze parę sekund, wreszcie odsunął się na bok. Anne podeszła do panelowych drewnianych drzwi w połowie korytarza, pokrytych wieloma warstwami farby. Ręce jej drżały.

– Archiwa są na dole – wyjaśniła i zaczęła grzebać w torbie, szukając klucza. Popchnęła drzwi i weszła do środka, żeby zapalić światło. – Wszystko jest tam.

– Proszę z nami – poleciała Laura. Kiedy kobieta rzuciła

niepewne spojrzenie swojemu szefowi, Laura dodała: – Będzie pani mogła nam powiedzieć, czy coś zostało przesunięte.

Szef kiwnął głową, że Anne ma im pomóc, i wszyscy zeszli do wilgotnej, chłodnej piwnicy, obstawionej drewnianymi półkami, na których piętrzyły się pudła. Od kurzu Laurę aż kręciło w nosie. Odetchnęła głośno. Od czego zacząć?

Joe przycisnął się obok niej i zaczął odczytywać daty na pudłach.

– Prowadziliście tutaj tylko terapię dla dzieci? – zapytał Anne, a kiedy przytaknęła, powiedział: – Musimy się cofnąć parę lat, bo w najnowszych pudłach są dane za młodych pacjentów. – Ruszył wzdłuż półek. Sprawdzał daty na pudłach, nie ich zawartość. Wreszcie zatrzymał się i sięgnął po pudło z półki dokładnie na poziomie jego oczu. Stęknął z wysiłku, kiedy stawiał je na posadzce. – Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty. Kurz na wieku jest przetarty. I wiek pacjentów byłby odpowiedni. – Zdjął wieko i odłożył na bok.

Jęknął.

W środku znajdowały się porządnie ułożone teczki.

– Tu jest więcej pudeł ze śladami na kurzu – zauważyła Laura.

– Zestawmy wszystkie, które mają ślady – powiedział Joe.

Razem z Laurą przyjrzał się półkom. Na sześciu pudłach świeże odciski palców. Laura patrzyła, jak Joe zdejmuje wieka, jedno za drugim. Każde pudło ciasno wypełniały teczki.

Ale ostatnie się różniło.

Joe zajrzał do środka, potem popatrzył na Laurę i wstał.

– Tu masz odpowiedź.

Rzeczywiście. W innych pudłach teczki stały równo ułożone. Ale w tym jedna była wyjęta, położona na pozostałych.

Joe wziął teczkę.

– Shane Grix. – Przeczytał nazwisko na okładce, potem otworzył teczkę i kartkował jej zawartość, coraz szerzej otwierając oczy.

Anne niepewnie popatrzyła na Laurę, a ta położyła palec na

ustach, prosząc, żeby kobieta nic nie mówiła.

Joe czytał, a Anne, z zaciśniętymi przed sobą dłońmi wpatrywała się w posadzkę. Joe przerzucał kartki, co jakiś czas zatrzymywał się, żeby uważniej przyjrzeć się jakimś szczegółom. Po kilku minutach przekazał teczkę Anne, która nerwowo zerknęła na okładkę.

– Dziękuję – powiedział. – Być może pomogła nam pani namierzyć zabójcę. – I popędził w stronę schodów.

Laura szybko poszła za nim.

Rozdział 43

Kiedy odgłos samochodu Adama ucichł między wzgórzami, Jack chwycił kluczyki swojego triumpha i wybiegł z domu.

Musiał zdążyć do szkoły Bobby’ego, gdyby ojciec chłopca się spóźnił. Wsiadając do samochodu, zastanawiał się, co zrobić z uzyskanymi informacjami. Chciał napisać o Jane, ale to co powiedział mu Adam, pasowało do tekstu o Whitcroft, który prawie już ukończył dla Dolby’ego. Naczelnny chciał, żeby napiętnować tych, co zawsze stwarzają problemy, a wersja Adama dodawała do reportażu czarny charakter: Dona Robertsa.

Już chciał włączyć silnik, ale powstrzymał się i sięgnął po telefon. Wystukał numer do redakcji. Dolby odebrał po drugim dzwonku.

– Ile czasu maksymalnie możesz mi dać na reportaż o Whitcroft? – zapytał Jack.

Chwila ciszy.

– Myślałem, że to już prawie gotowe – sapnął Dolby.

– Tak, ale mam nowy wątek – wyjaśnił Jack.

– Nie chcę nowych wątków.

– To się wiąże z Jane Roberts, tą zamordowaną dziewczyną.

Jack nieomal słyszał myśli Dolby’ego, kiedy ten zastanawiał się, czy dać Jackowi dodatkowy czas.

– Jak? – zapytał w końcu naczelnny.

– Ojciec Jane zarządza ochroną osiedla.

– I co z tego?

– To, że Jane była znacznie zamożniejsza niż ludzie z osiedla, ale oni po części na to płacili.

– Z tragicznym post scriptum, bo dziewczyna została zamordowana. – Znów cicha analiza. – Dobra, napisz to, zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– Zrobi się.

– Na jutro. Dwie strony.

– Wiem, wiem. Ale zobaczysz, to coś wniesie do sprawy.

Dolby westchnął po drugiej stronie, a Jack właśnie załatwił sobie pisanie do późna w nocy.

Samochód odpalił po pierwszym przekręceniu kluczyka. Dobry znak. Najpierw Bobby, a potem z powrotem do osiedla Whitcroft.

Laura włożyła telefon do kieszeni. Zbliźali się do ostatniego znanego adresu Shane’a Griksa.

– Nie pojawił się w systemie – powiedziała. – Jeśli jest niebezpieczny, to nie dał się złapać.

– Przynajmniej przez ostatnie kilka lat – zauważył Joe. – Pamiętaj, były czasy, kiedy nasze archiwa elektroniczne nie działały aż tak sprawnie, więc jeśli nie pojawiał się na radarze ponad piętnaście lat, możemy go nie znaleźć.

– I mógł zmienić nazwisko. A co tak cię zainteresowało w tej teczce?

Joe spojrział na nią.

– Shane Grix. Adoptowany. Spokojne dziecko z miłej rodziny. Ale w tym wypadku „spokojny” znaczy chyba „zamknięty w sobie” i „gnębiony”.

– W każdej szkole znajdzie się dręczone dziecko – stwierdziła Laura. – To niedobrze, ale też to nic nadzwyczajnego.

Joe się uśmiechnął.

– Pamiętajsz, jak ci mówiłem, dlaczego niektóre dzieciaki są okrutne dla zwierząt albo podkładają ogień?

– Demonstracja siły. A przynajmniej reakcja na własną bezsilność. Odgrywają się na czymś, co jest od nich słabsze.

– Właśnie. Dlatego mały Shane poszedł na spotkanie z psychologiem. Znęcał się nad zwierzętami.

Laura zobaczyła błysk w oku Joego, akademicka strona jego natury zaczynała brać w nim górę. Był zadowolony, że choć przez chwilę może zająć się teorią, a nie ściganiem zabójcy. Odwróciła się i spojrzała na morze, w tle za mijanymi uliczkami prowadzącymi w stronę brzegu. Mignięcia jasnego błękitu.

– Ale co takiego szczególnego poruszyło doktora Barkera, że szukał teczki Shane’a? – zapytała w końcu.

– Sposób, w jaki maltretował zwierzęta. – Joe skręcił w ulicę domów bliźniaków z wielkimi wykuszowymi oknami i oszklonymi werandami. Spoglądał przez boczną szybę, jadąc powoli. Wreszcie zatrzymał się przy trawiastym poboczu, oddzielającym ścieżkę od drogi.

– To adres Shane’a. A przynajmniej przed laty.

Laura wyjrzała z samochodu, zobaczyła brudne okna i nowe zasłony. Porcelanowe ozdóbki na parapecie i kosz z kwiatami na haku przy drzwiach. Kwiaty wyglądały na przywiędłe.

Oboje wysiedli z wozu i spojrzeli na dom. Na podjeździe nie było samochodu. Może nikogo nie zastali.

– Shane mieszkał tutaj jako chłopiec – powiedziała Laura. – Pewnie już dawno temu się stąd wyprowadził.

– Ale zawsze warto zebrać plotki od sąsiadów – odparł Joe. – Spójrz tylko, to nie są nowe mieszkania dla młodych małżeństw. To domy w starym stylu. Ci ludzie już wychowali dzieci i zostali tu, kiedy przeszli na emeryturę. Nie widziałem ani jednej tablicy „na sprzedaż”, kiedy tutaj jechaliśmy. Nawet jeśli Shane się wyniósł, ktoś w okolicy będzie go pamiętał.

Laura westchnęła. Przestała kwestionować metody Joego, bo zazwyczaj postępował według przemyślanego planu. Podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek.

Kiedy czekali, popatrzyła na trawnik i krzewy róż. Choć zaniedbane, nosiły ślady ludzkiej ręki. Trawa była świeżo przycięta, ale gałęzie krzaków róży rosły zupełnie dziko.

Przez dłuższy czas nikt się nie pojawiał i już mieli odejść,

kiedy Laura zobaczyła jakiś ruch za matowym szkłem w okienku w drzwiach. Ktoś nadchodził.

Drzwi otworzyły się na łańcuchu, mleczonebieskie oczy osadzone w bladej, pocętkowanej twarzy patrzyły na nich przez szczelinę.

Laura wyciągnęła legitymację i stara kobieta na chwilę szeroko otworzyła oczy.

– Pani Grix?

Kobieta po drugiej stronie zatrzasnęła drzwi, ale kiedy Laura i Joe wymieniali spojrzenia, dał się słyszeć szcęk łańcucha wyjmowanego z zatrasku.

– Chodzi o Amandę? – zapytała staruszka z paniką w głosie. – Coś się jej stało?

– Amandę?

– Moją córkę – wyjaśniła. – To ze względu na nią przyszlście?

– Pani Grix? – Joe powtórzył pytanie, robiąc krok do przodu.

Kiwnęła głową.

– Proszę mi mówić Ida.

– Możemy wejść? Chodzi o pani syna, Shane'a.

Zareagowała tak, jakby ktoś uderzył ją w żołądek. Przesunęła ręką po brzuchu i jęknęła. Potem się odsunęła i zaprosiła policjantów do pokoju od frontu.

Joe wszedł do salonu, Ida podreptała korytarzem. Laura poszła za nią i zobaczyła, że kobieta opiera się rękami o blat w kuchni. Palce jej drżały, ale wyprostowała się, włączyła czajnik i sięgnęła do kredensu po filiżanki.

Laura wróciła do salonu. Joe stał przed wielką fotografią wiszącą nad kominkiem. Było na niej dwoje nastolatków, dziewczynka kilka lat starsza od chłopca, oboje w identycznych szkolnych mundurkach – jaskrawobiałe koszule i fioletowe krawaty. Chłopiec patrzył w obiektyw, miał włosy blond, lekko się uśmiechał, ale wyglądało to raczej tak, jakby szydził z fotografa. Były także inne zdjęcia dziewczynki. Bardziej eleganckie

fotografie z trochę późniejszego okresu, a potem z niemowlęciem – młoda matka po dwudziestce.

Laura rozejrzała się po pokoju. Kolejne fotki – nastolatka rozkwitająca w kobiecość. Innych zdjęć chłopca nie było.

– Shane? – zapytała, wskazując portretowe zdjęcie.

– Pewnie tak – odparł Joe. – Co robi starsza pani?

– Herbatę, ale coś tu jest nie tak. Nie zapytała o Shane’a, kiedy dowiedziała się, że nie przyszliśmy do niej w sprawie Amandy.

Laura zamilkła, kiedy weszła Ida z tacą, na której stały trzy filiżanki, mała cukiernica i talerzyk z ciastkami. Filiżanki lekko dzwoniły, kobiecie drżały ręce.

– Mam nadzieję, że herbata wam wystarczy. I proszę, bierzcie ciastka – mówiąc to, Ida nie patrzyła ani na jednego, ani na drugiego gościa.

Joe sięgnął po filiżankę. Potem sięgnął po migdałowe ciasteczko, odgryzł kawałeczek i odłożył je na spodek. Laura domyśliła się, że się poczęstował jedynie dlatego, żeby sprawić gospodyni przyjemność.

– Co może nam pani powiedzieć o Shanie? – zaczęła Laura.

Ida odetchnęła głęboko, uśmiechnęła się i wyciągnęła chusteczkę zatkniętą za rękaw rozpinanego swetra.

– Tylko to, co prawdopodobnie już wiecie. Cichy chłopiec. Myśleliśmy, że po prostu taki już jest. Skryty, trochę samotnik. Ale kiedy chciał, potrafił być słodki. – Lekko się roześmiała. – Zazwyczaj kiedy na coś mu zależało.

– Dlaczego zaprowadziliście go do doktora Barkera? – zapytał Joe.

Wyglądała na zaskoczoną.

– Skąd wiecie?

– Właśnie byliśmy w jego gabinecie.

Ida zaczęła skrobać filiżankę paznokciem.

– Zrobił się zbyt zamknięty w sobie i zbyt cichy. A jak już coś mówił, to okrutne rzeczy i raniące. Robiliśmy, co mogliśmy, ale on nas jakby nienawidził. Potem kupiliśmy mu chomika. Z

początku wydawał się zadowolony, ale potem chomik zniknął. Shane powiedział, że zostawił otwartą klatkę, więc daliśmy mu następnego. – Ida westchnęła głośno i otarła nos chusteczką. – Pewnego dnia sprzątałam pokój Shane’a i znalazłam tego pierwszego chomika pod łóżkiem. Był martwy, ale wiedzieliśmy, że nie zdechł z naturalnych przyczyn.

– Skąd wiedzieliście?

– Miał skręconą główkę i trociny z klatki w pyszczku.

Laura i Joe wymienili spojrzenia.

– Byliśmy bardzo zaniepokojeni – ciągnęła Ida. – Shane nie miał kolegów i cały czas siedział w swoim pokoju. Nie mieliśmy pojęcia, co on tam robi, a kiedy wchodziliśmy, zwykle tylko siedział na łóżku i patrzył przed siebie. To dlatego kupiliśmy mu chomika, myśleliśmy, że to go rozrusza. I patrzcie, co się stało. Pewien przyjaciel polecił nam doktora Barkera. Zabraliśmy Shane’a na parę sesji, ale trudno było coś z niego wyciągnąć, więc zrezygnowaliśmy. Nie mogliśmy sobie pozwolić na honoraria.

Joe wyraźnie się tym zainteresował, palcami mocno bębnił o kolana.

– Kiedy go adoptowaliście? – zapytał.

Ida przez sekundę wyglądała na zszokowaną. Zanim odpowiedziała, zaczęła się bawić chusteczką.

– Tuż po urodzeniu. – Jej głos zabrzmiał wrogo. – Staraliśmy się o własne dzieci, Ted i ja, ale mieliśmy tylko jedno, Amandę.

Chcieliśmy więcej, nie mogliśmy znieść myśli, że będzie dorastać jako jedynaczka. Więc zdecydowaliśmy się na adopcję. – Ida zacisnęła dłonie, głos jej drżał. – Ale nie udało się, czułam się tak, jakbym to ja była winna.

– Dlaczego tak pani uważa?

Zaczerwieniła się.

– Odprawiłam jego prawdziwą matkę – wyznała. – Nie powinnam tego robić, ale ona nie była dla niego matką. Porzuciła go i to my go wychowywaliśmy.

Laura pochyliła się na krzesło i opuściła głowę, żeby

spojrzeć Idzie w oczy.

– Shane zawsze chciał poznać kobietę, która go urodziła – powiedziała cicho.

Ida spojrzała na nią nienawistnie. To nie pasowało do jej łagodnego wyglądu.

– Tak, popełniłam błąd, ale ona tak źle go potraktowała. – Skręcała w dłoniach chusteczkę. – Wiem, co powiecie, że myśleliśmy tylko o sobie. Może i tak było. Czy to coś złego? Macie dzieci?

Laura bawiła się pierścieniem zaręczynowym, przez chwilę myślała o Bobbym, o tym że jest jedynakiem.

– Ja mam – odparła. – Chłopca.

Ida złagodniała na chwilę i się uśmiechnęła.

– Poznałam to po tobie. Zmęczona, ale zadowolona. Kiedy widzę bezdzietne kobiety w twoim wieku, zwykle wyglądają na naprawdę wypoczęte, bo mają łatwe życie, a czasem są zapędzone, jakby coś ścigały, coś co zastąpi im dzieci. Ale jak ty byś się czuła, gdyby przyszedł ktoś, kto chciałby zabrać ci synka? Walczyłabyś o niego. To właśnie robiłam, jeśli chodzi o Shane'a. Nie dopuściłam jej.

Laura wyciągnęła rękę i wzięła Idę za dłoń – zimną, delikatną.

– Masz rację. Walczyłabym, tak jak ty – przyznała.

Ida przez chwilę ścisnęła dłoń Laury.

– Nie wystarczy urodzić, żeby być matką, wiesz przecież – powiedziała Ida. – To wszystko inne. Uściski, wychowywanie, miłość. Te choroby po nocach, trzymanie miski, kiedy dzieciak wymiotuje. Jego pierwszy dzień w szkole. Pomaganie w odrabianiu lekcji. Czytanie przed zaśnięciem. Po prostu obejmowanie go, żeby poczuł się bezpieczny. To właśnie znaczy być matką, a wtedy pojawiła się ona i chciała go zabrać.

– Ale mogłaś pozwolić, żeby jakoś się zbliżyła. Na pewno wiedziałaś, że Shane będzie się chciał czegoś o niej dowiedzieć, jak dorośnie. To by nie znaczyło, że ty przestaniesz się dla niego liczyć.

– Mówisz tak, że poczułam się samolubna. – Ida puściła rękę Laury. – Ale to nie tak. Ona sama była dzieckiem i wszystko, co się z nią łączyło, miałoby zły wpływ na Shane’a.

– A konkretnie?

Ida zamilkła na chwilę.

– Po prostu to wiedzieliśmy – odparła wreszcie, spuszczać wzrok.

Laura spojrzała na Joego i uniosła brew. Joe przymrużył oczy – pewnie myślał o tym samym: czegoś nie dopowiedziano.

– I była prostytutką – dodała Ida, podnosząc wzrok. – Parę razy ją sądzono. Czytaliśmy o tym. Nie, lepiej, że Shane się z nią nie zobaczył. Kiedy pojawiła się u nas w domu, nie pozwoliliśmy jej, żeby się z nim spotkała. Ale przychodziła dalej, więc musieliśmy wezwać policję. I wtedy dała sobie spokój.

– Jak to przyjął Shane?

– Z początku nie wiedział, ale pewnego wieczoru pojawiła się i dzieciak musiał usłyszeć awanturę. Kiedy wyszłam na korytarz, patrzył ze schodów. Wyglądał na rozszluszczonego, naburmuszył się, ale nic nie mówił. – Po policzku Idy spłynęła łza. – To moja wina, że Shane tak skończył. Potem zrobił się jeszcze cichszy i bardziej mściwy.

Laura już miała zadać pytanie, ale Ida powstrzymała ją uniesieniem ręki.

– Przepraszam, że wam o tym mówię, ale to też przyczyniło się do tego, jakim chłopcem stał się Shane – powiedziała. Wyprostowała się, jakby czas wyznań minął. – Więc po co przyszliście? Złapaliście tego, co to zrobił?

Laura popatrzyła zmieszana na Joego.

– Co zrobił? – zapytała.

Teraz z kolei Ida się zdziwiła.

– Przecież po to przyszliście, prawda? Znaleźliście jakiś trop w tej sprawie?

– Jakiej sprawie?

– Śmierci Shane’a. Czy nie po to tu jesteście, żeby mi powiedzieć, że macie podejrzanego?

Laura wymieniła spojrzenia z Joem.

– Nie, przykro mi, ale nie dlatego tu jesteśmy – powiedziała łagodnie.

Ida wyglądała na urażoną.

– To było dawno, ale skoro wy w innej sprawie, to dlaczego interesuje was Shane?

– Chodzi o Ruperta Barkera – wyjaśniła Laura. – Bardzo mi przykro, ale znaleziono go martwego, w jego domu. Szukamy byłych pacjentów doktora, na wypadek gdyby istniał jakiś związek.

Ida przykryła usta ręką.

– Doktor Barker? Jak? Kiedy?

– Teraz, w porze lunchu. Przepraszam, to musi być duży szok. – Laura popatrzyła na Joego, który przyglądał się fotografii nad kominkiem.

– Jak umarł Shane? – zapytał.

Ida posłała mu zaskoczone spojrzenie.

– To wy nie wiecie?

– Jak to?

– Shane został zamordowany. – Ida nabrała głęboko tchu. Łza popłynęła jej po policzku. – Czyżby policja już o tym zapomniała?

Joe nachylił się do przodu.

– Mogłaby pani powiedzieć coś więcej? – poprosił.

Otarła policzek i usiadła prosto. Patrzyła sobie na rękę, kiedy zaczęła mówić.

– Shane nie był łatwym nastolatkiem. Niektórzy chłopcy z sąsiedztwa się go czepiali. Staraliśmy się chronić syna, żeby był bezpieczny, ale młodzi chcieli robić to, co robią młodzi, chodzić do klubów, na dyskoteki. Bo niby dlaczego mieliby siedzieć w domu? Ale takie rozrywki przyciągają drani i Shane wracał do domu smutny, ale on wyrażał smutek inaczej niż inni ludzie. Nie płakał ani nie krzyczał. Był cichy i tak przez parę dni.

– Dobrze mu szło w szkole? – zagadnął Joe. – Czasem cisi chłopcy rekompensują sobie wszystko dobrymi stopniami.

Ida się uśmiechnęła.

– I dobrze kończą – dodała. – Mój mąż zwykł to mówić Shane’owi. Bądź cierpliwy, powtarzał, bo te łobuzy przegrają, jak pójdą w świat. Skończą przed sądem, a potem w więzieniu albo jakiejś beznadziejnej robocie. Pracuj ciężko, staraj się, to ich pokonasz.

A pewnego dnia zobaczysz, jak ustawiają wózki w supermarkecie albo dostarczą ci pizzę. Ale Shane zrobił co innego. – Popatrzyła na Laurę, potem na Joego. – Uciekł.

– Dokąd?

– Do Londynu. Raz do mnie zadzwonił, żebym wiedziała, gdzie jest. Powiedział, żebym się nie martwiła i że kiedyś wróci i pokaże nam, jak dobrze mu się powodzi. Zapytałam, dlaczego odszedł. Stwierdził, że życie w mieście wśród jasnych światłał nie jest tak nudne jak na północy, że tam nikt go nie zna i może zacząć od nowa. – Pokręciła głową, mocniej ścisnęła chusteczkę. – To nie tak. On po prostu chciał odejść na tyle daleko, żeby nie było mu łatwo wrócić.

– I co robił w Londynie?

– To, co większość nastolatków na gigancie. Staczał się – odparła Ida. – Policja powiedziała, że dzieciaki z początku uważają taką wyprawę za coś ekscytującego: wielka tętniąca życiem metropolia. Ale kończą, sypiając w squatach i noclegowniach. Tak samo było z Shane’em. Musiał być przerażony. Zaczął pić, potem brać narkotyki. Może ciągoty do używek były w nim zawsze, coś, co pozostało w nim po matce. – Otarła łzy. Teraz wyglądała na zawstydzoną. Kiedy znów się odezwała, głos się jej łamał pod wpływem nieszczęścia i innych emocji. Ledwie zdołała dokończyć zdanie. – Podobno przez jakiś czas był męską prostytutką, bo wyglądał młodo na swój wiek, a niektórzy faceci lubią takie rzeczy.

– Ile miał lat? – zapytała łagodnie Laura.

– Kiedy uciekł? Szesnaście. Jak tylko skończył szkołę. A dziewiętnaście, kiedy umarł.

Laura zrozumiała, dlaczego informacje o zabójstwie Shane’a nie wyskoczyły, kiedy sprawdzali go w bazie po drodze do

domu jego matki. W tamtych czasach poszczególne komendy policji prowadziły odrębne kartoteki, a później szczegóły dotyczące ofiary mogły nie zostać wprowadzone do systemu.

– Jaką hipotezę miała policja? – zapytał Joe. – Klient?

Ida pokręciła głową.

– Nikt nie wie. Znalaziono go martwego w uliczce za King's Cross. Został uduszony, i co jeszcze bardziej przerażające, podpalony.

Nie mógł wyglądać ładnie na pogrzebie. – Westchnęła. – Niewiele zostało, żeby go zidentyfikować. Tylko buty, które zawsze nosił, stare martensy z czerwonymi i zielonymi sznurowadłami i wysłużona ocieplana kurtka. W tylnej kieszeni miał jakieś papiery, wszystkie zwęglone. Okazało się, że to zaświadczenie Shane'a z urzędu pracy. Policja szukała go w opiece społecznej, na wypadek gdyby tym zamordowanym okazał się jednak ktoś inny i Shane przyszedł z kolejnym wnioskiem o zasiłek. Ale już się nie pokazał.

– Skąd pani ma pewność, że to Shane?

Uśmiechnęła się do Joego przez łzy.

– Bo gdyby żył, skontaktowałby się z nami. Mimo tych wszystkich problemów, kochał nas. Po prostu wiem, że to był Shane, i wiem, że już go nie ma. – Osuszyła oczy chusteczką i dodała: – Przepraszam, ale to nie pomoże wam w poszukiwaniu zabójcy Barkera. Doktor robił co mógł dla Shane'a, tylko po prostu nie było nas już stać na dalsze konsultacje. To nie wina doktora, że sprawy tak się potoczyły.

Myślicie, że jego śmierć może mieć jakiś związek z Shane'em?

Joe pokręcił głową.

– Rutynowo sprawdzamy jego dawnych pacjentów. A nazwisko Shane'a widniało na liście. I tyle. – Wziął ją za dłoń. – Ida, przepraszam, że cię niepokoiłiśmy. Wiem, że to musiało być dla ciebie bardzo bolesne. Dziękujemy za herbatę.

Pokiwała głową.

– Doktor Barker... miły człowiek. Mam nadzieję, że

złapiecie tego, kto go zabił.

Joe skinął głową i uściśnął jej dłoń.

– Ja też, ja też.

Zebrałi się do wyjścia.

– Co o tym sądzisz? – wyszeptała Laura już na zewnątrz.

Joe zaczekał z odpowiedzią, aż znaleźli się w samochodzie.

– Są dwie możliwości. Jedna, że doktor Barker się mylił.

– A druga?

– Że się nie mylił.

Laura się uśmiechnęła.

– To dopiero byłaby sztuczka: powstać z martwych.

– Identyfikacja ciała opierała się na przypuszczeniach.

Zwłoki były spalone, więc nie mieli dowodów z odcisków palców. Policja przyjęła, że to Shane Grix na podstawie fragmentów ubrania i zaświadczenia z urzędu pracy. No i nikt tego nie zakwestionował. To przeszło do archiwów jako fakt, a Ida jest przekonana, że straciła syna. A jeśli się myli? Doktor Barker myślał, że Shane Grix żyje, i chciał nam to dzisiaj powiedzieć. Niedługo potem zginął. Cholernie dużo tu przypadków.

– A może wziął teczkę, której szukał – zasugerowała Laura.

– Owszem, oglądał dokumenty Shane’a Griksa, ale zrozumiał, że się pomylił, więc potem wziął tę, na której naprawę mu zależało.

– Tak czy inaczej to dziwne, że nie włożył na miejsce akt chłopca, który zginął w podejrzanych okolicznościach, chłopca z poważnymi problemami psychologicznymi i takimi cechami osobowości, jakich spodziewałbym się u zabójcy.

– To co teraz zrobimy?

Joe spojrział na zegarek. Piąta.

– A może zadzwonisz do swoich starych przyjaciół z policji metropolitalnej i sprawdzisz, czy nie mają czegoś na temat zabójstwa Shane’a? Jego kartoteki na pewno nie przenieśli do archiwum, bo nie złapano zabójcy.

– Teraz, wieczorem, już niewiele się dowiemy.

– Jasne, ale jak zaczną dziś, to może dostaniemy coś na rano.

Rozdział 44

Ulice wygłądały spokojnie, kiedy Jack jechał przez Whitcroft. Zbliżała się ósma i do osiedla powoli wkradała się ciemność.

Ożywały latarnie, ale tylko nieliczne działały. Z przodu rozpościerał się plac zabaw z ledwie widocznymi zarysami drabinek. Jackowi wydawało się, że widzi ciemne kształty poruszające się między nimi – nocne szczury szykują się do przejęcia władzy.

Najpierw udał się pod numer 19, do domu, który odwiedził wcześniej tego dnia. Chciał sprawdzić, czy Don złożył wizytę lokatorowi.

Odpowiedź uzyskał natychmiast: zerwana firanka w oknie od ulicy, a na szybie pęknięcie, którego przedtem nie było.

Powoli poszedł dróżką zaniepokojony tym, co może zastać w środku. Pchnął lekko drzwi, otworzyły się powoli. Było ciemno.

– Cześć? – krzyknął. Nikt nie zareagował.

Wszedł dalej i włączył światło. Zobaczył poprzewracane meble, połamany stolik pod ścianą, szklany klosz roztrzaskany na podłodze.

Odwrócił się na pięcie, kiedy usłyszał stukanie do drzwi. Za progiem stał jakiś mężczyzna. Na oko po siedemdziesiątce. Na chudych ramionach zwiślała mu niebieska nylonowa koszula, nad uszami sterczały siwe kosmyki włosów.

– Co tu robisz, chłopcze? – Mimo wieku głos miał silny.

– Piszę reportaż o osiedlu – odparł Jack, wychodząc z domu.

– Jesteś reporterem? – Kiedy Jack kiwnął głową, mężczyzna dodał: – Trzeba uważać na to, co się mówi. – Ruszył w stronę sąsiedniego domu.

– Jak to?

– Są tacy, którym nie podoba się to, co się tutaj dzieje.

– Panu też? – zawołał za nim Jack.

Nieznajomy zatrzymał się i odwrócił.

– Tak, ale czy to ja mam zabierać głos?

- Czemu nie?
- Bo narobię sobie kłopotów, a jestem na to za stary.
- A to tutaj? – Jack wskazał głową pusty dom.
- Pewnie nie chciał płacić za ochronę.
- Słyszał pan, co się stało?

Przytaknął.

- To było parę godzin temu.
- A lokatorowi nic się nie stało?
- Widziałem, jak wychodził, jeśli to pana interesuje, ale coś mi się nie wydaje, że wrócił.

– Dlaczego?

– Miał z sobą torbę, zresztą domyśliłem się po tym, w jaki sposób patrzył swoją chałupę.

– Nie boi się pan, że może być następny do wyrzucenia?

Stary uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie, chłopcze, bo ja płacę swoją działkę.

– Komu?

– A jak myślisz? Firmie ochroniarskiej, którą widzisz, jak jeździsz po osiedlu. – Podeszedł bliżej. – Byłem za młody, żeby walczyć na wojnie, ale znam ludzi, co walczyli. W porównaniu z nimi te zbiry nie są odważne. Zwyczajnie chamy.

– To dlaczego pan płaci?

Uśmiechnął się smutno.

– Mam swoje lata, niewiele mi już zostało. Nie chcę reszty swoich dni spędzić na zmywaniu bazgrołów ze ścian i robieniu uników przed lecącym szkłem.

– Ale to znaczy, że im pan ulega.

– Cena za spokojne życie.

– Byłby pan gotów powiedzieć parę słów do mojego reportażu? – zapytał Jack.

Mężczyzna pokręcił głową.

– To nie ułatwiłoby mi życia, prawda? – odparł. – Ale życzę szczęścia przy pisaniu, bo żałuję, że tacy tutaj są.

– A policja? Nie może pomóc?

– Och, pomagają, kiedy przyjadą. Czasem przejeżdża tędy

radiowóz, ale te gnojki i pijaki widzą go z daleka i się chowają. Potem znów zaczynają rozrabiać.

Jack coś zapisał i podziękował staremu. Już miał odejść, ale jeszcze zapytał: – Niech mi pan powie, jak się mieszka w Whitcroft?

– Tak jak w tym kraju. Wszystko gówno warte. – Odwrócił się i wszedł do swojego domu.

Sala operacyjna nosiła blizny po ciężkim dniu śledztwa. Na każdym biurku stał brudny kubek, obok sterty papieru, wydruki informacji o wypadkach, raporty z przesłuchań. Ludzie siedzieli rozparci na krzesłach, górne guziki mieli porozpinane, krawaty poluzowane.

Carson stał z tyłu sali, patrzył komuś przez ramię na ekran monitora. Rachel Mason siedziała w grupce z trzema detektywami, jej blond włosy wyraziście odcinały się na jaskrawoniebieskim tle bluzy. Przeglądała jakieś papiery trzymane na kolanach, dzieliła je na stosy na podłodze. Laurze kojarzyło się to z przesiewaniem podejrzanych, bo były trzy stosy: prawdopodobne, możliwe, nieprawdopodobne.

Mason nie podniosła wzroku, kiedy Laura przechodziła przez salę, ale kiedy w drzwiach ukazał się Joe, natychmiast się wyprostowała.

Do tablicy informacyjnej na ścianie przymocowano nowe zdjęcie. Laura była wstrząśnięta.

– Czy to ta kobieta, która nie wróciła do domu w poprzedni wieczór? – zapytała Carsona.

Inspektor odwrócił się do niej.

– Caroline Holt. Jeszcze się nie pojawiła, a nie zwykła znikać bez słowa. To nie wygląda dobrze.

Laura podeszła bliżej. Jeśli ta dziewczyna była ofiarą, to dlatego, że jej, Laurze, udało się ujść z życiem. Poczula się odpowiedzialna.

Caroline na zdjęciu uśmiechała się, w rękę trzymała kieliszek wina, myszate włosy miała upięte w kucyk wysoko na głowie.

– Jakieś informacje z Cleveleys? – zainteresował się Carson.

Laura złapała go za ramię i odciągnęła na bok.

– To ten sam zabójca – wyszeptała. – Doktora Barkera, tego, który rano przyjechał do komendy, znaleziono uduszonego, z majtkami Jane Roberts wepchniętymi w usta. To znaczy, że to zrobił ktoś, kto wiedział, że Barker tutaj był. To za wiele jak na przypadek.

Carson rozejrzał się po sali i oparł ręce na biodrach.

– Musimy zaufać zespołowi. Inaczej nic nie zdziałamy. Czy na miejscu zabójstwa znaleźliście coś, czemu warto byłoby się bliżej przyjrzeć?

– Nic nadzwyczajnego, ale napastnik mógł zostawić jakiś ślad. Miejmy nadzieję, że jutro się dowiemy. Majtki to nasz najlepszy trop, bo przypuszczam, że nie zamierzał zostawiać ich gdzieś indziej, kiedy zdejmował je z Jane.

Carson zamyślił się na chwilę.

– Coś jeszcze? Wcześniej mówiłaś, że Barker poszedł do swojej przychodni, zanim się tutaj pojawił.

– Tak, szukał jakichś dokumentów, potem chciał nam coś powiedzieć, ale zmienił zdanie – odparła Laura. – Kiedy wrócił do domu, został zabity. Teczka, na której naszym zdaniem mu zależało, odnosi się do niejakiego Shane’a Griksa.

– Więc mamy nazwisko – zawołał zaskoczony Carson.

Laura się skrzywiła.

– Shane nie żyje. Został zamordowany w Londynie. Zadzwoiłam do kolegi w metropolitalnej, żeby sprawdził, co mają. Obiecał poszperać przy tej sprawie i oddzwonić do mnie rano.

– Co nas to obchodzi, skoro ten Grix nie żyje? – Carson zerknął na Joego, który do nich dołączył.

– Bo to obchodziło Barkera, a teraz doktor nie żyje – odparł Joe. – A ja wiem, dlaczego zainteresował się swoim dawnym pacjentem.

– No, dlaczego?

– Shane torturował zwierzęta. Własnego chomika, szkolne świnki morskie, koty sąsiadów. Sporo się naczytałem o nim, i oto w czym rzecz: wpychał im trociny i ziemię do pyszczków i pod ogony.

Rozległy się szmery zdziwienia. Carson szeroko otworzył oczy.

– Po co, do cholery, to robił?

– Doktor Barker pytał go o to samo. Okazało się, że to z powodu nadwrażliwości. Uwierzysz? Mały Shane Grix nie mógł wytrzymać hałasu i bałaganu, a kiedy zwierzątka były wystraszone, piszczały, obsrywały go i obsikiwały. Więc wpychał im różne rzeczy do pyszczków i wszędzie gdzie mógł.

Carson pokręcił głową.

– Torturował zwierzęta i był, do cholery, nadwrażliwy?

– Na to wychodzi. – Joe pokiwał głową. – Ale musisz pamiętać, dlaczego to robił. Odgrywał się.

– Na kim.

– Na miejscowych chamach, na tych wszystkich dzieciakach, które z niego szydziły, bo jest inny. Matka próbowała mu pomóc na swój sposób, okazywała mu zbyt wiele miłości, ale on nie był z tych milusińskich. Dręczenie zwierząt dawało mu jakąś satysfakcję, jakby mścił się na tych, którzy jego dręczyli.

– Ale zwierzęta nie są bezbronne – podchwycił Carson. – Jak się przestraszą, drapia, gryzą, walczą. – Pokręcił głową. – Ilu to świrów na tym świecie.

– Zawsze byli, ale czasami, pod wpływem okoliczności, się zmieniają – ciągnął Joe. – Gdyby dorastał w innym miejscu, gdzie dzieciaki nie są takie okrutne, albo gdyby rodzice lepiej go nauczyci, jak radzić sobie z perfidnymi kolegami... – Albo wysłali go na karate – podsunął Carson.

– Tak, albo wysłali go na karate – zgodził się Joe. – Ludzie znajdują różne sposoby, żeby sobie radzić z motłochem. Niektórzy starają się być zabawni; albo idą z tłumem, nie przeciwko niemu. Inni tworzą nawet swoje małe kółka, na przykład wspólnych zainteresowań, coś w stylu klubów szachowych. Tak czy inaczej po

prostu zmagają się z życiem. Tyle że niektórym to słabo wychodzi i kończą tak jak Shane Grix. Żałośni, samotni, pełni urazy.

– I martwi – dorzucił Carson. – Rodziny nic nie wiedzą o Emmie.

– Jasne. Gdyby doktor Barker nadal żył, powiedziałbym mu, że się pomylił, ale teraz on też nie żyje, umarł z bielizną drugiej ofiary wepchniętą w usta.

– To co dalej? – zapytał Carson.

– Czekamy na telefon z metropolitalnej – odparł Joe. – Albo liczymy na to, że zabójca popełnił jakiś błąd przy doktorze Barkerze. Ten atak był bardziej spontaniczny, więc mamy większe szanse, żeby uzyskać jakiś wynik badań laboratoryjnych.

Carson zamyślił się, a Joe odszedł i usiadł obok Rachel Mason. Laura przyglądała się im i coś zauważyła. Spojrzenie, jakie sobie przekazali. Flirt. Błysk w oku.

Laura uśmiechnęła się pod nosem. Teraz zrozumiała, dlaczego Joe jest taki tajemniczy w sprawie swojego życia osobistego i dlaczego Rachel robi się lodowata, kiedy Laura zanadto się zbliża do Joego. Wyglądało na to, że Joe i Rachel są czymś więcej niż tylko kolegami.

Joe musiał poczuć jej wzrok na sobie, bo odwzajemnił uśmiech. Wyglądał na zawstydzonego. Już miała coś powiedzieć, kiedy ktoś z tyłu sali krzyknął.

– Cholera!

– Co jest? – zapytał Carson, podchodząc.

Laura i Joe przestali się uśmiechać, patrząc, jak zmienia się wyraz twarzy szefa, który czytał coś z ekranu monitora. Potem inspektor wstał, pogładził się po policzku.

– Mamy problem – oznajmił. – Dostaliśmy wyniki z Google i wygląda na to, że nadawca maili używał serwerów proxy. – Kilka osób popatrzyło ze zdziwieniem. – Wchodził na strony proxy netu i przez nie otrzymywał dostęp do maila w Internecie, a strony netu proxy dostarczają adresów przypadkowych i niekatalogowanych. Ludzie używają tych serwerów, kiedy mają coś do ukrycia, na przykład jak oglądają pornografię dziecięcą albo

oszukują.

– Więc zabrnęliśmy w ślepą uliczkę? – zapytała Laura. – Tak jak z Emmą.

Carson pokręcił głową.

– Niezupełnie. Pamiętasz te dwa maile, które wysłał wczoraj rano: „Nie bawi mnie, że gazety nie piszą o wszystkich szczegółach” i „Zapytaj ich o Emmę”? Hm, one przysły z adresu internetowego blisko nas. – Pokazał ręką w dół. – Właśnie stąd.

Rozległy się stłumione okrzyki.

– Miał dostęp do maili z komputera policyjnego. – Carson rozejrzał się po sali.

– Więc jest policjantem – skwitowała Laura.

– Braliśmy to pod uwagę już wcześniej. Teraz mamy pewność, a to znaczy, że może mieć informacje o śledztwie. Tropy.

Świadkowie. Wyniki badań laboratoryjnych. Więc wracamy do długopisów i papieru. Nie wprowadzajcie żadnych szczegółów dotyczących świadków do komputera. Wszystko zostaje w tej sali. Nikomu nie wolno rozmawiać o sprawie za tymi drzwiami. Wydział będzie musiał pracować pod kluczem. On nie może się dowiedzieć, co robimy.

Ludzie mieli poważne miny, ale Carson poprawił im nastrój. Uśmiechnął się i powiedział: – Możliwe, że popełnił pierwszy błąd.

Rozdział 45

Jack nadal jeździł po osiedlu, szukał czegoś, co pomogłoby wyostrzyć reportaż. Różnice między domami rzucały się w oczy.

Wiele było nieskazitelnie czystych – zadbane ogródki, czyste podwójne szyby, lśniące w reflektorach jego wozu – ale stały obok domów z popękаныmi albo wybitymi szybami, ścianami poplamionymi farbą i jajkami. Do tego graffiti na drzwiach, „pedofil” albo „pedzio” napisane były czarnym lakierem. Na innych wielkimi literami namalowano litery MOW.

Ciemność otulała wóz jak peleryna, całe skupiska domów rozplywały się w nocy, latarnie były potłuczone, a im dalej się

zapuszczał, tym bardziej stawało się oczywiste, że latarnie zdewastowano tam, gdzie dokonywano szkód. To wyglądało na umyślne działanie.

Chodziło o to, żeby stworzyć ciemną przestrzeń dla ludzi, którzy robili coś po kryjomu.

Kiedy skręcił w inną ulicę z blokami i trzypiętrowymi czynszówkami, światła triumpha uchwyciły grupę ludzi stojącą przed jednym z budynków. Docierały do niego wrzaski i śmiechy, ale szydercze, nie radosne. Mieli czarne ubrania, chociaż dostrzegł błysk koła roweru.

Musieli wiedzieć, że tu jest, ale się nie obejrżeli. Usłyszał krzyki zachęty, a potem coś rąbnęło o chodnik, tak jakby ktoś rozbił donicę ogrodową.

Zatrzymał się i wysiadł z samochodu. Był ostrożny, ale wiedział, że Dolby'emu zależy na takich scenach. Wyciągnął aparat i skierował obiektyw na grupę. Kiedy rozbłysnął flesz, rozległ się krzyk, wybuch światła ukazał grupę nastolatków: blade twarze w ciemnych kapturach. Niektórzy mieli szaliki na ustach i nosach, więc Jack zobaczył tylko błyski w oczach.

– Co tu, kurwa, robisz? – Ktoś w chudym ciele wyrostka ryknął głęboko, po męsku, z warkotem.

Jack usłyszał, jak banda przesuwa się w jego stronę, jakby przemieszczały się cienie.

– Chcecie znaleźć się w gazecie? – zapytał, próbując nie okazywać po sobie zdenerwowania.

– Spieprzaj stąd – odezwał się ten sam głos, teraz za plecami Jacka.

Wokół Jacka panowały ciemności, latarnia nad nim była zepsuta. Słyszał, jak podskakują wokół niego, pomrukują, przeklinają.

– Co to za gazeta? – zapytał ktoś; tym razem wyższy głos.

– Tylko lokalna. Piszę o osiedlu.

Zarechotali, ale Jack stał nieruchomo. Nie miał pojęcia, jak to się rozwinie. Jeden na jednego dałby radę, ale ich było więcej, a on napisał dość reportaży sądowych, żeby się orientować, że

niektóre nastolatki nie wiedzą, kiedy przestać bić.

– Dlaczego obrzucacie domy różnymi rzeczami? – zapytał.

– Kto powiedział, że coś obrzucamy? – prychnął głęboki głos.

Oczy Jacka zaczęły się już przyzwyczajać do ciemności. Zobaczył, że przywódca bandy opiera się o kierownicę roweru, znad szalika widać mu tylko oczy.

– Co znaczy ten skrót MOW?

– Młodzi Obrońcy Whitcroft – wyjaśnił ktoś i wszyscy gruchnęli śmiechem, poza przywódcą, który się nie poruszył.

– Przed czym go bronicie?

Śmiech opadł i przywódca przysunął się razem z rowerem, aż Jack poczuł oponę na goleniu.

– A co to cię, kurwa, obchodzi?

Wszyscy ucichli. Nastrój się zmienił na bardziej wrogi.

– Bo o was piszę – odparł Jack. – Nie chcecie zostać gwiazdami? Być słynniejsi od innych gangów, jeśli sami jesteście gangiem?

– Ludzie wiedzą, kim jesteśmy.

– No to co jest z tym domem? Nie chcą płacić haraczu?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Daj spokój, nie wyglądasz na głupiego. Wszyscy pracujecie dla Dona Robertsa. Zarabiacie na paczkę fajek, zmuszając ludzi, żeby korzystali z usług jego firmy ochroniarskiej.

Opona otarła się o nogę Jacka.

– Uważaj, co mówisz.

Przerwał im snop światła, Jack zobaczył, że to furgonetka z dwoma ochroniarzami, których spotkał wcześniej. Zatrzymała się przy krawężniku, a przywódca podjechał do niej na rowerze. Nachylił się, zaczął szeptać z pasażerem, potem popatrzył za siebie i powoli zasalutował Jackowi.

– Do zobaczenia wkrótce – zawołał i popędził rowerem w gęsty mrok. Reszta wyrostków za nim.

Jack odetchnął głęboko i podszedł do furgonetki.

– Długo pracujecie chłopcy. Chyba dobrze wam płaci.

Mniejszy ochroniarz zmarszczył brwi.

– Byłoby przykro widzieć, jak ci zniszczą samochód.

– Tutaj, z wami, chłopaki, na służbie? – Jack pokręcił głową. – Przecież chronicie to osiedle, prawda? Za odpłatnością.

– Ci, którzy płacą, dostają ochronę.

Jack skinął głową w kierunku swojego samochodu.

– Ma mnie to kosztować?

Mięśniak pokręcił głową i Jack dostrzegł błysnięcie jego zębów.

– Nazwij to okresem próbnym.

– Ile potrwa?

Ochroniarz uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu nie było wiele humoru.

– Nie tkną twojego samochodu – powiedział.

Jack domyślił się ukrytego znaczenia: nie będzie problemów, dopóki nie napisze o sprawie ochrony.

– Dzięki. No, to z powrotem do pracy – rzucił przez ramię, oddalając się od furgonetki.

Spodziewał się, że pojedą za nim, kiedy szedł w stronę domu, który stał się celem wyrostków, ale zniknęli, a na dróżce znów zapanowały ciemności.

Powoli, ostrożnie stawiał stopy. Wiedział, że na chodniku leżą skorupy. Potknął się o kawałek potrzaskanej doniczki, pod podeszwami wyczuł ziemię i kwiaty. Kiedy dotarł do drzwi, rozległ się brzęk stłuczonego szkła. Mocno załomotał w drewno.

Z początku nie było odpowiedzi, ale zobaczył słabe światło żarówki w środku, więc zastukał raz jeszcze. Już miał odejść, kiedy usłyszał kasłanie po drugiej stronie. Drzwi się otworzyły. Stała w nich wysoka kobieta z rozczochranymi włosami koloru słomy, przetykanymi siwizną. Jej twarz skrywał cień rzucany przez światło docierające z korytarza.

Milczała. Chwiała się, Jack wyczuł zapach alkoholu.

– Jestem reporterem – zaczął. – Chciałem tylko zapytać o tę rozróbę przed pani domem.

Oparła rękę o framugę, żeby się podtrzymać.

– Nie mam nic do powiedzenia – wymamrotała bardzo niewyraźnie.

– Co, chce pani, żeby im uszło na sucho? – zapytał Jack. – Dlaczego nie zadzwoni pani po policję?

Pokręciła głową.

– Nie ma sensu – burknęła i zaczęła zamykać drzwi.

Jack wyciągnął rękę, żeby ją powstrzymać.

– Piszę artykuł o tym osiedlu. To się może skończyć, jeśli sprawę się nagłośni. – Wyciągnął z kieszeni wizytówkę. – Proszę zadzwonić, jak będzie chciała pani porozmawiać o Whitcroft.

Wzięła od niego wizytówkę, przyglądała się jej parę sekund, potem zatrzasnęła drzwi, zostawiając Jacka w całkowitych ciemnościach.

Odwrócił się: w końcu ma tło do artykułu.

Stał przed domem Davida Hoyle'a, po drugiej stronie pola. Próbował się skupić. Trzymać planu. Żadnych zmian.

Budynek tworzyły ustawione w rzędzie przebudowane przytulki dla ubogich, więc wyglądał jak długi bungalow z mnóstwem okien.

Hoyle właśnie wychodził. W środku będzie tylko jedna osoba: Angel, dziewczyna Hoyle'a. Uśmiechnął się. Porządnie się przygotował.

Wysiadł z furgonetki, wziął głęboki wdech. Poczuł, jak powietrze wypycha hałasy. Teraz słyszał jedynie, jak przepływa jego własna krew, wszystko inne pozostawało na uwięzi, czekało na to, co nastąpi później. Wzdłuż pola wiodła ścieżka pod wysokim żywopłotem.

Kończyła się przy domu Hoyle'a. Droga ucieczki.

Przechadzał się nonszalancko, nałożył rękawiczki, obcisły lateks, żeby mógł przez niego czuć dotyk. Próbował wyglądać zwyczajnie.

Komuś, kto wyjrzałby z jednego z domów naprzeciwko, mógł się jednak wydać podejrzany. W ustach miał sucho, był podniecony, nad górną wargą osiadły mu kropelki potu. Musi być ostrożny. Nie może zostawić śladów DNA.

Dróżka doprowadziła go do ulicy, poszedł prosto do furtki do ogrodu na tyłach budynku. Sięgnął do zasuwki, ostrożnie, żeby nie zgrzytnęła.

Furtka otworzyła się, blask latarni wydobyl jaskrawe kolory kwiatów w ogrodzie. Powoli zamknął furtkę i zaczął iść wzdłuż kamiennej ściany o ostrych krawędziach, ubranie cicho na nim szeleściło. Nie chciał, żeby się włączyły światła z czujnikiem ruchu, ale kiedy rozpostarł się przed nim widok całego ogrodu, zobaczył oświetlony trawnik na tyłach domu. Prześliznął się w kąt i powoli rozejrzał.

Zauważył pokój. To jadalnia. Długi stół ciągnął się aż do drzwi. Z boku kuchnia pełna wypolerowanego aluminium i sztuców wiszących na haczykach. Nikogo tam nie było. Kiedy się zbliżył, miał wgląd w pomieszczenia aż do salonu.

Ukląkł przy kwiatowej rabatce i zebrał parę garści ziemi, wepchnął ją do kieszeni. Nacisnął klamkę tylnych drzwi. Otwarte. Musiała być w środku. Czuł, że podniecenie gwałtownie narasta. Przesunął językiem po wargach. Nie zamaskował twarzy. Nie spodziewał się świadków.

Zawiasy drzwi zaskrzypiały. Zatrzymał się, czekał na tupot stóp albo na jakieś wołanie, ale panowała cisza.

Dlaczego nie zamknęła drzwi? Z własnej woli naraziła się na ryzyko.

Wśliznął się do środka. W domu było ciepło, powietrze przesycił słodki aromat z odświezacza włączonego do gniazdka, wymieszany ze śladowym zapachem posiłku z mikrofalówki. Uśmiechnął się. Obiad na jednego. Zaczął sobie przypominać rozkład domu. Trzy przytulki złączone w jeden budynek wybitymi w ścianach drzwiami. Jadalnia jest na końcu domu, obok kuchni. Salon, pośrodku, zajmował przestrzeń kolejnego domku dla ubogich, sypialnie były dalej.

Wolno sunął przez jadalnię w stronę salonu. Nastawiał uszu, czy nie słyhać telewizora, oddychał najciszej, jak tylko potrafił. Z dalszej części domu dobiegły go małe urywki rozmowy. Zatrzymał się. Czy przyjmowała przyjaciela? Z dwojgiem ludzi

może mieć problem.

Nasłuchiwał, wreszcie zdał sobie sprawę, że to tylko jeden głos. Rozmawiała przez telefon.

Salon był pusty, ekran telewizora czarny.

Poszedł w stronę łukowatych drzwi, które prowadziły na korytarz oddzielający trzy sypialnie. Cisza w jego głowie stała się napięta, czekała na czyn, na ekstazę ulgi.

Słowa brzmiały coraz głośniejsze. Jeśli Angel rozmawia przez telefon, będzie musiał się pospieszyć, chwycić ją po cichu, zanim ona zdąży coś krzyknąć. Uśmiechnął się jednak, kiedy pomyślał, co usłyszy osoba po drugiej stronie linii. Lekko popchnął drzwi. W pokoju pusto, tylko obrazy.

Wycofał się i przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Drzwi były zamknięte, ale nie na klucz. Przyłożył do nich ucho. I znów jeden głos, ale było tu coś jeszcze. Wstrzymał oddech, żeby zorientować się, co to takiego. Klikający, trzeszczący stukot, szybki, nieregularny.

Po chwili zrozumiał. To odgłos paznokci na klawiaturze, przerywany od czasu do czasu śmiechem albo pomrukiwaniem. Siedziała przy komputerze. Poklepał się po tylnej kieszeni, wymacał kajdanki. Nóż miał wetknięty za pasek spodni.

Ostrożnie popchnął drzwi, gotów rzucić się na nią, jeśli zaskrzypią. Otworzył usta, żeby wyrównać oddech. Pokój powoli odsłaniał się przed nim.

Jasne ściany zabarwiały na niebiesko poblask ekranu. Gruby dywan tłumił kroki. Powietrze wydawało się ciepłe i wilgotne, wyczuwał w nim lawendę. Musiała dopiero co wyjść z kąpieli.

Zobaczył ją. Siedziała przodem do monitora, ze słuchawkami na uszach, w długim T-shircie, z gołymi nogami. Miała włączony komunikator internetowy.

Podchodząc, lekko otarł się plecami o ścianę. Skupiona na ekranie nie widziała go, nie była świadoma jego obecności. Znów wstrzymał oddech, nie chciał się ujawnić, ale wiedział, że wkrótce ona się zorientuje, mimo słuchawek na uszach. Sięgnął do tyłu po kajdanki. Dłonie miała smukłe, paznokcie wypielęgnowane. Z

wdziękiem przebiegała palcami po klawiaturze, a blask ekranu oświetlał jej białe zęby.

Przeszedł przez pokój, znalazł się z dala od ściany, lekko stapał po miękkim dywanie. Był już prawie za nią. Mógł wyciągnąć rękę i dotknąć jej włosów, długich ciemnych pasm spływających na plecy.

Nagle przestała pisać i spojrzała w monitor.

Szybko się cofnął. Na ekranie kogoś zobaczył. Twarz kobiety, zniekształcone zbliżenie z kamerki internetowej. A ona zobaczyła jego.

Wszedł w pole widzenia. Był świadek. Dlaczego tego nie przewidział?

Hałasy znowu odezwały mu się w głowie. Czekwały na tę chwilę. Na porażkę, na błąd. Zatkanął sobie uszy. Wybuchły śmiechy, szept i drwiące szyderstwa. Potem krzyk – dobiegał z pokoju. To ona. Wrzeszczała, przyciągnęła kolana do piersi, oczy szeroko otworzyła ze strachu. Ludzie usłyszą.

Rzucił się do ucieczki. Było inaczej, niż sądził. Drzwi otworzyły się na oścież, kiedy wypadł przez nie, na drewnianej podłodze salonu głośno zadudniły jego kroki. Biegł z powrotem tą samą drogą, kiedy zobaczył drzwi wyjściowe. Tędy będzie szybciej.

Szybko przekręcił zasuwkę w drzwiach. Ledwie wyskoczył na dwór, poczuł chłodny oddech wieczornego powietrza, pot na nim zrobił się zimny.

Kobieta znowu krzyknęła, ale już wybiegł na ulicę. Wyobraził sobie, jak ludzie rozsuwają zasłony w domach po drugiej stronie, więc popędził do dróżki. Serce waliło mu jak młotem. Był na siebie zły. Powinien pomyśleć o kamerce internetowej, kiedy usłyszał stukanie w klawiaturę. Ktoś go zobaczył.

Gnając przed siebie, próbował odepchnąć tę myśl, skupić się tylko na ucieczce. Jego stopy tłukły w trawnik, szcęk kajdanek niósł się w ciemności.

Jeśli uda mu się dobiec do furgonetki, zanim ktoś go

zauważy, nikt się nie dowie.

Rozdział 46

Jack jeździł po osiedlu. Wiedział już, co napisze.

Spojrzał w stronę placu zabaw. Usłyszał śmiech, a potem trzask butelki rozbijającej się o ziemię – kolejna eksplozja śmiechu.

Popatrzył na domy po przeciwnej stronie. Spodziewał się, że ktoś odsunie zasłonę, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale nic się nie poruszyło.

Przejechał obok budynku stojącego pośrodku osiedla. Tablica na ścianie głosiła, że to Dom Kultury Whitcroft. Taki, jak większość domów kultury: kwadratowy budynek z cegły, ze sprayowymi dziełami sztuki na ścianach i rampą dla wózków inwalidzkich zabezpieczoną barierką z łuszczącą się farbą. Nie musiał wchodzić do środka, żeby wiedzieć, że tam jest tak jak wszędzie – kremowe ściany, drewniana podłoga z liniami boiska do koszykówki, zastawiona lekkimi metalowymi krzeselkami złożonymi w wysokie stosy.

Miejscowe gnojki i tu zrobiły swoje. Tablica była w paru miejscach połamana, a dwa okna zabito deskami.

Jack pojechał dalej, nie rozumiał, dlaczego komuś zależy, żeby niszczyć wszystko wokół. Zmierzał do drogi wyjazdowej z osiedla i kiedy zostawił za sobą potłuczone latarnie Whitcroft, pomyślał o Donie, o kontraście między jego życiem a życiem ludzi, którzy płacą mu za usługi.

Wjechał w pełną zieleni uliczkę, prowadzącą do domu Roberta. Skręcała łagodnie, a jasne światło latarni przesłaniały jedynie gałęzie kołyszące się na wietrze. Na jezdni nie było samochodów. Wszystkie parkowały na podjazdach, po dwa na dom, w większości nowe.

Podjechał w pobliże lasku, gdzie znaleziono Jane, i tam się zatrzymał. Ustawił samochód tak, żeby reflektory oświetlały kępę drzew.

W świetle zobaczył powiewający strzęp taśmy policyjnej przywiązanej do srebrnej brzozy. Nie licząc tego, wszystko wróciło

do poprzedniego stanu.

Jack postanowił wrócić tu rano, bo ten kawałek taśmy dobrze nadawał się na zdjęcie. To byłaby taka metafora, że czas płynie, a o ofiarach się zapomina. Tyle że pamięć o Jane pozostaje w umysłach ludzi, którzy widzą to na co dzień. A Dona Roberts i Mike'a Corleya to wspomnienie nigdy nie opuści.

Jack znów ruszył. Kiedy zbliżył się do domu Dona, zobaczył, że jezdnia jest zastawiona samochodami. Wyglądało na to, że odbywa się jakieś zebranie.

Przejechał obok i zawrócił, żeby się przyjrzeć. Ogarnęła go ciekawość. Co planują? Czy kolejny podejrzany typ zostanie wyrzucony z domu albo jeszcze gorzej?

Stał tam zaledwie parę minut, kiedy otworzyły się drzwi, rzucając światło na podjazd. Ktoś szybko wyszedł, był podekscytowany, krzyknął coś przez ramię. Jack pochylił się, żeby lepiej się przyjrzeć przez przednią szybę. Rozpoznał tę postać. David Hoyle. Potem zobaczył jego samochód, zaparkowany trochę dalej. Powinien zauważyć tego mercedesa z rejestracją na zamówienie. Wiele razy widział go przed sądem.

Był zaskoczony. Co Hoyle tutaj robi?

Adwokat odwrócił się do kogoś stojącego w drzwiach. Machał rękami, wskazywał palcem. Potem poszedł do swojego wozu. Jack włączył silnik – David Hoyle to usłyszał. Jack ruszył w jego stronę. Kiedy się z nim zrównał, opuścił boczną szybę.

– Dobry wieczór, panie Hoyle – powiedział. – To musiała być wielka narada wojenna, że cię tu przygnało. Dlaczego uciekasz?

Wyglądał na zaskoczonego, zerknął na dom Roberts. Drzwi były już zamknięte.

– Panie Hoyle?

– Daj mi spokój – warknął. Wydawał się bardziej wystraszony niż zły.

– Widzę, że coś się stało.

Przez moment patrzył Jackowi w oczy – jeszcze chwila i coś powie. Wargi mu zadrżały, ściągnęły się, ale tylko otworzył

drzwi samochodu i uruchomił silnik.

Ruszył z piskiem opon. Jack patrzył, jak tylne światła wozu nikną za zakrętem. Domyślił się, że Hoyle'a z domu Robertsa nie mogła wygnać dobra wiadomość.

Ukrył furgonetkę na tyłach domu, pod plandeką. Wrócił do ciasnego kącika z komputerem, starannie zamknął drzwi, odciął się od reszty mieszkania. Ale to nie wystarczyło, odgłosy nadal wdzierały się do środka. Przycisnął dłonie do uszu. Hałas narastał. Stukanie przeszło w drapanie, jakby ktoś przeciągał paznokciami po tablicy. I śmiech, i drwiące wrzaski.

Poczuł niepokój, nadal był podniecony. Przeglądał zdjęcia. Fotografie Jane, fotografie Deborah, ich twarze, blade i martwe. I zdjęcia innych, zanim przyjechał do Blackley. Zaprowadziły go w głąb pamięci, ponownie przeżywał walkę, strach. Pomyślał o dziewczynie z poprzedniego wieczoru. Nie pstryknął fotki, nie miał czasu. Tam było tylko zaspokojenie, a potem krótka jazda do kanału. Kieszenie obciążył kamieniami. Nie znajdują jej. Przynajmniej na razie. To za mało. Łaknął większej podniety. Chciał zacisnąć ręce wokół czyjejś szyi, czuć puls łomoczący o jego dłoni.

Znów zapragnął wyjść, ale się powstrzymał. To nie byłby dobry pomysł. Już więcej żadnych błędów. Trzeba zaczekać do jutra.

Wiedział, że nie zaśnie. Nie teraz. To czas na planowanie.

Rozdział 47

Jack podniósł butelkę wina do światła. Zostało chyba tylko na jeden kieliszek. Zbliżała się już północ, a on był w domu sam.

Od paru godzin nie miał wiadomości od Laury. Przypomniał sobie incydent z poprzedniego wieczoru, kiedy omal nie wpadła pod koła.

Chciał mieć pewność, że jest bezpieczna. Jasne, że trzeba złapać zabójcę, ale nie musiała poświęcać siebie, żeby to zrobić. Ekran pływał mu przed oczami, palce niezdarnie błędziły po klawiaturze, odgłos stukania rozlegał się w domu głośnym echem.

Napisał o Jane i nie spodziewał się, że tekst spodoba się Donowi. To było wprowadzenie do artykułu o Whitcroft, zawierało spekulacje, czy istnieje związek między tym, co się dzieje na osiedlu, a morderstwami. Wypowiedzi ludzi, z którymi Jack wcześniej rozmawiał, zostały opisane jako słowa anonimowych rozmówców i z materiału zaczynało się wyłaniać powiązanie, ale luźne i niejasne, tak jakby czegoś nadal brakowało.

Jack przeszukiwał Internet, przeglądał periodyki i reportaże sportowe, kiedy rozległ się brzdęk powiadomienia z poczty elektronicznej.

Nalał sobie jeszcze jeden kieliszek. Trochę zadrżała mu ręka i parę kropel wylało się na biurko. Otworzył skrzynkę.

Mail pochodził z tego samego źródła co poprzednio, tyle że tym razem był zatytułowany „Hoyly Moyly”. Jack pochylił się, żeby go przeczytać, pociągnął głęboki łyk i odstawił kieliszek. Mail nie miał sensu.

Przeczytał go ponownie.

„Och, Angel, skąd wrzaski potworne?”

To plan doskonały, marzenie wieczorne, Przyjemność co boli, W pamięci padole, W letni wieczór Śmiałek się czai, Szuka wilków, Angel zastaje, Co mnie się boi.

Twój krzyk diabeł słyszy, Wściekłość mnie kołysze.

Och Angel, skąd wrzaski potworne?” Jack rozparł się na krześle i przejechał palcami po włosach, próbując otrząsnąć się z alkoholowej mgły. Marna to była poezja, ale znów tkwiła w niej wiadomość. Te drwiny, ta mściwość, to wszystko brzmiało znajomo.

Zamyślił się nad wiadomością, poczuł, że działanie wina ustaje. Wiedział, że musi mieć czysty umysł, żeby to przemyśleć. Kliknął przycisk „Odpowiedz” i kiedy pojawiło się okno dialogowe, napisał: „No to co łączy je wszystkie? Don zajmuje się ochroną, Mike Corley jest miejscowym gliną. Gdzie jest powiązanie? Kto to jest Emma? I kto to jest Angel z twojego maila? Chcesz, żeby spisać twoją opowieść. To rozmawiaj ze mną”.

Podszedł do okna. Znów zauważył, że wzgórze są bardzo

ciemne. Miał wrażenie, że niczego nie zdoła zrobić, dopóki nie dostanie odpowiedzi. Nie czekał długo. Nerwowo podszedł do komputera i usiadł, kiedy zobaczył zawartość maila.

„Zawsze jest powiązanie. Działam szybciej niż kiedyś i czasem mi się wydaje, że za szybko. Ale zauważyłem kobietę. Znasz ją, ha, ha. Muszę tylko dopracować szczegóły.

No, to już wiesz, że istnieję naprawdę, co dalej. Czy zasłużyłem na imię, tytuł? Gazety zawsze są takie. Jak sądzisz? Mógłbyś wymyślić imię?” Wtedy Jack przypomniał sobie wcześniejsze zdarzenie z tego wieczoru, strach wypisany na twarzy Davida Hoyle’a. „Hoyly Moyly”.

Zaniósł butelkę po winie do kuchni i wylał zawartość kieliszka do zlewu. Podszedł do okien i drzwi, sprawdził, czy wszystko zamknięte. Następnego dnia musi wcześniej wstać, a czeka go ciężka noc.

Rozdział 48

Poranek długo nie nadchodził.

W ogóle nie spał, głowę miał pełną myśli o poprzednim dniu. Przebiegały przez umysł jak szybkie smagnięcia. Kobieta w swojej sypialni mówi do kamerki internetowej; z gołymi nogami, z jednym kolaniem przyciągniętym do piersi. Jej wystraszony wzrok, kiedy go widzi. Czekał na drżenie podniecenia, ale nie przyszło. Poczul się niespełniony. Próbował przypomnieć sobie dwie pozostałe dziewczyny.

Deborah. Jane. Młode. Gładka skóra. Blond kosmyki w ciemnych włosach Deborah. Skrzyżowane ręce. Zła. Niezależna. Wyraz zaskoczenia. Wlecze ją do furgonetki. Potem wie, dociera do niej świadomość, że to koniec. Poddaje się.

Jeszcze nie skończył. Pomyślał o innej kobiecie, tej sprzed paru dni, tej którą zaciągnął w uliczkę. Nie znał jej imienia. Pamięć go zawodziła. To nie było jak trzeba. Zbyt spontaniczne. Po prostu kobieta jak wiele. Ale to jest już za nim.

Zagapił się na sufit z arteksu. Pojawiły się na nim smugi światła dnia. Zobaczył pająka w kącie – przadł swoje srebrne dróżki.

Wydawało mu się, że go słyszy, miękkie szuranie po farbie olejnej, ale potem, kiedy się skupił, zdał sobie sprawę, że to coś innego.

Ledwie słyszalne pomruki. Szepty, które go nachodziły, kiedy nie był spełniony.

Spuścił wzrok. W rękach ścisnął prześcieradło, kostki palców mu zbieleły. Dzisiaj nie pójdzie do pracy. Po dzisiejszym dniu to już nie będzie miało znaczenia. Wiedział, kim jest ta, której chce. Ostatnim brakującym kawałkiem. Potrzebą, która krzyczy do niego we wszechobecnej ciszy.

Myślni wrócił do poprzedniego wieczoru. Nawet strach w jej oczach go nie zaspokoił. To był tylko przedsmak i tu popełnił błąd. Nie przemyślał tego.

Odrzucił kołdrę. Chciał więcej. Nie rozproszyć się.

Kiedy nasza go myśl o celu na ten dzień, uśmiechnął się, poczuł, że rośnie, twardnieje. Ale nie, nie teraz. Nie tłumić ognia.

Rozdział 49

Jack obudził się pełen determinacji, w głowie na świeżo miał maile. Laura wróciła do domu, kiedy już spał, i wyszła, zanim się obudził.

Wziął prysznic, ubrał się i pojechał do Blackley. Prosto w to miejsce, gdzie znaleziono Jane Roberts. Jazda pomogła mu oczyścić umysł; złożony dach wozu, wiatr we włosach. To było prawie jak łagodny masaż.

Kawałek taśmy policyjnej nadal zwisał bezwładnie. Ustał wietrzyk, więc wolny koniec taśmy leżał na ściółce. Odgłos zamykanych drzwi samochodu odbił się echem wśród drzew. Jack poszedł do miejsca, w którym leżała Jane. Było stratowane policyjnymi buciorami.

Zieleń odgarnięta na bok, kora i gałęzie leżące wokół ciała zebrane i wywiezione. Nierówny teren grubo pokrywały liście. Większe gałązki i pędy bluszczu czepiały się stóp. Zabójca Jane wybrał trudne miejsce, żeby zostawić ciało, tu łatwo się przewrócić i się pokaleczyć. Wystarczyłyby mały ślad, na przykład kropla krwi na liściu, żeby potem zrobić test DNA i udowodnić winę. W tak

twardej ziemi też niełatwo pogrzebać zwłoki. Chociaż zabójca nawet nie zamierzał ukrywać ofiary.

Jack się rozejrzył. Zupełnie zwyczajne miejsce i tak dobrze widoczne. Gdyby ktoś wyjrzał przez okno, zauważyłby zabójcę. Więc dlaczego tutaj?

Popatrzył na ścieżkę niknącą między drzewami. Dalej szła jakaś kobieta, przed nią truchtał mały terier. Schyliła się z plastikową torebką na rękę, podniosła psie odchody.

Ścieżka skręcała w prawo i znikła w gąszczu. Nagle do Jacka dotarło, że dom Dona Roberta stoi zaledwie kilkaset metrów dalej, z prawej strony, i że ścieżka najprawdopodobniej kończy się gdzieś w jego okolicy.

Ale nie chodziło tylko o to. To ta kobieta z psem. Teraz szybko minęła Jacka, z opuszczoną głową. Don Roberts ma psa. Zapamiętał groźne warczenie, kiedy Don niespodziewanie złożył mu wizytę. Czy Roberts korzysta z tej trasy?

Jack przedarł się z powrotem na ścieżkę i zaczął nią iść. Drzewa przysłoniły słońce i zrobiło się trochę chłodniej. Unoszące się w powietrzu pyłki nagle zostały zastąpione muchami i owocówkami, które brzęczały i robiły dziwne wolty.

Ścieżka – na początku wyasfaltowana – dalej, tam gdzie biegła wzdłuż strumienia, miała żwirową nawierzchnię. Mały zagajnik przechodził w las, z wielkimi jaworami i kasztanowcami. Ściana drzew zatrzymywała hałas dochodzący z pobliskiej drogi. Jack słyszał tylko szum strumyka i śpiew ptaków. Spokój zakłócał jedynie miarowy chrzęst jego butów.

Przystanął, bo wydawało mu się, że usłyszał coś za sobą, że coś zobaczył kątem oka, ale kiedy się rozejrzył, nikogo nie było. Starał się nie myśleć o tym, co kilka dni temu stało się w pobliżu.

Spojrzał przed siebie, las rzedł. W lukach między drzewami zaczęła się pojawiać jaskrawa czerwień nowych cegieł. Przyspieszył.

Jego domysły się sprawdziły.

Ostatni kawałek przebiegł truchtem, buty głośniejsze zachręściły, kiedy pokonywał małe wzniesienie, zanim znów

wyszedł na asfalt.

Zatrzymał się przed trawiastym poboczem. Popatrzył na jezdnię i się uśmiechnął. To tutaj, dom Robertsów, z tymi wszystkimi filarami i samochodami. Przez ramię popatrzył na ścieżkę. Była zacieniona, drzewa otulały ją w ciemność i ciszę. Odwrócił się w stronę jezdni – niezbyt odległej od ścieżki. Jane sama wychodziła wieczorami i Jack był przekonany, że wybrałaby drogę; nie chciałyby wejść do pubu z psimi gówienkami i kurzem ze ścieżki na butach. Potem pomyślał o pierwszym morderstwie. Deborah Corley. Jej ciało zostało wepchnięte do rury wystającej z trawiastego brzegu nad zbiornikiem. Dlaczego tam, zastanawiał się. Doszedł do wniosku, że Jane porzucono w pobliżu miejsca, w którym została zaatakowana, ale z Deborah Corley było inaczej. Ostatni raz ją widziano, jak wychodziła z college’u i szła prosto do domu pustą drogą, która nie prowadziła obok zbiornika.

Ruszył z powrotem ścieżką, podbiegł do samochodu i wszedł zadyszany. Pojechał w stronę obwodnicy, minął salony samochodowe i supermarkety ze sprzętem elektrycznym stojące wzdłuż dwupasmówki. Kiedy jednak skręcił z głównej drogi, wkrótce zniknęły neony i wyciszył się zgiełk ruchu ulicznego. Droga wiodła w górę, na wysokie zielone brzegi zbiornika. Rury przelewowe wystawały z nasypu, woda powoli skapywała do betonowych rynien, potem spływała do rzeki.

Dziwne miejsce, żeby porzucić ciało, bo to wymagało wysiłku. Boki zbiornika były widoczne z daleka. Jack zaparkował i wszedł po betonowych stopniach na szczyt obwałowania. Kiedy popatrzył za siebie, zobaczył sznur świateł na obwodnicy. Łatwo można było zostać zauważonym. Spojrzał na wodę, która łagodnie uderzała o brzegi. Po drugiej stronie paru ludzi łowiło ryby. Jack przypomniał sobie, że to wędkarze znaleźli zwłoki.

Kiedy przyglądał się żyłkom wiszącym nad powierzchnią i spławikom kołyszącym się na wodzie, coś go tknęło, jakieś wspomnienie, bardzo niedalekie. Przypomniał sobie kobietę z psem, którą dopiero co widział w pobliżu domu Dona. To jako się wiązało.

Wreszcie zrozumiał. Kiedy odwiedził Mike'a Corleya, w korytarzu było pudło z przynętą, a przy ścianie stała wędka.

Jane i Deborah porzucono w tych miejscach z innego powodu. Przeszedł go dreszcz. To znaczyło, że zabójstwa nie dokonano tylko na tle seksualnym. Tu chodziło o zemstę. Don na pewno wyprowadzał psa na ścieżkę w lesie, wtedy natknąłby się na swoją córkę w stanie rozkładu. Pewnie wywachałby ją jego pies. Mike wędkował i prawdopodobnie łowił ryby w zbiorniku. Może to była jego ulubiona miejscówka. Dziewczyny nie miały być znalezione ani przez paczkę rozbrykanych nastolatków ani przez wędkarzy. Mieli je znaleźć ich ojcowie.

Teraz musiał tylko dowiedzieć się, co takiego zrobili Don i Mike, że zasłużyli sobie na tak potworną zemstę. Ale najpierw spotka się z Laurą.

Rozdział 50

Laura rozparła się na krześle, przetarła oczy. Była dopiero dziesiąta rano, ale długie godziny pracy zbierały swoje żniwo.

Udało się jej ściągnąć do komendy wszystkich kierowników zmian. Zażądała listy policjantów, którzy pełnili dyżur, kiedy wysyłano stąd maile. Technicy postarali się, żeby zawęzić to do konkretnych terminali albo do szczegółów logowania, ale sprawa posuwała się powoli.

Przez cały czas w komendzie używano mnóstwa komputerów, a wszystkie były podłączone do jednego głównego serwera.

Od przeglądania listy nazwisk uratowało ją wibrowanie komórki leżącej na biurku obok. Spojrzała na ekranik, numer londyński.

– Sandy? – zapytała.

Po drugiej stronie rozległ się śmiech i w ucho wpadł jej znajomy akcent.

– Cześć, kochanie, wieki minęły. Jak ci tam jest? Słyszałem, że już mają kolorową telewizję.

Roześmiała się.

– A jak tobie leci na tych zakorkowanych, zadymionych ulicach?

– Teraz tylko sushi i miękkie obuwie.

– No, to co masz dla mnie? – Laura podjęła najważniejszy wątek.

– To, co chciałaś. Twój chłopak, Shane Grix, został znaleziony w uliczce niedaleko King's Cross. Typowa historia młodego włóczęgi.

Zwabiły go kolorowe światła, ale stoczył się, pił, ćpał i płacił za to usługami seksualnymi. Wiesz, jak trudno jest prowadzić śledztwo w takich sprawach.

– W końcu niedawno stamtąd odeszłam – odparła lekkim tonem. Istotnie pamiętała, jaki to kłopot: każdy ze świadków, który mógłby dostarczyć informacji co do okoliczności, co noc jest w innym miejscu. Niektórzy włóczędzy znajdowali sobie miejsce w kartonowych pudłach i ostro ich bronili, ale jak tylko zajrzała do nich władza, wynosili się gdzie indziej. A doprowadzenie ich aż na salę sądową graniczyło z cudem.

– Teraz jest jeszcze gorzej – westchnął Sandy. – Europejczycy ze Wschodu okupują kolejki po zupę, nawet jeśli nie są bezdomni, i robią się bardzo agresywni, jak ktoś im podskoczy.

– Więc ogólnie nie za wesoło?

Laura nieomal widziała, jak przyjaciel kręci głową.

– Dobra, do rzeczy – powiedział. – To były lata Thatcher. Czciliśmy zwycięzców. Jak to określił wtedy jeden z ministrów? Że bezdomni to tylko ludzie, o których się potykasz po drodze do opery? Shane wykończył się podczas bójki z kimś takim jak on. Uduşony, potem podpalony.

– Żeby technicy z laboratorium kryminalistycznego nie mogli niczego stwierdzić?

– Tak wtedy sądzono.

– A teraz? – Laura usłyszała westchnienie i domyśliła się odpowiedzi. – Nic nowego, co? Żadnych mikrośladów, żadnych naocznych świadków i rodzina, która nie robi problemów. Po prostu jeszcze jedna śmierć młodego bezdomnego.

– Lauro, to się nazywa priorytet. Wiesz, jak to działa. Teczka jest nadal otwarta, ale brakuje zeznań, nigdy tego nie rozwiążemy. To zdarzyło się wiele lat temu.

– Jesteście pewni, że ciało poprawnie zidentyfikowano? Bo zostało tylko ubranie, prawda?

– Nie jesteśmy pewni – przyznał Sandy. – Próbowaliśmy sprawdzić kartotekę stomatologiczną, ale życie na ulicy to nie bajka. Stracił trzy zęby z przodu, kilka z tyłu, jednak nigdzie tego nie odnotowano. A kiedy zapytaliśmy matkę Shane’a, powiedziała, że kiedy miał trzynaście lat i kazano mu nosić kłamry, przestał chodzić do dentysty.

– Czy w samych zwłokach było coś niezwykłego?

Chwila ciszy, Sandy myślał o tym, co wyszperał.

– Zupełnie nic. Nie licząc knebla.

Włoski stanęły Laurze dęba na ramionach.

– Knebla?

– Szmaty wepchniętej w usta. Przypuszczam, że tłumiała krzyk, a że nasiąknęła benzyną, ogień mocno spalił twarz.

Laura przetarła oczy, jej umysł nadal pracował na wolnych obrotach, ale zdawała sobie sprawę ze znaczenia tego, co usłyszała.

– Lauro, o co chodzi? – dopytywał Sandy.

Milczała jeszcze przez kilka sekund.

– Możliwe, że będziecie znowu musieli nadać temu priorytet – odezwała się w końcu.

– Jak to?

– Nie sądzę, żeby to był Shane Grix. Myślę, że to właśnie Shane Grix zabił tego człowieka.

Sandy gwizdnął.

– Przynajmniej mamy teraz nazwisko.

– Zawsze mieliście nazwisko, tylko przypisywaliście je komuś innemu – sprostowała Laura. – A jak odkryjecie, kogo naprawdę zamordowano, będziecie mieli do czynienia z rodziną, która narobi wam więcej problemów niż bliscy Shane’a.

Po drodze do komendy Jack przejechał przez centrum Blackley. Kiedy mijał gmach sądu, zauważył samochód Hoyle’a.

Jack rzadko przychodził do sądu w soboty, bo wtedy rozpatrywano sprawy albo tak poważne, że na zakończenie procesu trzeba by długo czekać, albo tak trywialne jak późne wieczorne pijaństwo i szkoda było na nie papieru. Postanowił, że zrobi wyjątek, żeby znowu zapędzić Hoyle'a w kozie róg.

Zaparkował na miejscu obok samochodu Hoyle'a i wepchnął do parkometru wszystkie drobne, jakie mu zostały. Potem szybko wszedł po schodach do sądu.

W środku panował spokój, jak zwykle w soboty. Adwokaci chcieli jak najszybciej wyjść, dlatego po gmachu kręcili się jedynie krewni więźniów. Tyle że teraz na końcu korytarza siedział też David Hoyle, pochylony, zapatrzony w podłogę.

Nie podniósł wzroku, kiedy usłyszał kroki, chociaż musiał wiedzieć, że to Jack, bo kiedy ten usiadł obok niego, Hoyle powiedział: – Jeśli chcesz mojej wypowiedzi, to jej nie dostaniesz. – Mówił cicho, żalonym tonem.

Jack przypomniał sobie maila z poprzedniego wieczoru. „Hoyley Moyly”. Przyszedł czas na domysły, bo wierszyk musiał przecież mieć drugie dno. „Och Angel, skąd wrzaski potworne?” – Jak się miewa Angel? – zapytał Jack. – Co u niej? Wszystko w porządku?

Hoyle zaskoczony, podniósł wzrok.

– Jak to? – Nie było w nim tej arogancji co zazwyczaj, kiedy się spotykali.

– Słyszałem, że wczoraj wieczorem miała bliskie spotkanie.

Hoyle z początku się nie odezwał i Jack nie był pewien, czy jego blef zadziałał, ale potem adwokat znów spuścił wzrok i zapytał: – Skąd wiesz?

– To małe miasto, panie Hoyle. Plotki szybko się rozchodzą.

– Hm, nic się nie stało, jest okej. Nie ma o czym mówić, nie dostarczę ci materiału do reportażu, a jak napiszesz coś sam od siebie innego, to cię pozwę.

– Angel to twoja dziewczyna?

David wyprostował się i rozparł w krześle. Skrzyżował

ramiona.

Jack ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Okej, dziękuję, panie Hoyle. Ale wyjaśnij mi jedno: dlaczego jesteś tutaj, a nie z nią na policji, żeby wszystko opowiedzieć?

Hoyle zacisnął zęby i uparcie milczał.

– Posunąłeś się tak daleko, że bardziej chcesz służyć Donowi, niż chronić swoją dziewczynę? – Jack pokręcił głową. – Zboczyłeś z drogi, panie Hoyle.

– Nie wiesz, o czym gadasz.

– Nie wiem? Wiem, że giną kobiety. A jeśli twoja dziewczyna coś widziała i mogłaby pomóc policji złapać zabójcę? Ale ty wolisz zajmować się swoim klientem, niż zapobiec następnemu morderstwu. Więc czego nie wiem, Hoyle? Wytlumacz mi.

David ciężko westchnął i przetarł oczy. Wyglądał na zmęczonego.

– Skąd wiesz o Angel? – zapytał.

– Coś tam słyszałem, a wczoraj wieczorem widziałem twoją minę, jakby ktoś cię wyciągnął daleko poza granicę twojej strefy bezpieczeństwa.

Hoyle zacisnął zęby.

– Co to, do cholery, ma znaczyć? – wycodził.

– Rozgrywasz sprawy na sali sądowej. Możesz panować nad tym, co się tutaj dzieje, ponieważ znasz zasady, sztuczki. Tak postępujesz z Donem, bo jak musi tutaj przyjść albo jego człowiek zostanie oskarżony, odwiedzają cię w twoim świecie i ty jesteś szefem.

Jack czekał na dowcipną odpowiedź, ale kiedy spojrział Davidowi w oczy, zobaczył tylko zmęczenie i niepokój, strach przed złem tego świata, które do niego przyszło.

Hoyle znów spuścił wzrok.

– Porozmawiaj z policją, David. Dla Dona jesteś nikim. Jeśli nie ciebie, to kogo innego wykorzysta.

Zapadła cisza, potem Hoyle eksplodował.

– Ale ja chcę, żeby on to zrobił, żeby złapał mordercę, i właśnie tego nie znoszę w całej tej sprawie. Dbam o zasady. Jasne?

– Jack nie zareagował, więc Hoyle mówił dalej, lekko podniesionym głosem. – Tak, tak, myślisz, że ludzie tacy jak ja tylko próbują ominąć zasady. Ale wtedy też chodzi o zasady. One wszystko porządkują.

– Tyle że nie bardzo chcesz tamtemu facetowi dać szansę – zauważył Jack.

Hoyle popatrzył mu prosto w oczy.

– Wiem, co zrobił córce Dona. Wszelkie niedopowiedzenia Roberta zostały wypełnione przez ciebie, w twoim artykule, a ja nie potrafię znieść myśli, że mógł tak samo postąpić z Angel.

– Więc po co tu jesteś? – zapytał Jack.

Hoyle rozejrzał się i wzruszył ramionami.

– Bo to moje miejsce, znam je.

– A kto się teraz opiekuje Angel?

– Siedzi sama w domu. Nalegała. Ona nie jest słaba.

– Gdyby zadzwonili z policji, rozmawiałaby z nimi?

David z początku nie odpowiadał. Przygryzał tylko wargę. Wreszcie się odezwał.

– Nie wiem.

Jack wychwycił coś w głosie Hoyle'a, coś jakby strach, i wtedy go oświeciło.

– To właśnie dlatego tutaj przyszedłeś. Nie powiedziałaś jej, kim był intruz, że to mógł być ten sam człowiek, który zabił Jane Roberts, a ty nie masz pojęcia, co z tym zrobić.

Trafił, bo Hoyle popatrzył na sufit i zacisnął szczęki. Po chwili ciszy adwokat pokręcił głową i wstał.

– Wracam na salę – oznajmił i ociężale poczłapał korytarzem.

Rozdział 51

Jack chodził w tę i z powrotem przed wejściem do komendy, w rękę trzymał wydruk maila z ostatniego wieczoru.

Odwrócił się, kiedy usłyszał, jak otwierają się wielkie drewniane drzwi. Na widok Laury uśmiechnął się. Podeszła do

niego, odwzajemniła uśmiech, ale wyglądała na wykończoną. Oczy zaczerwienione, powieki sinawe i podpuchnięte.

– Jak się miewasz? – zapytał.

Przejechała ręką po twarzy.

– Ostro zabraliśmy się do tej sprawy – wyjaśniła. – Musimy go złapać.

– Ale pomyśl też o sobie.

– Pomyślę. Miło cię widzieć. Już chyba minęły wieki, odkąd spędzaliśmy czas razem.

– Też odnoszę takie wrażenie.

– Dlatego chciałeś się ze mną spotkać?

– Nie, nie. Nie dlatego. – Jack się uśmiechnął. – Ale i tak fajnie, że się spotkaliśmy.

Przysunęła się i pocałowała go delikatnie w usta.

– Resztę dostaniesz później – wyszeptała. – A teraz mów, co tu robisz.

– Maile – rzucił Jack. – Mam trochę nowych.

Laura szeroko otworzyła oczy, zrobiła się czujna.

– Kiedy? Wczoraj wieczorem?

Kiwnął głową.

– Pamiętasz Davida Hoyle’a?

Przez chwilę myślała.

– Adwokat mądrała – powiedziała w końcu. – Eleganckie garnitury, nieeleganckie zachowanie.

Jack przytaknął.

– To on. Widziałem go wczoraj wieczorem, wybiegł z domu Dona. Wyglądał na wystraszonego, a zaraz potem dostałem to. – Jack wręczył Laurze wydruk maila „Hoyly Moyly”. Czytała go, coraz szerzej otwierając oczy, a Jack mówił dalej. – Do jego domu wtargnął intruz, kiedy jego dziewczyna była sama. To Angel z wiersza.

Laura popatrzyła zaskoczona na Jacka.

– Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć.

– Tak?

– Ciało nie porzucono w przypadkowych miejscach. Zabójcy

chodziło o to, żeby Don i Mike znaleźli swoje córki. To była zemsta.

Wybrałem się na oba miejsca zbrodni. Jane leżała na ścieżce prowadzącej prosto do domu Roberta. Ludzie chodzą tamtędy na spacer z psami. Don ma psa.

– A Deborah?

– Mike Corley jest wędkarzem. Pamiętasz, złożyłem mu wizytę. Wtedy widziałem jego sprzęt. Na pewno łowi ryby w zbiorniku.

– Nie wspominał o tym – zauważyła Laura.

– Być może nie widział związku. Ale potem, po zamordowaniu Jane, wyłonił się wzór.

Laura zastanawiała się nad tym.

– Chodź ze mną – powiedziała po chwili.

Szybko przemknęła z Jackiem przez dyżurkę. Poszli do Carsona, którego różowa łysina lśniła w tłumie umundurowanych policjantów szykujących się do służby. Inspektor siedział z Joem Kinsellą zatopiony w rozmowie. Jack prześliznął się między mundurowymi, a kiedy zbliżał się do Carsona, Laura podniosła wydruk.

– Pewnie będziesz chciał to zobaczyć. – Wręczyła szefowi kartkę.

Carson popatrzył na Jacka.

– Czy to jest to, co myślę? – zapytał.

– Kolejny mail do mnie. – Jack kiwnął głową.

– Cholera! – mruknął zmęczonym głosem inspektor. W jego oddechu czuć było brak snu i nadmiar kawy. Czytając, coraz szerzej otwierał oczy.

– Co to takiego, do diabła? Jakaś poezja? Angel?

– Szyderstwa. – Jack wskazał dół tekstu. – Angel to dziewczyna Davida Hoyle’a. Popatrz na tytuł: „Hoyly Moyly”. Wczoraj wieczorem Hoyle odwiedził Dona, kiedy wychodził, był nieźle wystraszony. Dziś rano spotkałem się z nim i zapytałem, jak się miewa Angel. Wyglądał tak, jakbym kopnął go w jaja.

Carson odwrócił się do Laury.

– Musimy sprawdzić wykaz zgłoszeń z ubiegłego wieczoru, zobaczyć, czy nas powiadomiła.

– Nie powiadomiła – odparł Jack. – Don Roberts próbuje załatwić sprawę na własną rękę, a ja myślę, że Hoyle dołączył się do bandy.

– Ale jeśli Angel widziała tego sukinsyna, to go nam opisz. To byłaby druga pomyłka zabójcy.

Teraz wiadomość czytał Joe Kinsella.

– I musimy się dowiedzieć, jak zdołała go wystraszyć – dodał. – Pierwsze dwie ofiary też musiały walczyć, więc na czym polega różnica w przypadku Angel?

– Zajmij się tym – polecił Carson. – Ja idę na zebranie z szuchami. Niepokoją ich koszty. – Westchnął ciężko. – Jeśli odbiorą nam część ludzi z wydziału, to nie ułatwi sprawy.

– Pewnie będziesz chciał zobaczyć i to. – Jack podał mu drugi mail. – Też przyszedł wieczorem. – Patrzył, jak Carson czyta. „Ale zauważyłem kobietę. Znasz ją, ha, ha. Muszę tylko dopracować szczegóły”.

Carson przekazał kartkę Laurze.

– To może być wymierzone przeciwko tobie. Dzisiaj nie wolno ci być samej.

Zaczęła protestować, ale podniósł dłoń.

– Bez dyskusji.

Przeczytała mail. Na chwilę krew odpłynęła jej z twarzy.

– Więc go lepiej złapmy – powiedziała, jak już się trochę opanowała.

Szef uśmiechnął się do niej.

– Po prostu uważaj. Mamy już za dużo trupów.

Rozdział 52

Jack nadal był przed komendą. Siedział w samochodzie i z niepokojem myślał o Laurze, kiedy zadzwonił telefon.

Nie znał numeru, który pojawił się w okienku. Mimo to odebrał.

– Pan Garrett? – odezwał się cichy kobiecy głos. Znajomy, ale nie potrafił odgadnąć czyj.

– Tak, tu Jack Garrett.

– To pan był u mnie w domu wczoraj wieczorem? – zapytała. – Wzięłam numer z wizytówki.

Jack przypomniał sobie ostatni wieczór i wiedział, skąd zna ten głos. To kobieta z osiedla Whitcroft, którą dręczył gang nastolatków.

– Tak, ja.

Na chwilę zapanowała cisza i Jack już pomyślał, że rozmówcy się rozłączy, ale wtedy znów się odezwała: – Dlaczego pan do mnie przyszedł?

– Piszę o osiedlu. Zdawało mi się, że ma pani pewne problemy. Tak po prostu wstąpiłem.

– To był jedyny powód?

Jack się zmieszał.

– A powinien być jeszcze jakiś?

– Czytałam pańskie teksty w gazecie.

– O czym?

– O dwóch zamordowanych dziewczynach.

To przykuło jego uwagę.

– Pani coś o nich wie?

Znów zamilkła. Jack odruchowo wstrzymał oddech. Czekał, aż kobieta znów zacznie mówić.

– Don Roberts – rzuciła w końcu. – Mogę panu powiedzieć o Donie Robertsie i Mike’u Corleyu.

Jack zrobił długi wydech. Wszystko wokół niego przestało istnieć. Był tylko jej głos w telefonie.

– Słucham.

Znów przerwa, a potem: – Mogę panu powiedzieć ze szczegółami, co łączyło obie ofiary.

W ustach mu zaschło, poczuł dreszcz niecierpliwości. Zaczął grzebać w kieszeni, w schowku, szukając długopisu, potem znalazł kawałek kartki.

– No to niech mi pani powie, co pani wie. – Mocno ścisnął długopis palcami.

– To było nie tak, wszystko nie tak. – Jej głos stał się

słabszy.

– Co było nie tak?

Nie odpowiedziała.

– Jest pani tam? – Nadal cisza. – Jak się pani nazywa?

Znów milczenie. Po chwili: – Emma.

– Proszę zaczekać. – Jack rzucił długopis i kartkę na podłogę. – Przyjadę za dwie minuty.

– Co zrobimy, jak wejdziemy do domu Davida Hoyle’a? – zapytała Laura Joego, gdy jechali przez śródmieście.

– Przekonamy Angel, żeby pogadała z nami, a nie z Donem Robertsem.

– Ale jeśli Hoyle tam jest, nie pozwoli na to.

Joe pokręcił głową.

– Rozmawiałem z woźnymi sądowymi. Hoyle nadal siedzi w sądzie.

– Jezus, czy w życiu zawsze musi chodzić o pieniądze? – westchnęła Laura.

– Myślę, że tu chodzi o coś więcej. Don chce sam złapać zabójcę. Nietrudno się domyślić, co z nim zrobi, jak go dopadnie. Hoyle też o tym wie, więc stara się być widoczny, przygotowuje sobie alibi i jak aresztują Dona za ukatrupienie zabójcy Jane, Hoyle nie będzie w to wmieszany.

Laura patrzyła przez szybę i myślała o wcześniejszym mailu. Gdzie ten sukinsyn jest? Czy obserwuje ją teraz? Odwróciła się, żeby popatrzeć na jadące za nimi samochody, ale droga była pusta. Przygarbiła się w fotelu.

– Dłaczego utrzymujecie to z Rachel w tajemnicy?

Joe odpowiedział dopiero po chwili.

– To nie tajemnica, to sprawa osobista, bo to moje prywatne życie. Nie chcę paść ofiarą plotek.

– Ale to wygląda tak, jakbyście się wstydzieli. Rachel to piękna kobieta.

– Ja się nie wstydzę. I nie wiem, czy już jest z nas para. Dotrzymujemy sobie towarzystwa, kiedy tego potrzebujemy, i tyle.

– Więc chodzi o seks.

Joe lekko wzruszył ramieniem.

– Myślę, że Rachel bardziej na tym zależy niż tobie – ciągnęła Laura.

– Dlaczego tak myślisz?

Uśmiechnęła się.

– Zauważyłam, jak reaguje na mnie, kiedy kręcę się przy tobie. Widzi we mnie zagrożenie.

– A jesteś zagrożeniem?

Zaczerwieniła się.

– Wkrótce wychodzę za mąż.

– Okej, przepraszam. Nie powinienem tego mówić. Lubię Jacka, a ty i ja, hm... po prostu się przyjaźnimy.

Laura wyjrzała przez szybę. W samochodzie nagle zrobiło się duszno, cisza stała się kłępująca. Sprowadziła rozmowę z powrotem na sprawę śledztwa.

– Przejałbyś się, gdyby Don pierwszy dopadł zabójcę? – zapytała.

Joe się zawahał.

– To zależy, czy się nie pomyli. Problem w tym, że nigdy się tego nie dowiemy, bo pozbędzie się ciała. Jeśli okresy między zabójstwami staną się dłuższe, w końcu zwiniemy śledztwo i do końca nie będziemy mieli pewności, czy złapano właściwego człowieka.

– Czy to gorsze, niż gdyby udało mu się z tego wywinąć ze względu na błędy formalne albo źle dobrany skład ławy przysięgłych? – zapytała Laura. – Pamiętasz? Ian Huntley został skazany stosunkiem głosów jedenaście do jednego. Wystarczą trzy czarne owce, żeby spaprać proces. Albo zwolnią go po dwudziestu latach i w spokoju dożyje sobie starości, choć zamordował dwie młode dziewczyny.

– Rozumiem, co czujesz, ale jeśli pracujesz dla systemu, musisz z nim współdziałać. Nie chodzi o sprawiedliwość, nigdy o nią nie chodziło. Rzecz w tym, żeby nad wszystkim mieć kontrolę.

Laura darowała sobie dyskusję. Dopadł ją brak snu. Już przymykała powieki, kiedy wydało jej się, że coś zobaczyła. Nie,

nie coś.

Kogoś.

Natychmiast otworzyła oczy, obejrzała się na chodnik. Widziała tylko T-shirty i torby, ludzi rozmawiających przez komórki. I znów to zobaczyła, szopa siwych włosów, powolne szuranie nogami – zaledwie mgnienie w tłumie.

– Zawróć – poprosiła.

– Którędy?

– Wokół domów. Właśnie kogoś zauważyłam.

– Kogo?

– Idę Grix.

– Czego miałyby tu szukać, sześćdziesiąt kilometrów od domu? – spytał zaskoczony Joe.

– Może Shane’a, bo zobaczyła po naszych minach, że jej wątpliwości sprawdziły się, że chłopak nie zmarł w Londynie.

Joe szybko skręcił w boczną ulicę i zawrócił na główną. Jechał bardzo powoli, a Laura znów przyglądała się tłumowi, aż dostrzegła te same włosy.

– Tam. – Pokazała.

Joe się przyjrzał.

– Ta, co wchodzi do sklepu?

– Tak. Zatrzymaj się.

Opony samochodu otarły się o krawężnik, kiedy Joe zahamował. Laura wyskoczyła i podbiegła do domu towarowego, do którego weszła kobieta. To był jednak kawał drogi ulicą i jak dotarła na miejsce, nie znalazła Idy. Drzwi sklepu otworzyły się samoczynnie i Laura wpadła do środka. Szybko się rozejrzała. Między stoiskami kręciło się mnóstwo siwych ludzi. Przypomniała sobie, że ze sklepu jest zbyt wiele wyjść, żeby się zorientować, które wybrała Ida, jeśli to była ona.

Odwróciła się zdenerwowana. Poszła z powrotem do samochodu. Jack opierał łokieć o szybę, pytająco unosząc brwi.

– Nic z tego – sapnęła Laura.

– Byłaś pewna, że to ona?

– Na tyle pewna, żeby ją gonić.

– Jasne. Ale mam się tobą opiekować, wsiadaj.

– Co teraz?

– To co przedtem – odparł Joe. – Jedziemy do domu Davida Hoyle’a, żeby porozmawiać z Angel.

Kiedy ruszał, Laura jeszcze raz przyjrzała się przechodniom, bo wiedziała, że jeśli Ida przyjechała do Blackley, to szuka syna.

I wiedziała też, że muszą go znaleźć przed nią, bo biorąc pod uwagę los doktora Barkera, kobieta może nie przeżyć tego spotkania po latach.

Rozdział 53

Jack pomyślał, że furtka Emmy to słabe zabezpieczenie. Stare drewno pomalowane na zielono zachybotало się, kiedy je pchnął.

Ochroniarze podążali za nim, odkąd wjechał do osiedla. Teraz wyczekiwali na końcu ulicy, obserwowali.

Dom z zewnątrz był brudny, pajęczyny wisiały na ramach okiennych, na ziemi leżały rozbite jaja. Zapukał do drzwi. Emma zareagowała po kilku sekundach.

Teraz, w świetle dnia, zobaczył, że życie obeszło się z nią okrutnie. Wysoka, ale przeraźliwie chuda. Na przedramionach wystąpiły jej żyły, skóra twarzy napinała się na kościach czaszki. Błądą cerę podkreślały ciemne sińce pod oczami.

– Jestem Jack Garrett – przedstawił się ponownie.

Zmrużyła oczy, światło na dworze najwyraźniej ją raziło. Zza drzwi płynął zapach alkoholu. Obrzuciła go wzrokiem od stóp do głów i cofnęła się tyłem do domu. Drzwi zostawiła otwarte; zaproszenie, żeby za nią wejść. Szła, zataczając się. Podejrzenia Jacka potwierdziły się, kiedy zobaczył otwartą butelkę cydru na podłodze przy fotelu.

Emma zauważyła spojrzenie gościa.

– To tylko mały drink, w ładny dzień – wybełkotała.

Przyjrzał się salonowi. Wyglądało na to, że przez dłuższy czas nie było tu zbyt wiele ładnych dni. Dywan wytarty do osnowy, wszędzie śmierdziało mokrym psem, na podłodze i na krzesłach

mnóstwo czarnej sierści: na otwartych tylnych drzwiach, na farbie olejnej ślady pazurów. Dwa zaniedbane brązowe kundle leżały na brukowanym podwórku upstrzonym psimi kupami. Z domu obok dochodziło dudnienie muzyki.

– Jak pani daje sobie radę z tymi hałasami zza ściany? – Jack próbował zagadać przyjacielsko.

Emma spojrzała w stronę domu sąsiada.

– Można się przyzwyczaić – burknęła i znów przeniosła wzrok na Jacka. – Nie po to pan tu przyszedł.

– Dobra. Niech pani powie, co wie.

Trochę się zaczerwieniła, pokręciła głową.

– To osobiste. Czy naprawdę pójdzie do gazety?

– A chce pani, żeby ludzie się o tym dowiedzieli?

Pokręciła głową.

– Mogę do pani mówić Emma? – zapytał, a kiedy się zgodziła, powiedział: – Emmo, ktoś zamordował dwie dziewczyny. Córkę Dona i córkę Mike’a Corleya. Jeśli coś ci wiadomo na ten temat, możesz uratować czyjeś życie.

Ręce lekko się jej trzęsły.

– Biedactwa – westchnęła.

– Znałaś je?

Spojrzała na niego, wokół oczu miała teraz czerwone obwódki, podbródek jej drżał.

– Od tego zaczyna się to, co ja przesłam.

– Mów dalej, Emmo. Nie muszę cię cytować.

Przez chwilę się zastanawiała.

– Ma pan ładne oczy – stwierdziła niespodziewanie. – Ludzi można poznać po oczach. – Wskazała ręką kanapę. – Proszę, niech pan siada.

Jack popatrzył na kanapę. Wiedział, że psie kłaki zaraz mu się przyczepią do całego ubrania.

– Więc znasz Dona Robertsa i Mike’a Corleya?

Emma sięgnęła do szklanki z cydrem stojącej na podłodze. Napiła się, opuściła szkło na kolana, po policzku spłynęła jej łza.

– Jest między nimi związek i myślę, że to chodzi o mnie –

powiedziała.

– Jak ich poznałaś?

Ze zdenerwowania zatrzepotały jej powieki, skuliła się w fotelu i brudną dłonią otarła łzę z twarzy.

– To było trzydzieści pięć lat temu. – Spojrzała w dół, na siebie. – Popatrz na mnie. Wyglądam jak nieboskie stworzenie, wiem, ale nie zawsze tak było. Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty szósty. Do tej pory pamiętam ten rok. – Nalała sobie jeszcze alkoholu do szklanki i wzięła długi łyk. – Mike Corley i Don Roberts. Pracowali w klubie, w mieście.

– Co, razem?

Przytaknęła.

– Ale nie za długo.

– Jesteś pewna?

Emmie znów zaczęła drżeć ręka i Jack musiał się szybko nachylić, żeby nie upuściła szklanki.

– Opowiedz mi o tym klubie – poprosił.

Mówiąc, Emma patrzyła w dół, cienkie włosy opadły jej na twarz.

– Klub nazywał się Manero's. Chadzałam tam. Don pracował jako bramkarz. Mike stał za barem. Byli jeszcze młodymi chłopakami. – Wzruszyła ramionami. – Muzyka disco. Właściciel próbował na tym zarobić, ale lokal... ogólnie beznadziejny. Nie wystarczy mieć gramofon i głośniki. Manero's był po prostu zwykłym barem z nagłośnieniem.

– Pamiętam ten klub – wtrącił się Jack. – Nie jako Manero's, co parę lat zmieniał nazwę. Jak to było? New Lounge, a potem Mountbattens.

Emma wpadła w lepszy nastrój.

– I Golden Gloves, i Roots, i Kiss. Za każdym razem, kiedy interes się nie kręcił, dawali nowe obicia na stołki i zmieniali nazwę.

– O właśnie, wtedy nazywał się Kiss – przypomniał sobie Jack. – Zajrzałem tam parę razy. W środku z lekka obskurnie.

– Ale w tamtych czasach w Blackley było tylko to, a mnie

zależało, żeby tam pójść – powiedziała Emma. – Wszystkie moje koleżanki zrobiły się na punky, ale to do mnie nie przemawiało. Uwielbiałam tańczyć; często ćwiczyłam u siebie w pokoju. Zaczęłam chodzić do Manero’s, bo jedynie tam puszczały muzykę, którą lubiłam, i mogłam sobie potańczyć.

– Ile miałaś lat?

– Piętnaście, ale wyglądałam doroślej. Byłam wysoka, wczesnie dojrzałam, wie pan, o co mi chodzi. I nie mogli mnie nie wpuścić, nawet jeśli kupowałam tylko dwie kole. Zakaz sprzedaży alkoholu nieletnim, rozumie pan. W ciągu tygodnia wymykałam się więc na balety. Wtedy nikt nie urządzał w knajpie awantur i nie pytali o wiek. Nie zawracali sobie tym głowy. Z początku przychodziła ze mną jedna koleżanka, ale jej rodzice dowiedzieli się i zabronili. Ja nie odpuściłam.

– A wcześniej, przed Manero’s, znałaś Dona i Mike’a.

Pokręciła głową.

– Don był młody, ale pyskaty i lubił się bić. Nosił długie włosy, i wąsy i myślał, że z niego niezłe ciacho. – Roześmiała się, ale gorzko, nie nostalgicznie. – Problem w tym, że się w nim zakochałam.

– Chodziłaś z nim?

Łzy znów trysnęły jej na policzki.

– Chciałam, ale byłam małą. Nie wiem, kiedy się dowiedział, ile mam lat, czy przedtem, czy po tym, co się stało.

– A co się stało?

Spuściła wzrok na kolana, po chwili rozejrzała się po pokoju, jakby nagle zobaczyła swoje całe życie, które potoczyło się nie tak jak obiecywało młodej dziewczynie, co tylko chciała tańczyć przy muzyce disco.

– Teraz to nie ma znaczenia – wymamrotała. – Dawne dzieje.

Jack pochylił się do przodu.

– Teraz to ma znaczenie. Pamiętaj, że do mnie zadzwoniłaś, więc na pewno myślisz o tym, nawet w tej chwili.

Łzy płynęły strumieniem.

– Tak, myślę o tym cały czas.

– Więc mi powiedz. Zabito córkę Dona i córkę Mike’a. To, co wiesz może okazać się ważne.

Skinęła głową i otarła łzy. Westchnęła głęboko.

– Dobra, jasne. Przyszłam tam kiedyś wieczorem, tańczyłam, bawiłam się. W środku pustki. Zawsze mało kto przychodził, ale tamtego wieczoru było jeszcze tylko dwóch ludzi. Mike pracował za barem. Myślę, że wtedy dodali mi czegoś do napoju, bo zamawiałam wyłącznie colę. – Popatrzyła na szklanke. – Czasy się zmieniają, pewnie tak, ale ja za młodu nie wychodziłam na miasto, żeby się upić.

Wychodziłam na tańce. Tamtego wieczoru było jednak inaczej. Odleciałam. Czułam się jak jakaś królowa klubu. Byłam naprawdę napruta. Wypełniała mnie muzyka. Potem zakręciło mi się w głowie i zrobiło niedobrze. Haftowałam w toalecie. – Popatrzyła na sufit, przygryzła wargę, mimo to nie zdołała powstrzymać łez. – Pamiętam, jak Don mnie niósł. Był silny. Zabrał mnie na górę, do biura właściciela. Myślałam, że tylko się o mnie troszczy, ale – wzruszyła ramionami – wyszło z tego coś więcej. – Emma spojrzała na Jacka szeroko otwartymi, proszącymi o zrozumienie oczami. – Wie pan, jak to jest, kiedy naprawdę ma się odlot. Ogarniasz, co się dzieje, ale nie możesz tego przerwać, bo chcesz tylko jednego: leżeć i mieć święty spokój.

Jack domyślił się, do czego zmierza jej opowieść; ogarnął go gniew. Widział ból w jej oczach, nawet po tylu latach.

– To nie znaczy, że tego chciałaś – powiedział.

Napiła się cydru, ręka trzęsła się jej jeszcze bardziej. Pociągnęła jeszcze kilka solidnych łyków, odstawiała szklanke na podłogę i mówiła dalej.

– Don mnie rozebrał. Z początku próbowałam się bronić, ale nie dałam mu rady. Leżałam nago na podłodze. Tam stała leżanka.

Śmierdziało marihuaną; mogłam się domyśleć, co się zwykle działo w tym pokoju. Don przeniósł mnie na leżankę. Kopałam i odpychałam go, ale on się tylko śmiał. Obmacywał

mnie, oblał i robił rzeczy, których jeszcze nikt ze mną nie robił. Próbowalam go z siebie zrzucić, nie mogłam. Wrzeszczałam. Zmuszał mnie, żebym robiła mu różne rzeczy. Miałam dopiero piętnaście lat, nie wiedziałam, czego on chce, no to siłą mi pokazał. Krztusiłam się, kiedy mi wpychał do ust, i wtedy wszedł Mike. – Pokręciła głową. – Powinnam bardziej się opierać, głośniej krzyknąć. Może to wyglądało tak, że nie mam nic przeciwko temu albo że tego chcę, ale nie chciałam. A Mike, hm, po prostu się przyłączył. Ktoś zgasił światło, leżałam twarzą w dół, trzymali mnie. Później poczułam ból, tam w dole. Najpierw wziął mnie jeden. Potem drugi. Obaj mnie pieprzyli, a ja nie mogłam ich powstrzymać.

– Zgwałcili cię – skwitował Jack.

Powoli pokiwała głową.

– Co miałam zrobić? Piętnastolatka, pijana w klubie, uprawiająca seks z dwoma facetami... – To się nie liczy. Zostałaś zgwałcona, Emmo.

– Ale nie mogłam pójść do domu i komuś się wyzalić, prawda? Wiem, co by pomyśleli. Wtedy sprawy inaczej wyglądały. Pijana, głupia dziewczyna. Czuję się zagubiona.

– Nie, byłaś jeszcze dzieckiem, zgwałconym przez dwóch dorosłych.

– Tak powiedział Simon. – Wyglądało na to, że Jack nie rozumie, więc dodała: – To przyjaciel. Opowiadam mu różne rzeczy.

– Skąd go znasz?

– Jest gliniarzem. Zaszedł pewnego dnia, żeby sprawdzić, czy miejscowe małolaty nie robią mi problemów.

Jacka ogarnął niepokój.

– Jesteś pewna, że to policjant? Jak się nazywa?

– Widziałam go w mundurze, chociaż najczęściej pracuje po cywilnemu – odparła Emma. – Simon Abbott. Wpadł tu dziś rano.

Przyniósł mi zakupy.

– Co o nim wiesz?

– Nie za dużo. Niewiele o sobie mówi. Po prostu lubi ze mną siedzieć. Razem oglądamy telewizję albo pyta mnie o moje życie, tak jakby go to naprawdę interesowało. Czasem nawet rozmawiamy o Donie Robertsie, o tych jego zbirach, co się tu kręcą. Simon powiedział, żebym im nie płaciła, bo trzeba przeciwstawiać się takim ludziom, i nie powinnam drugi raz się poddać.

– Czy mówiłaś o tym tylko Simonowi?

Skinęła głową.

– I to jedynie przyjaciel?

Jack zobaczył pierwszy, ledwo dostrzegalny ślad uśmiechu.

– Jestem dla niego za stara. To znaczy, popatrz na mnie. Ale w sumie to gliniarz, nie? Więc rozumie takie rzeczy. – Machnęła ręką. – Donowi i Mike’owi i tak wszystko uszłoby na sucho, nawet gdybym nas nich doniosła. Po sprawie wiedzieli już, że byłam dziewczcą. Krwawiłam i bolało mnie, ale tylko wcisnęli mi trochę pieniędzy do ręki i wsadzili mnie do taksówki.

– Mówiłaś o tym wtedy komuś?

Pokręciła głową.

Jack zabębnił palcami o poręcz kanapy. Emma łączyła obie ofiary, było o tym w mailach, ale teraz usłyszał tę historię z pierwszej ręki.

Starał się pohamować niecierpliwość.

– Jesteś pewna, że nikomu nie powiedziałaś?

Przytaknęła.

– Nikomu. Nawet, kiedy byłam w ciąży.

– W ciąży? Z którym? – powtórzył zaskoczony Jack.

Wzruszyła ramionami.

– Czy ja wiem?

– Urodziłaś dziecko?

Powoli pokiwała głową, w oczach miała łzy.

– Don powiedział, żebym się go po cichu pozbyła, ale ja nie mogłam... Zresztą skąd miałam wiedzieć, co robić?

– I co na to Mike?

– Nic. Był po prostu wystraszony.

– A twoi rodzice?

– Ukrywałam to przed nimi, aż było za późno. Wreszcie skłamałam, że uprawiałam seks z chłopakiem na imprezie, ale nie podam jego nazwiska, żeby nie miał problemów. Kazali mi się wyprowadzić, żeby nikt się nie dowiedział. A dzieciaka zostawiłam, ot, tak, po prostu. – Pstryknęła palcami.

– Co się z nim stało?

– Udało mi się go kiedyś odnaleźć, bo został oddany do zaprzyjaźnionej rodziny, do małżeństwa, które chciało mieć więcej dzieci.

Adoptowali go, a moi rodzice zmusili mnie, żebym podpisała papiery. Powiedzieli, że tak jest najlepiej, nawet dostawałam od nich pieniądze, ale czy to w porządku, że nie był ze swoją matką? Staralam się go odszukać i odszukałam. Poszłam do nich do domu, ale nie pozwolili mi się z nim spotkać. Grozili, że każą aresztować moich rodziców, jak jeszcze raz się pojawię, że niby kazali mi sprzedać dziecko. Więc trzymałam się z daleka. Drugi raz go porzuciłam.

– Widziałas go kiedyś?

– Nie, odkąd mi go zabrali, kiedy się urodził. Nie pozwolili mi nawet wziąć dzieciaka na ręce. Powiedzieli, żebym po prostu o nim zapomniała, ale jak mogłam zapomnieć? To moje dziecko. Sama byłam wtedy jeszcze dzieckiem, ale to wcale nie ułatwiało mi sprawy.

Myśli się, że będzie lepiej, potem jednak nadchodzą wspomnienia i wałą w ciebie jak obuchem. Jego urodziny. Pierwszy roczek. Ta piosenka Hot Chocolate *So You Win Again*. Królowała na liście przebojów, kiedy się urodził. Myślałam o dawnych koleżankach ze szkoły, jak razem wychodzą i słuchają płyt. A ja miałam dziecko. I szesnaście lat.

– Czy Don Roberts albo Mike Corley dowiedzieli się, że nie usunęłaś ciąży?

Pokręciła głową.

– Dla nich tak jakby nigdy nic się nie stało. Manero's zmieniło nazwę. Mike wyjechał z Blackley do college'u i nie

widziałam go do czasu, aż wrócił i wstąpił do policji. A Don nadal był bramkarzem.

– Więc nikt nie wie o dziecku, nie licząc twojej rodziny i rodziny adopcyjnej?

– I Simona, mojego przyjaciela – dodała.

Znowu Simon.

– Jak to przyjął?

– Było mu smutno, tak jak mnie, ale tak to chyba jest z przyjaciółmi. Czują twój ból.

Jack stukał palcami w kolano. Zastanawiał się nad tym, co Emma właśnie powiedziała. Uznał, że Laura musi się o tym dowiedzieć.

Dolby w tej chwili się nie liczył, bo kiedy Jack pomyślał, co przydarzyło się Laurze i że mogło być gorzej, sprawa zaczęła wyglądać na coś ważniejszego niż tylko materiał do reportażu.

– Nienawidziłam ich za to, co mi zrobili – wyznała Emma, przerywając tok jego myśli. – Ale teraz mi ich żal, a szczególnie dziewczyn.

– Jak to?

– Niech pan pomyśli. Nie wiem, który jest ojcem mojego dziecka, ale na pewno jeden z nich, więc jedna z tych biednych zabitych dziewczyn była siostrą mojego syna, i jak się nad tym zastanowić, jakoś są ze mną spokrewnieni.

– Jaki jest Simon?

– Och, to życzliwy człowiek.

– Nie, jak wygląda?

Pytanie wypadło zbyt nachalnie i Jackowi wydawało się, że Emma się przestraszyła, ale po chwili się otrząsnęła. Uniosła wzrok na sufit, przechyliła głowę.

– Wysoki, szczupły, po trzydziestce. Ładnie się uśmiecha.

– Co to znaczy „ładnie”?

– Hm, uśmiecha się oczami i lekko przechyla głowę na bok.

Tak jak ty, pomyślał Jack. Podziękował Emmie za poświęcony mu czas i się pożegnał. Musi zadzwonić. Ale najpierw gdzieś pójdzie.

Rozdział 54

Laura i Joe podjeżdżali do domu Davida Hoyle'a. Laura odegnała klucze zawiąski, które czuła za każdym razem, gdy widziała, jak mieszkają adwokaci, bo to zawsze wyglądało tak, jakby oni zbierali zyski, a ludzie tacy jak ona odwalali całą brudną i niebezpieczną robotę. Ale gdzieś w głębi, mimo zmęczenia po nadgodzinach i ciężkiej harówce, była dumna z tego co robi. Zastanawiała się, czy David Hoyle myśli to samo o sobie.

Wysiedli z samochodu, spojrzała na dom. Trzy małe budynki – dawniej przytułki – połączone w jeden, z widokiem na wzgórze, które oddzielały bawełniane pola Lancashire od bardziej kosmopolitycznych obszarów Wielkiego Manchesteru. Kamienne schodki prowadziły do solidnych drewnianych drzwi. Wgłębienia i nierówności w drewnie wyglądały sztucznie, jak próba wyeksponowania wieku domu.

Mocno zastukała do drzwi. Minęła dłuższa chwila, zanim ktoś zareagował. Potem usłyszała grzechot kluczy i przez szparę wyjrzała czyjaś twarz.

– Jesteśmy z policji – powiedziała. – Chodzi o intruza z ubiegłego wieczoru.

Kilka nerwowych mrugnięć i wreszcie: – Macie identyfikatory?

Laura uniosła legitymację policyjną. Joe zrobił to samo.

Znowu przerwa, ale potem drzwi się zamknęły i rozległ się cichy brzęk zdejmowanego łańcucha. Za progiem stała szczupła dziewczyna, bosa, w obcisłych leginsach i długim kremowym sweterku. Miała wspaniale ciemne włosy. Twarz bladą i zmęczoną, jakby nie spała.

– Pani jest Angel?

Skinęła głową.

Laura i Joe wymienili szybkie spojrzenie.

– Chcielibyśmy porozmawiać o tym, co wydarzyło się wczoraj.

Moment ciszy.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Wiemy, że do pani domu wczoraj wieczorem wtargnął jakiś mężczyzna – ciągnęła mimo to Laura. Angel nerwowo zerkała na boki i mocniej ścisnęła framugę drzwi.

– David powiedział, że to klient, że chciał się jakoś zemścić, bo sprawa poszła źle – odparła.

Laura powoli pokręciła głową.

– Ten mężczyzna jest mordercą. Zabijał ludzi.

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy.

– Jeśli go nie złapiemy, kogoś jeszcze zabije – dodała Laura. – Pani może pomóc to powstrzymać.

Angel nie ruszała się, rękę trzymała na drzwiach. Wreszcie odsunęła się i wpuściła ich do środka.

Poprowadziła do obszernego salonu z widokiem na trawnik na tyłach; jej ciche stąpanie bosych stóp po twardym drewnie podłogi ostro kontrastowało z głośnym stukotem obcasów Laury. Przed oknem stały sztalugi z przypiętą spłowiałą akwarelą na papierze. Kiedy szli za nią, Laura zapytała: – Naprawdę ma pani na imię Angel?

– Było Angela – odpowiedziała przez ramię. – Mój wydawca doszedł do wniosku, że „Angel” lepiej się sprzeda. – Zauważyła spojrzenie Laury i wyjaśniła. – Robię ilustracje do książek dla dzieci. Dlatego tak mi się tu podoba. Światło jest fantastyczne. Okno wychodzi na zachód, więc przez większość dnia jest cień, głęboki i napawający lękiem, ale jednocześnie pola i wzgórza są oblane jaskrawym blaskiem słońca albo odzwierciedlają odcień chmur. Później światło chwyta kurz i pyłki. Te drobinki wyglądają jak tańczące wróżki. – Zawstydzona spuściła wzrok. – Przepraszam, ja tu mówię o świetle słońca, a tam ktoś morduje ludzi.

Laura uśmiechnęła się uprzejmie i czekała na ciąg dalszy.

– Więc kogo ten człowiek zabił? – zapytała dziewczyna. – I skąd wiecie, że to ten sam, co przyszedł tu wczoraj wieczorem?

– Nie mogę powiedzieć, skąd wiemy, ale jest pani ważnym świadkiem. Może pani uratować komuś życie.

Przytaknęła słabo, twarz miała bladą.

– Opowiedzcie mi o nim.

I Laura opowiedziała. Kiedy wymieniła nazwisko Jane, zobaczyła, że Angel szeroko otwiera oczy.

– Znała ją pani?

Pokręciła głową.

– David coś wspominał o Donie i że jego córka została zamordowana.

– Co konkretnie mówił?

– Nie powinnam powtarzać. To dotyczyło spraw zawodowych. Poufnych.

Laura nie naciskała, bo podobną umowę miała z Jackiem. Mogła jęczeć i narzekać na pracę, ale wiedziała, że to nie wyjdzie poza dom. Ale naprawdę ważne informacje musiała zachować dla siebie. Wszystko inne to była legalna gadka do poduszki.

Joe usiadł na kanapie po drugiej stronie pokoju. Laura domyśliła się, że na nią zrzucił ciężar rozmowy, że to kwestia bliskiego kontaktu między dwiema kobietami i nie chce zepsuć.

– Więc niech mi pani opowie, co się zdarzyło w ostatni wieczór – poprosiła Laura.

Angel przetarła oczy, jakby przygotowywała się psychicznie, żeby odtworzyć kolejność wydarzeń.

– David wyszedł na spotkanie z klientem – zaczęła Angel trochę roztrzęsionym głosem.

– Z klientem?

– Nie pytałam o szczegóły, bo często pracuje z klientami u nich w domu. Tak to już jest, jak się żyje z adwokatem: ciągle jakieś telefony, twoje plany może zniszczyć jakiś idiota, który dał się zamknąć. Tak czy inaczej, wyszedł.

– Pojechał do Dona – wyjaśniła Laura.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Jak mówiłam: do klienta.

– Davida nie było, została pani sama i sędzę, że intruz musiał o tym wiedzieć.

Zamyśliła się.

– Nie słyszałam, jak wchodzi – odezwała się w końcu. –

Skończyłam rysować. Byłam w gościnnej sypialni, bo tam stoi komputer.

Siedziałam przed kamerką internetową, gawędziłam z przyjaciółką. Mieszka we Francji i w ten sposób się kontaktujemy. To ona go zauważyła, nie ja. Powiedziała, że ktoś za mną jest, a kiedy się obejrzałam, rzeczywiście był.

– Jak wyglądał?

– Nie przyjrzałam się dobrze. Byłam zszokowana, przerażona.

– Ale widziała go pani, a na tym etapie śledztwa może się przydać dosłownie wszystko, co pani pamięta. Jakiego był wzrostu?

– Wysoki. To zauważyłam. I szczupły, jakby niezdarny, bo taki tyczkowaty. Długie ramiona i nogi.

– Kolor skóry?

– Stał w cieniu, ale raczej biały.

– Owłosienie twarzy?

Pokręciła głową.

– Nie mogłam dostrzec aż tylu szczegółów. Dosłownie mignął mi przed oczami i zniknął. Chyba wystraszyła go kamerka internetowa.

– Niech pani zamknie oczy – powiedziała Laura. – I pomyśli jedynie o ubiegłym wieczorze. Co pani widzi? Proszę sobie wyobrazić, że ma go pani narysować.

Westchnęła i zamknęła oczy.

– Okej. Nie nosił brody, ale zdaje się był nieogolony. Twarz bardzo szczupła, z wystającymi kośćmi policzkowymi. Włosy krótko przycięte. Kurtka zwisała mu z ramion; wydawał się jakiś taki chuderlawy.

– Jak był ubrany?

– Na czarno. Czarna koszulka, czarne spodnie. Chyba. – Wtedy otworzyła oczy. – I ten jego zapach... – To znaczy? – ożywiła się Laura.

– Śmierdział stęchlizną i brudem, jakby rzadko prał ubranie. Czułam to, jak już zniknął.

– Coś jeszcze?

Zaprzeczyła.

– Dlaczego pani nie zgłosiła tego zajścia?

– David stwierdził, że to jest związane z jego pracą i że zna tego człowieka. Powiedział, że się tym zajmie, że facet jest niegroźny.

– Kłamał.

– To pani tak twierdzi.

Laura pochyliła się i zniżyła głos.

– Jest coś, co musi pani dla mnie zrobić.

– Co?

– Proszę śledzić Davida.

Angel wyprostowała się w fotelu i pokręciła głową.

– Nie mogę tego zrobić.

– David to dobry prawnik, obie to wiemy, ale pracuje dla Dona Robertsa, a właśnie teraz Don chce zabić każdego, kogo uzna za zabójcę swojej córki.

– Czy to źle?

– Źle, jeśli się pomyli – odparła Laura. – A jeśli nawet się nie pomyli, my musimy interweniować, bo nie możemy pozwolić na samosady. David wpadnie, jak sprawy zajdą za daleko. Jeśli nadal chce pani z nim żyć, musi go pani chronić przed nim samym.

Angel myślała o tym przez chwilę.

– Co mam robić? – zapytała wreszcie – Po prostu poinformować mnie, jak czegoś się pani dowie albo coś usłyszy. – Laura podała jej wizytówkę. – Proszę, musi pani to zrobić.

Angel wzięła wizytówkę i długo na nią patrzyła. Laura widziała, jak dziewczyna zмага się ze sobą – jeśli pomoże policji, to będzie koniec prawniczej kariery Davida w Blackley; co więcej, to może rozbić ich związek.

Ale potem Angel najwyraźniej zrozumiała, że nie ma wyboru. Popatrzyła na Laurę, łąza spływała jej po policzku. Skinęła głową, że się zgadza.

Rozdział 55

Jacka zauważono, jak tylko zbliżył się do domu Mike'a

Corleya.

Musiał uzyskać potwierdzenie opowieści Emmy, zanim cokolwiek z tym zrobi. Nie chciał, żeby aresztowano policjanta, bo ktoś bredził po pijanemu.

Żona Mike'a natychmiast pojawiła się w oknie. Jack domyślił się, że jest przyzwyczajona do dziennikarzy pod domem. Nie spodziewał się, że przyjmą go z otwartymi ramionami. Wydawało się, że są bardziej rozdrażnieni niż za ostatnim razem. Zaryzykował uśmiech i pomachał jej ręką, ale ona po prostu się odwróciła. Potem zobaczył, jak Mike Corley idzie w jego stronę z zaciśniętymi pięściami, czerwony z gniewu na twarzy.

– Już mówiłem, że nie mamy panu nic do powiedzenia – warknął.

Jack wyciągnął dyktafon.

– Zanim mnie pan uderzy, proszę opowiedzieć, jak to było w Manero's?

Corley zatrzymał się, ściągnął wargi.

– O co chodzi?

– Daj spokój, chłopie, musisz znać tę nazwę. – Współczucie Jacka dla Mike'a jako ojca zbladło po tym, jak wysłuchał opowieści Emmy. – Czytałeś mój artykuł, gdzie napisałem, że nic cię nie łączy z Donem Robertsem?

– No i co? – Corley nerwowo strzelał oczami.

– Teraz wiemy, że jest inaczej. Panie Corley, dlaczego trzymał to pan w tajemnicy?

Pokręcił głową i zrobił krok do przodu, próbował zmusić Jacka, żeby się wycofał.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Wie pan, ale przypomnę, jeśli pan sobie życzy. – Jack nie ruszył się z miejsca. – Manero's to nocny klub z lat siedemdziesiątych.

Pracował tam pan z Donem Robertsem. Jako barman, on był wykidajką. Dlaczego pan mi nie powiedział?

Corley zbladł, wrzucił ramionami. Usiłował ukryć całkowite zaskoczenie, ale po jego minie Jack poznał, że historia

Emmy go trapiła.

– No to co, może i z nim pracowałem. Od tamtego czasu minęły wieki. Skąd mam wszystkich pamiętać? Chryste, to było kilkadziesiąt lat temu.

– Myślałem, że takie rzeczy się pamięta. Razem dobieraliście się do piętnastoletniej dziewczyny. Robiliście to na zmianę, z dzieckiem.

Tym razem Mike poczerwieniał ze złości. Zachwiał się lekko, ale wziął głęboki wdech i się wyprostował.

– Nie mam panu nic do powiedzenia – powtórzył i odwrócił się, żeby pójść do domu.

– Była dzieckiem, panie Corley, a pan razem z Donem pieprzyliście ją, dwóch na jedną. Zaprzeczy pan temu?

Odwrócił się na pięcie.

– Słuchaj, koleś. To nie byłem ja. A ty nie masz żadnych dowodów, więc zjeżdżaj stąd.

– Żadnych dowodów? – zdziwił się Jack, pokręcił głową, wykrzywił usta. – A chodzący, mówiący fragment twojego DNA? A może to DNA Dona?

Corley znieruchomiał, przez chwilę wyglądał na zmieszanego.

– O co panu chodzi?

– Zaszła w ciążę, panie Corley. Dziewczyna, którą braliście na przemian. Na imię miała Emma. Urodziła dziecko. – Jack uniósł brwi. – Przy okazji, to był chłopiec.

Corley cofnął się o krok i sięgnął ręką do swojego samochodu, żeby się oprzeć. Spojrzał przez ramię i popatrzył na żonę, która wyglądała przez okno.

– Niech pan nie robi problemów, panie Garrett. Komuś może się stać krzywda.

– Mam to wszystko nagrane, więc jeśli coś się stanie Emmie, Don będzie pierwszym podejrzanym, a pan następnym w kolejce.

Jasne? – Jack silił się na łagodny ton.

– Niech pan publikuje, co chce. – Mike mówił miarowym,

zimnym tonem.

Jack uśmiechnął się, chociaż serce biło mu jak oszalałe.

– Nie wiem, co trafi na łamy, to nie ja wydaję gazetę, ale będzie miał pan szansę temu zaprzeczyć. Więc dalej, pana wypowiedź, bo na razie wygląda na to, że z Donem Robertsem paskudnie potraktowaliście tę dziewczynę i zniszczyliście jej życie. Nie, nie dziewczynę.

Dziecko.

Corley podszedł i zniżył głos do wściekłego syku.

– Kogo to teraz obchodzi? To prahistoria, tajemnica rodzinna. Nie wiedziałem, że zaszła w ciążę, ale co z tego? Młodzi robią różne głupstwa. Bywa.

– Ale ceną za większość błędów nie jest czyjeś życie – odparował Jack. – Przez tę pomyłkę zginęli ludzie, w tym pańska córka.

Corley znów wyglądał na zmieszanego.

– Nie rozumiem.

– To, co się teraz dzieje, wynika z tego, co zrobił pan wiele lat temu. Więc, panie Corley, proszę o wypowiedź. Chcę usłyszeć pańską wersję tego, co wtedy wieczorem zdarzyło się w klubie.

Przez chwilę myślał nad słowami Jacka, odsunął się.

– Nie opublikujesz pan tego, bo nie masz dowodów. Więc nic nie powiem. A jak jeszcze raz cię tu zobaczę, draniu, będą problemy.

– Brak komentarza czasem też jest wart publikacji – odgryzł się i poszedł do samochodu. Czuł, że Mike za nim patrzy.

Kiedy usiadł za kierownicą, żona Corleya nadal wyglądała przez okno. Jack zastanawiał się, co też facet jej powie.

Zadzwoił do Laury. Corley patrzył na niego z okna wściekłym wzrokiem, palce kurczowo zaciskał na zasłonie.

– Jeśli potrzebne ci powiązanie między Mikiem Corleyem a Donem Robertsem, to je mam – oznajmił.

– Dawaj. – Laura nie przerywała, kiedy opowiadał jej o spotkaniu z Emmą. – Mówiłeś, że jej dziecko zostało oddane do adopcji? – zapytała po chwili.

– Tak. Odebrano jej syna i przekazano przyjacielom rodziny. Raz udało się Emmie go wysledzić, ale tamci nie pozwolili jej się z nim spotkać.

Laura milczała przez chwilę.

– Kiedy to było? – zapytała w końcu.

– Została zgwałcona w siedemdziesiątym szóstym, więc dziecko urodziła w siedemdziesiątym siódmym.

– Pasuje – mruknęła Laura jakby do siebie.

– Co pasuje?

– Jack, jeszcze nie mogę ci powiedzieć, ale dzięki – rzuciła niecierpliwym tonem. – Kto jeszcze wie?

– Tylko jedna osoba. Gliniarz. Abbott. Simon Abbott.

Znów milczenie.

– Lauro?

– Nie zbliżaj się do Abbotta – ostrzegła. – Porozmawiamy później. – Rozłączyła się.

Jack zrobił długi wydech, i schował telefon z powrotem do kieszeni. Wiedział, dokąd teraz się uda. Odjeżdżając, ostatni raz popatrzył na Corleya, akurat w chwili, kiedy tamten puścił zasłonę.

Rozdział 56

Kiedy przyjechali do komendy, Laura nie poszła do wejścia.

– A ty co? – zapytał Joe.

– Chcę znaleźć Idę, matkę Shane’a. – Sięgnęła po komórkę.

– Dzwonił Jack. Pamiętasz to o Emmie w mailach? Niedawno się z nim skontaktowała, przeprowadził z nią wywiad.

– Dlaczego nie przyszedł natychmiast do nas?

– Bo robi swoje – odparła Laura. – A ona z nami pewnie nie chciałyby gadać. Do tej pory nie miała na to ochoty.

– I co powiedziała?

– Mike Corley i Don Roberts kiedyś razem pracowali, jeszcze w latach siedemdziesiątych. Jack zebrał od tej kobiety całą historię.

Miała wtedy piętnaście lat. Corley i Roberts ją zgwałcili.

Joe szeroko otworzył oczy.

– Zgwałcili? Mike Corley i Don Roberts? To pewne?

– Z jednym z nich zaszła w ciążę. Zgadnij, co się stało z dzieckiem?

– Oddała je do adopcji. To Shane?

– Tak mi się wydaje. I chyba przez cały czas miała jednego powiernika. Policjanta. Funkcjonariusza Simona Abbotta. Możliwe, że się myliliśmy. Może Shane rzeczywiście zginął w londyńskim zaułku, a Simon Abbott się mści w imieniu Emmy?

– Simon Abbott?

Laura pokiwała głową.

– Podobno. Znasz go?

– To chłopak z patrolu. Pracuje w śródmieściu, w rejonie złodziei sklepowych. Wzrost by odpowiadał. Ale po co miałyby to robić?

– Jak go znajdziesz, to zapytaj. I sprawdź rozkłady patroli. Są na moim biurku. Zobacz, czy miał służbę, kiedy wysyłano maile z komendy.

– A ty co zamierzasz?

– Będę szukać Idy.

– Carson powiedział, że nie można cię zostawiać samej.

– Nie jestem dzieckiem – obruszyła się. – Teraz, jak mamy nazwisko, powinienes zamknąć drania jak najszybciej.

Joe skinął głową i poszedł do komendy. Laura wsiadła do samochodu i pojechała tam, gdzie, jak się jej wydawało, niedawno widziała Idę.

Planowała zaparkować gdzieś niedaleko śródmieścia i dalej pójść pieszo. Ida słabo zna Blackley, więc powinna trzymać się głównych ulic. Może nawet nie wyjdzie poza centrum handlowe. Laura popatrzyła na zegarek. Piąta. Zostawiła auto w jednym z piętrowych garaży i ruszyła na piechotę.

Zobaczyła ją po pół godzinie, kiedy tłum zrzędł i zaczęto zamykać sklepy. Ida nie była sama. Towarzyszyła jej druga kobieta, wyższa, młodsza. Rozmawiały, Grix zerknęła na przechodniów. Laura śledziła je parę minut i wtedy zrozumiała, że Ida patrzy tylko na mężczyzn, jakby szukała śladu Shane'a,

adoptowanego syna.

Szły powoli, aż dotarły do końca rzędu sklepów. Kiedy zawróciły, Ida stanęła jak wryta. Zobaczyła Laurę. Zaczęła się rozglądać, jakby szukała drogi ucieczki. Jej towarzyszka wyglądała na zmieszaną, a potem rozgniewaną, kiedy Laura podeszła do Idy i łagodnie chwyciła ją za łokieć.

– Pani Grix, musimy porozmawiać.

– Kim pani jest? – zapytała ze złością druga kobieta.

– W porządku – powiedziała Ida i dodała: – Co pani tutaj robi? – Na jej twarzy strach mieszał się ze zdziwieniem.

– Pracuję. Pytanie brzmi raczej: co pani tu robi? – Kiedy Ida odwróciła wzrok, Laura pociągnęła ją na bok. – No dobrze, pozwólcie panie, że postawię wam coś do picia.

– Kim pani jest? – wtrąciła się znów ta druga.

– Detektywem. Wczoraj rozmawiałam z panią Grix o Shanie – odparła Laura, uważnie przyglądając się twarzy kobiety. Pamiętała ją ze zdjęć w domu Griksów. – Siostra Shane’a?

Amanda zbladła, kiwnęła głową, ale nic nie powiedziała.

Ida pozwoliła się zaprowadzić do małej kawiarenki w pasażu handlowym, córka posłusznie poszła za nią. W kawiarni panował tłok, choć część klientów powoli zbierała się do domu. Trudno było przejść między stolikami, na podłodze stały torby i pudła. Znalazły miejsce z tyłu i Laura poszła po coś do picia. Po chwili wróciła.

– Porozmawiaj ze mną, Ido – zaczęła.

Kobieta westchnęła, przez moment patrzyła w dół, a kiedy podniosła wzrok, w oczach miała łzy.

– Czy to Shane? – wymamrotała.

– Dlaczego pytasz?

– Bo czytałam to wszystko w gazetach. Pisali, że doktor Barker został zamordowany przez kogoś stąd. Wyglądało to tak, jakby to zrobił Shane, ale to nie mógł być on, bo nie żyje.

– Czy wtedy policja miała całkowitą pewność?

– Twierdzili, że są pewni, pokazali parę jego rzeczy. I wydawało się, że mają rację, bo syn już nie wrócił do domu. Wtedy

nie widziałam powodu, żeby myśleć, że się mylą.

– Ale teraz nie jesteś o tym przekonana?

Upiła łyk kawy, zanim odpowiedziała. Nie podnosiła wzroku.

– Doktor Barker przypuszczał, że to Shane, tak sędzę, a to był mądry człowiek, więc jeśli tak uważał, hm, to może tak jest.

– I dlatego tu przyjechałaś – stwierdziła Laura.

Ida zaczęła stukać w brzeg kubka. Wyraźnie zbierało się jej na płacz. Miała przygnębioną minę.

– Chcę go znaleźć – powiedziała. – Rozumiem, według ciebie to on zabił te dziewczyny, a jeśli zabił, musi za to zapłacić... ale to mój syn. Nie z krwi i kości, jednak to ja go wychowywałam. Byłam dla niego matką, traktuję go jak własne dziecko.

Amanda prychnęła ze złością.

– A on się na ciebie wypiął.

– Nie mów tak – skarciła ją Ida urażonym tonem.

– Och daj spokój. Uciekł, kiedy tylko mógł, i zniszczył wszystko.

– To był dobry dzieciak. Tylko inny.

Amanda odsunęła się i nachmurzyła.

– Podglądał mnie, jak się przebierałam – powiedziała. – Nie mówiłam ci, bo nie sądziłam, że to ważne. Biłam go, jak go przyłapałam.

Uchyłał drzwi i gapił się przez szczelinę.

– Nieładnie tak mówić – spiorunowała córkę wzrokiem.

– Ale jeśli żyje i zabił te dziewczyny, to znaczy że zawsze był taki – skwitowała gorzko Amanda i skrzyżowała ręce. – Tak sobie myślę, że powinnaś o tym wiedzieć.

Laura zobaczyła w tym urazę biologicznego dziecka pani Grix, że to na tamtym bęcwanie skupiała się cała uwaga matki.

– Co zrobisz, jak go spotkasz? – zapytała.

Ida wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Opowiedz, jak doszło do adopcji. – Laura zobaczyła w oczach kobiety panikę, jakiś dawno zapomniany strach, który nagle

znów się pojawił.

– Ale o co chodzi? – zapytała Ida.

– Tylko o to.

Amanda popatrzyła na Laure, potem na swoją matkę. Była zmieszana.

Ida mocno zaniepokojona jeszcze mocniej objęła filiżankę dłońmi.

– Nie interesuje mnie, czy to było niezgodne z prawem – wyjaśniła Laura. – Chcę tylko, żebyś powiedziała, jak to wyglądało.

Ida przez chwilę patrzyła na Amandę z milczącą prośbą o wybaczenie, potem się odezwała.

– Matką Shane’a była młoda dziewczyna stąd, z Blackley. Na imię miała Emma. Nie mogła go sama wychowywać. Matką Emmy była moja stara koleżanka ze szkoły, ona to zaaranżowała.

Potwierdzały się słowa Jacka, pomyślała Laura.

– Jak?

Kobieta westchnęła i wytarła nos.

– Uzgodniłyśmy, że jak dziecko się urodzi, wezmę je i wychowam jak własne. Mieliśmy Amandę, ale długo musieliśmy na nią czekać, baliśmy się też, że później będziemy za starzy na adopcję, więc takie rozwiązanie wydawało się najlepszym sposobem. Wszystkim to odpowiadało.

– Nie odpowiadało matce dziecka – zaprotestowała Laura.

Ida pokręciła głową i chlipnęła.

– Nawet pieniądze, które daliśmy, zostały roztrwonione.

– Jak to: kupiłaś Shane’a? – Amanda patrzyła na nią z niedowierzaniem.

Ida podniosła wzrok, na jej twarzy malował się wstyd.

– Miałam zapewnić Emmie nowy początek. Podpisała papiery... – powiedziała Ida. – Ale ostatecznie to wszystko źle się dla niej skończyło.

– Jak to?

– Z początku utrzymywaliśmy kontakt z tą moją koleżanką ze szkoły, ale przestała do nas dzwonić, bo Emma po prostu

przepuszczała pieniądze na picie, potem doszły narkotyki. Chcieliśmy dziewczynie pomóc, a zaszkodziliśmy. Z kolei jak Shane się dowiedział, zrobił się jakby bardziej okrutny, bardziej gniewny, tyle że w jego przypadku, inaczej niż u większości ludzi, wściekłość inaczej się objawiała. Nie krzyczał, nic z tych rzeczy, kipiał w środku. Tak, właśnie tak. Złościł się po cichu, później strasznie wyzywał się na mnie. Ginęła biżuteria, którą lubiłam; znajdowałam ją zniszczoną, potrzaskaną. Cały Shane.

Laura złapała Idę za dłoń, poczuła drzenie jej palców.

– Wiem, że robiłaś, co mogłaś.

Spojrzała Laurze w oczy – z niepokojem, żalem, poczuciem winy za decyzję podjętą przed tyłoma laty.

– Myślisz, że to Shane? – zapytała cicho.

Laura mocniej ścisnęła jej dłoń i skinęła głową.

– Tak jak mówiłaś, doktor Barker uważał, że zabójcą jest Shane, i tego samego dnia sam zginął. Więc jeśli spotkasz Shane’a, pamiętaj, to niebezpieczny człowiek. Nie próbuj z nim rozmawiać. Zadzwoń do nas. – Ida z początku nie odpowiadała, więc Laura potrząsnęła jej ręką. – Obiecuj mi to.

W końcu pani Grix pokiwała głową i spuściła wzrok, ale Laury nie przekonała jej reakcja, bo kobieta puściła jej rękę i znowu obronnie objęła dłonią filiżankę.

– Masz jakieś zdjęcie Shane’a?

Ida przytaknęła i sięgnęła do torby. Wyjęła małą kolorową fotografię z zagiętymi rogami, tak jakby całe popołudnie ścisnęła ją w rękę, porównując chłopczyka z mężczyznami po trzydziestce, którzy przechodzili obok. Laura popatrzyła na zdjęcie. Przechylna głowa, potargane blond włosy, lekki uśmiech, jak gdyby dzieciak wiedział o czymś, o czym nie wie nikt inny.

– Podrzucić was gdzieś?

– Mogłabyś nas zawieźć do matki Emmy? Jest teraz w domu spokojnej starości. Mam adres. – Ida wyjęła z torebki kawałek kartki.

Laura uśmiechnęła się i poklepała ją po rękę.

– Oczywiście.

Rozdział 57

Jack wbiegł do redakcji „Blackley Telegraph”, uruchomił brzęczyk przy drzwiach i rzucił uśmiech kobiecie w recepcji.

– Jack, zamykamy – powiedziała, sięgając po torebkę.

– Wiem, przepraszam – wysapał. – Jest Dolby?

Uśmiechnęła się i skinęła głową, więc Jack minął ją pędem.

Dolby stał przy oknie, rozmawiał z jedną z pracownic z działu do spraw sprzedaży, która wkładała płaszcz. Popatrzył na Jacka, już miał coś powiedzieć, kiedy ten wskazał na jego gabinet.

– Najpierw ja.

Pchnął drzwi, wparował do środka i zaczął chodzić w tę i z powrotem.

Dolby wszedł wolnym krokiem.

– Skąd ten pośpiech, Jack? – zapytał swobodnie, chociaż było widać, że jest spięty. – Tak samo jak ty głowią się nad tym pieprzonym tekstem o Whitcroft – powiedział i usiadł ciężko. Fotel zatrzęszczał, kiedy się w nim rozparł, kładąc stopy na biurku.

– Mam coś lepszego, to ma związek z zabójstwami – oznajmił Jack.

– Ale nie taki artykuł zamówiłem. – Dolby podniósł głos.

– Zapomnij. Ta historia jest dużo lepsza. – I Jack opowiedział mu o Manero’s i związku między Donem Robertsem a Mikem Corleyem.

Naczelnny się skrzywił i zaczął ironicznie klaskać.

– Dobra robota. Warta nagrody, ale za słaba do tej gazety. Wszystko oparte na urazach jakiejś starej pijaczki. Nie zdołamy udowodnić, że to prawda. Nie możemy puszczać takiego materiału bez twardych dowodów, bo przegramy proces o zniesławienie.

– Więc mamy po prostu machnąć na to ręką?

– Jack, to jest gazeta, a nie jakaś grupa wsparcia ofiar. Musimy utrzymać się na powierzchni. Prasa wymiera i ty o tym wiesz.

Wystarczy mocny kopniak od sądu okręgowego, żeby nas wykończyć.

– A jeśli znajdę dowody?

Dolby westchnął, wyprostował się, położył dłonie na biurku.

– Jak ci się uda, znowu się temu przyjrę, ale na razie to tylko plotka z pubu.

Siedział w furgonetce. Czekał. Niedługo powinna się pojawić.

Dzień spędził beczynn timer, próbował uciszyć zgiełk w głowie. Czasem udawało mu się zepchnąć hałas w głąb, ale to wymagało koncentracji, a jemu nie chciało się podejmować takiego wysiłku. Głosy nieustannie skandowały, namawiały go, żeby ją zabił, że jeszcze ta jedna i będzie miał wzlot, którego potrzebował. Nie wierzył, za często był w dołku, ale ta żądza siedziała w nim cały dzień, niespełniona od poprzedniego wieczoru.

Było za spokojnie, jakby świat czekał na jego działanie. Przed przednią szybą tańczyła mucha, usiadła na szkle. Nachylił się, żeby włączyć wycieraczki i się jej pozbyć, ale się zatrzymał. Zostaw, pomyślał. Patrzył, jak mucha łązi po szybie; miał wrażenie, że ją słyszy, leciutkie chrobotanie na szkle.

Zamknął oczy. To pewnie brak snu. Już tego nie wytrzyma. Ale jak miał spać z tymi pieprzonymi hałasami? Szepty, potem krzyki.

Szybko otworzył oczy. Nie wolno mu zasnąć. Nie teraz. Wiedział, że nie może dłużej czekać.

Kiedy znowu o niej pomyślał, poczuł, że podniecenie narasta. Towarzyszyło mu cały dzień, jak ból, ale teraz się nasiliło.

Zerknął na miejsce dla pasażera. Leżały na nim kajdanki i rękawiczki. Czy to ostatni raz, zakończenie porównywalne do pierwszego razu?

Uśmiechnął się. Już niedługo.

Rozdział 58

Laura podrzuciła Idę i jej córkę do domu spokojnej starości, w którym mieszkała matka Emmy, i postanowiła zostawić je same. Zresztą zapadał już wieczór i spieszyła się z powrotem do

komendy.

Dom spokojnej starości znajdował się nad kanałem, niedaleko siedziby policji, więc żeby wrócić jak najszybciej, musiała tylko przejechać przez dzielnicę przemysłową. Chciała być na miejscu, gdyby trop prowadzący do funkcjonariusza Abbotta okazał się użyteczny. Jej trasa biegła wzdłuż ciemnej wstęgi kanału. Przy ścieżce holowniczej długie trawy falowały na wodzie, muchy brzęczały wokół czegoś na powierzchni. Zahamowała na skrzyżowaniu, spojrzała przed siebie i zobaczyła znajomą postać uprawiającą jogging.

Głowa podskakiwała w górę i w dół w rytm kroków. Rachel Mason.

Laura przyglądała się, jak policjantka przebiega obok. Kucyk dziewczyny kołysał się na plecach kamizelki z lycry. Umieśnione barki, butelka z wodą w dłoni, cienkie białe przewody słuchawek podłączonych do odtwarzacza przymocowanego do taśmy na ramieniu.

Laura odwróciła wzrok. Nie musi oglądać jędrnego tyłeczka Rachel, żeby pamiętać, że sama nie jest we właściwej formie.

Popatrzyła na swoje odbicie w lusterku wstecznym.

Te zmarszczki śmiechu już nie chcą zniknąć. Przypomniał się jej ostatni jogging, zadrzała.

Rachel pokazała się w lusterku wstecznym. Słońce było nisko, więc Laura musiała mrużyć oczy, wieczorne światło podkreślało kontury.

Wrzuciła bieg i ruszyła. Po drodze zaglądała w boczne ulice prowadzące do kanału. Na następnym skrzyżowaniu się zatrzymała.

Patrzyła przed siebie, czekała na lukę między samochodami, kiedy coś ją zaniepokoiło, jakieś przecucie, że nie powinna dalej jechać. Czy zobaczyła coś w jednej z pustych ulic? W myślach odtworzyła drogę, próbując przypomnieć sobie obrazy. Przejeżdżała tylko obok długich pasów budynków przemysłowych, paru wielkich magazynów z ciężarówkami zaparkowanymi za

wysokimi płotami, kilku małych kwadratowych ceglanych domów. Ale dostrzegła też coś, co rozpoznała.

Zerknęła na zegarek. Musi wrócić do komisariatu. Już miała odegnąć wątpliwości i pruć dalej, ale się powstrzymała. Być policjantem znaczy kierować się instynktem, iść za nim. A jej instynkt podpowiadał, że coś jest nie tak.

Wyczuła coś za sobą, znów spojrzała w lusterko wsteczne. Z jednej z bocznych ulic właśnie wyjeżdżała mała brązowa furgonetka.

Widać było tylko maskę. Ledwie ją zobaczyła, falą wróciły złe wspomnienia. Ten kolor, ponury, zmatowiały, z plamkami rdzy wokół reflektorów. Zaszło jej w ustach, dłonie zaczęły się ślizgać na kierownicy. To ten samochód omal jej nie potracił, kiedy biegała.

Wyglądało tak, jakby na coś czekała, spaliny z rury wydechowej leciały do przodu. Czy ją śledzi? Jeśli tak, to od jak dawna? Rzuciła okiem na kieszeń w drzwiach, szukając czegoś, co mogłoby jej posłużyć za broń. Nic.

Otworzyła telefon, ręce jej drżały, kiedy wybierała numer.

– Joe, on tutaj jest. – Próbowała mówić spokojnie, ale oddech miała płytki, w żyłach buzowała adrenalina.

– Kto taki?

– Facet w furgonetce. Nadawca maili. Stoi za mną.

– Gdzie jesteś?

– Przy kanale. Pendle Street.

– Nie zatrzymuj się. Niech za tobą pojedzie. Sama nie podejmuj żadnych działań. Wyślemy tam kogoś.

Powoli dodała gazu, cały czas spoglądając w lusterko wsteczne. Furgonetka cały czas stała, spaliny kłębiły się z przodu. Laura zacisnęła dłonie na kierownicy, czekała aż tamten samochód ruszy za nią, ale zaczął zawracać. Potem znów go zobaczyła. Nie miał tablicy rejestracyjnej.

Kłęby spalin zaciemniały tylną szybę. Patrzyła, jak furgonetka wolno jedzie w stronę zakrętu, którym oddali się od kanału. Kiedy brązowe auto zniknęło jej z pola widzenia, zdążyła

jeszcze po raz ostatni zobaczyć Rachel biegnącą ścieżką holowniczą, sam czubek jej blond włosów.

– Joe, pojechał inną drogą.

– Już do ciebie jadą radiowozy.

– Tam jest Rachel.

– Gdzie?

– Biega. On jedzie za nią.

– Cholera. Spróbuj ją jakoś ostrzec.

– Dobra. – Zawróciła wóz na jezdni. Zastanawiała się, którą trasę wybierze furgonetka.

Droga prowadziła głównie wzdłuż kanału, bo dawniej z jednej stały tu fabryki, z drugiej było nabrzeże. Teraz na ulicy panował spokój, bo to, co tak długo utrzymywało ruch na kanale – przemysł bawełniany – obumarło, i zostały zaledwie spłachcie niezabudowanych działek i od czasu do czasu jakieś opuszczone budynki. Dalej wznosiły się nowe domy, wystylizowane na kamienne chaty, ale na tym sprawa się kończyła. Renowacja posuwała się w żółtym tempie.

Laura zachowywała dość dużą odległość od furgonetki, nie chciała wypłoszyć kierowcy. Próbowwała coś dojrzeć na ścieżce holowniczej, sprawdzić, czy Rachel nadal na niej jest, ale kanał skręcał, więc widziała tylko na dwadzieścia metrów do przodu. Popatrzyła na ulicę. Pomyślała, że droga wraca nad kanał jakiś kilometr dalej, tuż przed domami.

Jechała obok pustych murów starych fabryk, z dachami, z których zostały tylko krokwie, z oknami zaślepionymi blachą, żeby ludzie nie wchodzili do środka. Ale oni i tak znajdowali sposób, żeby tam się dostać, więc blacha trochę odstawała. Laura domyśliła się, że wnętrza są zaśmiecone zużyтыми igłami i puszkami po piwie.

Kiedy droga znów zawinęła w stronę kanału, Laurą szarpnęło. Nie zobaczyła furgonetki. Przecież już powinna ją dogonić. A gdzie Rachel? Do tej pory i ona powinna się pojawić. A jeśli się zatrzymała, żeby odpocząć? A może jest już dalej, prawie w domu?

Droga zbliżała się do kanału. Laura zobaczyła tam miejsce parkingowe przed paroma starymi drewnianymi pachołkami, prawie całkiem zasłoniętymi pnączami jeżyn. Wysiadła z samochodu i się rozejrzała. Pusto. Wieczne godziny szczytu minęły. Wokół gromadziły się cienie, kiedy próbowała się zorientować, gdzie jest. Zdenerwowała się, kiedy uświadomiła sobie, na jakie zadupie trafiła.

Zatrzymała się przy brzegu, popatrzyła w lewo, w prawo. Kiedy się obracała, żwir chrupał cicho pod jej stopami, ale odgłos wydawał się głośniejszy – odbijał się od powierzchni wody i wysokiej ściany po drugiej stronie. Co miałyby powiedzieć, gdyby Rachel wyłoniła się zza zakrętu? Tyle że się nie wyłoniła. Wokół całkowita cisza, nie licząc szmeru gałęzi spływających kanałem. Tylko one mąciły ciemną wstęgę wody, skręcającą w stronę ciężkich czarnych wrót śluzy, które Laura widziała w oddali. Rachel nie mogła dotrzeć tak daleko w tak krótkim czasie.

Laura odwróciła się niepewna, co robić. Czekwała na zawołanie syren.

Potem usłyszała hałas, jakby krzyk i uderzenie.

Zmysły miała wyostrzone, próbowała wysledzić źródło dźwięków. Dochodziły gdzieś z tyłu, stamtąd skąd przyjechała. Powoli poszła ścieżką holowniczą, wypatrywała cieni poruszających się w krzakach przy ścieżce, czekała na atak. Żałowała, że nie wzięła ze sobą gazu pieprzowego. Ścieżka holownicza prowadziła wzdłuż pustej działki i dalej, obok starej fabryki z dziurami w dachu i oknami, jak wszędzie, zabitymi blachą.

Wyteżała wzrok, nasłuchiwała. Przed nią rosły jakieś rozłożyste krzaki, ale zorientowała, że hałas dobiega z bardziej odległego miejsca. Szła, odganiając muszki cieszące się ostatnimi promieniami słońca. Stara fabryka stała jakieś sto metrów dalej, ale Laura słyszała tylko chrzęst pod stopami i nerwowy świst własnego oddechu. Czuła bicie serca, jakby ktoś od środka stukał ją w żebra.

Wtedy ją zobaczyła, furgonetkę. Jej tył ledwie było widać

za fabryką.

Pobiegła, każda komórka ciała sygnalizowała, że coś jest nie tak. Oddychała szybciej; napędzana adrenaliną wyteżała siły, żeby jak najszybciej dostać się do fabryki.

Przywarła do muru, ogarnął ją cień. Spojrzała wzdłuż ceglanej ściany. Ręką otarła śliskie od potu czoło. Skradała się, z plecami przy murze, próbowała uciszyć oddech, w rękę trzymała telefon, gotowa zadzwonić, gdyby zauważyła coś, co należało zgłosić. Przez koszulę czuła zimne cegły, plecy miała lepkie. Ziemia była nierówna, zaśmiecona petami i puszkami po piwie. Niedaleko leżała torba, chyba po kleju. Laura starała się zachowywać jak najciszej, jej kroki lekko poskrzypywały jak na wilgotnej trawie. Kiedy doszła do końca muru, powoli wysunęła głowę. Stała tam furgonetka; silnik wyłączony, drzwi zamknięte.

Laura przez sekundę wpatrywała się w ziemię, zastanawiała się, co zrobić. Była zdana na siebie, ale wiedziała, że liczy się czas.

Potem znów spojrzała wzdłuż muru i coś jeszcze dostrzegła. Stare drzwi, oparte o otwór okienny, niezakryty jednak blachą jak inne okna.

Wyglądało na to, że tamtędy mogła się dostać do środka.

Powoli poszła w tamtą stronę; idąc, spoglądała za siebie, nadal trzymała się plecami przy ścianie.

Odchyliła stare, rozłupane drzwi i spojrzała w mrok wnętrza fabryki. Musiała przyzwyczaić wzrok; trochę światła padało zza jej pleców, ale i tak w środku było ciemno. Domyślała się jednak, że budynek jest wielki i pusty. Szarpnięcie za drzwi odbiło się echem w pustej przestrzeni. Wzdłuż ścian widniały prostokątne jasne kontury światła – resztki światła dziennego wpełzały przez szpary wokół blach, a przez dziury w dachu wpadały promienie oświetlające pył wzbity ruchem drzwi.

Znowu coś usłyszała. Szuranie po podłodze, cichy krzyk. Nie, nie krzyk. Stłumiony wrzask.

Wdrapała się na szeroki kamienny parapet i weszła do środka. Rozejrzała się po ścianach, żeby się upewnić, że nikt na nią się nie czai.

– Hej, jest tam kto? – zawołała. Odpowiedziało jej echo. Wyjęła z kieszeni komórkę. Stłumione wrzaski znów się odezwały, szamotanina, stopy kopiące o podłogę. W głębi budynku coś się działo, w okolicach ściany z drugiej strony. Ktoś przykucał, coś się szarpało, gwałtownie trzepotało.

– Przestań! – Laura rzuciła się biegiem w stronę, z której dochodziły krzyki. Na podłodze leżało mnóstwo śmieci i luźnych kabli z metalowymi obejmami sterczącymi do góry, ale wiedziała, że nie może się potknąć. Wystukała numer alarmowy w telefonie i krzyknęła, gdzie jest.

Im dalej się zagłębiała, tym było ciemniej, ale po chwili zobaczyła jakiś kształt. Dwadzieścia metrów od niej ktoś leżał na podłodze, miotał się, kopał.

Wrzasnęła. Czyjś cień zbliżał się do niej, rósł.

To był mężczyzna, poznała po wzroście. Znów zerknęła w dół – na podłodze nadal ktoś leżał. Resztki światła spływającego przez dziurę w dachu oświetlały jasną skórę. Znowu rozległy się stłumione krzyki. Laura wreszcie zrozumiała, co widzi: na betonie kuliła się Rachel.

– To koniec! – ryknęła, podchodząc bliżej. – Zostaw ją.

Facet – ubrany chyba na czarno – był ledwie widoczny w słabym świetle, ale Laura domyślała się, że zbliża się do niej.

– Ani kroku dalej! – Rozsunęła łokcie, żeby wyglądać na większą. – Jesteś aresztowany. Już po tobie. – Zadrzała i włoski na karku stanęły jej dęba, kiedy usłyszała rechot, głęboki i podły. Nastawiła uszu i wychwyciła odległe zawodzenie syren. Ale błysku niebieskich świateł nie widziała. Była tylko ona i cień, teraz jakies pięć metrów od niej. – Już jadą – wychrypią. – Skończone.

Cień ruszył na nią. Miała do wyboru: uciekać albo walczyć. Wybrała walkę. Przez głowę przemknęły jej wszelkie chwytysamoobrony, które zna. Obrazy przepychały się, żeby zwrócić na nie uwagę, ale teraz mogła jedynie zdać się na instynkt. Zrobiła krok do przodu. Wtedy to zobaczyła. Uniesione ramię. Coś trzymał. Celował. Znieruchomiała, wstrzymała oddech. Znów rozległ się rechot.

Powietrze przeciął świst, jej ciało odmówiło posłuszeństwa. Ręce opadły, nogi zeszywniały, w klatce poczuła ostry ból. Zaczęła lecieć do tyłu, dziury w dachu zawirowały, mięśnie przestały działać. Nic nie działało. Twardo runęła na beton, dostała skurczów, stopami kopała w podłogę, zęby miała zaciśnięte. Nie mogła nic zrobić, kiedy podszedł do niej ciężkim krokiem. Mózg zarejestrował, że stoi nad nią, patrzy w dół, głowę ma przechyloną.

Rozdział 59

Laura uniosła głowę nad podłogę, spróbowała przetoczyć się na brzuch. Skurcze już minęły, ale była wyczerpana i spocona.

Ubranie lepiło się jej do piersi. Rąbnęła na beton, więc teraz niepewnie dotknęła głowy. Skrzywiła się, czując pod palcami wilgotne włosy.

Zdała sobie sprawę, że to lepkie to krew.

Napastnik już uciekł, a przynajmniej tak się wydawało. Syreny wyły coraz głośniejsze. Musiał się zmyć przed przybyciem radiowozów.

Potarła się po piersi. Wiedziała, co ją obezwładniło. To nie był pistolet, a przynajmniej nie na kule. To taser, dwa przewody elektryczne z cienkimi igłami na końcach. Wbiły się w jej pierś. Sparaliżowały mięśnie. Upadła w skurczach na podłogę. Stanął nad nią, żeby wyciągnąć igły, potem zwiął.

Stękając, ukłękła. Ciężko dyszała. Włosy zwisały jej w mokrych strąkach, przyczepiały się do czoła. Na czworakach podeszła do postaci na podłodze. Rachel leżała skulona, dławiła się.

– Przepraszam, przepraszam – wyszeptala Laura, łzy spływały jej po twarzy. Sięgnęła do ust dziewczyny i zaczęła wygrzebywać żwir i kamyki, wyrzucać je na podłogę. Palce pokryły się jej śliną i wymiocinami. Wyjęła tyle, że resztę Rachel mogła wypluć. Objęła ją, kiedy ta krztusząc się, pluła na podłogę.

Rachel zawodziła i wydawała z siebie krótkie jęki, gdy powietrze torowało sobie drogę do jej płuc. Laura przytulała ją, próbowała pocieszyć, ale sama też płakała. Dziewczyna nadal miała skute ręce. Musiała się godzić na to, że Laura trzyma ją w

objęciach.

Potworność tego, co się stało, wstrząsnęła Laurą.

– Powinna tu być wcześniej, przepraszam. Już po wszystkim.

Rachel trzymała głowę opartą o ramię Laury, mocząc jej koszulę łzami.

Gdzie jest policja? Wyjęła telefon i wystukała numer Joego, ale kiedy czekała na połączenie, poczuła mdłości. Zrozumiała, że nie da rady przekazać mu informacji. Nie mogła dzwonić, kiedy dziewczyna płacze i wymiotuje obok niej, ale nie mogła jej też zostawić, nie tutaj, samotnej, w ciemnej opuszczonej fabryce.

Pomyślała o radiowozach, które są w drodze, o kolegach Rachel, którzy do nich jadą. Komórką oświetliła Rachel. Dziewczyna nadal była ubrana w kamizelkę, chociaż podartą, ale poniżej pasa nie miała na sobie nic, nie licząc butów do biegania. Na wewnętrznej stronie ud widniały czerwone zadrapania, jej skóra świeciła blado w świetle ekranu.

– Są gdzieś jeszcze kamienie? – zapytała cicho Laura.

Rachel popatrzyła na nią, wargi jej drżały, wokół szeroko otwartych ze strachu oczu miała czerwone obwódki. Powoli pokiwała głową i spojrzała w dół.

Laura na chwilę zacisnęła powieki i też pokiwała głową. Starła się zapanować nad sytuacją.

– Zostawię je tam – powiedziała. – Dasz sobie z tym radę? Czy mam wyciągnąć?

Rachel gwałtownie pokręciła głową i znowu zaczęła szlochać.

Laura przyciągnęła ją do siebie. Pozwoliła dziewczynie wypłakać się sobie na piersi, głaskała ją po głowie, próbowała pocieszyć.

Wiedziała jednak, że to na nic. Rachel już nigdy nie wróci do siebie i trzeba będzie czegoś więcej niż przytulanie i pocieszanie, żeby poprawić jej stan.

Kiedy dźwięk syren się przybliżył, Laura odsunęła się, żeby zdjąć żakiet. Okryła nim Rachel, żeby ta mogła zachować chociaż

resztkę godności, kiedy jej koledzy wpadną do budynku.

Laurze zrobiło się zimno. Ale nie dlatego, że nie miała na sobie żakietu. Czuła dreszcz gniewu. Mocniej przytuliła Rachel.

Zastanawiała się, czy cokolwiek będzie takie samo po tym, co się stało z Rachel. Po tym, co o mały włos nie stało się z nią.

Rozdział 60

Jack stał przed barem, który kiedyś nazywał się Manero's, kiedy dostał telefon. Czekał, aż ochroniarz otworzy drzwi. Zamierzał popytać o Dona Roberta. Liczył na to, że ktoś jeszcze pamięta dawne czasy. Miał już załączek dobrego reportażu, ale chciał jeszcze to wyostrzyć, dla Emmy, żeby choć częściowo oddać jej sprawiedliwość.

Zerknął na komórkę. To Laura. Odebrał, ale nikt się nie odezwał.

– Laura? Jesteś tam?

Kilka głębokich oddechów i wreszcie: – Muszę się z tobą spotkać, Jack. – Głos miała napięty.

– Wszystko w porządku?

Chwila ciszy.

– Nie, nie w porządku.

Jack poczuł ukłucie paniki, żołądek podszedł mu do gardła.

– Gdzie jesteś?

– W szpitalu.

– Zaraz tam będę. – Pobiegnął do samochodu.

Jazda nie zajęła mu dużo czasu, bo w pośpiechu ścinał wszystkie zakręty, nie hamował na pomarańczowych światłach ani nie zwalniał przed fotoradarami. Zostawił samochód na najbliższym parkingu i pognął do izby przyjęć. Minął rzędy krzesel zajętych przez pacjentów. Ludzie się użalali, ale recepcjonistka za kontuarem niespecjalnie się nimi interesowała.

Dowiedział się, że Laurę zabrano tuż po jej telefonie. Usłyszał ją, a kiedy odsunął zasłonę, zobaczył, jak się krzywi, kiedy lekarz dyżurny zakłada ostatni szew na małym skrawku wygolonej skóry z tyłu głowy.

– Proszę bardzo, gotowe – oznajmił lekarz z silnym

indyjskim akcentem. – Trocinki nie wypadną – dodał zbyt wesoło i Laura sztucznie się uśmiechnęła.

– Mogę porozmawiać? – Wskazała na Jacka.

Lekarz się zawahał, ale po chwili kiwnął głową i ich zostawił. Laura mocno objęła Jacka.

– Co się stało? – wyszeptał, przyciągnął ją do siebie.

Odsunęła się.

– Zaatakował Rachel. Była jego kolejną ofiarą, ale mu przeszkodziłam.

– Jak to? – wymamrotał zaskoczony.

Pokręciła głową.

– Później wszystko ci opowiem, ale na pewno sam potrafisz sobie wyobrazić. – Znów wyglądała bezradnie. – Niebezpieczeństwo to część tego zawodu, wiem, ale teraz to było co innego. To przemoc seksualna. To zbyt osobiste. Właśnie mnie zszyli, ale co czeka Rachel? Będzie sondowana i badana, będą szukali ran, dowodów, tych małych śladów, które pozostają. Zgwałcą ją dzisiaj po raz drugi.

I dlaczego? Żeby wnieść sprawę i zamknąć kogoś na ile, dwadzieścia lat?

Jack nie odpowiedział, wiedział, o co jej chodzi. Sędzia powie dożywocie, ale czy jakiś przestępca siedział kiedyś tyle za kratkami?

Zawsze znajdzie się ktoś o łagodnym spojrzeniu, ktoś kto uszczęśliwia ludzi na siłę, wstawi się za nim, będzie walczył, żeby faceta zwolniono, powie, że to niehumanitarne zapuszkować kogoś na zawsze. Nawet Rozpruwacz z Yorkshire znalazł sobie obrońcę, jakby porcyjka żalu mogła jakoś wyrównać śmierć trzynastu osób. Jack uważał, że niektórzy nigdy nie powinni wyjść z więzienia, bo zrezygnowali ze swojego prawa do przyzwoitego życia, ale czasem wystarczało, żeby wspomnienia zbladły, prasa zapomniała i zabójcy znów chodzili po ulicach. Co będzie z tą sprawą, jeśli go w ogóle złapią? Co z Deborah i Jane? A teraz Rachel. Będzie nosiła te blizny przez całe życie, długo po tym jak zagoją się rany fizyczne. Dlaczego to jakby w ogóle nie miało znaczenia?

Oboje się rozejrzeli, kiedy usłyszeli głos za zasłoną. Potem zobaczyli znajomą twarz. Joe Kinsella. Wyglądał na zmieszanego, miał zbolaną minę.

Laura westchnęła i odsunęła się od Jacka. W oczach błyszczały jej łzy. Joe zacisnął zęby, próbował zapanować nad uczuciami.

Jack wycofał się z kubika, nie chciał pogłębiać smutku Joego. Nikt jednak nie zaciągnął zasłony, więc widział, jak Joe rozmawia z Laurą, posyła jej wymuszony uśmiech. Kinsella był na skraju załamania, ale w miejscu publicznym starał się jakoś trzymać.

Laura objęła go, a on przytulił się do niej.

– Przepraszam, Joe – wyszeptła. – Powinnam być tam szybciej.

Joe odsunął się i ujął jej dłonie.

– Nie, ty ją uratowałaś – powiedział cicho. Głos mu drżał. – Nie wiem, jak teraz sobie poradzi, ale to że w ogóle żyje, to twoja zasługa.

Uśmiechnęła się do niego słabo.

– To co teraz?

Joe puścił jej ręce, wzrok mu stwardniał.

– Złapiemy go, i tyle.

– Ale jesteśmy w to za bardzo zaangażowani. Możemy popełniać błędy, to będzie nas prześladować, bo nas wplątał w grę.

– Nie – powiedział Joe surowszym tonem. – To będzie nas prześladować, jeśli za nim nie ruszymy. Widziałas go, Lauro. Możesz nas podprowadzić bliżej. Możesz go opisać. Masz dyktafon w swoim telefonie?

Skinęła głową.

– Dobrze. Idź gdzieś, gdzie jest spokój, gdzie możesz zamknąć oczy i się wyciszyć. Tak jak mówiłaś Angel, myśl o nim. O jego wieku. O jego wzroście. O jego zapachu. O tym, jaką miał posturę. To wszystko może nam pomóc go namierzyć. Zrób to, a potem przekaz Carsonowi.

Laura zgodziła się, chociaż ze strachu przed takimi

wspomnieniami żołądek podchodził jej do gardła.

– W porządku. A ty?

Joe pogładził się po zaroście.

– Zostanę z Rachel, żeby mieć pewność, że da sobie radę. – Do oczu napłynęły mu łzy, spuścił wzrok i przygryzł wargę. Poczekał, aż kryzys minie. – Nie jestem pewien, czy w tej chwili to właśnie ja powinienem przy niej być.

– Jak to?

– Wiesz, że to nie było na poważnie. Czasami u mnie nocowała, zaspokajaliśmy siebie, ale oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że to związek nie na zawsze. A teraz to. Sprawa się skomplikowała i Rachel potrzebuje kogoś, na kim mogłaby się oprzeć, kto ją naprawdę kocha. Czuję się jak tchórz, uciekam na pierwszy znak, że nadchodzą ciężkie czasy. Myślałem, że jestem lepszy.

– Może nie będzie aż tak bardzo ciebie potrzebowała. Bądź tutaj, jako przyjaciel. Pewnie tylko o to jej chodzi.

Joe pokiwał głową.

– Zadzwoń do jej rodziców, są na wakacjach, więc zostają tylko ja, dopóki nie złapią samolotu. Z nimi będzie jej najlepiej. Dobrze, żeby na jakiś czas przestała być policjantką i znów stała się czyjąś córką.

Laura po raz kolejny uściskała Joego, ale on teraz szybciej się od niej odsunął. Wyglądał na bardziej zdeterminowanego.

– A co z tobą? – zapytał.

Spojrzała na Jacka przez rozsunięte zasłony.

– Chcę wracać do domu – odparła.

Siedział w fotelu w salonie, rękami ścisnął poręcz. Ubranie miał pokryte kurzem, pocił się po trudach nagłej ewakuacji z fabryki. Zostawił furgonetkę i uciekł pieszo, biegł ulicami. Teraz wrócił, w domu było cicho, ale on krzywił się od hałasów. Śmiechy.

Krzyki. Wrzaski.

Zamknął oczy. Znowu pomyślał o doktorze Barkerze, ale to nie było wspomnienie z poprzedniego dnia, ale sprzed jakichś

dwudziestu lat. Głos doktora brzmiał przyjaźnie, opiekuńczo, ale nic nie zmienił. Potem twarze z wielu lat. Najpierw dziewczyny, potem kobiety. Nie skrzywdził ich wszystkich. Za niektórymi tylko chodził, a potem o nich fantazjował. To były te szczególne, te które nie niosły rozczarowania.

Nadal czuł się podniecony, niespełniony po ataku. Usłyszał syreny i wiedział, że musi uciekać. Ale wiedział też, że tylko odsunął nieuniknione. Przyjdą po niego.

Wbił palce w materiał. Myślał o swojej matce. Wtedy ją słyszał, siedział na półpiętrze, a ona klóciła się z jego rodzicami adopcyjnymi.

Zawsze uważał, że w jego życiu czegoś brakuje. Chciał zejść na dół, zobaczyć ją i żeby ona go zobaczyła. Ale bał się z nią spotkać, bo mogłaby go nie zaakceptować. Wstał, gotów jednak zejść, kiedy usłyszał jej ostatni krzyk, a potem trzasnęły drzwi.

To wtedy pojawiły się po raz pierwszy. Zaledwie szepty. Musiał się bardzo skupić, żeby zrozumieć, co mówią.

Zadudniły kroki. Z początku sądził, że to łomot w jego głowie, ale kiedy wyjrzał przez okno, stwierdził, że to prawdziwy odgłos.

Zbliżali się ścieżką w ogrodzie.

Patrzył przez siebie. Spodziewał się ich od chwili, kiedy mu się nie udało. Nie zrobi nic, żeby ich powstrzymać. Nie przekreślił klucza w zamku. Mogą go zabrać. Jest gotów. Drzwi trzasnęły o ścianę, kiedy wpadli do środka. Słyszał szyderczy śmiech, ale kiedy podniósł wzrok, ich twarze wyrażały groźbę. Żaden się nie śmiał.

Nic nie mówił, kiedy chwycili go za ramiona i pociągnęli do wyjścia. Przyszedł na niego czas.

Rozdział 61

Jack wybrał się na przejażdżkę.

Laura została w domu, próbowała dojść do siebie po koszmarach całego dnia. Jack czuł ogromną potrzebę, żeby ją chronić, być z nią, ale nie chciał jej dławić. Powiedziała, że potrzebuje przestrzeni, żeby przeanalizować to, co się zdarzyło.

Kazała Jackowi wyjść i przyjrzeć się śledztwu. Teraz była jeszcze bardziej zdeterminowana, żeby złapać zabójcę.

Jack z początku nie wiedział, dokąd pojechać. Joe był nadal w szpitalu z Rachel, więc Jack jeździł polnymi drogami; z przyjemnością słuchał pomruku silnika odbijającego się echem od żywopłotów i cieszył się chłodnym nocnym wietrzykiem. Ale zdawało się, że wszystkie drogi wokół Turners Fold zbiegają do Blackley. Krajobraz wkrótce zepsuły pomarańczowe pasma świateł ulicznych rozwijające się na siedmiu wzgórzach miasta. Whitcroft leżało na skraju Blackley – Jack podświadomie zmierzał w tamtą stronę.

W osiedlu panował spokój, chociaż w ciepłym wieczornym powietrzu unosił się zapach grilla, a w ciemności głośno rozbrzmiewały rozmowy i śmiechy. Gdzieś rozbiła się butelka. Potem rozległ się krzyk. W balsamiczny sobotni wieczór trunkujący wysypali się na ulice.

To może być materiał na artykuł, którego chce Dolby, nawet jeśli chodziło tylko o parę grupek małych latków rozpijających tanie wino.

Kilka razy przejechał w tę i z powrotem, ale to niewiele dało, więc skręcił w boczną ulicę z nadzieją, że przyłapie kogoś, kto po cichu coś kombinuje. Ale nawet w zaułkach panował spokój. Nie zanosilo się więc na to, że Dolby dostanie dobry tekst. Jack już miał wyjechać z osiedla, kiedy w kieszeni zabręczała mu komórka.

– Tak?

– Jack? To ty, Jack?

Natychmiast rozpoznał głos. To Emma. Mówiła bardziej bełkotliwie, ale wychwycił coś jeszcze. Głos miała wyższy, bardziej zaniepokojony.

– To ja, Emmo. Co się dzieje?

– Zabrali go – wychlipiała.

– Kogo zabrali?

– Simona. Zabrali Simona.

Jack odetchnął z ulgą i uśmiechnął się pod nosem. Mają go.

Już po wszystkim.

– Emmo, spokojnie, wszystko będzie dobrze. Niech policja robi swoje.

– To nie policja. To Don. Widziałam go. – Jej słowa były nabrzmiałe od płaczu.

Zatrzymał się przy krawężniku.

– Uspokój się. Mów po kolei.

Jack słuchał, jak kobieta wyrzuca z siebie opowieść, głęboko oddychając.

– Poszłam do Simona. Znam jego adres. On o tym nie wie, ale kiedyś widziałam tę furgonetkę, tuż przy jego domu. Czekałam na zewnątrz. Zobaczyłam go. Jak ode mnie wyszedłeś, myślałam o tym wszystkim, co się stało. Po prostu musiałam z kimś o tym porozmawiać. No i poszłam do niego i zobaczyłam ich, Dona i dwóch jego ludzi. Ciągnęli go do samochodu. – Znowu zaczęła płakać. – Jack, dlaczego go zabrali? Powiedziałeś Donowi, co ci mówiłam? To dlatego?

Przez głowę przebiegały mu różne domysły. Jeśli zabrali funkcjonariusza Abbotta, a to nie on jest zabójcą?

– Poczekaj na mnie – powiedział. – Już do ciebie jadę.

Próbował dodzwonić się do Laury, ale nie odbierała.

– Cholera! – Ruszył z piskiem opon.

Woda lała się do wanny, Laura siedziała na brzegu i krzywiła się, zdejmując ubranie. Ruchy i napinanie mięśni pogłębiały ból.

Chciała tylko zmyć z siebie wydarzenia dnia. Usłyszała dzwonek telefonu, ale nie odebrała. Chciała oczyścić umysł, żeby móc sobie przypomnieć napastnika.

Zobaczyła się w lustrze. Nago podeszła bliżej, żeby przyjrzeć się siniakom. Jeden, wielki na ramieniu, łokieć podrapany.

Weszła do wody, napięcie trochę zelzało. Kiedy zsunęła się niżej, wokół jej szyi zgromadziły się bąbelki, zapach lawendy ją odprężał.

Zamknęła oczy. Oświetlona, cicha łazienka nagle zniknęła.

Pojawiła się ciemna fabryka. Otoczona ciepłem wody i wonią piany Laura mogła wrócić do opuszczonego budynku, do ech i kurzu.

Próbowała przypomnieć sobie pierwsze wrażenie, jakie na niej zrobił, spojrzenie w ciemność, kiedy wstał. Wysoki. To była jej pierwsza myśl. I szczupły. Nie, chudy. Jakby się pochylał, bo źle się czuł ze swoim wzrostem. Nie był postawnym mężczyzną. Tylko wysoki.

Stał nad Rachel. Na chwilę rozproszyła się, kiedy pomyślała o tym, co zrobił tej dziewczynie. Zmusiła się, żeby wyrzucić z głowy te obrazy. Musi się skoncentrować na nim, nie na Rachel. Wtedy wydawało się jej, że nie widzi jego twarzy, ciągle stał w cieniu, ale kiedy bardziej się skupiła, coś wyłowiła z pamięci. Przechylał głowę, jak zaciekawiony ptak, kiedy patrzył na Laurę, jak idzie w jego stronę. Nie stracił panowania nad sobą. Tylko czekał, aż Laura się zbliży, żeby mógł użyć tasera. Wiedziała, że musi podejść na pół metra, żeby taser skutecznie zadziałał, więc zabójca czekał cierpliwie. Laura czuła, że jest niebezpieczny.

Próbowała teraz przypomnieć sobie, jak wyglądał, kiedy się nad nią nachylił. Jej ciało było bezwładne, ale zmysły nadal pracowały.

Pamiętała zapach. Wrócił do niej, kiedy zamknęła oczy. Coś wilgotnego i stęchłego. I papierosy. Ale nie z filtrem. Nie, to był gęsty, lepki zapach skrętów.

Więc nachylał się nad nią. Miał długie i chude ręce. Potem znów pomyślała o jego wyglądzie, o przechylonej głowie. Coś ją tknęło.

Coś znajomego, na pewno już to wcześniej widziała, ale gdzie.

Był policjantem, na to wskazywały wszystkie ślady. Taser. Kajdanki. Czy zabijał na służbie i wykorzystywał mundur, żeby uspić czujność kobiet? Nie znaleźli Simona Abbotta. Nie było go ani w pracy, ani w domu, ale to długo nie potrwa, na pewno. Shane nie żyje, taką wersję przyjęto, więc czy Simon Abbott mścił się za

przyjaciela?

A może to nie Abbott. Próbowała sobie przypomnieć wszystkich funkcjonariuszy, którzy przewinęli się przez komendę. Czy był ktoś tak wysoki, uderzająco spokojny, za spokojny, może nazbyt uprzejmy wobec niej? Ale wiedziała, że ten tok myślenia prowadzi donikąd, bo mordercy często okazują się najzwyczajniejszymi ludźmi. Miły człowiek, znajomy z ulicy albo ktoś, kto służy w niedzielę do mszy.

I kolejny przeblysłk pamięci. Furgonetka. Jechała za nią, kiedy wracała z joggingu. Więc zabójca wie, gdzie ona mieszka. Usiadła prosto w wannie, na ramionach pokazała się jej gęsia skórka. Przyjdzie do niej, do domu. Jest naga, bezbronna. Dlaczego nie poprosiła Jacka, żeby został?

Wyskoczyła z kąpieli, owinęła się ręcznikiem. Musi wyjść z domu.

Rozdział 62

Jack szybko dotarł na miejsce. Emma siedziała na progu, głowę miała opartą o framugę, oczy półprzymknięte. Przed nią stała szklanka do połowy wypełniona cydrem. Kiedy podszedł, kobieta powoli otworzyła oczy.

– Wrócił pan – powiedziała i trzęsącą się ręką sięgnęła po drinka.

Uklęknął przed nią i odsunął szklankę.

– Co widziałeś? – zapytał niecierpliwie.

Pochyliła się, jakby chciała chwycić szklankę, ale Jack odstawił alkohol dalej, więc opadła do tyłu, znów oparła się o framugę. Kilka razy głęboko odetchnęła. Wyglądało tak, jakby zaraz miała zwymiotować, ale w końcu się odezwała.

– Mówiłam panu, Don go zabrał.

– Kiedy?

Wzruszyła ramionami, ruchy miała nieskoordynowane.

– Przyszłam do domu i wtedy do pana zadzwoniłam. Jakieś pół godziny temu. Może.

– Jesteś pewna, że to był Don?

Wzrok jej pociemniał, lekko wyostrzył, jak gdyby trochę

się skoncentrowała.

– A co? Myśli pan, że ja nie rozpoznam Dona Robertsa, jak go zobaczę? Ciągnął Simona do samochodu. Dwaj ludzie trzymali go za ręce.

– Dokąd go zabrali?

– Nie pytałam. Tylko patrzyłam.

Jack wstał przygnębiony. Już miał odejść od Emmy, kiedy dodała: – Don ma coś w mieście.

– Jak to: coś?

– Jakby warsztat.

– Skąd wiesz?

Wytarła ręką nos i kiwnęła na niego, żeby dał jej szklanekę. Piła chciwie, kiedy ją dostała.

– Postarałam się, żeby się o nim czegoś dowiedzieć. Chciałam spalić tę cholerną budę. Ale po co?

– Gdzie to jest?

Podawała mu niezbyt precyzyjne wskazówki, pamięć miała zamgloną alkoholem. Pobiegł z powrotem do samochodu, zostawiając Emmę na progu domu, w towarzystwie prawie pustej szklanki cydru.

Laura wbiegła do komendy, rąbnęła drzwiami o ścianę. Krzywiła się z bólu, starte kolano znów zaczęło krwawić, na spodniach pojawiły się czerwone plamki. Starła się jednak jak najszybciej dotrzeć na najwyższe piętro. Zrezygnowała z windy, chociaż się jej śpieszyło, i piechotą pokonała trzy kondygnacje schodów. Kiedy wdrapała się na górę, przystanąła na chwilę, żeby złapać oddech, potem pokuśtykała do pokoju nadzoru kamer monitoringu.

Operator ledwie raczył się ruszyć, kiedy weszła. Pił kawę i jadł kanapkę z małego plastikowego pudełka.

– Pamiętasz nagranie, o które wczoraj cię prosiłam. Tego człowieka, który przyszedł do komendy? – zapytała ciągle lekko zdyszana.

Wzruszył ramionami.

– Tak, a co? – wybełkotał z pełnymi ustami.

– Masz to jeszcze?

Skinał głową.

– Prosiłaś, żeby to zapisać, to zapisałem. – Odłożył kanapkę. Westchnął i zaczął czegoś szukać pod papierami leżącymi z boku biurka. Wyjął dysk. – Proszę.

Laura podeszła do terminala na końcu ekranów i włożyła płytę. Wydawało się jej, że nagranie ładuje się bez końca, i już miała się odwrócić, żeby poprosić o pomoc, kiedy wyświetliły się znajome obrazy – widok z kamery nadzorującej obszar przyjęć interesantów.

Niecierpliwie przesuwiała film do przodu, zamazane kontury migały jej przed oczami. Zastopowała odtwarzanie, kiedy go zobaczyła.

Powolne pociąganie nogami Ruperta Barkera na ekranie było przyspieszone do biegu. Cofnęła film i wcisnęła „Odtwórz”. Przyglądała się uważnie, wypatrywała czegoś, co pominęła ostatnim razem.

Kamera pokazywała wielkie drzwi wyjściowe i rząd siedzeń naprzeciwko szklanych okienek. Za krzesłami znajdowało się okno, ale trudno było zobaczyć, co jest na parkingu, bo widok przesłaniała biała furgonetka transit z policyjnym znakiem na burcie.

Rupert wyglądał na niezdecydowanego. Nerwowo pocierał policzek. W pewnej chwili miało się wrażenie, że zrobi w tył zwrot i wyjdzie. Ale postanowiła zignorować Ruperta Barkera. Już wiedziała, o czym myślał, kiedy przyszedł do komendy. O Shanie Griksie.

Teraz interesowali ją inni ludzie w poczekalni.

Przyglądała się, jak Rupert patrzy na rząd krzeseł. Jakiś znudzony nastolatek, obowiązkowo w dresie, i adwokatka poprawiająca fryzurę. Rupert usiadł i zaczął się wiercić. Przez recepcję przeszło dwóch policjantów, pasy obciążone sprzętem. Laura uważnie przyglądała się, czy któryś z nich nie zerknął w stronę Ruperta. Żaden tego nie robił.

Potem Rupert wyszedł poza pole widzenia kamery. To

musiało być wtedy, kiedy rozmawiał z urzędniczką w okienku.

Po chwili znowu ukazał się na ekranie. Usiadł na krześle, pochylił głowę, złączył dłonie, patrzył w podłogę, stukał stopami.

W drzwiach pojawił się kolejny gliniarz, przepuścił dwie wychodzące policjantki. Tuż za nimi szedł policyjny kierowca – ciągnął w stronę wyjścia wózek z torbami.

Laura zdenerwowana, wyprostowała się, na chwilę odwróciła wzrok. Odpowiedź musi być gdzie indziej. Spojrzała na operatora kamer, już miała go poprosić, żeby dał jej nagrania z zewnątrz komendy. Wtedy kątem oka coś wychwytiła. Znow popatrzyła na ekran i przyjrzała się Rupertowi. Nadal siedział podminowany. Nie było więcej policjantów, a kierowca przepychał się z wózkiem przez drzwi.

Chciała się podrapać po głowie, ale przypomniała sobie, że ma założone szwy, więc odsunęła rękę. Na pewno coś dziwnego zobaczyła.

Nachyliła się, żeby jeszcze raz przewinąć nagranie, ale się powstrzymała. To kierowca przyciągnął jej uwagę. Wysoki, chudy. Ostro zarysowane łopatki pod cienką niebieską kurtką. Stał obok furgonetki, którą było widać za Rupertem. Nie ruszał się, ale ta pozycja... trzymał przechyloną głowę, jak nasłuchujący ptak. Laurze zaczęło mocniej bić serce.

Poczuła dreszcz rozpoznania, zimne ciarki przebiegły jej po karku. W ustach jej zaschło, w głowie poczuła lekkość, kiedy wspomniała postać stojącą nad Rachel. Z trudem przełknęła, próbowała skoncentrować się na ekranie. Jej ręka powędrowała do myszki; przeciągnęła nagranie do miejsca, w którym kierowca pojawił się po raz pierwszy.

Patrzyła, jak facet się wynurza. Z początku było widać tylko czubek głowy: lekka łysina na samej górze, jasne włosy, głowa pochylona, przygarbione plecy, jedna ręka pcha wózek załadowany niebieskimi torbami, gotowymi do przewiezienia do prokuratury na drugim krańcu Blackley. Wreszcie to. Spojrzenie w stronę Ruperta i potknięcie, nieznaczące, ledwie dostrzegalne, ale właśnie to Laura zauważyła wcześniej. Jednak poszedł dalej, ale

jakby szybciej, wózkiem uderzył w drzwi.

Potem patrzyła, jak kierowca zatrzymuje się przy furgonetce, stoi z przechyloną głową, nie spieszył się z załadunkiem.

Znów popatrzyła na Ruperta – teraz spoglądał na drzwi; to ona do nich podeszła, kiedy dostała o informację o Barkerze. Rupert nie zwrócił uwagi na kierowcę. Laura dostrzegła jego ostatnią nerwową minę, potem się odwrócił i szybko opuścił komendę. Energicznie przeszedł obok furgonetki. Kierowca patrzył w dół, ręce miał opuszczone. Kiedy doktor zniknął z pola widzenia kamery, kierowca podniósł wzrok. Patrzył tam, gdzie dopiero co był Rupert.

Laura dźgnęła przycisk kieszeni płyty i omal nie krzyknęła na komputer, bo urządzenie tak długo się otwierało. Chwyciła dysk i pokuśtykała do drzwi. Wyszła na balkon, żeby spojrzeć na atrium. Patrzyła, czy nie ma tam kogoś znajomego, może nawet samego kierowcy, ale w dole zobaczyła tylko puste stoliki. Metalowa żaluzja kantyny była opuszczona.

Ruszyła po schodach, po dwa stopnie naraz, mimo bólu w kolanie. Wpadła do sali operacyjnej.

Carson rozmawiał z innymi detektywami; wszyscy mieli zbolale miny. Laura wiedziała, że rozmawiają o Rachel, o tym, że sprawa otarła się o zespół.

– Mam coś – zawołała i podniosła dysk. – To nie Simona Abbotta szukamy.

– Co to takiego? – Carson zerwał się z krzesła.

– Joe mówił, że zabójca to pan Niewidzialny, sfrustrowany, bo jest tylko anonimowym człowieczkiem – powiedziała. Kiedy szef skrzyżował ręce na piersi, dodała: – A może w ogóle nie jest policjantem? Może to ktoś, kto tu pracuje, ale nie jako funkcjonariusz?

Kraży po komendzie niezauważany przez nas?

Carson ściągnął wargi, zastanawiając się nad tym.

– Co tu masz? – Pokazał na płytę.

– Pokażę ci. – Podeszła do jednego z komputerów i

otworzyła napęd dysku. Kiedy program się ładował, dodała: – To jeden z kierowców. Czy znajdzie się ktoś bardziej niewidzialny? Mają pełen dostęp do wszystkiego, przewożą teczki i dowody, ale czy my naprawdę ich zauważamy?

Carson pokiwał głową.

– To by pasowało – mruknął.

– No to obejrzyj to. – Laura pochyliła się, żeby obsługiwać komputer. Przewinęła nagranie do przodu, do miejsca, w którym Rupert przyszedł do komendy.

Carson obserwował Ruperta, Laura mówił dalej: – Wczoraj wpadliśmy na to, że zabójca wiedział, że doktor rozpoznał jego metodę, i wiedział, że Barker był w komendzie. – Przyglądała się reakcji inspektora. Zauważyła, że szef szerzej otwiera oczy, kiedy patrzył, jak w polu widzenia pojawia się kierowca, potyka się i czeka beczynn timer przy furgonetce. Domyśliła się, że Carson widzi to, co i ona zobaczyła.

– Podobny do tamtego? – wycedził przez zaciśnięte zęby; na policzki wystąpiły mu wypieki.

Laura przytaknęła.

– Bardzo. – Patrzyła za Carsonem, kiedy wybiegał z sali operacyjnej.

Inni detektywi podeszli, żeby też obejrzeć nagranie.

– Teraz wiemy, kto to jest – powiedziała prawie do siebie. – Mamy go.

Nagle inspektor wpadł z jednym z kierowców, ubranym w niebieski uniform, ze znakiem policji Lancashire na piersi.

– Kto to? – warknął, wskazując ekran.

Kierowca wyglądał na wystraszonego, nie przywykł, żeby na niego krzyczano, ale odetchnął głęboko, kiedy zdał sobie sprawę, że to jakieś proste przepytanie.

– Peter Williams – powiedział.

Carson klepnął faceta po plecach i kazał mu usiąść.

– Zostań tutaj – polecił. – Nie dzwoń do nikogo, z nikim nie rozmawiaj. – Potem skinął na Laure, żeby za nim poszła.

Kiedy wybiegała z pokoju, była pewna, że już wkrótce

dorwą drania.

Rozdział 63

Carson szybko odjechał spod komendy.

– Myślisz, że się nas spodziewa? – zapytała Laura.

– Zabójcy zawsze się nas spodziewają, bo wiedzą, że nie odpuścimy. Będzie miał przygotowaną historyjkę. Po prostu nie chcę, żeby pozbył się jakichś dowodów, zanim go dopadniemy.

Laura wyglądała przez szybę, zęby miała zaciśnięte, jej myśli bieły po różnych poziomach poczucia winy. Powinna lepiej mu się przyjrzeć. A zaledwie parę godzin wcześniej, czy nie powinna zrobić więcej? Rzucić się na niego? Ale się zawahała i pozwoliła mu uciec.

Musieli przebić się przez miasto, żeby dojechać do domu Williamsa, przez pasy szeregowej zabudowy i w górę, daleko od śródmieścia, w stronę szpitala miejskiego stojącego nad pofalowanymi wrzosowiskami – remedium na szkło i stal szpitalnego gmachu.

Zadzwoiła komórka Laury. To Archie, jeden z detektywów ich wydziału.

– Właśnie rozmawiałem z agencją, która zatrudnia dla nas kierowców – poinformował. – Facet przyszedł do nas sześć lat temu.

Powiedział, że pracował w Londynie jako kurier motocyklowy, a potem jako kierowca samochodu dostawczego. Obie spółki już splajtowały. Był ubezpieczony, niekarany... przeszedł przez wszystkie sita.

– A jego życiorys?

– Właśnie to jest interesujące – odparł Archie. – Wyciągnęli jego podanie o pracę. Napisał, że chodził do szkoły w Stoke.

Próbowałem to sprawdzić przez Internet. Zdaje się, że taka szkoła nie istnieje.

– Więc wymyślił sobie przeszłość. – Laura spojrzała na Carsona.

– Przynajmniej niektóre szczegóły. Prawo jazdy ma w porządku, więc funkcjonuje legalnie.

– Tylko że jeśli to Shane Grix, to został zamordowany w londyńskim zaułku – zauważyła. Nagle coś przyszło jej na myśl. – Oddzwonię, Archie. Teraz muszę skontaktować się z Sandym.

Przeszukała listę kontaktów, żeby znaleźć telefon do przyjaciela z Londynu. Wystukała numer i czekała, aż w końcu usłyszała londyński akcent.

– Muszę cię prosić o jeszcze jedną przysługę – powiedziała.

– Tylko się sprężaj, kochanie. Uwielbiam twój głos, ale to sobota wieczór, a ja jestem w knajpie.

– W której? W Zielonym Ludziku?

– Tak, a co?

– Bo to naprzeciwko komendy. Mógłbyś przejść na drugą stronę ulicy i zerknąć w akta sprawy Shane’a Griksa?

Ciężkie westchnienie.

– Lauro, wieczór już się zaczął. Wypiłem za dużo drinków. Nie zmuszaj mnie do tego.

– Ale jak to zrobisz, zapunktujesz za rozwiązanie sprawy zabójstwa – nalegała. – Sprawdź w teczce, czy jest tam lista kuppli Shane’a.

– Jest – odparł. – Już zaglądałem do tej teczki, pamiętasz? Większości z nich nie możemy namierzyć, bo to tacy jak on, bezdomni włóczędzy. Trzymają się z dala od gliniarzy.

– Szukaj Petera Williamsa – nie odpuszczała.

Słyszała, że Sandy się waha, ale wiedziała, że robi to, o co prosi, bo przy całym wdzięku miejskiego chłopaka, w głębi serca był dobrym gliną.

Uśmiechnęła się, kiedy powiedział: – Daj mi parę minut, teczka nadal jest poza archiwum. Oddzwonię.

Carson zerknął na Laurę.

– Myślisz, że chłopak zabity w tamtej uliczce, to naprawdę Peter Williams? – zapytał.

– Możemy przyjąć, że pewnie nie Shane Grix. A jeśli nie on, to kto inny? Ukradł tożsamość kumpla, kiedy go zabił, i zaczął od nowa.

Carson nachmurzył się i zabębnił palcami o kierownicę.

– Możliwe, że to nawet prostsza sprawa.
– To znaczy?
– Może Williamsa zabito ze względu na jego tożsamość, żeby Grix mógł tutaj wrócić i robić swoje.

– Co, zaplanowane zabójstwo?

Inspektor skinął głową.

– Czemu nie? Widział w Williamsie swoją przepustkę na północ. Chłopak był podobny do Shane’a, a już tym bardziej mógł za niego uchodzić, kiedy go spalono.

Laura spojrzała w dół, kiedy poczuła wibrowanie komórki. Sandy z Londynu. Czowała napięcie w samochodzie, kiedy słuchała, co przyjaciel ma jej do powiedzenia. Kiedy skończył, podziękowała mu i zwróciła się do Carsona: – Wszystko pasuje. Peter Williams figuruje na liście. Zanim znaleziono ciało, widywano ich razem, sypiali w tych samych przytułkach. Był parę lat starszy i rok dłużej siedział w Londynie. Ale był niewidoczny. Dorastał w domu dziecka, nie miał wartej wzmianki rodziny i pojechał na południe.

– I kiedy zniknął, nikt go nie szukał – dodał Carson.

– Zgadza się. – Laura pokiwała głową. – Nie był podejrzanym, po prostu jeden z kumpli Shane’a, więc londyńska policja go nie ścigała. I jak powiedział Sandy, Shane był jednym z masy londyńskich bezdomnych. Wielu z nich przedwcześnie umiera.

– Więc wrócił na północ i wylądował w Blackley.

– W tym samym mieście co biologiczna matka Shane’a. To zbyt wiele zbiegów okoliczności, nie sądzisz? Więc jeśli Peter Williams to tak naprawdę Shane Grix, wiemy, po co tu jest: żeby być blisko matki.

– Miejmy nadzieję, że za chwilę wszystko sam nam opowie. – Carson skręcił w długą prostą ulicę z szeregową zabudową.

Wzdłuż chodnika stały stare fordy i podrasowane małe samochody ze ściętymi bagażnikami i rurami wydechowymi z blaszanych puszek. Carson zaparkował przy krawężniku przed

ostatnim z szeregowców. Laura wyskoczyła i pobiegła do drzwi z brudnego białego plastiku. Za sobą słyszała Carsona.

– Robimy nalot – wysapał w biegu. – Nie czekamy na zaproszenie.

Sięgnęła do klamki, spodziewała się, że będzie zamknięte, ale drzwi otworzyły się na oścież. Nie było przedsiionka ani korytarza, wchodziło się prosto do małego kwadratowego salonu. Z tyłu kuchnia, pomieszczenie tych samych rozmiarów co pokój od frontu.

– Peter Williams? – zawołała. Cisza. Zobaczyła, że tylne drzwi są zamknięte, więc się domyśliła, że nie uciekł przez podwórko.

Salon był zwyczajny. Telewizor z płaskim ekranem, tanie meble z popękaną skórą, stolik pośrodku zastawiony brudnymi filiżankami i pokryty resztkami tytoniu do skrętów. Gołe ściany, bez żadnych zdjęć. Mało przytulne mieszkanie.

Z rogu pokoju prowadziły schody, już miała na nie wejść, kiedy zobaczyła małą szafę wbudowaną w przestrzeń pod schodami.

Otworzyła drzwi stopą i na chwilę ją замуrowało. Spodziewała się starych płaszczy i odkurzacza, a tam komputer na małym biurku i wciśnięte obok niebieskie krzeselko. Nie było światła.

Carson stanął za nią.

– Milutko – mruknął. – To podsycalo jego fantazje, odcinał się od świata, tylko kolory ekranu odbite na ścianach. Weźmiemy komputer. Zobaczymy, czy znajdziemy maile.

– Sprawdźmy na górze – powiedziała Laura.

Ruszyła po schodach, Carson znów poszedł jako drugi. W domu jechało stęchlizną. Zapach rzadko zmienianej pościeli albo od wieków nieodkurzanych dywanów.

Na górze były dwie sypialnie, po obu stronach schodów. I łazienka. Laura zajrzała do środka. Staromodne wnętrze. Umywalka w kolorze avocado poplamiona pastą do zębów i zeschniętymi mydlinami. Na półce tylko jedna szczoteczka do

zębów.

Jedna sypialnia służyła wyłącznie jako składzik. Stały w niej worki foliowe pełne starych ciuchów, w kącie leżało na stosie trochę książek.

Laura wycofała się; chciała zobaczyć, co jest w drugiej sypialni. Delikatnie pchnęła drzwi. Powoli ukazał się widok wnętrza.

W oknach rozsunięte zasłony. Światło z ulicy rozjaśniało pokój.

Ta sypialnia wyglądała jak reszta domu, zwyczajna, tandetna, bez ozdóbek, ze starym białym łóżkiem i porysowaną brązową szafą.

Obok łóżka stał sfatygowany stół.

– Nie widać kobiecej ręki, co? – skomentowała Laura.

Carson przecisnął się obok niej i włączył światło, kiedy podeszła do szafy naprzeciwko łóżka. Otworzyła ją i aż gwizdnęła.

– Co tam jest? – zapytał Carson.

– Mundury policyjne. Żółte kamizelki, czapki, pełne umundurowanie, pasy z wyposażeniem.

– To by wyjaśniało, jak mu się udaje przekonać dziewczyny, żeby z nim porozmawiały. – Carson zajrzał Laurze przez ramię. – To numer Abbotta. – Wskazał na numer na kołnierzyku kurtki. – Abbottowi dostanie się za zgubienie munduru, ale gdzie jest Williams?

Wtedy zadzwoniła komórka Laury.

Rozdział 64

Don Roberts go dopadł – powiedział Jack, pędząc przez śródmieście.

– Jak to: dopadł?

– Rozmawiałem z Emmą, biologiczną matką Shane’a. Widziała, jak Don i dwóch jego ludzi wyciągają Simona Abbotta.

– Tyle że to chyba nie był Abbott.

– Dlaczego?

– Bo jestem w domu Shane’a, patrzę na szafę pełną mundurów Simona. Wygląda na to, że Shane podszywał się pod

Abbotta, kiedy rozmawiał z Emmą. A sam pracował dla policji jako kierowca.

- Więc dopadli Shane’a?
- Nie ma go tutaj, więc prawdopodobnie.
- Od dawna wiedzieliście o Shanie?
- To znaczy?

Przerwał rozmowę, kiedy dojechał do skrzyżowania. Tak naprawdę nie wiedział, czego konkretnie szuka. Emma podała mu tylko ogólny opis, bo nie pamiętała nazwy ulicy, tylko okolicę. Jechał więc wzdłuż rzędów domów, ulicami przy których stały samochody, a teraz, w oddali, zobaczył przed sobą jasne światła pubu. Błyszczały pod ponurym cieniem wiaduktu – trasa kolejowa wiała się między wzgórzami, łącząc dzielnice starego bawełnianego miasta.

– Ilu ludzi widziało go dzisiaj? – zapytał Jack – Ja i Rachel
– odparła Laura.

- Od dawna znasz całą historię?
- Od paru minut.
- Więc jeśli nie ty powiedziałaś o tym Donowi, to kto?

Laura milczała przez kilka sekund.

– Porozmawiamy później – rozłączyła się.

Jack rzucił komórkę na fotel pasażera i pojechał dalej przez śródmieście jednopasmową obwodnicą. Szukał budynku różniącego się od pubów, klubów i barów z daniami na wynos. Przyglądał się grupkom, w których dominowały mięśnie w koszulkach z krótkim rękawem i obcisłe białe spódnice. Śródmieście przeszło wreszcie w obszary przemysłowe. W pustawych uliczkach, w cieniu kręciły się kobiety kupujące sobą po nocy, w miniówkach, z małymi połyskliwymi torebkami zawieszonymi na ramieniu.

Zrobił dwa kółka. Domyślał się, że już został zauważony przez policję, która szukała zmotoryzowanych klientów prostytutek, ale jeździł dalej. Potem zobaczył to: samochód Davida Hoyle’a.

Omალ go nie minął. Wóz stał zaparkowany w cieniu

wysokiej ceglanej ściany, z dala od latarni, ale chromowane felgi odbijały jednak trochę światła. Kiedy Jack podjeżdżał, w świetle reflektorów pojawił się znak: „D.R. Security”.

Wyłączył silnik, zapanowała wieczorna cisza.

– Don go ma – powiedziała Laura do Carsona. – Emma widziała, jak Roberts go zabrał.

– Skąd on mógł wiedzieć?

– Od Rachel.

Carson popatrzył na nią nachmurzony.

– Co ty gadasz?

– Była bliżej niż ja. Naprawdę blisko. Bo od kogo innego Don mógł się dowiedzieć?

– McGanity, musisz być absolutnie pewna, zanim ją oskarżysz.

– To by pasowało. Shane’a złapali mniej więcej wtedy, kiedy Rachel wyszła ze szpitala, a przedtem szukali go i szukali. Co za przypadek, prawda? Kiedy Don dowiedział się, jak facet się nazywa i gdzie pracuje, namierzył go od razu.

– Zapytajmy ją. To po drodze do domu Dona, a mnie nabrała jakaś pijaczka spokrewniona z zabójcą.

Laura wyszła za nim i wsiadła do samochodu. Złapała się uchwytu, kiedy inspektor dodał gazu.

Patrzyła, jak obok przelatują domy, rzędy wysokich wiktoriańskich budynków z obramowanymi kamieniem wykuszowymi oknami i witrażami nad wejściami. Większość była podzielona na kawalerki i mieszkania zastępcze. Carson ostro zahamował przed fotoradarem, jaskrawożółtym pudłem odbijającym blask reflektorów jego wozu, przy okazji wystraszył grupkę wyrostków stojących przy latarni. Ze sposobu, w jaki szybko rozeszli się w różne strony z rękami w kieszeniach, Laura domyśliła się, że właśnie zepsuli im uliczną transakcję i jak tylko Carson zniknie z pola widzenia, natychmiast znów się zjedą. W ciemnościach budzą się nocne szczury. To zadanie dla kogoś innego, w inny dzień.

Carson skręcił w stromą ulicę z zabudową szeregową. To

był skrót. Na spadzistym wzgórzu domy wyglądały tak, jak gdyby opierały się o siebie, żeby nie spaść ze zbocza. Laura wcisnęła stopę w matę, jakby hamowała, kiedy samochód popędził w dół, w stronę skrzyżowania. Kiedy dojeżdżali do skrzyżowania, światła dopiero zaczęły się zmieniać. Ledwie rozbłysło zielone, inspektor przemknął pędem. W najniższym punkcie wzgórza rura wydechowa potarła o asfalt i auto oświetlił pomarańczowy rozbłysk iskier.

Laura wiedziała, że są już blisko, rozpoznawała niektóre punkty orientacyjne, a równo uszeregowane domy ustępowały miejsca łagodnym zakolom przedmieścia, wypełnionym zielenią. Potem Carson skręcił między jasne nowe pudła osiedla Joego i zatrzymał się za jego samochodem.

– Lepiej, jak ty porozmawiasz – stwierdził. – Teraz trzeba łagodnie.

Drzwi otworzyły się, zanim Laura do nich doszła. Joe Kinsella stanął jej na drodze.

– Jak się czuje Rachel? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Źle. I wiem, po co przyjechaliście. Żeby przebadali ją ludzie z laboratorium kryminalistycznego, ale ona nie pojedzie, a ja nie będę jej zmuszał.

– Dlaczego nie pojedzie?

– Teraz jeszcze się wstydzi, czuje się zbezczeszczona i nie chce nawet myśleć, że wyniki jej intymnych badań będą czytane przez kolegów – odparł. Laura już miała coś powiedzieć, ale Joe podniósł rękę. – Jasne, ona nie ma nic do ukrycia, ale psychicznie nie jest gotowa.

Laura pokiwała głową i westchnęła.

– Rozumiem, jednak nie po to tu jesteśmy i nie jest to zwyczajna wizyta z życzeniami powrotu do zdrowia.

Joe się zmieszał.

– To znaczy?

– Wydaje nam się, że wiemy, kto napadł na Rachel. Kierowca policyjny Peter Williams, chociaż naprawdę to Shane.

Joe zaskoczony otworzył usta, spuścił wzrok. Laura niemal widziała gonitwę myśli w jego głowie. Wreszcie Joe podniósł oczy.

– Oczywiście, to ma sens – powiedział. – Nie policjant niskiej rangi, ale ktoś, kto kręcił się po komendzie, podsłuchiwał pracowników, ktoś, kogo się nie zauważa, jak wchodzi do pokoju. Pan Niewidzialny. Więc go macie?

Laura się skrzywiła.

– O tym musimy porozmawiać z Rachel.

– Jak to?

Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jego dłoni.

– Joe, przepraszam, ale przypuszczam, że Rachel wie, kto ją zaatakował. Myślę, że go rozpoznała.

Pokręcił głową.

– Komuś by przecież powiedziała.

– I powiedziała. Donowi Robertowski.

Wyglądał na zaskoczonego.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Z zemsty, Joe. Wie, jak go potraktuje Roberts, a my uważamy, że Don już go dorwał. Zobaczyłam faceta na nagraniu, kiedy doktor Barker przyszedł do komendy. Nikt inny nie zdołałby tak szybko zrobić przecieku. Więc Don Roberts mógł się dowiedzieć tylko od Rachel.

Joe spochmurniał, obejrzał się na dom.

– Nie, wykluczone. Jest policjantką, zna zasady.

– Ale cierpi – powiedziała łagodnie Laura. – Pozwól, że z nią porozmawiam, tylko żeby sprawdzić.

Joe najwyraźniej chciał zaprotestować, ale po sekundzie Laura zobaczyła w jego oczach akceptację: to, co powiedziała, miało sens.

Pchnął drzwi i się odsunął.

W domu było ciemno. Zastony zaciągnięto, jedyne światło dawała świeczka filijąca na stole w rogu pokoju.

Rachel spała na kanapie, przynajmniej tak to wyglądało. Leżała owinięta kocem, rozpuszczone blond włosy spadały za skraj poduszki.

– Rachel? Cześć, to ja. Jak się czujesz?

Odwróciła się, zaczęła siadać.

– Nie, proszę, nie podnoś się – powstrzymała ją Laura łagodnie. W świetle świeczki zobaczyła, że powieki dziewczyny są opuchnięte i obrzmiałe od płaczu.

Rachel znów się ułożyła i popatrzyła na Laurę.

– Nie jestem chora – wymamrotała. – Po prostu przeżyłam szok, to wszystko.

– To nie jest oznaka słabości.

– Niektórzy tak to będą widzieli.

– Nie zwracaj na nich uwagi. Nie spiesz się, spokojnie dochodź do siebie. – Rachel nie odpowiadała, więc Laura mówiła dalej. – Wiemy, kto to jest.

Rachel zamarła na chwilę, potem zerknęła na Laurę.

– Kto?

– Policyjny kierowca, Peter Williams. – Laura uważnie przyglądała się Rachel. Nie zobaczyła na jej twarzy wyrazu zaskoczenia, ale dostrzegła coś innego. Ulgę? – Ale ty to już wiesz, prawda?

– Nie rozumiem.

– Sądzimy, że zgarnął go Don Roberts. Nie mamy pojęcia, dokąd pojechał, ale musimy znaleźć Williamsa, zanim Don go zabije.

Rachel westchnęła głęboko.

– Oby wam się udało.

– Powiedziałaś Donowi, prawda?

Dziewczyna patrzyła na nią uporczywie, ale Laura nawet nie mrugnęła okiem. Rachel odwróciła wzrok, szczerzej okryła się kocem.

Laura położyła dłoń na niej ramieniu, ale Rachel ją odtrąciła.

W drzwiach stanął Joe, sylwetka na tle światła sączącego się z zewnątrz. Laura, zanim wyszła, kiwnęła do niego głową, potwierdzając, że wszystkiego się dowiedziała. Patrzył na nią, kiedy przechodziła obok.

Carson wyszedł za Laurą. Już w samochodzie Laura znów skinęła głową i odwróciła wzrok.

Inspektor ze złością rąbnął pięścią w kierownicę, przez kilka sekund wściekał się, wreszcie warknął.

– Musimy znaleźć Roberta.

Kiedy dodał gazu, Laurze wydawało się, że widzi, jak Joe wygląda przez okno.

Rozdział 65

Było kompletnie ciemno, kiedy Jack podjeżdżał do D.R. Security. Dalej przy ulicy większość latarni porozbijana, z dziurami w kloszach, a jedna, stojąca przed siedzibą firmy, raz się zapalała, raz gasła, jak gdyby ktoś próbował ją podłączyć, zwierając kable. Jack widział budynek jakby w stroboskopowym świetle.

Udało mu się dostrzec przysadzistą, kwadratową bryłę, z wielką rolowaną żaluzją obok bardziej konwencjonalnych biurowych drzwi i małego zbrojonego okienka. Nic nie chroniło dostępu od frontu, ale rozbłyśki światła odbijały się od drutu kolczastego, który wieńczył wysoki metalowy płot, stojący po bokach i od tyłu, tak że boczne wejścia do budynku prowadziły przez dwie furtki.

Powinien zadzwonić do Laury, żeby jej powiedzieć, ale chciał się upewnić. Dysponował tylko słowem pijaczki i domysłami.

Jego kroki budziły echo – głośny chrzęst – kiedy powoli podchodził do żaluzji. Przycisnął ucho do chłodnego metalu. Uznał, że w środku nic się nie dzieje, po prostu wejście do budynku jak brama garażu. Nic nie było słychać.

Ostrożnie przeszedł do biurowych drzwi, nasłuchiwał jakiegoś ruchu. Spodziewał się, że ktoś go zaczepi. Wstrzymał oddech, naciskając klamkę... zamknięte. Przysunął się do okienka ze szkła wzmocnianego drutem i zajrzał do środka. Niestety, widok przesłaniała biała roleta. Cofnął się, żeby zobaczyć, czy ze środka nie sączy się światło, znak, że ktoś tam jest. Nic takiego nie dojrzał, tylko własny cień na szkle.

Odsunął się. Pusto. Żadnego hałasu. Żadnych świateł. Ale stał tam jeszcze jeden samochód, nie tylko Hoyle'a. Kiedy Jack zajrzał w ciemność za budynkiem, zobaczył zarysy czarnego wozu, miejskiej terenówki, ledwie widoczne, poza połyskiem przedniej szyby.

Błyskawicznie zaczął sobie przypominać auta przed domem Dona. Ten sam typ.

Furtki po obu stronach siedziby miały ze dwa metry wysokości, były z solidnego metalu, wzmocnione podłużnymi rozpórkami.

Podszedł do furtki ze swojej lewej strony i ją szarpnął. Nie ustąpiła. Poszukał czegoś, po czym mógłby się wspiąć, ale znalazł tylko zamek. To musi mu wystarczyć.

Postawił stopę na zamku, chwycił za rozpórki i się podciągnął. Furtka zaklekotała o ramię, dźwięk odbił się od ceglanej ściany na końcu ulicy. Zatrzymał się, żeby posłuchać, czy otwierają się jakieś drzwi, czy ktoś reaguje na hałas. Jeśli nadal będzie się wdrapywał, wpadnie w pułapkę. Ale nic się nie działo. Wypuścił powietrze i oblizał wargi. W ustach miał sucho, ze zdenerwowania żołądek podchodził mu do gardła. Postanowił wspiąć się dalej.

Przechylił się do tyłu i przerzucił nogę przez górną krawędź. Narobił jeszcze więcej hałasu. Mięśnie ud naprężyły się od rozciągania.

Wreszcie przeniósł drugą nogę i spadł na ziemię po drugiej stronie. Kiedy odzyskał oddech, dotarła do niego cisza, uświadomił sobie, jak bardzo ją zakłócił.

Popatrzył na kwadratowy klocek biura. W pewnej odległości było okno, pasujące do okna po drugiej stronie. Dalej, na tyłach, widział parking. Próbował przeniknąć wzrokiem ciemność, sprawdzić, czy nie wpadnie na coś, co narobi hałasu. Za płotem było trochę miejsca na pojemniki na śmieci, wiedział, że musi iść bardzo ostrożnie. Leżały tam stosy kartonów i rozrzucone kawałki metalu – pewnie zepsute blokady na koła.

Powoli przesuwiał ręce po murze, stopami wyczuwał

nawierzchnię, nie chciał się potknąć albo narobić rumoru. Jego ubranie ocierało się z szelestem o cegły. Okno powoli się zbliżało, nie było zasłonięte, przepuszczało słabe światło.

Uklęknął i podczołgał się pod parapet. Chciał podsłuchać, sprawdzić, czy ktoś nie stoi tuż za szybą, zanim się podniesie. Głosy, basowe dudnienie. Nie słyszał, co mówią. Powoli wstał.

Okno było brudne, pokryte kurzem i pajęczynami, nie widział przez nie dobrze. Zbliżył twarz do szyby i wytarł w brudzie małe kółko.

Teraz lepiej, ale skoro on widzi wewnątrz, to i oni mogą widzieć jego. Oddech zamglił szybę. Kiedy mgielka zniknęła, Jack dojrzał wielką otwartą przestrzeń z dwiema furgonetkami pod przeciwległą ścianą. Ludzie stali i patrzyli na coś na środku pomieszczenia, coś oświetlonego przez nagą żarówkę.

Starł więcej brudu z okna, mgielką oddechu oczyścił kółko.

Wtedy zobaczył, wokół czego się gromadzą. Albo raczej: wokół kogo. Mężczyzna siedział na małym metalowym krzeselku, z głową odciągniętą do tyłu.

Jack sięgnął po telefon. Już miał zadzwonić do Laury, ale podskoczył, kiedy ze środka dotarł do niego krzyk, wrzask potwornego bólu.

Cholera. Cofnął się i upuścił komórkę, potknął się o starą blokadę na koło. Wyciągnął rękę, ale nie miał się czego złapać. Z brzękiem obił się o jeden z metalowych pojemników na śmieci, hałas wdarł się w noc.

Zaklął, opadł na kolana, szukał telefonu, palcami grzebał w żwirze i śmieciach. Kiedy znalazł komórkę, otworzył ją, żeby sprawdzić, czy jeszcze działa. Potem znowu na czworakach podszedł do okna. Czy go ktoś usłyszał?

Serce biło mu głośno, kiedy zaglądał przez szybę. Znowu szybko przykucnął, zaklął, wszyscy patrzyli w stronę okna.

Próbował zachowywać się cicho, żeby móc nasłuchiwać. Wtedy wychycił krzyki. Szli po niego.

Pobiegnął do zamkniętej furki, po drodze kopał kawałki przedziewiałego metalu. Musiał wrócić do samochodu, żeby

wezwać pomoc.

Skoczył na furtkę, gotów sforsować ją tak jak poprzednio. Chwycił dłońmi szczyt, ale wtedy z drugiej strony pojawił się wielki czarny kształt, rękami trzymał rozpórki, jak więzień. Tyle że to Jack był uwięziony.

– Popeliłeś wielki błąd – odezwał się głęboki głos.

Rozległ się szczeł klucza wkładanego do zamka. Furtka powoli otworzyła się ze skrzypieniem i złapały go potężne dłonie.

Rozdział 66

Carson załomotał do drzwi Dona.

– Jak ma Williamsa, to go tutaj nie będzie – stwierdziła Laura.

– Wiem, ale musi być ktoś, kto cokolwiek nam powie – odwręknął Carson i znowu zabębnił w drzwi.

Kliknął zamek. Otworzyła Helen, żona Roberts'a.

– Gdzie on jest? – rzucił Carson.

– Kto?

– Nie wkurzaj mnie. Twój mąż. Jest tutaj?

Popatrzyła na Laurę, potem na inspektora, wreszcie pokręciła głową.

– Jest zajęty. – Zaczęła zamykać drzwi.

Carson rąbnął dłonią w drzwi z taką siłą, że Helen odrzuciło kilka kroków w głąb korytarza. Wparował do środka, Laura tuż za nim.

Przeszli do salonu. Pusto, ale Laura zauważyła na biurku otwartą butelkę wódki, a obok dużą butelę coli.

– Niebezpiecznie pić samemu – powiedziała Laura, odwracając się do Helen.

Zanim Helen zdążyła odpowiedzieć, w kuchni rozległ się hałas, a po chwili pojawiła się Angel, dziewczyna Davida Hoyle'a.

– Nie jest sama. – Mówiła trochę bełkotliwie.

Laurę zaskoczył jej widok.

– Co tu robisz? Nie wiedziałam, że się przyjaźnicie.

Angel w milczeniu popatrzyła na Helen.

– Rozumiem. – Laura pokiwała głową. – Helen musi mieć

na ciebie oko, żebyś nie zadzwoniła do mnie i nie doniosła, co robi David, bo nie wyglądasz na kogoś, kto zadaje się z bandytami i ich rodzinami. – Kiedy Helen skrzyżowała na piersi ręce, Laura dodała: – A ty się tak nie obrażaj. Obie wiemy, że tego wszystkiego nie kupiliście za ciężko zarobione pieniądze.

– Dość tych pogawędek – uciął Carson. – Siadajcie.

Kobiety nadal stały, więc popchnął je, dźgając palcem w pierś.

– To napaść – zaprotestowała Angel.

– A ja mówię o zabójstwie, więc daruj sobie tę neurozę klasy średniej – odwarknął.

Angel spojrzała na Helen i naburmuszona zajęła miejsce obok niej.

– Czego chcesz? – odezwała się Helen.

– Twojego męża.

– Nie wiem, gdzie jest.

– Kłamiesz. – Carson popatrzył na Angel i podszedł bliżej, aż nerwowo, w obronnym odruchu, splotła nogi. – Będziesz miała powodzenie w więzieniu.

– W więzieniu?

– Czy to wywołuje echo? – Carson postukał kostkami dłoni w głowę dziewczyny. – Tak, w więzieniu. Słodka dziewczyna, jedwabista skóra, ładna figura... Oczko wyżej niż zwykle narkomanki i wściekle lesby, które są tam trzymane. Więc nie będziesz samotna.

A samotność w kiciu może być zabójcza. Zwłaszcza jak się siedzi całymi latami.

– Dlaczego miałabym pójść do więzienia?

– Współdział w przestępstwie – wyjaśnił inspektor. – Pewnie uda nam się namówić prokuratora, żeby wszystkich pod podciągnął.

A z ciebie naprawdę wredna suka. Obiecałaś nam pomóc, a teraz co?

– Obiecałaś pomóc? – zdziwiła się Helen.

– Nie zwracaj na nią uwagi – powiedział Carson. – Gdzie

Don Roberts?

Angel popatrzyła na Helen, potem znowu na inspektora.

– Nie mogę wam pomóc.

– Owszem, możesz, to twoja ostatnia szansa – wtrąciła się Laura. – Dzwon do Davida. Powiedz, żeby to powstrzymał. Żeby wydał Williamsa. Może nawet dostać za to nagrodę. Ale nie zabijajcie Williamsa, bo wszystkim zniszczycie życie. Davidowi. Donowi.

Wszystkim.

– Nie rozmawiamy z policją – oznajmiła Helen szyderczym tonem.

– Ty nie, wiemy – odparł Carson. – Ale ona jest inna niż ty. David podrzucił ją tutaj, żeby cicho siedziała, a teraz pojechał z nimi zemścić się za Angel. Tylko czy ona naprawdę tego chce? – Przeniósł wzrok na Angel. – Nie stawaj po stronie Dona. Niech to się zakończy jak trzeba i David będzie mógł wrócić do swoich zajęć, robić to co zwykle, żebyś miała lepsze życie. Przekroczył granicę, ale ty nie musisz iść w jego ślady.

Dziewczyźnie drżał podbródek, w oczach zbierały się łzy. Popatrzyła na Helen.

– Pamiętaj, co ci powiedzieliśmy. – Helen patrzyła na nią groźnie.

Angel spuściła wzrok, nic nie mówiła. Helen skrzyżowała ramiona. Już niczego z nich nie wyciągną.

Rozdział 67

Silne ręce złapały Jacka za ramiona i pchnęły go na ścianę. Mocno uderzył głową o cegły. Musiał się skupić, żeby kolana się pod nim nie ugięły. Noc zamieniła się w kolorowe plamki światła. Stary smród papierosów wypełnił mu nozdrza, ślina chlapnęła mu na policzki, kiedy napastnik przysunął się blisko i przycisnął mu gardło przedramieniem.

Jack próbował zobaczyć, co jest za tym facetem, ale było za ciemno, świetliste plamki gasły. Wokół poruszały się cienie. Rozległy się hałasy, gniewne syki, ręka w jego kieszeni czegoś szukała. Wyciągnęła telefon. Twarz Jacka oświetlił trzymany przed

nim ekranik.

Zobaczył gniewny grymas, ogoloną głowę i lśnienie srebrnego kolczyka w brwi. Potem znów zrobiło się ciemno. Komórka upadła na ziemię. Chrząst szkła i plastiku – ktoś ją rozdeptał.

Jack już chciał zaprotestować, kiedy napastnik odciągnął go od ściany, złapał za koszulę i pchnął w otwarte drzwi. Ramiona miał ścignięte z tyłu, rąbnął głową o framugę. Czoło mu zdrewniało, na oku poczuł gorący strumyk krwi.

Próbował zwalczyć ból. Popychano go szybciej, niż mógł iść, więc się potykał.

– Co wy, kurwa, robicie?! – wrzasnął.

Bez odpowiedzi. Mocno pchnięty do przodu gładko pojechał na kolanach po betonowej podłodze. Kiedy się zatrzymał, podniósł wzrok.

W rogu leżały jedne na drugich blokady na koła, obok małej białej furgonetki i stosu znaków zakazu parkowania. Ale stłumiony okrzyk Jack wydał na widok tego, co znajdowało się pośrodku pomieszczenia. To, co zobaczył przez okno, teraz było lepiej widoczne, bliższe.

Mężczyzna miał kostki przytroczone do nóg krzesła, ręce za plecami. Był chudy. Przez rozdartą koszulę Jack widział zarys jego żeber. Gołe nogi pokrywała warstwa czerwonych pęcherzy. Ale to jego twarz przyciągnęła uwagę Jacka. Spuchnięta i zakrwawiona.

Usta wydawały się tylko purpurowym maźnięciem, kiedy się skrzywił. Brakowało przednich zębów. Zamknięte oczy otaczał ostry fiolet.

Krew spływała po policzkach i wsiąkała w koszulę.

Przed nim pochylony do przodu siedział Don Roberts. Stukał stopą w podłogę i lekko mlaskał, kiedy więzień jęczał.

Jackowi wywracały się wnętrzności, ze strachu spociła mu się twarz.

Potem zobaczył coś, co sprawiło, że zacisnął powieki i bardzo pożałował, że nie zadzwonił do Laury, zanim zaczął

myszkować.

Z żelazka podłączonego do przedłużacza i ustawionego na maksymalną temperaturę buchała para, pomarańczowe światło nadal się paliło. Jack znów popatrzył na postać przywiązaną do krzesła, tym razem zauważył trójkątny pęcherz na piersi, czerwony i zaogniony.

Obok żelazka stał czajnik, smugi pary wydobywały się z dzióbka. Teraz Jack zrozumiał, dlaczego na nogach są pęcherze.

Przeniósł wzrok na Dona.

– Za daleko się posuwasz – krzyknął. – Wezwij policję. Już się zemściłeś.

Don przestał stukać stopą, ktoś za nim odchrząknął. Roberts wstał i podszedł prosto do Jacka. Ręce trzymał przy sobie, patrzył w dół.

Na kostkach dłoni miał krew i trochę rozmazanej krwi na koszuli.

– Nie istnieje coś takiego jak „za daleko” – mówił głębokim, gniewnym głosem.

– Niech gliniarze to załatwią – powiedział Jack.

Don pokręcił głową.

– A to by zrobili? – Wrócił do rozgrzanego żelazka. Podniósł je i zbliżył do twarzy mężczyzny, który próbował się odsunąć. Nie mógł, zbyt mocno był przywiązany.

– Nie! – zawołał Jack. Jego krzyk zmieszał się z wrzaskiem tamtego, ale odgłosy ucichły, kiedy wałnął głową o beton. Wszystko zbladło. Dźwięki. Obrazy. Ruchy Dona wydawały się wolniejsze, jakby opóźnione w czasie. Jack odzyskał ostrość widzenia, w chwili gdy Don przyciskał żelazko do piersi chudzielca.

Związany zatrząsł się i zawył z bólu. Jack chciał wcisnąć twarz w beton, żeby na to nie patrzeć.

Krzyki opadły do poziomu stłumionego szlochu. Jack podniósł wzrok, zobaczył odstawione żelazko. Nagle czyjeś ręce chwyciły go i podniosły. Został zaciągnięty z powrotem pod ścianę i rzucony na krzesło.

– Jak się ruszysz, zajmiesz jego miejsce – odezwał się jakiś głos.

Jack przyjrzał się uważnie ludziom, którzy go złapali – Don, paru jego zbirów. I Mike Corley. Miał ten sam wyraz twarzy co Roberts: gniew zmieszany z nienawiścią i chęcią zemsty.

– Dlaczego pan tu przyszedł? – syknął Jack do Corleya. – Na litość boską, jest pan policjantem.

Mike popatrzył na niego z wściekłością.

– A ty, co byś zrobił, gdybyś stracił córkę. Jeśli coś innego, to nie jesteś mężczyzną.

Jack przeniósł wzrok dalej, wzdłuż ściany i zobaczył Davida Hoyle'a. Ten nie miał już tej aroganckiej i bezczelnej miny.

– Co z tobą, David? – wydyszał Jack. – Słodka zemsta za Angel?

Hoyle spuścił wzrok.

– Naprawdę chcesz tu być? Nie sądzę – krzyknął Jack. – Możesz to zakończyć.

Jakaś ręka chwyciła Jacka za włosy i pociągnęła do tyłu. Skrzywił się z bólu i znowu usłyszał stukanie butów. Kiedy popchnięto mu głowę do przodu, zobaczył, że przed nim stoi Roberts.

– Po co tu przylazłeś? – warknął Don.

– Żeby was powstrzymać – odparł Jack, z trudem łapiąc oddech.

– Trzeba było trzymać się z daleka. Narażam się przez ciebie.

Jack rozejrzał się po obecnych, szukał jakiegoś znaku, że nie grozi mu niebezpieczeństwo, ale wszyscy wyglądali na wściekłych.

– Co, chcesz mnie zabić?

Don nie odpowiedział. Odwrócił się i podszedł do mężczyzny na krześle. Kiedy się zbliżył, zamachnął się i mocno rąbnął go pięścią.

Szczęka faceta opadła bezwładnie, krew wypłynęła mu z ust.

Jack popatrzył na Hoyle'a.

– Jak zamierzasz bronić w tej sprawie? – wycodził, potem poczuł piekące uderzenie dłonią w twarz.

Hoyle znów spuścił oczy. Nie podobało mu się to.

Jack wbił wzrok w Dona.

– Skąd masz pewność, że to on? A jeśli torturujesz niewinnego?

Roberts pokręcił głową.

– Nie torturuję niewinnego.

– Policja nie wie, kto jest zabójcą. Więc może się pomyliłeś?

Don przykucnął przed Jackiem.

– Powiedzmy, że co najmniej jedna policjantka wie, kto to jest.

– Nie rozumiem.

Don uśmiechnął się, chociaż oczy mu nie pojaśniały.

– Sama do mnie zadzwoniła – oznajmił i wstał z trzeszczeniem stawów.

Jack zamknął oczy. Rachel Mason. Ona była najbliższej, unieruchomiona pod nim w tej opuszczonej fabryce. Wszystko się zgadzało.

Więc rozpoznała go, ale nie powiedziała kolegom. Wybrała zemstę, nie sprawiedliwość.

– Moja dziewczyna wie, gdzie jestem – wyrzucił z siebie Jack.

Don odwrócił się do niego.

– A co mnie to obchodzi?

– Mówiłem jej, że tu jadę – skłamał Jack. – I to ona zajmuje się tą sprawą, pamiętasz? – Don na chwilę szerzej otworzył oczy, jakby ogarniała go panika, a Jack kiwnął głową w stronę drzwi. – Mógłbyś to sprawdzić w moim telefonie, tyle że go zniszczyłeś.

Don rozejrzał się po swoich ludziach, jak gdyby nagle nie był pewien, co zrobić.

Potem odwrócił się i wskazał więźnia.

– Nie mamy dużo czasu – rzucił. – Kończymy.

Jack zamknął oczy.

Rozdział 68

Carson stał przed domem Dona, patrzył na drogę. Laura z korytarza obserwowała Helen i Angel.

– Gdzie oni, do cholery, są? – syknął inspektor. Zaczął chodzić w tę i z powrotem.

– Nie możemy dłużej czekać.

Carson odwrócił się i obrzucił Laurę spojrzeniem, które miało jej powiedzieć, że wie, jakie to pilne, ale rozproszyło go niebieskie migotanie na domach naprzeciwko. Wybiegł na drogę i zamachał rękami. Radiowóz zatrzymał się na poboczu, Carson wskazał dom.

– Zgarniaj ją.

Laura zrozumiała. Wróciła do salonu i złapała Helen Roberts za ramię.

– Jest pani aresztowana. – Szarpnęła ją w stronę drzwi. Pies Helen zawarczał, zaszczekał, ale Laura nie zwracała na niego uwagi.

Wykręciła do tyłu ramię kobiety.

– Za co? – zapiszczała Helen.

– Za wszystko to, o czym mówił inspektor, więc zamknij się i wychodź – parsknęła jej Laura do ucha. – Jedziesz na komendę.

Roberts odwróciła się i spojrzała na Angel, która zakrywała dłonią usta. Zaczęła coś mówić, ale Laura popchnęła ją mocno przez drzwi. Helen obijała się ramionami o framugę.

– To boli – warknęła rozgniewanym tonem.

– Poskarżysz się swojemu adwokatowi. Jutro może się znaleźć w celi obok.

Umundurowany policjant, młody funkcjonariusz, niepewnie patrzył na tę całą scenę. Nie wiedział, po co przyjechał.

– Potrzebujemy kajdanek i samochodu z dobrymi zamkami.

– Laura popchnęła do niego Helen. – Zabierz ją ze sobą.

Carson wchodził do domu, kiedy na przegubach Roberts

pojawiły się kajdanki.

– Już pojechała – zwrócił się do Angel. – Teraz powinniśmy pogadać, nie sądzisz?

Dziewczyna przytaknęła, łzy spływały jej po twarzy. Opadła na kanapę.

– Boję się – wymamrotała.

Laura przepchnęła się obok Carsona i uklękła przed Angel.

– Musimy powstrzymać Davida, żeby im nie pomógł kogoś zabić.

Kolejne przytaknięcie.

– Gdzie oni są?

Angel spojrzała w stronę okna, zza którego dobiegł krzyk. Wyglądało na to, że mundurowy zмага się z Helen. Potem otarła łzy.

– Słyszałam, jak rozmawiali. Don ma nieruchomości, gdzie trzyma swoje furgonetki. Tam go zabrali.

– Gdzie to jest?

Angel pokręciła głową.

– Nie wiem. – Znów zaczęły jej płynąć łzy.

Laura wstała i rozejrzała się po pokoju. Szukała jakiegoś dokumentu firmowego Roberta. Pokój pełen był gadżetów i filmów na DVD, przy telewizorze leżały gry komputerowe. Wtedy to zobaczyła, stos papierów na półce w rogu.

Zdjęła kartki – kserokopie informacji o samochodach, mandaty za blokady. Na górze dane spółki D.R. Security. Pod spodem adres.

– Mamy to!

– A co ze mną? – zapytała Angel.

– Jedziesz z nami.

We troje wyszli do samochodu Carsona.

Roberts wskoczył na pakę jednej z furgonetek, wysiadł z długą liną holowniczą w rękę. Na jednym końcu, patrząc na Jacka, zawiązał pętlę. Potem odwrócił się i przerzucił linę przez belkę w suficie. Pętla zadyndała kilkanaście centymetrów nad głową jego więźnia.

– Pomóż mi – warknął Don do Hoyle’a, który bez słowa tylko pokręcił głową. Popatrzył na niego z dezaprobatą. Widział w Davidzie to, co w większości adwokatów, odważni z piórem w rękę, okrutni w działaniu, ale nie dają sobie rady, jak przychodzi do brudnej roboty.

Jeden z mięśniaków Dona zastąpił Hoyle’a i rozsuptał linę krępującą kostki więźnia. Kiedy nogi zostały uwolnione, zabójca zwałił się do przodu. Ręce nadal miał związane z tyłu.

– Postaw go na krześle – rozkazał Don. Jego słowa zabrzmiały jak groźny pomruk.

Bandzior chwycił chudzielca pod pachy i go podniósł.

– Jeśli to zrobisz, dostaniesz karę śmierci – krzyknął Jack.

Mężczyzna powoli podniósł wzrok, z otwartych ust wyciekała mu ślina zmieszana z krwią. Patrzył na Jacka przez zapuchnięte powieki, potem zwiesił głowę.

Don przyglądał się Jackowi z miną wyrażającą wściekłość i konsternację. Nie rozumiał, co tego faceta to obchodzi.

– On to zrobił za Emmę – wyrzucił z siebie Jack. Roberts nie odpowiedział, więc mówił dalej. – Pamiętasz ją, prawda, Don? Corley pamięta. Zapytaj go. – Rzucili sobie spojrzenie. – Nastolatka, którą dawno temu obaj wykorzystaliście seksualnie. Nie, nie wykorzystaliście. Zgwałciliście. Nieletnią. Coś ci się przypomniało, Don? Nigdy cię nie uważałem za pedofila.

Don zacisnął zęby.

– Nie wiesz, o czym mówisz – wycodził.

– Naprawdę? A może zgwałciliście ich więcej? Ile, Don? Bo tę, o której mówię, to na pewno. Ma na imię Emma. I jest jeszcze coś, o czym nie wiesz: urodziła dziecko. Corley ci o tym nie wspominał?

Don okręcił się na pięcie w stronę Mike’a.

– Wiedziałeś?

– On mi to wcześniej powiedział.

– Dlaczego nic nie mówiłeś?

– To nie jest jakieś pieprzone rodzinne spotkanie po latach – warknął Mike. – Jak z tym skończymy, znowu będziemy gliną i

kryminalistą. Tak czy inaczej, on ma to wszystko nagrane. A ten – pokazał palcem postać na krześle – chce, żeby zdechł. I mam gdzieś, co będzie potem.

Don pstryknął palcami na jednego ze swoich goryli.

– Sprawdź, czy w samochodzie jest dyktafon. – Potem podszedł do Jacka. Stukanie jego butów było teraz głośniejsze, bo wszyscy zamilkli. Stanął nad Jackiem, zacisnął pięści. – Musisz się nauczyć, żeby trzymać głębę na kłódkę – powiedział. Głos mu wibrował z wściekłości.

Jack podniósł wzrok, próbował zgadnąć, co Roberts zamierza. Żelazko nadal syczało parą, pomarańczowe światło włączało się i gasło. Jack wyczuwał napięcie w pomieszczeniu. Zmienił dynamikę zdarzeń. Najpierw Roberts i Corley mieli tylko powiesić kogoś, kto pewnie na to zasługiwał, teraz ktoś może ich zdemaskować i posłać do więzienia. Było tam przecież więcej ludzi niż tylko Don i Mike.

Jeśli uda mu się nastawić ich przeciwko tym dwóm facetom, może znajdzie wyjście z sytuacji.

– Lubisz pieprzyć dzieci, co? – ryknął. – To w czym on jest gorszy od ciebie?

Poczuł wybuch bólu, kiedy Don sieknął go w twarz. Szczeka mu zwiotczała, krew bluznęła na podłogę, wypluł ząb na beton. Kilka razy głęboko wciągnął powietrze przez nos i znów popatrzył na Dona.

– Urodziła zdrowego chłopczyka, ale musiała go oddać. Nie mogła zapewnić mu przyzwoitego życia, bo sama była tylko nastolatką, ale dzieci w końcu dorastają. – Skinął głową w stronę umęczonego więźnia. – Powiedz „cześć” synkowi.

Don przełknął.

– Ale przecież już się poznaliście – ciągnął Jack – bo to ty przywiązywałeś swojego syna do krzesła.

Roberts odwrócił się i spojrzał na pokrwawioną postać. Minę miał teraz niepewną, potem popatrzył na Mike’a Corleya bladego jak prześcieradło.

– Został adoptowany – mówił dalej Jack. – Emma nie wie,

czyje to dziecko. Mike, może to twój syn. Uratujesz go? Naprawdę ma na imię Shane. Przywitaj się z nim.

– To bzdura – zaprotestował Don, ale niezbyt przekonująco.

Jack powoli pokręcił głową i pokazał na chudzielca.

– Zapytaj go.

Don podążył za jego wzrokiem. Więzień rozglądał się po pomieszczeniu, twarz miał wykrzywioną z bólu. Chciał coś powiedzieć, ale krew zbryzgała mu podbródek. Podniósł głowę i spróbował raz jeszcze.

– Pieprzyłem wasze córki, tak jak wy dwaj pieprzyliście moją matkę – wycharczał i zaczął się krztusić.

Don złapał go za koszulę. Podniósł go na krzesło, wściekłość dodawała mu sił. Głowa jego ofiary znalazła się na wysokości pętli.

Roberts zawahał się, tylko na chwilę, bo Shane uśmiechnął się szyderczo. Don sięgnął po pętlę i założył mu ją na szyję. Odsunął się.

Shane stał na krześle, ręce nadal miał związane za plecami. Don postawił stopę na skraju krzesła. Był gotów je kopnąć. Spojrzał w tył, na Jacka, potem znów na Shane'a. Jakby się nad czymś zastanawiał, jakby coś zobaczył w Shanie, rozpoznał własną krew.

Ale Jack się mylił.

Don szybko odszedł do kantorka. Kiedy wrócił, trzymał kij baseballowy. Rzucił go Mike'owi. Corley ważył go w ręce, potem zbliżył się do Shane'a, który skulił się, czekając na uderzenie. Mike przygotował się do zadania ciosu. Zamachnął się mocno, celując między nogi ofiary.

Shane zawył z bólu i zwymiotował na podłogę. Chlapnięcie o beton sprawiło, że komuś za Jackiem zebrało się na pawia. Chudzielec opadł do przodu, szyja napięła pętlę, stopy ledwie dotykały krzesła podtrzymującego jego ciężar. Wygiął się w łuk, zanim zdołał się wyprostować.

Jack wstał, chciał pobiec przed siebie, nie mógł dłużej na to patrzeć, ale Mike odwrócił się i rąbnął go kijem w udo.

Jack wrzasnął z bólu nie do zniesienia. Przewrócił się i omal nie zemdleł.

– Przynieście jeszcze jedno krzesło i linę – ryknął Don.

Dał się słyszeć ruch. Czyjeś ręce chwyciły Jacka pod ramiona i dźwignęły go do pionu.

Jack jęknął przeraźliwie, kiedy dotknął stopami podłogi, ale i tak pociągnięto go do przodu. Otworzył oczy i zobaczył drugie krzesło, niecałe pół metra od krzesła Shane’a. Podniósł wzrok: z belki zwisała druga lina zakończona pętlą. Próbował walczyć, ale rozdzierający ból nie pozwalał mu ruszyć nogą. Nie był w stanie się opierać, kiedy podniesiono go na krzesło.

Szarpał głową, żeby nie mogli założyć mu pętli, ale ktoś gwałtownie szarpał go za włosy. Jego wrzask zdusiła szorstkość liny zaciskającej się na szyi. Węzeł z tyłu był mocno zaciągnięty.

Na linie zbierał się pot, Jack z trudem przełykał. Ramiona miał ściągnięte do tyłu, czuł, że coś je kępuje. Kolejny kawałek liny. Więc teraz go związali. Nie da rady ściągnąć pętli. Przez umysł przebiegały mu obrazy. Laura. Bobby. Rodzice. Widział tytuł na pierwszej stronie: *Lokalny reporter zabity*.

Ostre sygnały bólu rozchodziły się z uda na całe ciało, ale za każdym razem, kiedy się nachylał, żeby przenieść ciężar na drugą nogę, lina coraz bardziej wrzynała mu się w szyję. Zmuszał się, żeby stać prosto.

– Więc to tak? – wysapał, krzywiąc się niemiłosiernie. – Chcesz zabić nas obu? Za co? Za to, że się dowiedziałeś? Tyle ci wystarczy?

Don wyrwał kij baseballowy Mike’owi i podszedł do Jacka. Leniwie się zamachnął. Jack przygotował się na kolejny cios. Co innego mógł zrobić? Ale ból się nie pojawił, nie było mocnego uderzenia. Otworzył oczy. Don się uśmiechał.

– Nie, nie ja was zabiję – odparł. – Mam inny pomysł.

– Że co? – wykrztusił Jack zdeorientowany.

Don wskazał na Shane’a.

– Jeśli wykopię jego krzesło, twoje też wykopię. W jego przypadku to zemsta. Ty jesteś po prostu zbędny, bo nie chcę mieć

świadka. – Uniósł brwi. – Ale po co tak?

Jack przełknął, spróbował grać bohatera.

– To jak? Oświeć mnie.

Don dźgnął zakrwawioną ofiarę czubkiem kija. Shane wyglądał tak, jakby walczył o to, żeby zachować przytomność.

– Ty wykopiesz spod niego krzesło. I będziesz żyć.

– Nie rozumiem.

– To całkiem proste. Najłatwiejszym sposobem, żeby się obronić, to zrobić z wroga sojusznika. Weź się za tego potwora na krześle obok.

– Nic cię nie obchodzi, że to może być twój syn? – rzucił Jack.

Don znów dźgnął Shane'a, tym razem w pachwinę.

– To nie mój syn. To śmieć, a za pięć minut będzie martwy.

I ty też, jak nie wykopiesz spod niego krzesła.

– Nie jestem taki jak ty.

– To się jeszcze okaże – powiedział z lubością Don. – W moim fachu trzeba się trochę znać na prawie. Wiem jedno: nie obronisz się przed zarzutem zabójstwa, jeśli wykopiesz to krzesło. Prawo nie pozwoli ci być tchórzem. Zgadza się, David? – Spojrzał na Hoyle'a.

Adwokat nic nie powiedział.

– Hoyle! – ryknął Don. – Udziel temu sukinsynowi porady prawnej.

David powoli pokiwał głową.

– O... o... on ma rację – wyjąkał. – Możesz to nazwać przymusem, kiedy robisz coś pod wpływem groźby, ale to się nie liczy, kiedy kogoś zabijesz.

Don uśmiechnął się złośliwie.

– Widzisz, jaki geniusz? Prawo nie pozwala ci zabić kogoś innego, żeby ratować siebie, bo to byłby paragraf dla tchórzy, ale ty nie masz innego wyboru. Wykopiesz to krzesło, żyjesz. Nikomu nie powiesz, bo jak powiesz, to spędzisz resztę życia za kratkami, a nie sądzę, żeby ci się ten pomysł podobał. Ale jak nie wykopiesz, a masz limit czasu, żeby to zrobić, wtedy ja kopnę oba krzesła i

zostaniesz pochowany na wrzosowiskach razem z nim.

Jack spojrział w górę. Zobaczył pajęczyny na stalowych belkach dachu i światełka gwiazd w świetliku. Czy to ostatnia rzecz, jaką widzi? Nasłuchiwał odgłosu syren – miał nadzieję, że Laura już wpadła na ten trop – ale słyszał tylko stukot butów Dona. Przez głowę przemknęło mu całe życie, obrazy ojca, silnego i milczącego, matczyne ciepło. Przyjaciele. Byłe dziewczyny. Wszystko to migotało mu w myślach jak ilustracje w animowanej książeczce. Rozpoznawał ich, ludzi, którzy będą go osądzać, i wiedział, że może zrobić tylko jedno.

Warga mu zadrzała, kiedy uświadomił sobie, że to pewnie ostatnia rzecz, jaką powie. Zamknął oczy, próbował sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy krzesło wypadnie spod niego, lina zaciśnie się mocno na szyi, a ciało zakolysze.

Te obrazy nie zmieniły jego decyzji.

Otworzył oczy i spojrzął z wściekłością na Roberta.

– Don, możesz być mordercą, ale ja nim nie jestem. Pieprz się.

Rozdział 69

Carson wezwał więcej oznakowanych radiowozów, torowały sobie drogę syrenami i światłami. Niebieskie błyski świeciły jaskrawo między budynkami, kiedy policyjne auta pędziły podmiejskimi ulicami.

– Musisz zostać w samochodzie, kiedy tam dotrzemy – zwrócił się Carson do Angel.

W milczeniu pokiwała głową. Strach jakby ją otrzeźwił. Z ponurą miną siedziała na tylnej kanapie.

– Jesteś pewna, że go wywieźli?

– Słyszałam, jak rozmawiają na dworze – odparła Angel. – Trzymali tego zboczeńca związanego na pace furgonetki i zastanawiali się, dokąd go zabrać.

Laura się odwróciła.

– Dlaczego twój narzeczony się wmieszał? Jak na niego to krok za daleko.

– Bo Don chciał, żeby David przy tym był. Mówiłam mu,

żeby nie szedł i on nie chciał iść, ale robi wszystko, czego Roberts zażąda, bo za bardzo się boi, żeby powiedzieć nie. I trafiliście w dziesiątkę, przywieźli mnie do domu Dona, żeby ta zawzięta suka mnie pilnowała.

– Chodziło o to, żebyście oboje mieli za dużo do stracenia – stwierdził Carson. – Wziął Davida z sobą jako zabezpieczenie. Już nic nie będzie zbyt bezprawne, bo Roberts zawsze będzie miał haka na niego. A wtedy i ty będziesz cicho siedziała. Zawodowemu przestępcy zależy tylko na tym, żeby wyciszyć sprawę.

– Ja nie jestem taka jak oni – powiedziała cicho Angel.

– Tak, wiem, i dlatego nie wytrzymałybyś. Wasz związek by się rozpadł.

Carson wziął ostry zakręt, Laura musiała złapać za klamkę. Pomyślała, że tylko fartem uniknęli wypadku.

Pędzili obrzeżami centrum miasta drogą uważaną za wewnętrzną obwodnicę Blackley – w istocie stały tam światła za światłami.

Carson musiał co chwila hamować i ruszać, przedzierając się przez czerwone. Mieli adres.

– Daleko jeszcze? – krzyknął.

– Teraz w lewo. To gdzieś tutaj.

Carson z piskiem opon skręcił w ulicę prowadzącą do wiaduktu, wielkiego cienia na końcu trasy. Laura próbowała zobaczyć coś w bocznych uliczkach, szukała znaków firmy Dona, tablic albo szyldów. Nagle reflektory oświetliły zaparkowany w głębi samochód.

Triumph stała.

– Zatrzymaj się!

Inspektor jeszcze nie zahamował na dobre, kiedy Laura otworzyła drzwi i pobiegła.

Rozdział 70

Jack czekał na kołysanie, na upadek, wbijał paznokcie w zaciśnięte pięści, pierś szybko podnosiła mu się i opadała, serce dudniło jak bęben, ale nic się nie działo. Otworzył oczy. Don z zaciśniętymi zębami patrzył na Shane'a. Mike stał tuż za

Robertsem.

Chudzielec roześmiał się i natychmiast skrzywił boleśnie. Bicie zrobiło swoje.

– Z czego się śmiejesz? – warknął Don.

– Z ciebie – odparował Shane głosem przytłumionym opuchlizną. Pluł krwią na podłogę. – A co? Chcesz, żebym się bał? A może to ty się za bardzo boisz, żeby to zrobić?

– Shane, nie! – wrzasnął Jack.

– Och, odwal się. Przestań zgrywać bohatera. Miałbym i twoją dziewczynę, gdyby nie nadjechał inny samochód. No, to dalej, wykop spode mnie krzesło, tak jak ci każe ten dryblas.

Don zbliżył się i postawił stopę na skraju krzesła Shane’a.

– Chcę, żebyś poczuł przerażenie, które czuła moja córka w ostatnich sekundach swojego życia.

– To nie były sekundy. To były minuty.

Don pobałdł.

– To nie jest tak jak na filmach – mówił dalej Shane z triumfem. – To nie tak, że szybko się zaciśnie gardło i po wszystkim. Nie, one żyły cholernie długo. Wiesz, jak długo da się wstrzymywać oddech? Tak to jest dryblasie. – Znowu zarechotał, ale zaraz zatrząsł się od kaszlu. – Musiałem robić przerwy, ręce mi cierpły.

Niezdrowy rumieniec pojawił się na policzkach Dona.

– On próbuje cię wkurzyć – powiedział Hoyle do Dona. – Nie daj się sprowokować. Trzymaj się planu.

Shane pokiwał głową, spróbował spojrzeć na Davida przez zapuchnięte powieki.

– Ten facet jest cholernie bystry. Pamiętam, jak skradałem się do jego domu, ale spieprzyłem sprawę, trochę sytuacja mi się wymknęła spod kontroli.

– Dlaczego ja? – zapytał Hoyle już twardszym głosem.

Shane wypluł kolejną porcję krwi. Don i Mike musieli się szybko odsunąć, żeby uniknąć oplucia.

– Bo ty jesteś tak samo winny jak oni, że ona ma takie podle życie. Widziałem cię, w komendzie, w dniu kiedy uwolniłeś

tych gnojzków Roberta. Ci gówniarze zamienili życie Emmy w piekło, a ty się cieszyłeś, że znowu udało im się wywinąć.

– Nie było na nich dowodów – odparł Hoyle.

– Och, oszczędź mi tej swojej prawniczej gadki – parsknął Shane. Oddychał głęboko, pokonując ból. – Dla ciebie to tylko polowanie na grubą zwierzynę. Byłem tam, widziałem cię. Wiozłem na wózku jakieś teczki, a ty wyglądałaś na cholernie zadowolonego z siebie.

Więc improwizowałem, ale mi się nie udało. – Próbował prosto trzymać głowę, żeby patrzeć na adwokata, ale z bólu nie dawał rady. – Teraz zamierzasz się zemścić. Świetnie. No, dalej, śmiało, przecież już jesteś tak samo winny jak oni, bo chcesz tego samego. Nie wyłgasz się, nawet jak kto inny wykopie spode mnie krzesło.

Don znowu uderzył Shane'a w krocze. Chudzielec już się kulił, ale pętla go powstrzymała.

– I tu się mylisz – parsknął Don. – Zrobimy tak, żeby on nic nie powiedział. – Dźgnął Jacka w nogę.

– Ale zależy ci, żebym się bał – odparł Shane. – A ja się nie boję i tym się różnię od ciebie.

Hoyle podszedł bliżej.

– Chce cię wyprowadzić z równowagi, Don. To wszystko. Chce, żebyś to skończył.

Shane zarechotał.

– Strach pana obleciał, panie Hoyle?

Don popatrzył na Jacka, potem znowu na Shane'a. Przeniósł stopę na krzesło Jacka i napiął mięśnie.

– Masz dziesięć sekund, żeby kopnąć krzesło tego sukinsyna. Jak nie, polecą twoje krzesło.

Jack próbował opóźnić tę chwilę. Zwrócił się do Shane'a: – A Rachel Mason? Kim dla ciebie była? Dlaczego ona?

Shane znowu zakaszłał krwią.

– Tak dla rozrywki. Nadęta krowa, już prawie było po niej.

– Więc o to chodziło? Po prostu ci się nie podobała?

Chudzielec się uśmiechnął. Tam, gdzie były zęby, zebrała

się krew.

– Ależ bardzo mi się podobała. Właśnie na nią niecierpliwie czekałem.

– Marnujesz swój czas, nie mój – warknął Don do Jacka. – Zrób to.

Garrett spojrział w dół, zobaczył stopę Roberta, stała mocno na jego krześle. Myślał, że Don odlicza sekundy, ale on pozwolił, żeby czas się zatrzymał. Wokół panowała cisza. Jack zacisnął powieki, modlił się po cichu, żeby to była tylko pusta groźba Roberta. Ale wiedział, że plan Dona ma sens: stał się świadkiem, a przestępcy nie lubią świadków. Czuł, jak stopa Dona popycha krzesło, jak krzesło zaczyna się chwiać na tylnych nogach. Teraz walczył o miejsce oparcia dla stóp. Trząsał się. Pożegnał się z Laurą, z Bobbym. Był zły, że zachowuje się jak tchórz, chociaż to nie tchórzostwo, bo postępuje właściwie: odmawia zabicia człowieka. Ale nawet jeśli dobrze robi – bez względu na to, czego dopuścił się Shane – tylko na krótko zatriumfuje, bo sumienie umrze razem z nim.

Wiedział, że dziesięć sekund minęło, otworzył oczy i podniósł wzrok, żeby zobaczyć niebo przez świetlik.

Spoglądał na gwiazdy, srebrne punkciki na ciemnym granacie, ale światło zaczęło się zmieniać, błyskać, jak efekt stroboskopowy. Im dłużej patrzył, tym błyski stawały się jaskrawsze. Niebieskie błyski.

Opuścił wzrok. Don był spięty i nieruchomy. Hoyle odwracał się w stronę kantorka. Mike Corley też.

Potem Jack ich usłyszał. Odległe zawodzenie. Ścieżkę dźwiękową do błysków. Syreny w oddali, ale coraz bliżej.

– Odetnij nas – krzyknął. Tętno mu szalało, policzki płonęły od wzbierającej w żyłach adrenaliny, palce drżały. – Dostaniecie tylko za pobicie. No, dalej, zrób to, Don, póki masz szansę. – Przejechał językiem po wargach, w ustach mu zaschło.

Teraz wycie słyhać było wyraźnie. Don spojrział na Jacka, potem na Hoyle'a, potem na Shane'a. Wydawał się wściekły, wystraszony jak zwierzę w reflektorach samochodu. Nie wiedział,

co robić.

– Zmywamy się, Don. – W głosie Hoyle’a brzmiała panika. Corley poszedł do frontowych drzwi.

– Nie, wyjdź od tyłu – zawołał Roberts.

Mike zawrócił, ale jego uwagę znów przyciągnął przód budynku. Na ulicy jazgotały syreny.

– Don, wynośmy się stąd, i to już.

Don zerknął na tył biura, na Jacka, wreszcie ruszył.

– Idziemy. – Kiwnął głową na swoich ludzi. Z kieszeni wyjął nóż i zaczął się rozglądać za czymś, po czym mógłby wspiąć się na wysokość liny, ale wtedy na dworze rozległ się pisk opon i wybuchły krzyki.

Pognali na tył pomieszczenia, uciekali co sił w nogach. Łomotanie do drzwi, potem odgłos, jakby ktoś w nie kopał, żeby się dostać do środka. Jack poczuł ulgę, na czoło wystąpił mu pot, zaczął się koncentrować na bólu w udzie.

Popatrzył na Shane’a; chudzielec zrozumiał, co się dzieje.

– Już po wszystkim – powiedział Garrett do niego.

Shane spojrział na drzwi, słychać było pękające drewno, walenie nie ustawało. Odwrócił się do Jacka i pokiwał głową.

Nagle kopnął w jego krzesło. Zachwiało się. Jack krzyknął, przycisnął stopy do siedziska, żeby przytrzymać je swoim ciężarem.

Chwiało się, lina zaciskała mu się na szyi, węzeł wbijał się w skórę. Shane jeszcze raz kopnął, tym razem mocniej.

Krzesło się przechyliło na bok. Jack próbował balansować, żeby je z powrotem postawić. Słyszał rechot Shane’a za sobą i wrzaski na zewnątrz. Na oślep przesunął stopę, ale stracił kontakt z podłożem, tylko na sekundę. Walczył dalej, ale czuł, że traci równowagę.

Krzesło przewróciło się z łomotem, Jack zamachał nogami w powietrzu. Usiłował wydobyć z siebie głos, ale lina zacisnęła się wokół jego gardła i przez moment słyszał tylko trzeszczenie włókien. Potem rozległ się stukot – runęło drugie krzesło. Krótki krzyk i trzask.

Shane też się kołysał.

Węzeł wbił się mocno w szyję. Jack nie mógł oddychać. Wpadł w panikę, pierś mu się napinała, kiedy próbował napędnąć płuca powietrzem. Naprężył się i szamotał – odruchowo, a lina się zaciskała. Całe wnętrze zawirowało. Zdołał spojrzeć w dół, zobaczył swoje stopy nad betonową posadzką. Uderzały o stopy Shane'a, który kołysał się obok niego. Obraz przed oczami zaczął mu się zamazywać, pomieszczenie ogarniała biel, dźwięki wokół cichły, aż wreszcie słyszał tylko trzeszczenie liny.

Kiedy pomieszczenie zbladło, zdał sobie sprawę, że nie miał okazji pożegnać się z ludźmi, których kochał.

Rozdział 71

Laura pognąła do frontowych drzwi. Carson i mundurowi biegli tuż za nią.

– Jack! – Nacisnęła klamkę, jednocześnie uderzając o drzwi ramieniem. Zamknięte. Kopnęła w solidny kawał drewna. Ze środka dobiegały krzyki. Odwróciła się do policjantów wysypujących się z samochodów. Ulicą nadjeżdżał kolejny radiowóz. – Dwaj niech idą od tyłu!

Jeszcze raz kopnęła w drzwi, nie ustąpiły.

Obok pojawił się Carson, odepchnął ją. Kopnął w zamek. Nadal nic.

Wtedy z pomieszczenia rozległ się krzyk.

– Daj mi pałkę! – zawołała Laura.

Funkcjonariusz stojący obok niej szybko sięgnął do pasa. Mocno walnęła w okno, nie obchodziło jej, że polecą odłamki szkła, ale pałka tylko się odbiła. To było szkło zbrojone, wzmocnione metalową siatką. Znowu uderzyła. I nic. Rozejrzała się za czymś, czym można by rzucić w okno. Pod ścianą leżał jakiś gruz, widziała go w świetle reflektorów. Podbiegła i podniosła połówkę cegły nadal oblepionej zaprawą. Biegąc z powrotem, uniosła ramię i cisnęła cegłą w okno.

Cegła odbiła się i upadła na ziemię, ale tym razem w szkle pojawiło się pęknięcie. Laura sięgnęła po cegłę i rzuciła raz jeszcze. Cegła znowu się odbiła, tyle że szyba nie była już taka

przejrzysta. Powierzchnia została potrzaskana. Laura więc znów chwyciła pałkę i zaczęła łomotać nią w okno.

Za trzecim rąbnięciem pojawiła się dziura. Laurze brakowało tchu, ale nie przestawała. Jeszcze kilka uderzeń i dziura zrobiła się na tyle duża, żeby przeszły przez nią ramiona.

Laura odrzuciła pałkę i zaczęła się podciągać przez okno. Odłamki szkła wbijały się jej w brzuch, krzywiła się, unosząc ciężar ciała na rękach. Na biurku pod oknem lśniły odłamki szkła. Resztką sił przecisnęła się i ześliznęła z biurka na posadzkę. Na brzuchu czuła wilgoć, wiedziała, że to krew, ale nie miała czasu się tym zająć. Wybiegła z kantorka w stronę drzwi frontowych, była przygotowana, że ktoś w środku krzyknie, żeby się zatrzymała, ale nikt jej nie powstrzymał. Odsunęła górny i dolny rygiel. Został już tylko zamek yale.

Wpadli mundurowi z rykiem: „Policja”. Popędziła za nimi, dyszała z wysiłku, była przerażona tym, co może zastać.

W wielkiej hali stały białe furgonetki. A pod nimi... z jej piersi wyrwał się okrzyk przerażenia.

Z głowami w pętlach kołysało się tam dwóch ludzi. Twarz jednego była cała we krwi, szyja mocno ściśnięta liną, ręce schowane za plecami. Z tyłu leżało przewrócone krzesło.

Ale to na widok drugiej osoby serce jej zamarło.

– Jack!

Rzuciła się przed siebie, zbliżała się bardzo szybko, ale każdy krok zdawał się jak w zwolnionym filmie. Złapała Jacka za nogi, żeby go odciążyć, ale lina nadal wpijała mu się w szyję.

– Niech ktoś przyniesie nóż! – wrzasnęła.

W składziku obok rozległ się brzęk narzędzi, potem zadudniły kroki. Ciało Jacka drgnęło, kiedy ktoś zaczął ciąć linę. Piłką do metalu albo nożem, nie wiedziała, ale zbyt wiele sekund minęło, zanim lina zwiotczała. Laura runęła na beton, Jack upadł na nią.

Jej ręce natychmiast powędrowały do węzła z tyłu szyi, ale był za mocno i za ciasno zaciśnięty. Usłyszała kogoś obok siebie.

Spojrzała. To Carson. W rękę błysnęła mu srebrna klinga.

Zębate ostrze wgrzyzało się w twarde, zbite włókna, Carson piłował jak oszalały. W końcu krzyknął i odrzucił linę.

Jack opadł bezwładnie. Laurze po twarzy płynęły łzy, kiedy kładła dłonie na jego policzkach, jakby chciała przekazać mu życie.

A potem głęboko zaczerpnął powietrza, zakaszłał. Krew i ślina trysnęły jej na policzek. Ale to nie miało znaczenia, tuliła się do niego.

Jego pierś zaczęła unosić się i opadać, powieki zadrgały.

Słyszała, jak ktoś z trudem przecina linę, na której wisiał Shane Grix, i głuchy łomot – martwe ciało łupnęło o beton, jak świńska tusza rzucona na zimny blok rzeźnicki.

Nie patrzyła w tamtą stronę. Głaskała Jacka po włosach, trzymała jego głowę w ramionach, płakała bezgłośnie.

– Już po wszystkim – powtarzała. – Po wszystkim.

Rozdział 72

Kolejne parę dni przemknęło w jednym ciągu – od pobytu Jacka w szpitalu po zeznania na policji, przy stałej obecności prasy.

Jacka uratowała niecierpliwość Roberta. Don przygotował solidny węzeł dla Shane'a, nie żałował czasu, żeby sprawdzić, czy stryczek jest mocny i się nie poluzuje, kiedy ciało zacznie się kołysać. Kiedy Shane wykopał spod siebie krzesło, lina zaciągnęła mu się pod brodą, a nagle szarpnięcie złamało mu kark. Był martwy, zanim wdarła się policja. W przypadku Jacka Don, rozwścieczony, działał bez planu, więc zadzierzgnął zwyczajny węzeł i kiedy krzesło się przewróciło, lina tylko mocno przydławiła Jacka.

Laura zdążyła w samą porę i węzeł minimalnie się rozluźnił, kiedy Garretta odcięto, ale musieli przepiłować pętlę, żeby znowu zaczął oddychać.

Jack popatrzył na swoje ręce. Trzęsły się, dłonie miał śliskie od potu. Starał się nie wracać myślami do tamtych wydarzeń. Fizycznie wyzdrowiał. Ciągłe jednak nawiedzały go wspomnienia chwil, kiedy stał na krześle. I ta przerażająca myśl, że

gdyby umarł, niewielu ludzi złożyłoby kwiaty na jego grobie. Miał kolegów, ale tylko takich, z którymi dobrze od czasu do czasu wypić albo pogadać przez telefon.

Krąg tych, co kochali Jacka, był mały. Pożegnali go jedynie Laura i Bobby. Przysiągł sobie, że to zmieni, że w życiu będzie bardziej dbał o kontakty z ludźmi niż o pisanie artykułów, które mało kto czyta.

Przejechał palcem wokół szyi, wyczuł stwardniałą skórę tam, gdzie była pęta. Odciągnął kołnierzyk koszuli. Wydał mu się za ciasny.

Pogrzeb Shane'a przyciągnął więcej fotoreporterów niż żałobników. Tylko dwie osoby uroniły łzę. Ida i Emma – stały po przeciwnych stronach grobu, każda w czerni. Jedna płakała, bo winiła się za to, że nie chciała oddać syna, druga, że go opuściła. Odeszły osobno, każda część winy zrzucała na drugą. Złe wychowanie. Złe geny. A może po prostu połączenie obu tych rzeczy.

Rachel nie miała wyboru, musiała zrezygnować. Policja postawiła sprawę jasno: odejdz albo cię zwolnimy. Odeszła – to był jedyny sposób, żeby zachować skromny budżet emerytalny, który uzbierała. Jack zobaczył ją kiedyś, jak wychodziła z college'u, ubrana w stare džinsy i T-shirt. W rękę trzymała papiery. Wyglądało, że próbuje się dostać na kursy, że rezygnację potraktowała jako szansę, a nie jako karę. Jack uśmiechnął się na jej widok zadowolony, że się pozbierała i wzięła własny los w swoje ręce.

Przyszłość Dona i jego ludzi, Mike'a Corleya i Davida Hoyle'a, nie przedstawiała się tak różowo. Zostali oskarżeni o współudział w planowaniu zabójstwa Shane'a. Wszyscy czekali w areszcie na rozprawę. Jack był najważniejszym świadkiem, jedyną osobą z tamtego pomieszczenia, która pozostała na wolności. Nie dręczyła go myśl, że pośle ludzi za kratki na wiele lat.

Wiedział, że w więzieniu najbardziej ucierpi David Hoyle. Mike Corley – były gliniarz – dostanie jakąś ochronę i własną celę z telewizorem. Jedyna niedogodność, znajduje się w jednym

skrzydle z gwałcicielami i pedofilami. Ale Hoyle'a wsadzą z innymi skazańcami. Nie był dość twardy na takie doświadczenie.

Jack mu nie współczuł. Jako prawnik David wiedział, gdzie leży granica, a jednak ją przekroczył.

Jack kilka razy odetchnął i spojrzał w podłogę. Nie powinien tak myśleć. Słyszał wokół siebie przytłumione szepty, ale wydawały się odległe, jakby siedział w bańce. Podniósł głowę, próbował się skupić na widoku za wielkim oknem, na kępatch drzew, a za nimi linii doków na odległym nawisie. Będzie dobrze, powiedział sobie.

Te myśli przerwały mu dźwięki muzyki dobiegającej z tyłu i łoskot wstających ludzi. Rozpoznał melodię. Laura chciała, żeby ją grano, kiedy ona wejdzie.

Ktoś klepnął go w ramię. To Joe Kinsella, uśmiechnął się i powiedział: – Już czas.

Jack powoli wstał, skrzywił się, bo zaboląła go noga, ale kiedy się rozejrzył, uspokoił się.

Laura włożyła kremową suknię, elegancką i prostą, z odkrytymi ramionami i krótkim trenem. Trzymała układany na zamówienie bukiet białych kalii i róż, ich kolor podkreślał głęboki brąz jej włosów. W policzkach pojawiły się dołeczki. Była tak piękna jak wtedy, gdy spotkał ją po raz pierwszy.

Kiedy podeszła do niego, wyciągnął rękę i ścisnął jej dłoń.

– Kocham cię – wyszeptał.

Łzy załśniły jej w oczach; leciutko odwzajemniła uścisk. Potem odwrócili się do urzędnika stanu cywilnego.

Jack wiedział, że teraz wszystko będzie dobrze.

Podziękowania

Piszę w całkowitej samotności. Rzadko sięgam po poradę w trakcie procesu pisania, raczej zamykam się na klucz, póki nie skończę. Kiedy znów się wylaniam, mrużąc oczy w świetle dnia, jestem niezwykle wdzięczny, że są ludzie, którzy nadają jakiś sens temu, co spisałem na papierze. Moje redaktorki, Claire Bord i Helen Bolton, są fantastyczne, zawsze o tym wiedziałem.

Wraz z pozostałymi członkami zespołu wydawnictwa Avon

ciężko pracowały w moim imieniu.

Moja cudowna agentka Sonia Land z Sheil Land Associates była, jak zwykle, źródłem mądrej rady i wsparcia, i oby tak pozostało.

Przy mojej skłonności do przyjmowania fachowej pomocy, mam szczęście, że mogę korzystać ze wsparcia małej grupy ludzi, którzy robią co w ich mocy, żeby mi pomóc. Szczególnie chciałbym podziękować Angeli Melhuish za stworzenie i monitorowanie mojego fanpage'a na Facebooku oraz Liz Wilkins i Belindzie Cohen za opowiadanie ludziom o mnie na forach internetowych.

Jeśli chodzi o innych, pamiętam o was i nie zapomnę.

\\/
(o o)
+-----oOO-{}-OOo-----+

Zapraszam na TnT. Najlepsza darmowa strona !!!

Zarejestruj się poprzez ten link :

<http://tnttorrent.info/register.php?refferal=2500332>